1945–2020

75-lecie

XXII Liceum Ogólnokształcącego
z Oddziałami Dwujęzycznymi
im. José Martí w Warszawie

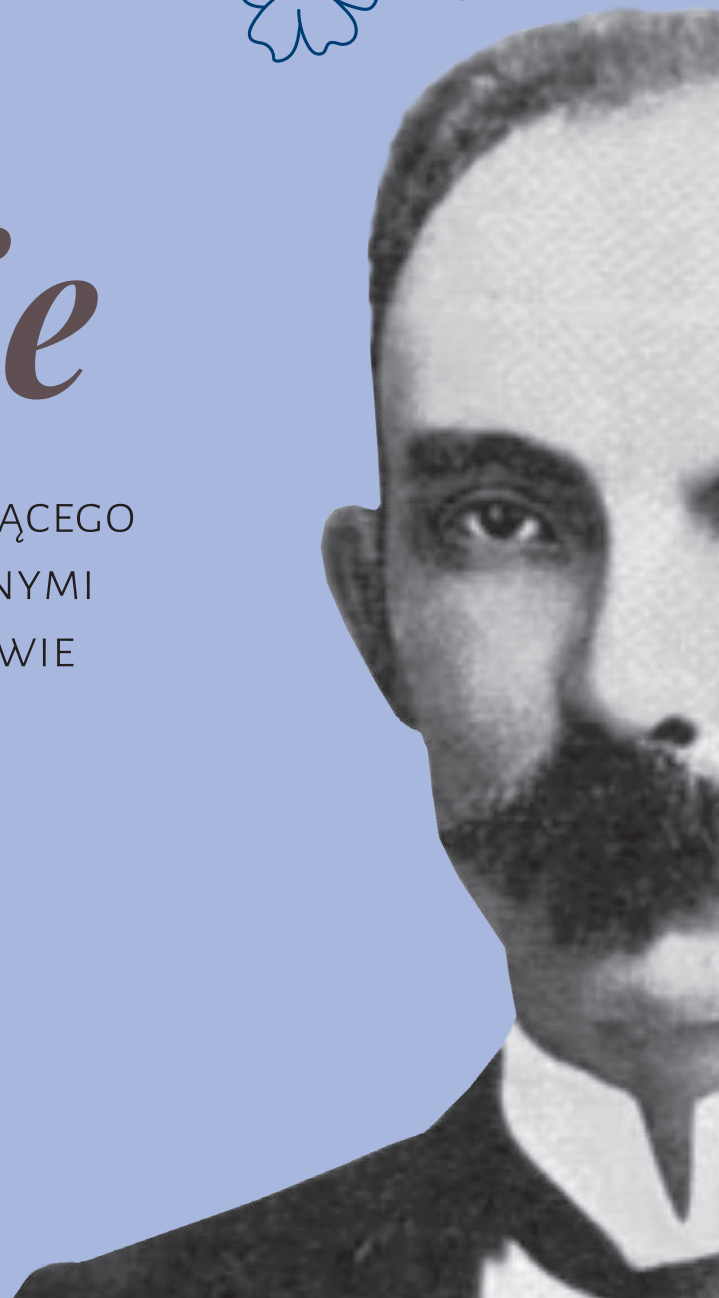

JOSE MARTI

1945–2020

75-lecie

XXII Liceum Ogólnokształcącego
z Oddziałami Dwujęzycznymi
im. José Martí w Warszawie

Warszawa 2020

Kochana nasza buda
to jest nasz drugi dom
w Niej nasze są radości
i dni najlepsze są.

fragment Piosenki Maturzystów z 1949 r.
tekst: Jerzy Flisak

CIEKAWE ROZMOWY

Wywiad z panem Zbigniewem Ślęzakowskim, dyrektorem XXII Liceum Ogólnokształcącego im. José Martí

W tym roku obchodzimy 75-lecie naszego liceum. To spory rozdział historii, a historia to ludzie. Dlaczego w 2004 r. zdecydował się Pan kandydować na dyrektora naszej szkoły?

Autor zdjęcia: Franciszek Zakrzewski

Rzeczywiście upłynęło już sporo czasu, prawie 16 lat. Od roku 1989 byłem dyrektorem Społecznego Liceum Ogólnokształcącego nr 3 Społecznego Towarzystwa Oświatowego. STO było organizacją skupiającą nowo tworzone szkoły podstawowe i licealne po zmianach systemowych z 1989 roku. Pracowałem w tamtym liceum przez 15 lat, w pewnym momencie byłem już gotów na nowe wyzwania. Zdecydowałem się wystartować w konkursach do szkół publicznych, kiedyś nazywanych państwowymi. Najpierw próbowałem aplikować na stanowisko dyrektora w XXXV LO im. Bolesława Prusa w Warszawie, ale spóźniłem się ze zgłoszeniem. Udało mi się zgłosić swoją kandydaturę w VI LO im. Tadeusza Reytana oraz w XXII LO im. José Martí. Przystąpiłem do konkursu, przedstawiłem swoją koncepcję i udało mi się zostać dyrektorem. Był to specyficzny moment w historii szkoły, ponieważ poprzedni dyrektor został odwołany ze swojego stanowiska. Przez rok szkołę prowadziła zastępczyni, pani Renata Janowska. Nietypowość tej sytuacji podkreśla fakt, że dyrektorem zostałem 14 lipca 2004 roku. Zwykle przychodzi się do pracy 1 września, ale ze względu na konieczność przejęcia wielu spraw, musiałem rozpocząć pracę w trakcie wakacji.

Co się zmieniło przez tyle lat w naszej szkole? Które zmiany miały największe znaczenie?

Z mojej perspektywy bardzo wiele, ale i obiektywnie patrząc można zauważyć dużo zmian. Najmniej zmienił się mój gabinet, wszystkie meble pozostały po poprzednim dyrektorze, również portret patrona. Moim wkładem jest jedynie obraz z kwiatami. Za to budynek szkoły przeszedł sporą metamorfozę. Remont szkoły trwał od 2010 do 2011 r. Wcześniej szkoła wyglądała inaczej. Bywały ostrzejsze zimy, więc zbierał się śnieg na parapecie niektórych klas. Można powiedzieć, że było „głodno i chłodno". Przychodzili radni z dzielnicy, kiwali głowami, że trzeba coś zrobić, ale niewiele to dawało. Aż pewnego dnia zapadła decyzja o remoncie, co też doprowadziło do ciekawej sytuacji. Nie było budynku, do którego można byłoby przenieść uczniów i nauczycieli na czas trwania modernizacji. Zostało zastosowane rozwiązanie dosyć proste, chociaż przykre w praktyce. Część uczniów miała zajęcia w jednej części budynku, a reszta lekcji odbywała się w nowo wybudowanym ratuszu. Na łącznikach część remontowana szkoły od nieremontowanej została oddzielona kurtyną, potem nawet zostały postawione specjalne płyty, ale zza ściany i tak dobiegały dźwięki młotów pneumatycznych i przedostawał się betonowy pył. Kiedy ekipa remontowa skończyła prace w pierwszym skrzydle, nastąpiła zamiana i rozpoczęła pracę w drugiej części budynku. Ta sytuacja trwała przez niecałe dwa lata. Szkoła znacząco zmieniła się wizualnie, jest to po części efekt zmienionych wymagań budowlanych, z czego nie zdawałem sobie sprawy. Przykładem jest konieczność większej przestrzeni dla toalet, sale lekcyjne też wymagały powiększenia, sala siłowni miała być wyższa. Zaczęto obniżać poziom podłogi. Po ekspertyzie okazało się, że stanowi to niebezpieczeństwo budowlane i cofnięto się do stanu wyjściowego. Różnych przygód nie brakowało. Część rzeczy szkolnych zostało schowanych w kontenerach stojących wzdłuż ogrodzenia od strony ulicy Staffa. Dopiero po remoncie nastąpiło odpakowanie ich zawartości.

Remont na pewno stanowił dużą zmianę w historii liceum, możliwą dzięki pomocy finansowej władz Warszawy. Dyrekcja szkoły nie miałaby tylu pieniędzy umożliwiających przeprowadzenie tak znaczącego remontu. Kolejnym etapem w rozwoju naszego liceum była budowa zaplecza sportowego. Powstały: boisko

sportowe, stanowisko workoutu, boisko wielofunkcyjne. To ostatnie wykonano w złym momencie, na przełomie listopada i grudnia. Warunki atmosferyczne doprowadziły do powstania „bąbli" na jego powierzchni. Być może zostanie to naprawione jeszcze w tym roku kalendarzowym.

Obecny rok szkolny też niesie wiele zmian. Nikt nie spodziewał się reformy oświaty w takiej postaci. Nagle pojawiło się trzynaście klas pierwszych, w których łączna liczb uczniów jest większa niż w pozostałych klasach.

Przez wszystkie lata dyrekcja dbała o tzw. „przedmiotowe systemy oceniania". Być może uczniom i rodzicom nie zawsze to się podoba. W moim mniemaniu są to systemy umożliwiające znacznie bardziej obiektywne ocenianie, niż rozwiązania oparte na mglistych założeniach. Obecnie w naszej szkole zasady oceniania są sformalizowane, ale jeżeli dochodzi do jakiś konfliktów czy sytuacji niejasnych, można o wiele łatwiej sprawdzić, czy jest to zgodne z przyjętymi regułami. Uważam, że to też jest duża zmiana z punktu widzenia istoty funkcjonowania liceum.

Nasza rozmowa trafi do monografii wydanej z okazji 75-lecia liceum. Tyle lat oznacza ogrom zdarzeń. Czy mógłby Pan powiedzieć, jakie znaczenie dla szkoły ma tradycja?

Tradycja jest nam potrzebna, ale to pojęcie trochę się zmienia. Zachowania i relacje w szkole zmieniają się nawet na przestrzeni tych kilkunastu lat, odkąd rozpocząłem tutaj pracę. Tradycję stanowią m.in. sztandar lub ślubowanie klas pierwszych. Od początku miałem wrażenie, że młodym ludziom trudno wytłumaczyć znaczenie tej uroczystości. Zawsze odwoływałem się do sytuacji feudalnych, pozostałości po ślubowaniu rycerskim. Ale jest to temat trudny do przekazania. Działa „Koło Koleżeńskie im. Zofii Ringmanowej", stowarzyszenie absolwentów pamiętających powstanie szkoły po zakończeniu II wojny światowej. Początkowo placówka znajdowała się przy ul. Schroegera, a następnie przy ul. Barcickiej. Portrety, które znajdują się w szkolnym łączniku, na parterze, przedstawiają Zofię Ringman, dyrektorkę liceum z lat 1946–1960 oraz pierwszych absolwentów. Zostały one podarowane szkole przez Stowarzyszenie, które dba o informowanie kolegów z ławy szkolnej o zbliżających się uroczystościach. W tym roku pan Adrian Gawerski, który jest jego przewodniczącym,

również aktywnie uczestniczy w działaniach związanych z 75-leciem. Niestety, młodsi absolwenci są już mniej zorganizowani, ale im jest się młodszym, tym mniej chce się mieć ze szkołą coś wspólnego. Dopiero po latach od ukończenia liceum zaczynamy czuć potrzebę odnowienia dawnych znajomości. Zdarza się, że ludzie spotykają się po 20. czy 30. latach i nie są w stanie się rozpoznać.

Tradycja oczywiście jest ważna. Ciekawym doświadczeniem byłaby możliwość cofnięcia się w czasie i zobaczenia ważnych wydarzeń. Z niewiadomych dla mnie przyczyn przeniesiono szkołę z ul. Żeromskiego 22/28 pod obecny adres. Wtedy jeszcze budynek był przystosowany dla małych dzieci, co wymagało dodatkowych prac remontowych. Ciekawym widokiem musiało być przenoszenie ławek z jednej szkoły do drugiej przez pusty skwer, na którym obecnie stoi ratusz Dzielnicy Bielany.

Czy powstanie nowa tradycja? Być może będzie ona bardziej oparta na technologii. Uważam, że szkoła jest instytucją konserwatywną, zawsze spóźnioną względem reszty świata, w tym rozumieniu jest tradycyjna. Być może podczas obchodów 100-lecia społeczność szkolna, z okazji okrągłej rocznicy, poczuje na swoich barkach ciężar tradycji.

Czy przez tyle lat funkcjonowania naszej szkoły, można powiedzieć, czym XXII LO wyróżnia się na tle innych placówek?

Uważam – nie jest to odkrywcze – że nasze liceum jest szkołą wymagającą. Mogę mówić o okresie, gdy jestem dyrektorem. Zawsze stawiamy wysokie wymagania, przedmiotowe zasady oceniania też zmuszają uczniów do wysiłku, większego niż w innych szkołach. W moim mniemaniu przynosi to rezultaty w postaci osiągnięć uczniów, którzy nawet jeśli podczas nauki są niezadowoleni z „piłowania" przez nauczycieli, to po dostaniu się na wymarzoną uczelnię, już nie wspominają José Martí tak źle. Jasno określone wymagania i konsekwencja w ich realizacji stanowią rys charakterystyczny. Dobra organizacja wewnętrznej pracy szkoły też nas wyróżnia. Spodziewałem się, że w tym roku lekcje będą trwały do 9. godziny lekcyjnej. Udało się nam ułożyć plan, w którym zajęcia kończą się już po 7. lekcji. Pod tym względem jesteśmy bardzo dobrzy, co jest głównie zasługą pani wicedyrektor Grażyny Kwiatkowskiej. Oczywiście, wyjątkowa jest sekcja dwujęzyczna z językiem hiszpańskim,

która też pojawiła się równocześnie z początkiem mojej pracy. Matematyka oraz język polski również stanowią silne punkty naszej szkoły. Wyniki matur z tych przedmiotów zawsze zapewniają nam wysokie miejsce w rankingu szkół ponadgimnazjalnych. W tym roku zajęliśmy 17. miejsce wśród warszawskich liceów, co mnie pozytywnie zaskoczyło. Gdyby udało się tę pozycję utrzymać, byłoby naprawdę bardzo dobrze.

Mówi Pan o coraz lepszej pozycji naszego liceum. Zatem jakie ma Pan marzenia związane z przyszłością XXII LO?

Chciałbym, żebyśmy stawali się coraz lepszą szkołą. Gdyby jeszcze za mojej kadencji udało się sforsować 16. czy 15. miejsce, to byłbym oczywiście szczęśliwy. Pod względem bazy materialnej szkoły zależy mi na naprawie nawierzchni boiska do piłki ręcznej i koszykówki, a także przykrycia go specjalnym balonem, który umożliwi korzystanie z tej przestrzeni cały rok. Marzeniem jest wzniesienie budynku na wewnętrznym dziedzińcu liceum. Jego przestrzeń wynosiłaby około 300 metrów kwadratowych, mogłaby tam znajdować się aula dla wszystkich uczniów, dzięki przesuwanym ścianom można byłoby prowadzić tam różne zajęcia. Dwadzieścia cztery klasy, które są obecnie, mają już pozostać, co roku będzie przyjmowanych sześć klas. Może to oznaczać tłok na korytarzach. Kilka minut temu przyszła nauczycielka, która miała zastępstwo z całą klasą, a dysponowała jedynie salą na 15 osób. Spojrzałem w grafik, okazało się, że wszystkie sale są zajęte i musiałem ją poprosić o zejście do biblioteki. Budynek na patio rozwiązałby ten problem. I tyle marzeń.

Rozmawiał: Piotr Chęciński, przewodniczący Samorządu Szkolnego
w roku szkolnym 2018/2019, uczeń klasy 2A

El XXII LO im. José Martí Entrevista al Embajador de Cuba en Polonia

Con motivo del 75 aniversario de nuestro Instituto, con S.E. Jorge Martí Martínez, embajador de Cuba en Polonia.

La entrevista tuvo lugar el 25 de febrero de 2020 en la residencia de la embajada cubana en Varsovia.

Wywiad z J. E. Jorge Martí Martínezem – Ambasadorem Kuby w Polsce w ramach obchodów rocznicy 75-lecia XXII LO z Oddziałami Dwujęzycznymi im. José Martí w Warszawie.

¿Podría presentarse, por favor? ¿Desde cuándo es embajador de Cuba en Polonia? Antes de ser embajador en Polonia, ¿había sido embajador en algún otro país? ¿En cuál?

Me llamo Jorge Martí Martínez y fui designado por mi presidente como embajador extraordinario y plenipotenciario de la República de Cuba en la República de Polonia y arribé a Varsovia junto con mi mujer el 18 de noviembre del 2016. El 11 de enero de 2017 presenté las cartas credenciales que me acreditan como embajador en Polonia al presidente Andrzej Duda. Recuerdo que tuvimos una conversación muy amistosa.

Antes de ser Embajador en Polonia tuve el honor de ser embajador de Cuba en Finlandia, fue mi primer puesto como embajador. Entonces tenía yo apenas 35 años, fui el embajador más joven que tuvo Cuba en esa época. Más tarde fui a Letonia y allí abrí la embajada desde donde atendía Estonia y Finlandia. Posteriormente fui embajador en Rusia, desde donde atendía los asuntos de Azerbaiyán, Turkmenistán y Armenia.

Czy mógłby się Pan przedstawić? Od kiedy jest Pan ambasadorem Kuby w Polsce? Czy zanim rozpoczął Pan swoją misję w Polsce, był Pan ambasadorem w innym kraju? Jeśli tak, to w jakim?

Nazywam się Jorge Martí Martínez i zostałem mianowany przez mojego Prezydenta Ambasadorem Nadzwyczajnym i Pełnomocnym Republiki Kuby w Rzeczypospolitej Polskiej. Przyjechałem do Warszawy wraz z żoną 18 listopada 2016 roku, a 11 stycznia 2017 roku złożyłem listy uwierzytelniające na ręce prezydenta Andrzeja Dudy. Rozmowa przebiegła w miłej atmosferze.

Zanim zostałem ambasadorem w Polsce, miałem zaszczyt być ambasadorem Kuby w Finlandii, to było moje pierwsze stanowisko ambasadora. Miałem wtedy 35 lat, byłem w tamtych czasach najmłodszym ambasadorem Kuby. Później pojechałem na Łotwę, gdzie otworzyłem ambasadę obejmującą zasięgiem swoich działań również Estonię i Finlandię. Następnie byłem ambasadorem w Rosji, gdzie zajmowałem się także sprawami Azerbejdżanu, Turkmenistanu i Armenii.

Podczas wywiadu z Jego Ekscelencją Ambasadorem Republiki Kuby Jorge Martí Martínezem, obok ambasadora siedzi pani Mirta Alicia Karchik, radna Działu Kultury Ambasady Republiki Kuby, prywatnie żona Jego Ekscelencji

Archiwum szkoły

¿Hay algún país que lo haya marcado especialmente? ¿Cuál y por qué?

Cada país deja una marca especial. Pudiera mencionarle muchas y diversas razones, pero la esencial son los pueblos, las personas que habitan un país, su cultura, sus tradiciones, sus costumbres, su música, su literatura, su historia. Pero las personas, la gente, es lo principal.

Czy jest kraj, który zostawił w Pana pamięci szczególny ślad?

Każdy kraj pozostawia szczególny ślad. Mógłbym wymienić wiele różnych powodów, dla których tak się dzieje. Najważniejszym z nich są ludzie, mieszkańcy danego kraju, ich kultura, tradycje, zwyczaje, muzyka, literatura, historia.

¿Qué opina de Polonia? ¿Qué le gusta y qué le disgusta de nuestro país?

Actualmente tengo el honor y la dicha de encontrarme en Polonia y le puedo asegurar que este maravilloso país me ha cautivado por su belleza, por su riqueza cultural, sus tradiciones, su heroica historia, por los poemas

Wizyta w Ambasadzie Republiki Kuby w 2020 r., od lewej pan David Vargas Vargas, Anna Zatorska (1H4), Martyna Krajewska (1E3), jego ekscelencja Jorge Martí Martínez, Zuzanna Walenta (1H4) i Iga Ruszczak (1C3)

Archiwum szkoły

de Wisława Szymborska, la prosa de Henryk Sienkiewicz, la poesía de Adam Mickiewicz, la filmografia de Andrzej Witold Wajda, la música de Frederic Chopin. Polonia exhibe una espiritualidad única y a la vez romántica. A mí me gusta mucho su arquitectura. Hemos viajado a Cracovia, por ejemplo, y hemos quedado sorprendidos gratamente.

¿Qué me disgusta? Que no tuve la oportunidad de conocer Polonia antes. Hubiera deseado conocer este país antes. Es realmente un pueblo maravilloso, es un pueblo que respeto mucho, particularmente su heroica historia.

Co Pan sądzi o Polsce? Co Panu się w naszym kraju podoba, a co nie?

Obecnie mam zaszczyt i szczęście mieszkać w Polsce, poznawać Wasz kraj i mogę zapewnić, że jestem oczarowany jego pięknem, bogactwem kulturowym, tradycjami, bohaterską historią, wierszami Wisławy Szymborskiej, prozą Henryka Sienkiewicza, poezją Adama Mickiewicza, filmografią Andrzeja Witolda Wajdy, muzyką Fryderyka Chopina. Polska prezentuje wyjątkową i zarazem romantyczną duchowość. Bardzo podoba mi się jej architektura. Odwiedziliśmy na przykład Kraków, który miło nas zaskoczył.

Co mi się nie podoba? Żałuję, że nie miałem okazji poznać Polski wcześniej. Polacy to wspaniały naród, który bardzo szanuję, a zwłaszcza jego bohaterską historię.

¿Quién es para usted José Martí? ¿De qué manera su obra afecta su vida o las decisiones que toma?

Para mí, José Martí fue un hombre de elevados principios, con una vocación latinoamericana e internacionalista, pero sobre todo con una intachable conducta personal, tanto pública como privada y con unas cualidades humanas que en ocasiones parecen insuperables. Se trata de un cubano de proyección universal: Martí no pertenece únicamente a América Latina, él rebasó las fron-

teras de la época en que le tocó vivir para convertirse en uno de los más grandes pensadores y políticos del siglo XIX.

Kim jest dla Pana José Martí? Jaki wpływ ma jego twórczość na Pana życie lub na decyzje, które Pan podejmuje?

Dla mnie José Martí był człowiekiem z zasadami, człowiekiem o nieposzlakowanej opinii zarówno w życiu prywatnym, jak i publicznym, reprezentującym swoją postawą najwyższe wartości, trudne do osiągnięcia dla zwykłego człowieka. Czuł się powołany do służenia Ameryce Łacińskiej i społeczności międzynarodowej.

Był Kubańczykiem, który przekroczył granice swojej epoki, aby stać się jednym z największych myślicieli i polityków XIX wieku.

¿Cómo consideran los cubanos a José Martí? ¿Lo ven más como artista o como político?

Como he mencionado, Martí es un hombre universal, es un hombre que tiene una obra imprescindible como fuente de conocimientos y de consulta para todas las generaciones de cubanos y el contenido, estilo y belleza singular de sus poemas, de todos sus escritos y discursos lo sitúan como un intelectual de vasta cultura. Pero los cubanos vemos a Martí como un pensador, como un poeta, lo vemos como un maravilloso escritor, lo vemos como un diplomático, y como periodista, como hombre valiente y universal, como su maestro. Encasillar a Martí únicamente como político, sería un error imperdonable.

Hay que decir que en junio de 2018 fue nombrado nuevo miembro del Salón de la Fama de Escritores de Nueva York (New York Writers Hall of Fame), un proyecto del Centro Empire State del Libro. La propuesta para su inclusión fue impulsada por Esther Allen (n. 1962, traductora y ensayista estadounidense, estudiosa y traductora de Martí), así como por Ada Ferrer (n. 1962, historiadora cubano-estadounidense, profesora de Historia y Estudios Latinoamericanos en la Universidad de Nueva York). Hasta la fecha de su inclusión (2018), el apóstol es el segundo escritor hispano en ingresar a tan exclusivo salón, después que lo hiciera en 2011 la poeta puertorriqueña Julia de Burgos (1914–1953).

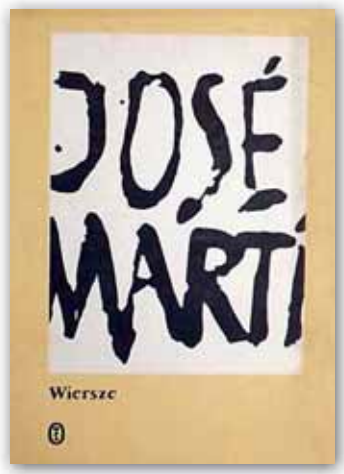

Jak Kubańczycy postrzegają José Martí? Bardziej jako artystę czy polityka?

Jak wspomniałem, Martí był człowiekiem wszechstronnym, człowiekiem którego twórczość jest nieoceniona jako źródło wiedzy dla wszystkich pokoleń

Kubańczyków, a treść, styl i niepowtarzalne piękno jego wierszy, wszystkich jego pism i przemówień czyni go intelektualistą należącym do szeroko pojętej kultury. Kubańczycy postrzegają go jako myśliciela, poetę, wspaniałego pisarza, jako dyplomatę i dziennikarza, jako odważnego człowieka i nauczyciela. Postrzeganie Martí wyłącznie jako polityka byłoby niewybaczalnym błędem.

Warto dodać, że w czerwcu 2018 roku został wprowadzony na listę członków Nowojorskiej Galerii Sławnych Pisarzy (New York Writers Hall of Fame), projektu Empire State Book Center. Propozycja włączenia go do tej galerii została zainicjowana przez Esther Allen (ur. 1962, amerykańską tłumaczkę i eseistkę, naukowca i tłumaczkę Martiego), a także przez Adę Ferrer (ur. 1962, kubańsko-amerykańską historyk, profesor Historii i Studiów Latynoamerykańskich na Uniwersytecie Nowojorskim). José Martí jest drugim latynoamerykańskim pisarzem, który znalazł się w tym elitarnym gronie, po portorykańskiej poetce Julii de Burgos (1914–1953), która została jego członkiem w 2011 roku.

¿Se estudia la vida y obra de José Martí en las escuelas de Cuba? ¿Existe alguna especie de culto hacia su persona en la isla?

En Cuba se estudia la vida y obra de José Martí en las escuelas y existe un Centro de Estudios Martianos, en el que se trata de adentrar, profundizar en la vida y el pensamiento de Martí. A Martí no se le rinde culto, ni se lo idolatra. A Martí sencillamente se le respeta, se le recuerda y se le rinde recuerdo a su memoria, a su obra, a su vida, porque fue un hombre de una honradez y una integridad intachable. Por otro lado, fue el precursor de la independencia de Cuba. Hubo un momento en la lucha por la independencia de Cuba contra los colonizadores españoles en que había grandes diferencias entre los líderes, los caudillos, los generales y los militares cubanos. Había diferencias, contradicciones, había quienes decían: *„¡Yo muero, pero aquí en Camagüey, que en La Habana muera otro!"* ¿Dónde está la grandeza de Martí? En que él logró reunir a esos generales, algunos de mucho prestigio, y en general a todos los cubanos por la independencia. En resumen, no hablamos de culto, más bien de orgullo.

Czy w szkołach na Kubie uczy się o życiu i twórczości José Martí? Czy jest on otoczony szczególną czcią na wyspie?

Na Kubie uczy się o życiu José Martí i analizuje jego dzieła. Istnieje Centrum Badań, którego celem jest pogłębianie wiedzy o jego życiu i twórczości. Martí nie jest czczony ani ubóstwiany. Jest szanowany, pamięta się o nim i oddaje się cześć jego pamięci, pracy, życiu, jako że był człowiekiem niezwykłej prawości i honoru. Był również tym, który zapoczątkował walkę o niepodległość Kuby. W czasach tych walk przeciwko kolonizatorom hiszpańskim pojawiały się spore różnice pomiędzy przywódcami, dowódcami, generałami i żołnierzami kubańskimi. Pojawiały się różnice zdań, liczne sprzeczności, byli tacy, którzy mówili: „Ja umieram, ale tutaj w Camagüey, w Hawanie niech umiera ktoś inny!" W czym tkwi wielkość José Martí? W tym, że to jemu udało się pogodzić tych generałów, niektórych o wielkim prestiżu, pogodzić wszystkich Kubańczyków, na rzecz walki o niepodległość. Podsumowując, nie mówimy o czci, a raczej o dumie.

Rysunek autorstwa Oliwii Czerwińskiej, uczennicy kl. 2A

¿Qué podríamos hacer para que más personas conocieran la importancia de este personaje?

A mí me parece que sería conveniente poder estudiar más su obra, en primer lugar su obra literaria, que es maravillosa. Pero creo que habría que hacer más. Pienso que sería muy útil si pudiéramos contar con una cátedra martiana en la Universidad de Varsovia, o en algún otro centro, quizá algún día en el centro José Martí. Hablo de la posibilidad de dedicar un espacio para el estudio de la obra de José Martí. Se podría invitar a escritores e intelectuales cubanos que conozcan con profundidad la obra de José Martí para que les cuenten a los estudiantes polacos sobre su vida y la significación de su obra. Creo que es algo que se podría hacer.

Co możemy zrobić, aby więcej osób wiedziało, jak ważna jest ta postać?

Wydaje mi się, że dobrze byłoby zgłębiać jego twórczość, przede wszystkim literacką, która jest naprawdę wybitna. Ale myślę, że należałoby zrobić więcej.

Uważam, że byłoby dobrze otworzyć Wydział Studiów o José Martí na Uniwersytecie Warszawskim lub w innym ośrodku akademickim, może kiedyś w ośrodku José Martí. Mam tu na myśli stworzenie warunków do studiowania jego dzieł. Kubańscy pisarze i intelektualiści, którzy dogłębnie znają jego twórczość, mogliby na zaproszenie polskich studentów opowiedzieć o jego życiu i znaczeniu jego prac. Myślę, że można byłoby to zrobić.

¿Cuándo se enteró usted de que existía un instituto de nombre José Martí en Varsovia? ¿Antes o después de llegar aquí?

Realmente sabíamos de la existencia de este instituto desde hacía ya mucho tiempo. Me parece que en la visita que realizó el ex Presidente Fidel Castro a Polonia en 1972, visitó también el liceo *„José Martí"*. En Cuba se conoce la existencia de este liceo porque se lleva una relación de las diferentes escuelas e instituciones que llevan por nombre José Martí, y en el centro de Estudios Martianos, aparece el liceo José Martí en Varsovia. Así que no solo yo, muchos cubanos saben que ustedes existen.

Kiedy dowiedział się Pan, że w Warszawie istnieje liceum imienia José Martí? Przed czy po przyjeździe tutaj?

Tak naprawdę dużo wcześniej wiedzieliśmy o istnieniu tego liceum. Wydaje mi się, że podczas swojej wizyty w Polsce w 1972 roku, były prezydent Kuby, Fidel Castro, odwiedził także liceum im. José Martí. Na Kubie prowadzona jest lista różnych szkół i instytucji noszących imię José Martí, a Wasze liceum pojawia się również w Centrum Badań nad José Martí. Nie tylko ja, ale wielu Kubańczyków wie o istnieniu Waszej szkoły.

¿Qué opina del Instituto José Martí? ¿Cuál es su relación con este instituto?

Considero que el Liceo José Martí es un centro maravilloso donde se promueve el amor, la amistad y el conocimiento. Además, es un centro que cuenta con profesores altamente cualificados, muy dedicados a su profesión. Estoy enamorado del liceo. Siento que mi relación con el Instituto es estrecha, aunque debo admitir que puedo hacer más, quisiera visitarlo con más frecuencia. Y es lo que me propongo. Si me invitan, estaré encantado de ir a conversar con los alumnos sobre Martí, sobre Cuba, sobre América Latina.

Co Pan sądzi o Liceum im. José Martí? Jakie są Pana relacje z tą szkołą?

Uważam, że liceum José Martí jest wspaniałym miejscem, w którym promuje się miłość, przyjaźń i wiedzę. Ponadto jest to ośrodek z wysoko wykwalifikowaną kadrą nauczycielską, całkowicie oddaną swojej pracy. Jestem zakochany w tej szkole. Czuję, że moja relacja z Waszym liceum jest bardzo bliska, chociaż muszę przyznać, że mógłbym zrobić coś więcej, chociażby częściej Was odwiedzać. I to właśnie proponuję. Jeżeli zostanę zaproszony, to z przyjemnością porozmawiam z uczniami o José Martí, o Kubie i o Ameryce Łacińskiej.

¿Además del Día del Patrón, ¿en qué otras ocasiones tiene usted contacto con nuestro instituto?

Además del Día del Patrón, en el que ayudamos en las actividades culturales que se presentan, también patrocinamos y tratamos de estar presentes en el evento cultural *JoséSong*, aunque en ocasiones coincide con otros compromisos que no podemos eludir. Por otro lado, nosotros invitamos a profesores y alumnos a nuestras actividades, por ejemplo, a la fiesta de celebración del día

Ambasador Republiki Kuby Jorge Martí Martínez przemawia podczas Dnia Patrona w styczniu 2020 r.
Archiwum szkoły

nacional de Cuba. Pero realmente creo que hay que hacer más para estrechar los vínculos entre la embajada y el instituto.

Oprócz udziału w Dniu Patrona, jak jeszcze przejawia się Pański kontakt z naszą szkołą?

Oprócz wspierania działalności kulturalnej związanej z Dniem Patrona, obejmujemy patronatem konkurs JoséSong, na którym staramy się też być obecni, co niestety nie jest łatwe, ponieważ często termin gali finałowej zbiega się z innymi moimi zobowiązaniami. Z drugiej strony zapraszamy nauczycieli i uczniów na nasze uroczystości, na przykład na obchody kubańskiego święta narodowego. Ale naprawdę wierzę, że należy zrobić więcej, aby zacieśniać więzi między ambasadą a liceum.

Ambasador Republiki Kuby Jorge Martí Martínez i pan Zbigniew Ślęzakowski – dyrektor liceum
Archiwum szkoły

Esta entrevista la llevamos a cabo en el marco de la celebración del 75 aniversario de nuestra escuela. ¿Podría dedicarnos algunas palabras o algún pensamiento con motivo de este acontecimiento?

Permítanme aprovechar esta oportunidad para desearles muchas felicidades, salud y éxitos al liceo, a su director, a sus profesores y alumnos. Quisiera despedirme diciéndoles algo importante. Trabajen mucho, estudien mucho, prepárense mucho. Según decía el Maestro, José Martí, el único autógrafo digno de un hombre es el que deja escrito con sus obras. Estudiar y estudiar. Esa es la palabra de orden para los jóvenes de hoy. Aprendan mucho, estudien mucho para luego ayudar al que lo necesite, lo cual no es solo parte del deber, sino de la felicidad.

Ten wywiad został przeprowadzony w ramach obchodów 75. rocznicy naszej szkoły. Czy mógłby Pan podzielić się z nami Pańskimi przemyśleniami, związanymi z tym wydarzeniem?

Pozwolę sobie skorzystać z okazji, aby życzyć liceum, dyrektorowi, nauczycielom oraz uczniom wszystkiego naj-

lepszego, zdrowia i sukcesów. Chciałbym pożegnać się słowami: pracujcie dużo, uczcie się. Jak mawiał Mistrz José Martí: „Jedynym autografem godnym człowieka jest ten, który zostaje napisany jego dziełami"[1]. Uczyć się i jeszcze raz uczyć się. To słowo klucz dla współczesnej młodzieży – zgłębiajcie wiedzę i uczcie się, aby później: „Pomóc potrzebującym, co jest nie tylko obowiązkiem, ale także przynosi szczęście".[2]

---

1. „El único autógrafo digno de un hombre es el que deja escrito con sus obras";
https://www.telesurtv.net/news/10-frases-brillantes-de-Jose-Marti-20160127-0078.html,
https://pensamientoscelebres.com/frase/
elunicoautografodignodeunhombreeselquedejaescritoconsusobras/
2. „Ayudar al que lo necesita no sólo es parte del deber, sino de la felicidad";
https://www.telesurtv.net/news/10-frases-brillantes-de-Jose-Marti-20160127-0078.html,
https://pensamientoscelebres.com/frase/
ayudaralquelonecesitanosoloespartedeldebersinodelafelicidad/

Wywiad został przeprowadzony 25 lutego 2020 r. w budynku Ambasady Kuby.
La entrevista tuvo lugar el 25 de febrero de 2020 en la residencia de la embajada cubana en Varsovia.

Rozmawiały: Martyna Krajewska, uczennica kl. 1E3, Iga Ruszczak, uczennica kl. 1C3 oraz Hanna Zatorska i Zuzanna Walenta, uczennice kl. 1H4 pod opieką pana Davida Vargasa Vargasa
Tłumaczenie: pan David Vargas Vargas, pani Monika Zwierzyńska-Pióro
Konsultacja językowa: pani Monika Zwierzyńska-Pióro

HISTORIA SZKOŁY

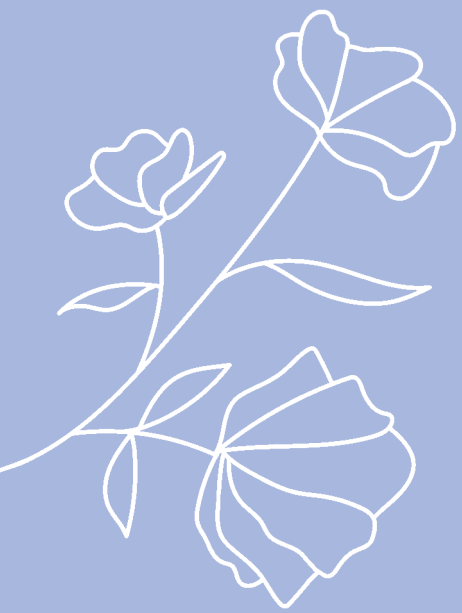

XXII Liceum Ogólnokształcące z Oddziałami Dwujęzycznymi im. José Martí to najstarsze liceum ogólnokształcące na Bielanach

Początki szkoły sięgają 24 sierpnia 1945 roku. Utworzona została z inicjatywy mieszkańców dzielnicy, a jej powstanie zostało poparte przez Warszawskie Kuratorium Oświaty. Siedziba szkoły mieściła się w budynkach przy ul. Schroegera 72, Płatniczej 66 (ówczesnej Chełmżyńskiej) i Barcickiej 69 i 71. Przystąpiono wówczas do zorganizowania pierwszej i drugiej klasy gimnazjalnej przy Szkole Podstawowej nr 21, placówka stała się filią Państwowego Gimnazjum i Liceum w Warszawie (obecnie imienia Stefanii Sempołowskiej).

Profesorowie założyciele pierwszego na Bielanach Państwowego Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnego przy ul. Barcickiej 2 przed budynkiem szkoły. Obecnie XXII Liceum Ogólnokształcące im. José Martí

Od lewej u góry:

Zofia Ringmanowa (dyrektor), Jadwiga Morycowa (w.f.), Romana Lubodziecka (biologia), Halina Kisielewska (v-ce dyrektor i łacina), Janina Ilmoja (geografia), Maria Nowicka (historia), Leokadia Kędzierska (matematyka), Roman Kadziński (język polski), Jan Lechowski (w.f.), Janina Zawistowicz (matematyka).

Pierwszym dyrektorem liceum został Eugeniusz Jankowski, piastował swoje stanowisko w roku szkolnym 1945/46. W gronie nauczycieli znaleźli się: Janina Grzybowska, Janina Ilmoja, Halina Kisielewska, Leokadia Kędzierska, Janina Keckówna, Romana Lubodziecka, Jadwiga Morycowa, Maria Mrozowska i Maria Nowicka. Naukę rozpoczęło wtedy 104. uczniów.

Wraz z rozpoczęciem nowego roku szkolnego 1946/47 stanowisko dyrektora objęła Zofia Ringmanowa. Na początku maja 1948 roku liceum przeniesione zostało do częściowo spalonego budynku przy ul. Barcickiej 2. Cała społeczność szkolna z wielkim zapałem włączyła się w wyremontowanie domu. Dzięki niezwykłej atmosferze, jaką udało się stworzyć w szkole, zainteresowanie nią wzrosło, co poskutkowało trzykrotnym zwiększeniem się liczby uczniów. Nauka odbywała się w systemie ośmioklasowym, po dwie lekcje, od 8:00 do 11:00. Dzięki staraniom dyrektorki, kadry nauczycielskiej i rodziców uczniów stworzona została biblioteka szkolna, a piwnicę o powierzchni 60 m² zaadaptowano

Barcicka 2, 1965 r.
Autor zdjęcia: Andrzej Walczuk

Schroegera 72, 1965 r.
Autor zdjęć: Andrzej Walczuk

na świetlicę i małą salę gimnastyczną. Wzrost liczby uczniów spowodował zatrudnienie większej liczby nauczycieli. Byli oni ludźmi doświadczonymi, z dużą praktyką pedagogiczną, niektórzy jeszcze przed II wojną światową wykonywali zawód nauczyciela, część z nich jednak dopiero zaczynała swoją przygodę z nauczaniem młodzieży. 4 czerwca 1948 roku okazał się końcem działania szkoły jako filii żoliborskiego XVI Liceum im. Stefanii Sempołowskiej. Wysiłki kadry pedagogicznej zostały docenione i Ministerstwo Oświaty przyznało szkole samodzielność. Odtąd nazywała się Państwowym Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnym na Bielanach. 1948 był rokiem, kiedy mury szkoły opuścili pierwsi absolwenci. Świadectwa maturalne otrzymało 11 dziewcząt. Wraz z początkiem roku szkolnego 1948/49 szkoła znów zmieniła nazwę, nazywała się – Państwowa Szkoła Ogólnokształcąca Stopnia Licealnego.

W 10. rocznicę powstania szkoły, w 1950 roku, powstała *Złota Księga Komitetu Rodzicielskiego*. Upamiętnia ona ofiarną działalność rodziców, którzy włożyli

duży wkład w rozwój młodzieży. Do 1950 roku absolwentami szkoły zostało 74. uczniów. Budynek przy ul. Barcickiej 2 spełniał swoją rolę aż do 30 czerwca 1955 roku (a absolwentami zostało do tego czasu 426. uczniów), gdy szkoła znów zmieniła lokalizację. Tym razem została przeniesiona na ulicę Żeromskiego 22/28. Szkoła po raz kolejny zmieniła nazwę – na Szkoła Podstawowa i Liceum Ogólnokształcące nr 22. Warunki pracy i nauki znacznie się poprawiły, nowy budynek był do nich bardzo dobrze przystosowany. Do dyspozycji uczniów oddane zostały nowe pracownie i gabinety, stołówka, sala gimnastyczna, szatnia, gabinet lekarski i boisko, czego bardzo brakowało w budynku przy Barcickiej. Szkoła wówczas zyskała nowy program nauczania, była to szkoła 11-letnia, tj. 7 klas szkoły podstawowej i 4 klasy liceum, lecz nadal czerpała z istniejących tradycji i doświadczeń.

W roku 1960 na emeryturę odchodzi wieloletnia dyrektorka szkoły, Zofia Ringmanowa. Dla wielu pozostała wspaniałym człowiekiem i doskonałym pedagogiem. W roku szkolnym 1960/61 rada pedagogiczna przystąpiła do prac nad wyborem patrona. Jednym z kandydatów był Stefan Starzyński, bohaterski prezydent Warszawy, ostatecznie patronem został kubański poeta i rewolucjonista – José Martí (1853–1895), zgodnie z postanowieniem Ministerstwa Oświaty z dnia

Żeromskiego 22, 1965 r.
Autor zdjęć: Andrzej Walczuk

5 kwietnia 1961 roku. Dzień później szkole nadana została nazwa – Liceum Ogólnokształcące Nr 22 im. José Martí przy ul. Żeromskiego. Następnymi dyrektorami placówki zostają Eugeniusz Pietrzykowski (1960–1964), a po nim Anna Świerzyńska (1964) i Teresa Duchowska (1964–1967). W tym czasie maturę uzyskuje 971 licealistów.

Szkoła zostaje przeniesiona na obecne miejsce, do budynku przy ul. Staffa 111. Po raz kolejny szkolna młodzież bardzo chętnie pomogła w przeprowadzce do nowego gmachu. W 1964 roku zostały ustalone: nazwa, numer i imię szkoły – na XXII Liceum Ogólnokształcące im. José Martí, co zostało potwierdzone odpowiednim dokumentem. Z tego powodu rozpoczęta zostaje współpraca z ambasadą Kuby, która ufundowała szkole sztandar. Na jednej jego stronie widnieje pełna nazwa liceum, na tle orła PRL, a na drugiej hasło Praca-Wiedza-Przyjaźń-Socjalizm oraz na środku lampka oliwna na tle otwartej książki. Od roku szkolnego 1967/68 dyrektorem zostaje Wincenty Łaźniczka, który pełnił swoje obowiązki aż do roku 1985. Zorganizował on warunki do pracy i nauki w szkolnych salach, wprowadził system klasopracowni, czyli każdy nauczyciel otrzymał własną salę, którą się opiekował.

5 października 1970 roku działalność rozpoczęła Spółdzielnia Uczniowska. Była ona swego rodzaju sklepikiem szkolnym prowadzonym przez uczniów. Spółdzielnia włączała się we wszystkie wydarzenia kulturalne organizowane w szkole.

Przez cały czas liceum zyskuje kolejnych uczniów i absolwentów wzbogacających piękną historię szkoły, a grono pedagogiczne, mimo zmieniających się nauczycieli, tworzy jedną, wielką rodzinę. Na 50-lecie szkoły odbywa się kolejny, rekordowy, zjazd trwający aż 3 dni. Na obchody przybyło prawie 600 byłych wychowanków i nauczycieli, wtedy właśnie postawiony został pamiątkowy głaz, który stoi przy wejściu na teren szkoły.

Do 2003 roku wprowadzono wiele zmian w szkole, m.in.: powstała pracownia komputerowa, skomputeryzowano bibliotekę oraz zamontowano radiowęzeł. W ramach programu *TEMPUS* szkoła zainicjowała współpracę z placówkami we Włoszech i Francji.

W 2004 roku pracę rozpoczął nowy dyrektor. Został nim Zbigniew Ślęzakowski, który od tamtego czasu nieprzerwanie pełni tę funkcję. W roku

Staffa 111, 1997 r.
Archiwum prywatne
ks. Bartłomieja Pergoła

szkolnym 2004/05 stworzona została sekcja dwujęzyczna z językiem hiszpańskim. Na oficjalnym otwarciu pojawili się przedstawiciele ambasad Kuby i Królestwa Hiszpanii. W dniach 14, 15 i 16 października 2005 roku odbyły się uroczystości 60-lecia istnienia szkoły. Liceum w ostatnich latach na pewno zmieniło swoje oblicze. Wiąże się to przede wszystkim z reformą edukacji. Szkoła przekształciła się w tym czasie w trzyletnie liceum. Zmiany nie wpłynęły jednak na atmosferę w szkole czy jej popularność wśród gimnazjalistów. W roku 2005 pierwszy rocznik zreformowanego liceum zdawał Nową Maturę. W maju 2009 roku rozpoczęły się prace zmieniające dotychczasowy wygląd szkoły. Cały budynek przeszedł generalny remont, który trwał aż do czerwca 2010 roku. W tym okresie lekcje odbywały się w trudnych warunkach, na korytarzach szkolnych, gdzie na czas remontu przeniesiono ławki uczniów, w sali gimnastycznej, w jednym ze skrzydeł – tym nieremontowanym oraz w sąsiadującym ze szkołą budynku ratusza dzielnicy Bielany. Całkowicie odmieniona szkoła jeszcze bardziej zachęcała kandydatów do wybrania tej placówki, była kolorowa i nowoczesna. W XXI wieku rozpoczęły się konkursy organizowane przez szkołę. Na przykład *Festiwal Artystów Nieobliczalnych*, w skrócie FAN, był festiwalem teatralnym, który miał na celu rozpowszechnianie wśród młodzieży zamiłowania do teatru i sztuki. Innym konkursem jest *Joséball*, czyli turniej piłki nożnej.

Ale najbardziej rozpoznawalny jest *JoséSong*. Młodzi ludzie na scenie wykonują utwory muzyczne w językach obcych, m.in.: francuskim, niemieckim, hiszpańskim, włoskim, rosyjskim.

W 2015 roku, z okazji 70-lecia istnienia liceum, tradycyjnie odbył się kolejny, już siódmy zjazd absolwentów i nauczycieli. Podczas tego wydarzenia można było powspominać dawne czasy dzięki kronikom i starym nagraniom. Uczniowie zorganizowali kawiarenkę, wystawę rozmaitych prac, a także stoisko z drobiazgami związanymi z patronem naszej szkoły. Podczas zjazdu jak zwykle panowała rodzinna i ciepła atmosfera.

Wreszcie nadszedł rok 2020 i jubileusz 75-lecia istnienia placówki. Podczas wszystkich tych lat wielu młodych ludzi opuszczało jej mury, mając w sercu i pamięci tradycje. Razem z nauczycielami wpisali się w bogatą historię szkoły, którą będą tworzyć kolejne roczniki uczniów jeszcze przez bardzo długi czas.

Opracowali: Wiktoria Małkowska, uczennica kl. 1H3 i Michał Wilk, uczeń kl. 1H3

Staffa 111, 2012 r.
Archiwum szkoły

Kalendarium

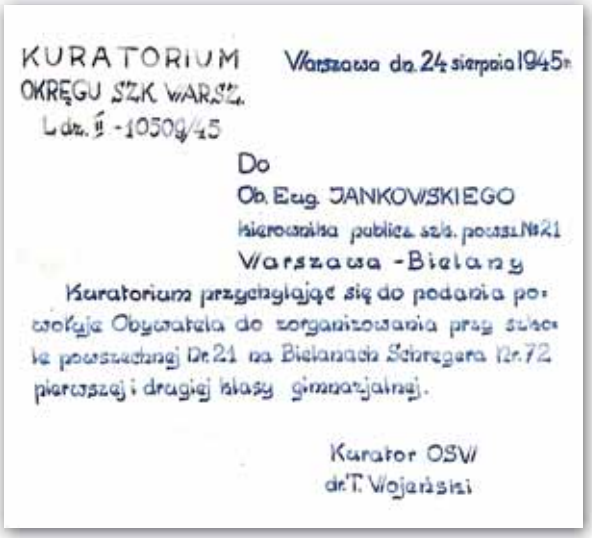

KURATORIUM OKRĘGU SZK. WARSZ.
L dz. I -1050/45

Warszawa dn. 24 sierpnia 1945 r.

Do
Ob. Eug. JANKOWSKIEGO
kierownika publicz. szk. powsz. Nr 21
Warszawa - Bielany

Kuratorium przychylając się do podania postanawia Obywatela do zorganizowania przy szkole powszechnej Nr 21 na Bielanach Schroegera Nr 72 pierwszej i drugiej klasy gimnazjalnej.

Kurator OSW
dr T. Wojeński

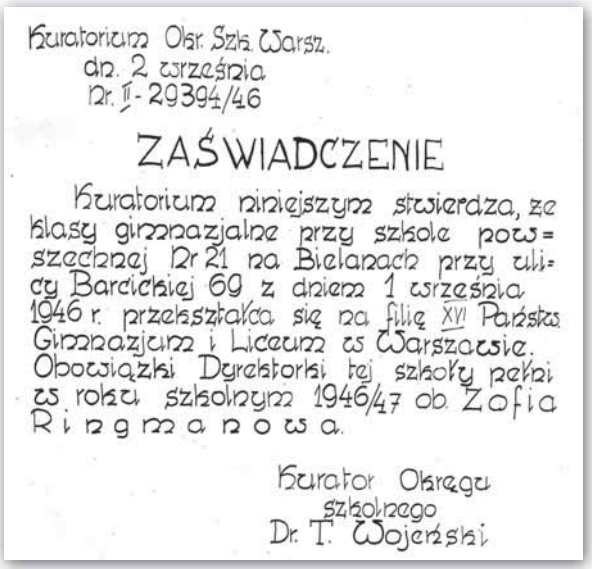

Kuratorium Okr. Szk. Warsz.
dn. 2 września
Nr I - 29394/46

ZAŚWIADCZENIE

Kuratorium niniejszym stwierdza, że klasy gimnazjalne przy szkole powszechnej Nr 21 na Bielanach przy ulicy Barcickiej 69 z dniem 1 września 1946 r. przekształca się na filię XVI Państwowego Gimnazjum i Liceum w Warszawie. Obowiązki Dyrektorki tej szkoły pełni w roku szkolnym 1946/47 ob. Zofia Ringmanowa.

Kurator Okręgu
szkolnego
Dr. T. Wojeński

24.08.1945

- Powołanie klasy pierwszej i drugiej gimnazjalnej przy Szkole Powszechnej nr 21 przy ul. Schroegera 72
- Funkcjonowanie klas gimnazjalnych przy ulicach: Chełmżyńskiej, Barcickiej 69, Barcickiej 71

1945/1946

- Organizatorem i dyrektorem zostaje Eugeniusz Jankowski

1.09.1946

- Przekształcenie klas gimnazjalnych przy Szkole Powszechnej nr 21 w filię XVI Państwowego Gimanzjum i Liceum im. Stefani Sempołowskiej na Żoliborzu

1946–1947

- Dyrektorem zostaje Zofia Ringmanowa

1946/1947

- Przydzielenie szkole budynku przy ul. Barcickiej 2 (budynek wymagał remontu)

2.05.1948

- Przeniesienie szkoły do budynku przy ul. Barcickiej 2

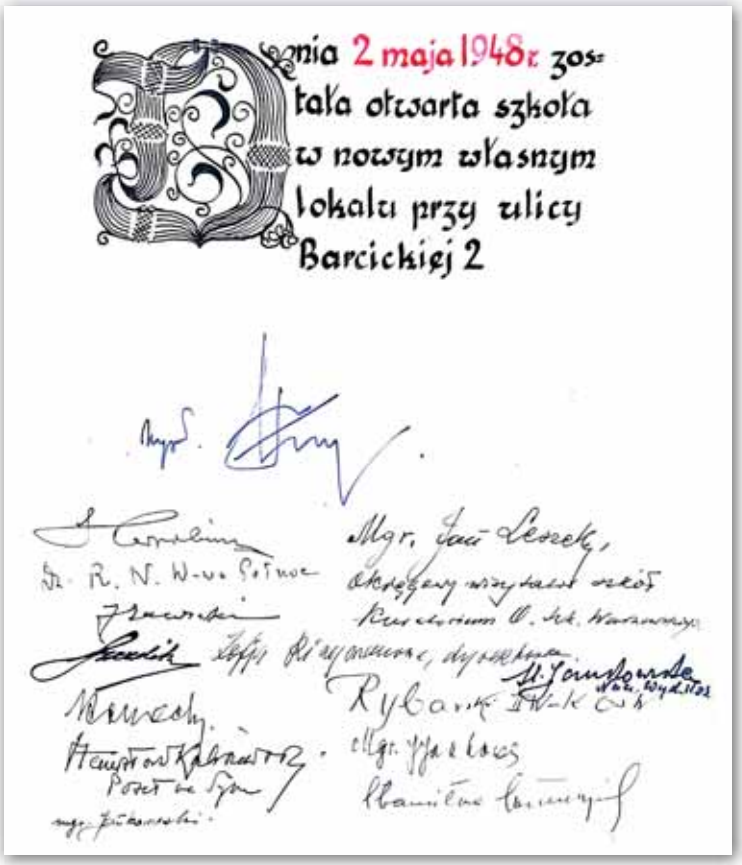

Dnia 2 maja 1948 r. została otwarta szkoła w nowym własnym lokalu przy ulicy Barcickiej 2

Mgr. Jan Leszek,
Okręgowy wizytator szkół
Kuratorium O. Szk. Warszawskiego

Dr. R. N. W-wa Północ

Rybarski

Mgr. Jan Leszek

ZARZĄDZENIE
Ministra Oświaty

z dnia 4 czerwca 1948 r. Nr II Sr. 1938/48 w sprawie utworzenia Państwowego Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnego w Warszawie na Bielanach

Na podstawie art. 1 ustawy z dnia 4 czerwca 1920 r. o tymczasowym ustroju władz szkolnych /Dz. U. R. P. Nr 50, poz. 304/ oraz art. 40 i 59 ustawy z dnia 11 marca 1938 r. o ustroju szkolnictwa /Dz. U. R. P. Nr 38, poz. 389/ zarządzam, co następuje:

§ 1. Tworzy się Państwowe Gimnazjum i Liceum Koedukacyjne w Warszawie na Bielanach

§ 2. Zarządzenie niniejsze wchodzi w życie z ważnością od dnia 1 kwietnia 1948 r.

Minister
/—/ St. Skrzeszewski

Kuratorium
Okręgu Szk. Warsz.
Nr. II - 24577/48

Warszawa dn. 21 lipca 1948 r

Organizacja szkoły ogólnokształcącej w roku szk. 1948/49.

Dyrekcja
Państwowego Gimnazjum
i Liceum
w Warszawie
ul. Barcicka 2

Kuratorium zawiadamia, iż stosownie do decyzji Ministerstwa Oświaty z dnia 12 lipca b.r. Nr II - 3605/48 dotychczasowe Państwowe Gimnazjum i Liceum w Warszawie, ul. Barcicka 2, będzie czynne od 1 września 1948 r jako Państwowa Szkoła Ogólnokształcąca Stopnia Licealnego /klasy: VIII, IX, X, XI/.

w z. Kuratora OSW
Fr. Bielecki: Nacz. wydz.

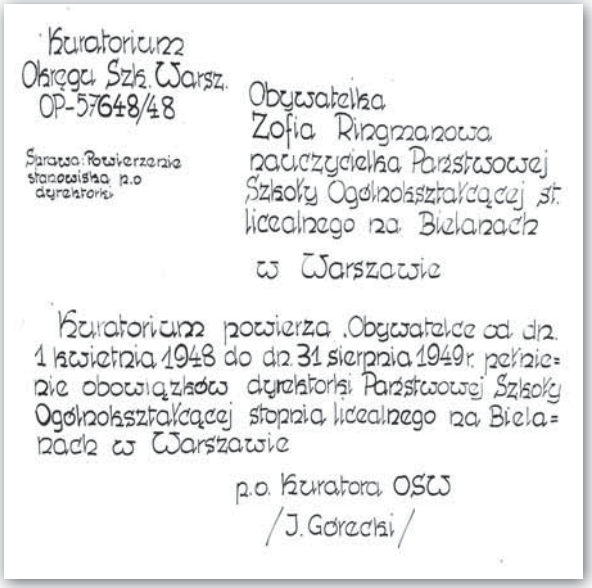

Kuratorium
Okręgu Szk. Warsz.
OP-57648/48

Sprawa: Powierzenie stanowiska p.o dyrektorki

Obywatelka
Zofia Ringmanowa
nauczycielka Państwowej
Szkoły Ogólnokształcącej st.
licealnego na Bielanach
w Warszawie

Kuratorium powierza Obywatelce od dn. 1 kwietnia 1948 do dn. 31 sierpnia 1949 r. pełnienie obowiązków dyrektorki Państwowej Szkoły Ogólnokształcącej stopnia licealnego na Bielanach w Warszawie

p.o. Kuratora OSW
/J. Górecki/

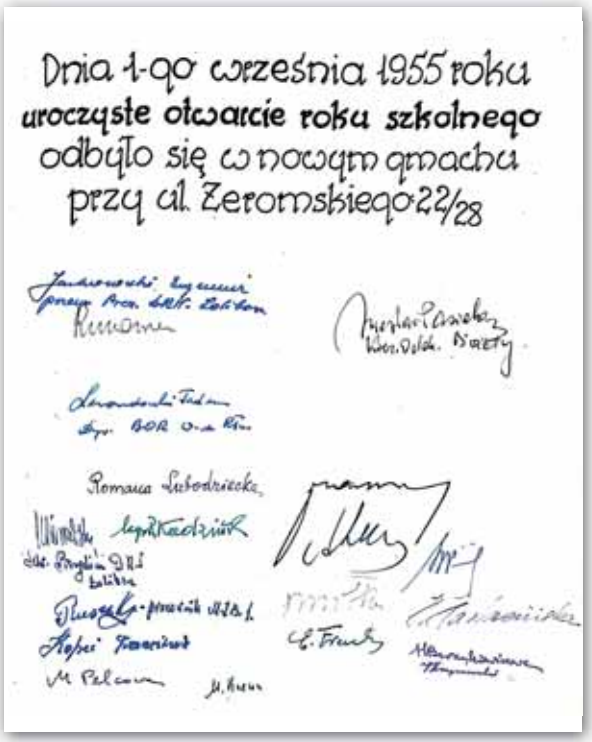

Dnia 1-go września 1955 roku
uroczyste otwarcie roku szkolnego
odbyło się w nowym gmachu
przy ul. Żeromskiego 22/28

4.06.1948
- Przekształcenie filii w Państwowe Gimnazjum i Liceum Koedukacyjne na Bielanach

26.06.1948
- Pierwsza szkolna matura (uczestniczyło w niej 11 uczennic)

21.07.1948
- Zmiana nazwy na Państwowa Szkoła Ogólnokształcąca Stopnia Licealnego na Bielanach

1948/1949
- Dyrektorem zostaje Zofia Ringmanowa

1.09.1955
- Rozpoczęcie roku szkolnego w budynku przy ul. Żeromskiego 22/28

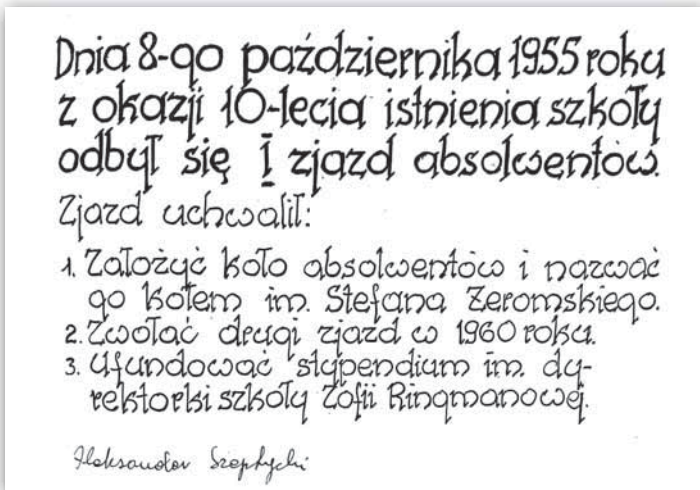

Dnia 8-go października 1955 roku
z okazji 10-lecia istnienia szkoły
odbył się I zjazd absolwentów.
Zjazd uchwalił:
1. Założyć koło absolwentów i nazwać go kołem im. Stefana Żeromskiego.
2. Zwołać drugi zjazd w 1960 roku.
3. Ufundować stypendium im. dyrektorki szkoły Zofii Ringmanowej.

Aleksandrów Szephyki

8.10.1955
- 10-lecie istnienia liceum. I Zjazd absolwentów

1.09.1960
- Zmiana nazwy na Szkoła Podstawowa i Liceum Ogólnokształcące Nr 22 przy ul. Żeromskiego 22/28 (była to szkoła 11-letnia: 7 klas szkoły podstawowej i 4 liceum)

1960/1961
- Dyrektorem zostaje Eugeniusz Pietrzykowski

1960/1961
- Plany nadania szkole imienia Prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego

1.09.1961
- Zmiana nazwy na Liceum Ogólnokształcące Nr 22 im. José Martí przy ul. Żeromskiego 22/28

1961-1964
- Dyrektorem zostaje Eugeniusz Pietrzykowski

27.01.1962
- Odsłonięcie popiersia patrona liceum

1.09.1964
- Ustalenie numeru, nazwy i imienia liceum - XXII Liceum Ogólnokształcące im. José Martí

Ustalenie numeru, nazwy i imienia liceum - XXII Liceum Ogólnokształcące im. José Martí

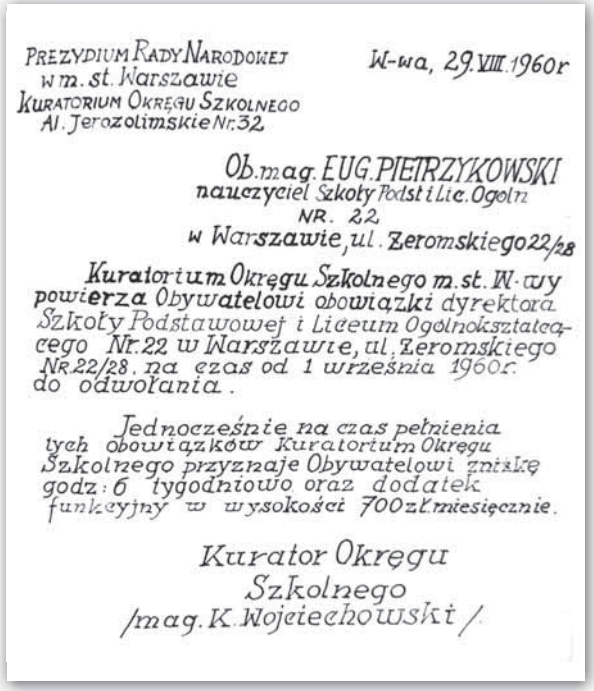

PREZYDIUM RADY NARODOWEJ
w m. st. Warszawie
KURATORIUM OKRĘGU SZKOLNEGO
Al. Jerozolimskie Nr. 32

W-wa, 29. VIII. 1960 r

Ob. mag. EUG. PIETRZYKOWSKI
nauczyciel Szkoły Podst. i Lic. Ogóln
NR. 22
w Warszawie, ul. Żeromskiego 22/28

Kuratorium Okręgu Szkolnego m. st. W-wy powierza Obywatelowi obowiązki dyrektora Szkoły Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącego Nr. 22 w Warszawie, ul. Żeromskiego Nr. 22/28, na czas od 1 września 1960 r. do odwołania.

Jednocześnie na czas pełnienia tych obowiązków Kuratorium Okręgu Szkolnego przyznaje Obywatelowi zniżkę godz: 6 tygodniowo oraz dodatek funkcyjny w wysokości 700 zł. miesięcznie.

Kurator Okręgu
Szkolnego
/mag. K. Wojciechowski/

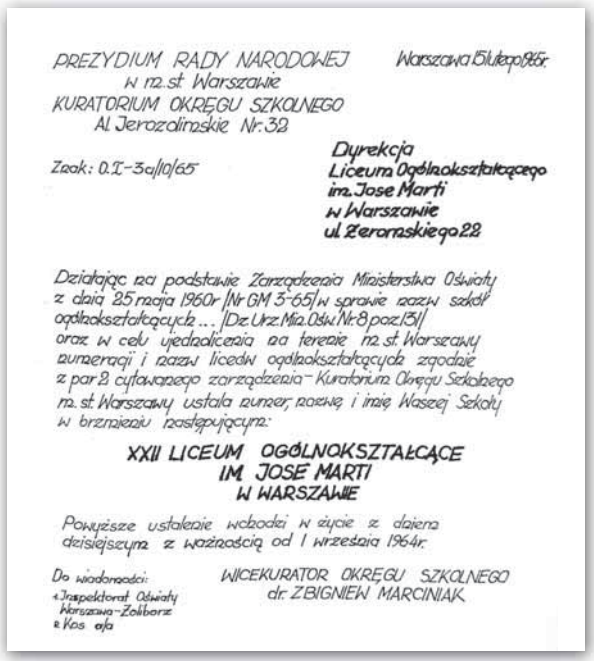

PREZYDIUM RADY NARODOWEJ
w m. st. Warszawie
KURATORIUM OKRĘGU SZKOLNEGO
Al. Jerozolimskie Nr. 32

Warszawa 15 lutego 65 r.

Znak: O.I-3a/10/65

Dyrekcja
Liceum Ogólnokształcącego
im. Jose Marti
w Warszawie
ul. Żeromskiego 22

Działając na podstawie Zarządzenia Ministerstwa Oświaty z dnia 25 maja 1960 r. /Nr GM 3-65/w sprawie nazw szkół ogólnokształcących ... /Dz. Urz. Min. Osw. Nr 8 poz. 131/ oraz w celu ujednolicenia na terenie m. st. Warszawy numeracji i nazw liceów ogólnokształcących zgodnie z par. 2 cytowanego zarządzenia - Kuratorium Okręgu Szkolnego m. st. Warszawy ustala numer, nazwę i imię Waszej Szkoły w brzmieniu następującym:

XXII LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE
IM. JOSÉ MARTI
W WARSZAWIE

Powyższe ustalenie wchodzi w życie z dniem dzisiejszym z ważnością od 1 września 1964 r.

Do wiadomości:
1. Inspektorat Oświaty Warszawa-Żoliborz
2. Kas. a/a

WICEKURATOR OKRĘGU SZKOLNEGO
dr ZBIGNIEW MARCINIAK

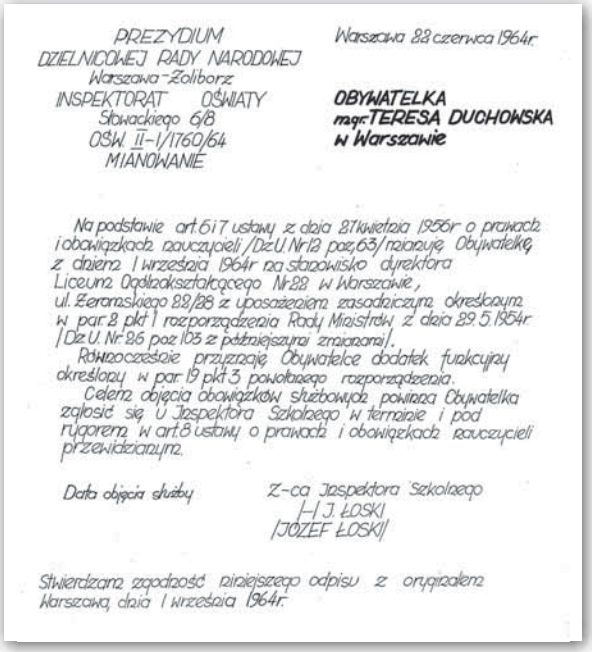

PREZYDIUM
DZIELNICOWEJ RADY NARODOWEJ
Warszawa-Żoliborz
INSPEKTORAT OŚWIATY
Słowackiego 6/8
OŚW. II-1/1760/64
MIANOWANIE

Warszawa 22 czerwca 1964r.

OBYWATELKA
mgr TERESA DUCHOWSKA
w Warszawie

Na podstawie art. 6 i 7 ustawy z dnia 27 kwietnia 1956r o prawach i obowiązkach nauczycieli /Dz.U. Nr 13 poz. 63/ mianuję Obywatelkę z dniem 1 września 1964r na stanowisko dyrektora Liceum Ogólnokształcącego Nr 22 w Warszawie, ul. Żeromskiego 22/28 ze uposażeniem zasadniczym określonym w par. 2 pkt 1 rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 29.5.1954r /Dz.U. Nr 26 poz. 105 z późniejszymi zmianami/.

Równocześnie przyznaję Obywatelce dodatek funkcyjny określony w par. 19 pkt 3 powołanego rozporządzenia.

Celem objęcia obowiązków służbowych powinna Obywatelka zgłosić się u Inspektora Szkolnego w terminie i pod rygorem w art. 8 ustawy o prawach i obowiązkach nauczycieli przewidzianym.

Data objęcia służby

Z-ca Inspektora Szkolnego
/-/ J. ŁOSKI
/JÓZEF ŁOSKI/

Stwierdzam zgodność niniejszego odpisu z oryginałem
Warszawa, dnia 1 września 1964r.

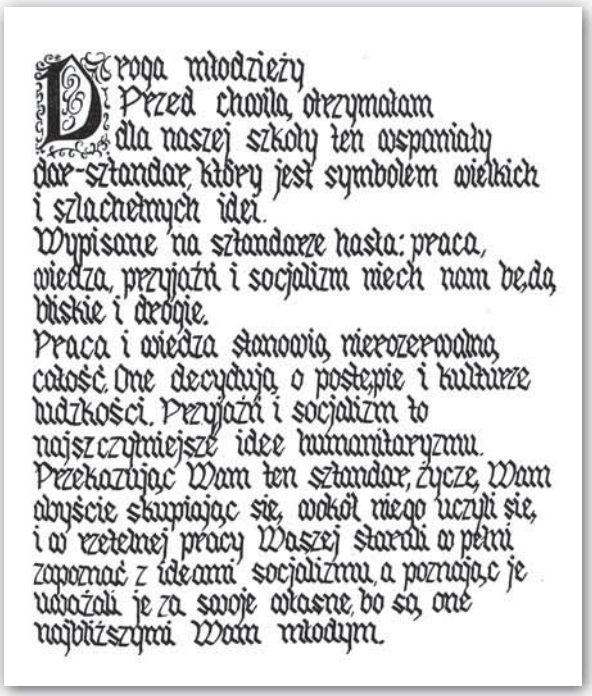

Droga młodzieży
Przed chwilą otrzymałam dla naszej szkoły ten wspaniały dar-sztandar, który jest symbolem wielkich i szlachetnych idei.
Wypisane na sztandarze hasła: praca, wiedza, przyjaźń i socjalizm niech nam będą bliskie i drogie.
Praca i wiedza stanowią nierozerwalną całość. One decydują o postępie i kulturze ludzkości. Przyjaźń i socjalizm to najszczytniejsze idee humanitaryzmu.
Przekazując Wam ten sztandar, życzę, Wam abyście skupiając się wokół niego uczyli się, i w rzetelnej pracy Waszej starali w pełni zapoznać z ideami socjalizmu, a poznając je uważali je za swoje własne, bo są one najbliższymi Wam młodym.

1964-1967

- Dyrektorem zostaje Teresa Duchowska

8.05.1965

- Ufundowanie sztandaru szkoły przez Ambasadę Republiki Kuby z hasłem „Praca - Wiedza - Przyjaźń - Socjalizm”

16.10.1965
- 20-lecie istnienia liceum. II Zjazd absolwentów na AWF

1.09.1967
- Przeniesienie liceum do nowego budynku przy ul. Staffa 111

1967-1985
- Dyrektorem zostaje Wincenty Łaźniczka

1969/1970
- Rozpoczęcie w liceum (jako pierwszym w Warszawie) nauki języka hiszpańskiego

W roku obchodów XX-lecia działalności XXII Liceum Ogólnokształcącego im. José Marti otrzymało świadectwa dojrzałości 93 absolwentów; w roku, który został upamiętniony ufundowaniem sztandaru Szkoły przez Ambasadę Republiki Kuby w Polsce.

Panie Ambasadorze
W imieniu młodzieży, która obecnie uczy się, i tej, która będzie się uczyć w murach naszej szkoły, w imieniu Rady Pedagogicznej i Komitetu Rodzicielskiego i własnym serdecznie dziękuję za wspaniały sztandar, który nam przekazujecie jako symbol gorącej i bezinteresownej przyjaźni bohaterskich narodów - kubańskiego i polskiego, tak odległych - a tak bliskich sobie ideowo. Narodów, które urzeczywistniają najwspanialsze idee wyrażone w hasłach wypisanych na tym sztandarze.

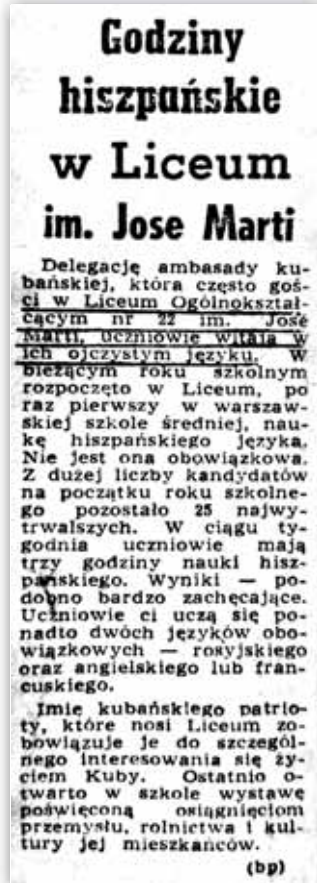

Godziny hiszpańskie w Liceum im. Jose Marti

Delegację ambasady kubańskiej, która często gości w Liceum Ogólnokształcącym nr 22 im. José Marti, uczniowie witają w ich ojczystym języku. W bieżącym roku szkolnym rozpoczęto w Liceum, po raz pierwszy w warszawskiej szkole średniej, naukę hiszpańskiego języka. Nie jest ona obowiązkowa. Z dużej liczby kandydatów na początku roku szkolnego pozostało 25 najwytrwalszych. W ciągu tygodnia uczniowie mają trzy godziny nauki hiszpańskiego. Wyniki — podobno bardzo zachęcające. Uczniowie ci uczą się ponadto dwóch języków obowiązkowych — rosyjskiego oraz angielskiego lub francuskiego.

Imię kubańskiego patrioty, które nosi Liceum zobowiązuje je do szczególnego interesowania się życiem Kuby. Ostatnio otwarto w szkole wystawę poświęconą osiągnięciom przemysłu, rolnictwa i kultury jej mieszkańców.

(bp)

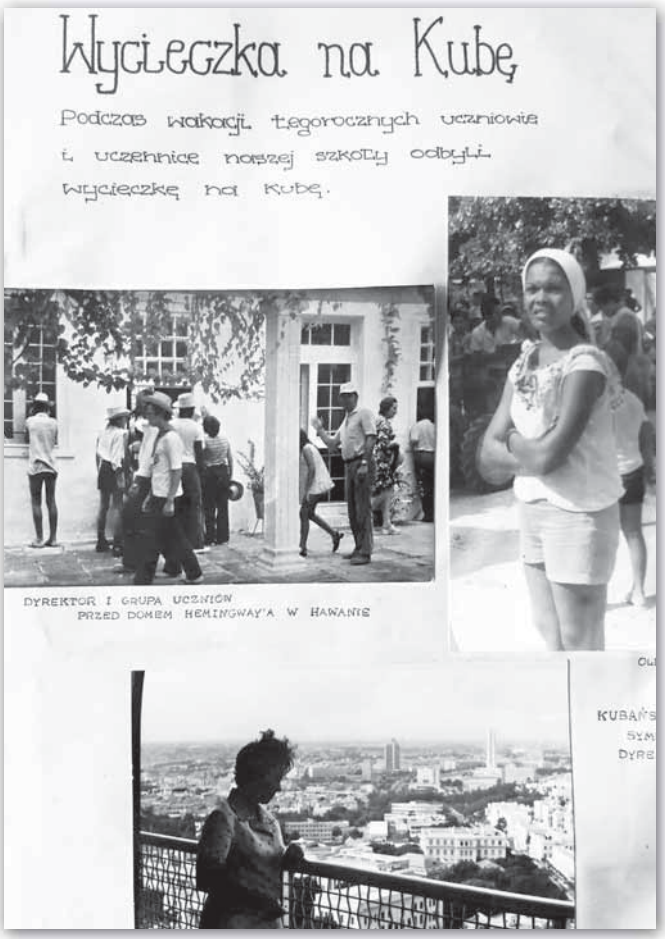

1970
- 25-lecie istnienia liceum (obchodzone w Dniu Nauczyciela)

wakacje 1973
- Pierwszy wyjazd uczniów na Kubę (kolejny 1974)

1975
- Odznaczenie liceum Medalem Edukacji Narodowej

1.07.1985
- Powołanie w 40. rocznicę istnienia liceum stowarzyszenia absolwentów – Koła Koleżeńskiego im. Zofii Ringmanowej byłych Wychowanków, Absolwentów i Przyjaciół XXII Liceum na Bielanach

1985
- Ufundowanie tablicy pamiątkowej w hallu szkoły poświęconej długoletniej dyrektorce – Zofii Ringmanowej

1985-1991
- Dyrektorem zostaje Bogdan Sekinda

1991-2003
- Dyrektorem zostaje Waldemar Pacholec

14.10.1995
- 50-lecie istnienia liceum. Zjazd absolwentów

1998
- Ufundowanie nowego sztandaru liceum „Przyjaźń - Nauka - Rozwój”

2004
- Dyrektorem zostaje Renata Janowska

2004-
- Dyrektorem zostaje Zbigniew Ślęzakowski

2004/2005
- Powstanie Sekcji Dwujęzycznej w liceum

2004/2005
- Przekształcenie szkoły w 3-letnie liceum

2005
- 60-lecie istnienia liceum. Zjazd absolwentów

2007
- Zmiana nazwy liceum na XXII Liceum Ogólnokształcące z Oddziałami Dwujęzycznymi im. José Martí

2009/2010
- Remont generalny budynku liceum

15.10.2010
- 65-lecie istnienia liceum. Zjazd absolwentów

2015
- 70-lecie liceum. Zjazd absolwentów

2019/2020
- Przekształcenie szkoły w 4-letnie liceum 2020

2020/2021
- **75-lecie liceum. Zjazd absolwentów**

Opracowała: Anna Koc

DWA JUBILEUSZE

„Na jubileusz niekoniecznie trzeba zasłużyć, wystarczy tylko poczekać”.

W tym roku obchodzimy aż dwa jubileusze: brylantowy, czyli 75 lat istnienia naszego liceum i 35 lat Stowarzyszenia im. Zofii Ringmanowej - Koła Koleżeńskiego Byłych Wychowanków, Absolwentów i Przyjaciół Liceum XXII na Bielanach, dziś noszącego imię José Martí.

Nie czekaliśmy na ten jubileusz z założonymi rękami, był to czas wypełniony pracą. Tak jak wypełniony pracą był czas istnienia naszej szkoły. Pracą na rzecz kształcenia i wychowywania młodego pokolenia bielańczyków. Największe zasługi mają tu oczywiście nasi wychowawcy - nauczyciele, którym zawdzięczamy tak wiele...

Dziś nikt nie wyobraża sobie, że można powołać do istnienia szkołę bez stałej lokalizacji, sal lekcyjnych, a tak właśnie zaczęła się nasza historia - 24 sierpnia 1945 roku. Pierwsze zajęcia organizowane były w mieszkaniach i biurach różnych organizacji społecznych. Dopiero w maju 1948 roku szkoła znalazła swoją stałą siedzibę w adaptowanym, częściowo spalonym, budynku mieszkalnym przy ulicy Barcickiej 2. Tak niezwykłe okoliczności powstania szkoły z pewnością musiały na stałe zapisać się w pamięci jej pierwszych uczniów. Trudne początki „kochanej budy” przypominaliśmy sobie szczegółowo powołując do życia nasze Stowarzyszenie. Jego zasług nie da się oczywiście porównać do zasług szkoły. A jednak w pewnym sensie czujemy się reprezentacją 9734 absolwentów i wychowanków tej zasłużonej dla dzielnicy placówki oświatowej.

Historia pierwszych lat życia naszej szkoły na pewno wyróżnia ją spośród innych na Żoliborzu. Inicjatorami jej powstania byli nasi rodzice, chyba pierwsi w Warszawie, a już na pewno na Bielanach, którzy sami organizowali to pierwsze w naszej dzielnicy liceum koedukacyjne. My z kolei jesteśmy pierwszymi, którzy, już po wielu latach istnienia szkoły, podjęli się powołania Stowarzyszenia jej

Świadectwo szkolne
Krystyny Fołtyn z 1947 roku

ŚWIADECTWO
GIMNAZJUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO

Fołtyn Krystyna

Państwowe Gimnazjum

Warszawa dnia 15-VI- 1946.

Nr 8

absolwentów i wychowanków. Szkoda, że na pierwszym zjeździe 8 października 1955 roku, w dziesięciolecie powstania szkoły, tego zobowiązania nie zrealizowali jej pierwsi absolwenci. Powołując Stowarzyszenie kierowaliśmy się przede wszystkim wielkim sentymentem do naszej młodzieńczej przeszłości oraz faktem, że nawiązane w niej przyjaźnie przetrwały próbę czasu i wciąż mamy ze sobą kontakt. To przecież na Barcickiej 2 tworzyła się nasza lokalna społeczność. W jej skład wchodzili jakże szanowani przez nas wychowawcy, nauczyciele, ale także koleżanki i koledzy, z którymi pozostawaliśmy i pozostajemy do dziś w wielkiej przyjaźni. Zdarzało się także coś więcej niż przyjaźnie, co zostało przypieczętowane w aktach stanu cywilnego…

Trzydzieści lat później – 11 lipca 1985 roku zostało powołane nasze Stowarzyszenie. Zarejestrowaliśmy je w mieście stołecznym Warszawie pod numerem 25., obecnie ma numer 402.

Patronką naszego Stowarzyszenia jest Zofia Ringmanowa, osoba, której nasze liceum tak wiele zawdzięcza. Pani Profesor kierowała szkołą od 1946 do 1960 roku, czyli w czasach, gdy liceum mieściło się jeszcze w budynku mieszkalnym na Barcickiej i gdy przeniesiono je do nowej, specjalnie dla nas wybudowanej siedziby przy Żeromskiego 22.

Dziś nasze liceum mieści się w budynku przy ulicy Staffa 111 - zaprojektowanym przez sławnych bielańskich architektów - Marię i Kazimierza Piechotków. Pierwotnie budynek był przeznaczony dla ośmioklasowej szkoły podstawowej. Szkołę przedzielono łącznikiem, ponieważ w jednej części miały uczyć się klasy 1–4, a w drugim 5–8. Ostateczna zmiana przeznaczenia budynku na liceum wynikała z bardzo prozaicznego powodu. Ulica Żeromskiego była już w tamtych czasach bardzo ruchliwa i pozbawiona sygnalizacji świetlnej. Wobec protestów wielu rodziców obawiających się o bezpieczeństwo małych dzieci władze dzielnicy podjęły decyzje o umieszczeniu w budynku liceum. Jako ciekawostkę dodam, że szkoła została wybudowana przez Przedsiębiorstwo Budownictwa Uprzemysłowionego Warszawa Północ, w którym przez wiele lat pracowałem. Realizowaliśmy wówczas architektoniczny i urbanistyczny plan budowy naszej dzielnicy, w tym wielu osiedli i szkół.

Każde początki są trudne i takie też były początki naszego liceum. Po tragedii II wojny światowej wszystko trzeba było tworzyć od zera, dotyczyło to także oświaty w Warszawie. Pamiętaliśmy ile trudu i zaangażowania w powstanie szkoły wnieśli nasi rodzice i nauczyciele i dlatego postanowiliśmy powołać do życia Stowarzyszenie absolwentów „kochanej naszej budy". Było to możliwe dzięki naszym utrzymującym się koleżeńskim kontaktom. Z każdym rokiem przedsięwzięcie to staje się jednak coraz większym wyzwaniem, bo możliwości są coraz skromniejsze, również te finansowe. Pracę naszą wykonujemy społecznie, a roczna składka na rzecz Stowarzyszenia wynosi 10 zł. Aktualnie liczy ono około 150 członków, głównie z roczników 1950/60, co przy prawie 10 tysiącach absolwentów jest ilością... znikomą. Praca społeczna jest dziś uważana za zajęcie niepotrzebne i nie znajdujące uznania. To jeden z powodów, dla których chcemy się już pożegnać z naszym Stowarzyszeniem. Poza tym uważamy, że należy się nam odpoczynek, ponieważ większość naszego

Uroczystości 50-lecia, odsłonięcie kamienia pamiątkowego

Wystawa fotograficzna na ulicy Żeromskiego 22 z okazji 65-lecia

Fragment wystawy fotograficznej z okazji 65-lecia

grona to osoby 70 i 80-letnie... Trudno się będzie rozstać, ale niestety taka jest kolej rzeczy.

Mamy jednak wielką nadzieję, że znajdą się następcy, którzy przejmą nasze obowiązki w tym wzniosłym dziele, aby utrzymać tradycję i realizować najważniejsze cele organizacji. Należą do nich:

- utrzymywanie kontaktów koleżeńskich pomiędzy byłymi i obecnymi uczniami naszej szkoły
- utrzymywanie więzi z naszymi nauczycielami i wychowawcami
- kultywowanie tradycji naszego liceum we współpracy ze szkołą
- organizowanie spotkań okolicznościowych i rocznicowych
- organizowanie spotkań absolwentów z obecnymi uczniami szkoły

Dyrektor Z. Ślęzakowski ze zdjęciem założycieli szkoły ufundowanym przez Stowarzyszenie w roku 2008

Wystawa w holu liceum poświęcona 50-leciu

Spotkanie z profesorami na Starym Mieście w Warszawie, lata 60.

Przyjęcie z okazji 60-lecia liceum

Organizatorzy obchodów 50-lecia w Ciechu

Wystawa zdjęć
z okazji 50-lecia

– wspomaganie, w miarę możliwości, potrzeb szkoły
– obejmowanie opieką i pomocą nauczycieli i wychowanków znajdujących się w trudnej sytuacji życiowej
– udział w pożegnaniach naszych profesorów i absolwentów
– pamięć i dbanie o miejsca ich wiecznego spoczynku

Realizujemy te tradycje, czego najlepszym potwierdzeniem są organizowane przez nas różne uroczystości, nie zawsze łatwe do zrealizowania. Aby ułatwić sobie ten zapis monograficzny, dużą część wykowanej przez nas pracy pragnę zilustrować dokumentacją fotograficzną. Część tych dokonań przedstawiliśmy już w monografii szkolnej wydanej przez Stowarzyszenie w roku 2005 z okazji 60-lecia.

Obecnie wszystkie te cele realizujemy dzięki zaangażowaniu i poświęceniu 15-osobowego zarządu i komisji rewizyjnej naszego Stowarzyszenia. Byliśmy obecni, jako inicjatorzy i organizatorzy, przy wydarzeniach rocznicowych związanych z naszą historią: 40, 50 i 60-leciu powstania naszego liceum. Oczywiście naszą powinnością jest udział nie tylko w okrągłych rocznicach. Wciąż z wdzięcznością pamiętamy o naszych profesorach i wychowawcach, którym my i nasza szkoła tak wiele zawdzięczamy. Teraz wiemy, w jakim stopniu nas ukształtowali, choć w młodości czasem nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy... Pamiętamy o tych, którzy już odeszli i o miejscach ich spoczynku. Pamiętamy oczywiście

Odsłonięcie tablicy pamiątkowej na pierwszym budynku szkoły przy ulicy Barcickiej 2

o tych, którzy są wśród nas, pomagamy naszym bardzo już sędziwym nauczycielom, ale także koleżankom i kolegom. Zapraszamy do siebie na wspominkowe spotkania, odwiedzamy, jeśli nie są już w stanie samodzielnie się poruszać. Często też zapraszamy ich do siebie na spotkania, już teraz koleżeńskie, jako starszych kolegów. Staramy się także utrwalać historię naszej zasłużonej szkoły, kiedy wymagają tego okoliczności, np. rocznicowe. Jako Stowarzyszenie byliśmy pomysłodawcami i fundatorami następujących przedsięwzięć:

- wmurowanie tablicy pamiątkowej poświęconej dyrektor Zofii Ringmanowej (w budynku przy ul. Staffa 111)
- ustawienie kamienia pamiątkowego z tablicą z okazji 50-lecia szkoły (przed budynkiem szkoły przy ul. Staffa 111)
- umieszczenie tablicy pamiątkowej z okazji 60-lecia (na budynku pierwszej siedziby naszego liceum przy ul. Barcickiej 2)

Tabliczka pamiątkowa dla dyrektor Z. Ringmanowej

Tablica pamiątkowa ufundowana przez Stowarzyszenie na budynku przy ul. Barcickiej 2

Odsłonięcie tablicy pamiątkowej na pierwszym budynku szkoły przy ulicy Barcickiej 2

Uroczystości związane z rewitalizacją pomnika prof. Z. Ringmanowej na Starych Powązkach

Pomnik po rewitalizacji

Uczestnicy uroczystości – absolwenci

Poczty sztandarowe z liceów: LO im. Sempołowskiej i LO im. José Martí podczas uroczystości odsłonięcia nowego pomnika

- zrealizowanie filmu ilustrującego 60-letni dorobek naszej historii
- rewitalizacja nagrobka dyrektor Zofii Ringmanowej na Starych Powązkach
- organizacja obchodów trzech rocznic: 40, 50 i 60-lecia szkoły, zarówno w szkole, jak i poza jej murami (np. w AWFie, w Domu Nauczyciela i w Ciech-u)
- obchody pięćdziesięciolecia matury rocznika 1954 w Akademii Wychowania Fizycznego
- spotkania świąteczne i noworoczne z potańcówkami.

Zaproszenia na jubileusze szkoły

Uroczystości 50-lecia w Ciechu

Do tradycji należą spotkania przy ognisku w Puszczy Kampinoskiej zarówno wiosną, jak i jesienią.

Organizowaliśmy także dla naszych absolwentów rajdy rowerowe i piesze wycieczki do Kampinosu.

Stowarzyszenie organizuje również porządkowanie grobów założycieli naszej szkoły, składa okolicznościowe wieńce i zapala znicze.

Ognisko w Kampinosie, 1991 r.

Ognisko w Kampinosie, 1996 r.

Rajd rowerowy, 2001 r.

Wycieczka piesza do puszczy, 2002 r.

Krótko mówiąc staramy się być wszędzie tam, gdzie dzieją się ważne dla naszej szkoły wydarzenia i pamiętać o dawnych przyjaźniach oraz o osobach zasłużonych dla „kochanej naszej budy".

Nasza szkoła w latach 1945–1955, kiedy jeszcze nie dysponowała salą gimnastyczną oraz boiskiem, korzystała (dzięki naszym wuefistom, profesorom: Jadwidze Morycowej i szczególnie Janowi Lechowskiemu) z boisk,

Pod krzyżem koło Wiersz

Przy mogile powstańców z 1863 r.

Górki, po pożarze Świątyni w Kampinosie

Na cmentarzu Żołnierzy Września 39

Muzeum w Granicy

Wycieczka piesza
do Kampinowskiego
Parku Narodowego

sal gimnastycznych i pływalni AWF. Dzięki naszym przyjaźniom tam także organizowane były obchody 20, a także 40-lecia powstania szkoły. Również maturzyści z 1954 roku wyznaczyli tam sobie spotkania na 50 lecie egzaminu dojrzałości.

Lata mijały, a my znaleźliśmy gościnę w nowej siedzibie Ciechu przy ul. Powązkowskiej 46. Tam obchodziliśmy hucznie 50 i 60-lecie naszego liceum oraz 90-te urodziny naszego polonisty, prof. Romana Kadzińskiego.

Zawsze w wesołej atmosferze bawiliśmy się wspominając naszą młodość.

Pragniemy, aby te kontakty i tradycja trwały i były rozwijane przez naszych następców. Uważamy, że historię naszego liceum należy tworzyć tak, aby współczesność łączyła się z przeszłością, a zasługi i pamięć były równo podzielone między obecnych absolwentów, i tych, którzy odeszli i zapisali piękną kartę w historii szkoły. Szczególnie staramy się okazywać tę wdzięczność naszym wychowawcom i założycielom liceum. Dowodem na to są m.in. trzy tablice pamiątkowe wmurowane w miejscach o szczególnym historycznym znaczeniu oraz płyta nagrobna na Powązkach poświęcona Zofii Ringmanowej. Od 1945 roku wraz z Eugeniuszem Jankowskim zajmowała się ona organizacją szkoły, a w latach 1946–1960 była jej dyrektorką.

Jubileusz 90-lecia profesora Romana Kadzińskiego

Stowarzyszenie angażowało się w przygotowywania i organizację zjazdów jubileuszowych w czasach, gdy nie było jeszcze telefonów komórkowych, internetu i wszystko organizowaliśmy tradycyjnymi metodami, co wymagało naprawdę dużo czasu i wysiłku. W obchodach 40 i 50 i 60-lecia szkoły uczestniczyło odpowiednio: 300, prawie 600 i 350 osób. To Stowarzyszenie zapewniło

obsługę gastronomiczną tych spotkań oraz zorganizowało zabawę taneczną i ogniska w Puszczy Kampinoskiej. Odbywały się także spotkania rocznikowe w szkole, a dyrekcja oraz nasi następcy prezentowali absolwentom piękne przedstawienia, m.in. o tym „jak to drzewiej w szkołach bywało". Historię naszą zapisaliśmy nie tylko na kamiennych tablicach pamiątkowych, ale przede wszystkim w naszej życzliwej pamięci o dorobku i zasługach naszych nauczycieli. Tych, którzy przekazywali nam swoją wiedzę i wręczali świadectwa dojrzałości. Dorobek ten jest naprawdę wielki, bo nasze liceum przygotowało do dorosłego życia prawie 9400. absolwentów i ponad 11 tysięcy wychowanków. To prawie dwukrotność liczby mieszkańców Bielan z czasów przed II wojną światową...

Pierwszymi absolwentkami naszej szkoły w 1948 roku było jedenaście dziewcząt, z których obecnie żyją jeszcze trzy.

Wprawdzie, jak pisała nasza noblistka Wisława Szymborska „nic dwa razy się nie zdarza", a jednak historia się powtórzyła. W 1985 maturę w naszym liceum zdawała druga w jego historii żeńska klasa (humanistyczna 4E)

Niestety pewnych prezentacji dziś już robić nie można, ponieważ zmieniły się przepisy. Pamiętam jak w czasie jubileuszy lat ubiegłych największym zainteresowaniem uczestników cieszyły się ostatnie strony monografii szkolnych. Wszyscy szukali się na listach absolwentów, aby potwierdzić, że to jednak jest prawda z tą zdaną maturą. Przypominam sobie np. jak na zjeździe absolwentów w 2005 roku mój starszy kolega, absolwent z 1949 roku – Andrzej Kizeweter nie znalazł się na liście. Oświadczył mi wówczas uroczyście, że po trzydniowej imprezie, na którą przyjechał do Warszawy i wobec braku „poświadczenia" w szkolnej monografii, nie ma alibi dla żony i nie ma po co wracać do domu...

W tej sytuacji ostatnią maturzystką, z 2005 roku, której dane mogliśmy ujawnić w monografii szkolnej z okazji 60-lecia liceum była Sylwia Wójcik (nr świadectwa 6557). Przepisy związane z RODO nie pozwoliły na upublicznienie nazwisk pozostałych 2817 absolwentów z lat 2006–2019.

Pielęgnując tę brylantową historię chcemy utrzymać więzi koleżeńskie i budować autorytet naszej szkoły nie tylko wśród wychowanków. Ta nasza społeczność to ponad 7% ludzi zamieszkujących naszą małą ojczyznę – Bielany.

Potwierdzeniem przywiązania do tego miejsca i dowodem ciągłości historii jest fakt, że wśród absolwentów mamy osoby, które wywodzą się z trzeciego, a nawet czwartego pokolenia bielańczyków.

Dlatego tak ważne jest, naszym zdaniem, kontynuowanie i utrwalanie tradycji szkolnych. Notujemy wprawdzie pewne zainteresowanie imprezami okolicznościowymi (np. noworocznymi), ale nasze zachęty, aby młodzi z większym zaangażowaniem włączyli się do pracy w Stowarzyszeniu, pozostają bez odzewu. Czujemy się naprawdę blisko związani z naszą „kochaną budą", ale coraz częściej nachodzą nas smutne refleksje, że to, co było, tak szybko przemija, a „włos siwy przyprósza skronie". Właśnie tak głoszą słowa naszej piosenki, właściwie szkolnego hymnu, autorstwa Jurka Flisaka. Warto w tym miejscu przytoczyć jej fragment:

A kiedy wiekiem sterani
włos siwy przyprószy skronie
znajdziemy się znowu myślami
w tym naszym szkolnym gronie.
Każdy pomyśli na pewno
jak krótkie były te chwile,
zanuci piosenkę tę rzewną
i będzie wspominał mile...

Polecamy się pamięci naszych młodszych kolegów – absolwentów i wychowanków, aby i oni tak mile wspominali naszą historię i doprowadzili ją przynajmniej do 100 lat istnienia naszej kochanej budy.

Prosimy Was, starajcie się utrwalać te wspólne tradycje już przez nas zapisane w monografiach wydanych z okazji 40, 50 i 60 i 65-lecia oraz w filmie o szkole utrwalonym na starych taśmach VHS (warto by je przegrać na współczesne nośniki, póki jeszcze da się to zrobić) oraz na fotografiach.

Adrian Gawerski
w towarzystwie
Anny Koc i Karoliny Rudzik,
styczeń 2020 r.
Archiwum szkoły

Koniecznie wzbogaćcie te nasze wspomnienia! Naprawdę warto!

Wszystko, co zrobiliśmy, wzbogaciło przecież także pamięć o pięknej historii starych i współczesnych Bielan. Przypominajmy także i ją.

Nasza brylantowa staruszka – jubilatka ma 75 lat, ale przecież my jesteśmy od niej starsi i dlatego prosimy o wsparcie i kontynuację naszych działań. Trzeba, aby nadal działało nasze Stowarzyszenie popularyzujące historię i osiągnięcia naszej budy. Ale to już nie zależy od nas – staruszków...

Wszystko, co robiliśmy, miało właśnie taki cel i była to praca społeczna wąskiej grupy entuzjastów, którzy wreszcie uznali, że po 35 latach pracy czas się wycofać. Dlatego też korzystając z okazji obchodów 75-lecia liceum, w którym od tak dawna istnieliśmy, pragnę przekazać wyrazy uznania i podziękowania dla tych jakże niewielu, którzy tak dużo zrobili na rzecz swojej starej szkoły. Niech te rocznicowe brylanty posypią się na nasze siwe głowy...

Wszystkim, którzy zachowają we wdzięcznej pamięci szkołę, ten „nasz drugi dom", serdecznie dziękujemy za współpracę i prosimy: pójdźcie w nasze ślady, poprowadźcie dalej tę wyjątkową pracę społeczną.

Wyrazy uznania składam dziś szczególnie członkom Zarządu naszego Stowarzyszenia i Komisji Rewizyjnej: Teresie Dławichowskiej, Barbarze Ciecierskiej, Barbarze Zwolińskiej, Teresie Polniak, Danucie Kuczyńskiej, Ewie Henikowskiej, Melanii Midak, Barbarze Mazurkiewicz, Tadeuszowi Paradowskiemu i Zbigniewowi Złotnickiemu.

Wspomagali nas i byli z nami: Liliana Otto, Barbara Pszczółkowska, Stanisława Fabiańska, Wiesława Struska, Andrzej Baranowski, Jacek Maślan-

kiewicz, Maciej Jagodziński, Jerzy Supel, Zbigniew Ambrożewski, Stanisław Dobrzelewski.

Nie ma już wśród nas, ale pozostali w naszej wdzięcznej pamięci: Teresa Korab, Andrzej Chruszczyński, Wojciech Leciejewski, Wiesław Smolaga, Iwona Staniszewska, Artur Słomiński, Andrzej Stępniewski, Jerzy Wolak i Janina Chabowska.

Dzięki Wam zrobiliśmy tyle… aż tyle i oczekujemy na więcej od tych, którzy przyjdą po nas, aby nas zastąpić.

Przewodniczący Stowarzyszenia Adrian Gawerski
Bielany, w czasach pandemii 2020 roku

Zdjęcia: archiwum Adriana Gawerskiego

WSPOMNIEŃ CZAR

Lidia Wytrykowska-Kobyłecka – (pierwsza) absolwentka z 1948 r.

26.06.1948 r. odbyło się wręczenie pierwszych świadectw maturalnych w XXII LO. Jak Pani wspomina maturę?

Nasza klasa liczyła 11 dziewczyn i wszystkie byłyśmy bardzo przejęte. Maturę pisałyśmy na pierwszym piętrze na Barcickiej, róg Podczaszyńskiego. Miałyśmy wsparcie naszych kolegów, którzy stali pod domem i machali nam. To byli starsi koledzy, którzy już wrócili z wojny i z obozów, część z nich brała udział w Powstaniu Warszawskim. Ich obecność wiele dla nas znaczyła. Dużo się uczyłyśmy i dobrze się przygotowałyśmy do tego egzaminu, pomimo że czasem trudno było dostać jakieś książki do nauki. Dzięki wspaniałym nauczycielom udało się przygotować do tego egzaminu. Później wszystkie dostałyśmy się na wyższe uczelnie. Ja dostałam się na chemię na Politechnikę Warszawską. Przedmioty przyrodnicze były na bardzo wysokim poziomie w liceum na Barcickiej.

A czy miałyście studniówkę?

Tak, studniówka musiała być obowiązkowo! Najpierw była mała uroczystość w szkolnej sali, a potem zorganizowałyśmy sobie prywatną studniówkę. Zaprosiłyśmy kolegów, tych co stali pod oknami na naszej maturze.

Tańczyłyście Poloneza?

Niestety nie. To był początek dopiero… i nie było takiej tradycji.

„Organizowaliśmy szkolnictwo nasze w warunkach ciężkich – bez opału, bez szyb, często z dziurami na wylot w ścianach…”* – tak wspominała powstanie szkoły pani prof. Zofia Ringmanowa. Jak pamięta Pani początki szkoły na Barcickiej?

Nie jestem pewna, ale na Barcickiej był kiedyś jakiś urząd, którego pomieszczenia nam odstąpili. Szkole udostępniono też mieszkania prywatne do przeprowadzania zajęć – i to w różnych miejscach na Bielanach.

* „35 lat działalności XXII Liceum Ogólnokształcącego na Bielanach imienia José Martí”, str. 9.

Nie siedziałyśmy w ławkach, tylko wszystkie przy jednym stole, w jednym pokoju. Było trudno, ale byłyśmy już przyzwyczajone do pokonywania trudności. Ta wojna i Powstanie dały nam dużo wspólnoty i nauczyciele to dostrzegali.

„Mała, drobna, pomarszczona, miała ksywkę Cytryna i była otoczona powszechnym szacunkiem (...)"*. A jak Pani wspomina panią prof. Zofię Ringmanową?

To był anioł. Bardzo ją lubiłyśmy. Ona rozumiała, że jak wojna się kończyła, miałyśmy po 15 lat, więc nie miałyśmy łatwego dzieciństwa i okresu dorastania. Kiedyś zrobiłam nawet taki „wyskok polityczny". Pewnego dnia przyszły do nas do klasy osoby ze Związku Młodzieży Wiejskiej. Cztery moje koleżanki zapisały się do nich. Gdy zobaczyłam je w czerwonych czapkach i chustach na szyi, to zaczęłam im to zrywać. Zrobiła się afera w szkole i to przed samą maturą.

* „Jacek", Anna Bikont, Helena Łuczywo, wyd. Agora, str. 110.

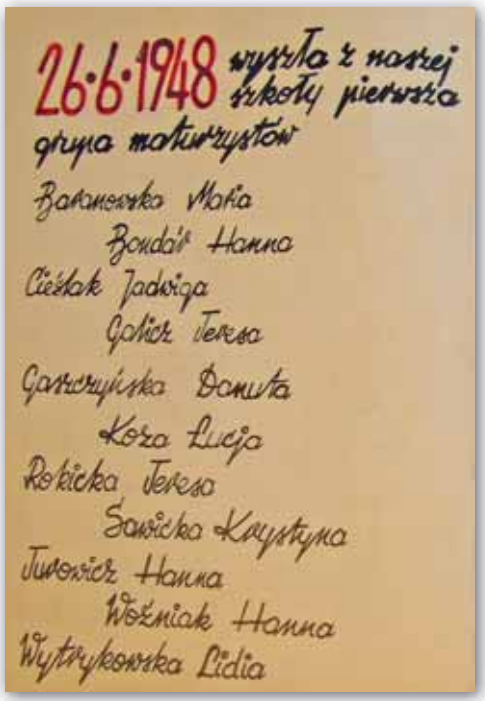
26·6·1948 wyszła z naszej szkoły pierwsza grupa maturzystów

Baranowska Maria
Bondár Hanna
Cieślak Jadwiga
Golik Teresa
Gostczyńska Danuta
Koza Lucja
Rokicka Teresa
Sawicka Krystyna
Turowicz Hanna
Woźniak Hanna
Wytrykowska Lidia

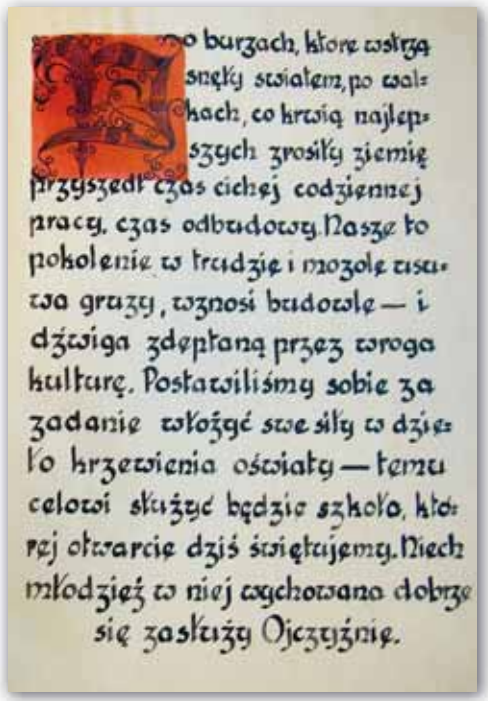
po burzach, które wstrząsnęły światem, po walkach, co krwią najlepszych zrosiły ziemię przyszedł czas cichej codziennej pracy, czas odbudowy. Nasze to pokolenie w trudzie i mozole tysiąca gruzy, wznosi budowle — i dźwiga zdeptaną przez wroga kulturę. Postawiliśmy sobie za zadanie włożyć swe siły w dzieło krzewienia oświaty — temu celowi służyć będzie szkoła, której otwarcie dziś świętujemy. Niech młodzież w niej wychowana dobrze się zasłuży Ojczyźnie.

Pierwsze strony pierwszej kroniki szkolnej – „Złotej Księgi"

Musiałam mamę sprowadzić. Pani dyrektor Ringmanowa powiedziała, że koniecznie muszę zrozumieć, że są inne czasy, i że jeżeli jeszcze raz to powtórzę, to będzie musiała donieść na mnie. Takie były czasy. Uważam, że pani prof. Ringmanowa zachowała się fantastycznie. Miała obowiązek to zgłosić, ale tego nie zrobiła.

Co robiłyście na przerwach?

Przerwa to było wstanie z krzesła i rozmowy o tym, gdzie pójdziemy po szkole, gdzie można rajstopy kupić…

A jakieś spotkania towarzyskie? Jak spędzałyście czas wolny?

Tak, chodziłyśmy do siebie na imieniny. Poza tym ulubione miejsce spotkań było nad Wisłą. Pływaliśmy po Wiśle żaglówką. Pamiętam też, że w kwietniu w Wielkanoc schowałam kostium kąpielowy pod paltem przed mamą i pływałam w Wiśle, od strony kościoła u Kamedułów. Trzeba było uważać, bo można było wpaść do kolektora, który znajdował się przy szosie do kościoła. W zimie biegaliśmy na nartach po Lasku Bielańskim. Kiedyś był taki bieg organizowany przez AWF, w którym uczestniczyłam – to wydarzenie było kręcone przez Kronikę Filmową i można było później obejrzeć to w kinie.

Pani pasją był sport.

Tak, należałam do klubu sportowego „Marymont", później to była „Sparta", w końcu „Spójnia". Grałam w siatkówkę i odnosiłam drobne sukcesy. Na studiach zaczęłam grać profesjonalnie w siatkówkę. Byłam zawodniczką przez 18 lat, dużo wyjeżdżałam za granicę, a granice były wtedy zamknięte – nikt nie mógł wyjeżdżać po wojnie. Później miałam to szczęście, że pracowałam „w sporcie". Właściwie całe życie byłam związana ze sportem.

Ma Pani kontakt z panią Teresą i panią Hanną, z koleżankami z klasy.

Tak, ale w tej chwili mamy kontakt tylko telefoniczny. Miałyśmy jeszcze kontakt z Jurkiem Flisakiem, on skończył szkołę rok później. On też mieszkał na Bielanach. Był bardzo sympatyczny, bardzo aktywny, ożenił się chyba z dziewczyną z naszej szkoły. Jak byłyśmy młode, rozmawiałyśmy o tym, kto wrócił z obozów, a później tylko chodziłyśmy na cmentarz na Powązki…

A jak trafiła Pani na Bielany?

Niemcy wyrzucili nas z naszego domu na Forcie Bema, gdzie pracował mój ojciec. Przeprowadziliśmy się na Pragę, gdzie musieliśmy trzy razy zmieniać mieszkanie. Z Pragi przeniosłam się na Bielany w 1942 roku.

Jakie ma Pani wspomnienia z okresu wojennego?

Pamiętam też, że gdy mieszkaliśmy na Pradze, to chodziłam wtedy do szkoły na ul. Inżynierskiej 10. Co roku z okazji 3 Maja czy 11 listopada z gabinetu dyrektora szkoły, pana Szeląga, wychodził poczet sztandarowy ubrany na biało-czerwono. W czasie wojny to był szok, to było wielkie ryzyko, bo to było zabronione. Do tej szkoły chodziły dzieci urzędników, lekarzy, ale też margines społeczny i nikt nigdy nie wydał tego dyrektora.

Dobrze pamiętam też jedno wydarzenie tuż przed wojną. Z okazji uroczystości 3 maja moja siostra maszerowała w defiladzie, na której było całe nasze przywództwo krajowe – z Edwardem Rydzem-Śmigłym na czele. Dużym przeżyciem dla mnie był też widok maszerujących przed trybuną honorową powstańców z 1863 roku. Pamiętam, że byli ubrani na szaro i salutowali.

A jakie były Bielany i Żoliborz, gdy Pani była uczennicą liceum?

Zanim się przeniosłam do liceum na Barcickiej, chodziłam do liceum im. Sempołowskiej na placu Inwalidów. Czy był mróz czy upał – chodziłyśmy tam z Bielan pieszo. Nie było wtedy żadnej komunikacji. Ale zawsze towarzyszyła nam wtedy piosenka – śpiewałyśmy dużo patriotycznych piosenek, bo tak niedawno zakończyła się wojna i Powstanie Warszawskie, w którym uczestniczyłyśmy, a nasi znajomi to przede wszystkim żołnierze Szarych Szeregów, Batalionu Zośka i Parasol.

Tu, gdzie teraz mieszkam na Bielanach, jest do dzisiaj taka skrytka, w której Szare Szeregi, później Batalion Zośka, chowały minerskie rzeczy. Jak wybuchło Powstanie, to zostały one przetransportowane na Żoliborz. W latach 80. z tej samej skrytki korzystała Solidarność…

Pamiętam jeszcze, że w 1944 r. podczas Powstania razem z około 50. kobietami szłam przez Piaski z białymi chorągiewkami. Szłyśmy po chleb na Powązki. W kościele ksiądz wcześniej ogłosił, że piekarz ma mąkę i wypiecze chleb. Nikt do nas nie strzelał, byłyśmy odważne. Wzięłyśmy ten chleb i rozdałyśmy go później swoim sąsiadom.

Pamiętam też, że podczas Powstania był koszmarny dzień na Bielanach, okropny ostrzał, a my nie mieliśmy broni i byliśmy sami. Tylko słuchaliśmy, czy na Żoliborzu „krowa już ryczy" i później po chwili było słychać bombardowanie. Pamiętam, że na Placu Wilsona, na ul. Słowackiego były same krzyże, bo tam było łatwo chować tych, co polegli.

Niektóre koleżanki nie chciały wspominać wojny, bo nie chciały wracać do tej przeszłości, ale ja chciałam, bo młodzież musi wiedzieć.

Rozmawiała: Karolina Rudzik

Jacek Kuroń – absolwent z 1952 r.

Polityk, jeden z przywódców opozycji w okresie PRL, historyk, działacz tzw. czerwonego harcerstwa, współzałożyciel KOR, dwukrotny minister pracy i polityki socjalnej, w latach 1989–2001 poseł na Sejm X, I, II i III kadencji. Kawaler Orderu Orła Białego.

Fragmenty biografii Jacka Kuronia:
Anna Bikont, Helena Łuczywo „Jacek", wyd. Agora, 2018, Warszawa

„Jacek wspominał liceum na Barcickiej jako najlepszą ze swoich szkół. (...)

Kuroń to był prawdziwy proletariusz: w podartych butach, dziury w łokciach, zawsze bez pieniędzy, nie miał na papierosy, brał od nas, ale jak miał swoje, to zaraz wszystkich częstował. Jak on pięknie mówił o komunizmie! (...) Znał Marksa i Engelsa na pamięć i na przerwach nam recytował. Albo robił nam wykład „Chrystus jako pierwszy komunista".

Były w klasie dwa obozy: Kuroń i my. Kuroń wychodził z religii, chyba nikt poza nim. Bardzo oczytany, zwłaszcza w tej swojej ideologii, pięknie przemawiał na akademiach. (...)

Jacek przyszedł do liceum na Barcickiej w czasie, kiedy system stalinowski ogarnął wszystkie dziedziny życia w Polsce. Rok szkolny 1950/1951 przyniósł

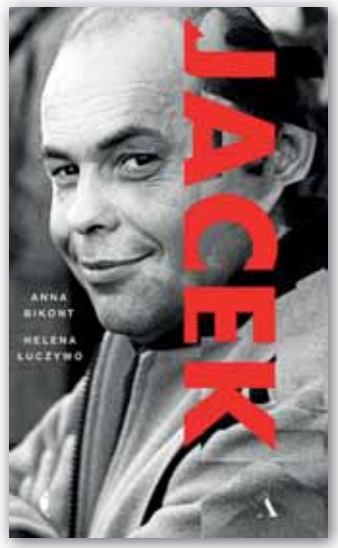

Biografia Jacka Kuronia napisana przez Annę Bikont i Helenę Łuczywo, wyd. Agora

GAZETA STOŁECZNA 25.01.2000 11
WTOREK

DYSLEKSJA

DLA GAZETY

BARBARA BARANOWSKA
dyrektorka Zespołu Szkół przy ul. Szolc-Rogozińskiego na Ursynowie, w którego skład wchodzą Gimnazjum nr 3 i Szkoła Podstawowa nr 324

Jak oszukałem szkołę

W naszej szkole ok. 30 proc. uczniów ma dysleksję. Z doświadczenia wiem, że zawsze można ją rozpoznać we wczesnym wieku, chociaż lepiej jest, gdyby tak się stało. Jak rozpoznajemy dysleksję? Gdy dziecko ma problemy z mówieniem, przekręca litery, są to pierwsze sygnały, że dzieje się z nim coś złego. Dziecko kierowane jest do poradni psychologiczno-pedagogicznej lub gabinetu Polskiego Towarzystwa Dysleksji.

Stamtąd wraca do nas z orzeczeniem, jak z nim postępować. Ściśle współpracujemy, z psychologami i rodzicami. Dziecko, u którego rozpoznano dysleksję, kierujemy też na zajęcia reedukacyjne. Dajemy mu więcej czasu na opracowywanie prac pisemnych, oceniane jest częściej na podstawie wypowiedzi ustnych, czyli za merytoryczne postępy w nauce, a nie ortografię.

not. KOZ.

Rozmowa z Jackiem Kuroniem

IWONA DUDZIK: Kiedy dowiedział się Pan, że jest dysleksykiem?

JACEK KURON: Objawy zaczęły się w szkole, ale jeszcze wtedy nie umiałem ich nazwać. Na czym polega moje upośledzenie, dowiedziałem się dopiero jako dorosły człowiek. Najgorzej było na początku szkoły. Pisałem kulfonami, robiłem przy tym mnóstwo błędów ortograficznych. Kiedy doszedłem do wniosku, że nigdy nie nauczę się poprawnie pisać, wszystkie siły skoncentrowałem na ukryciu moich braków.

I udało się?

– Szkołę oszukałem znakomicie. Nie mogłem nauczycielom pokazać zeszytu, więc znajdowałem wymówki: a to, że go zapomniałem, a to właśnie założyłem nowy. Dyktand nie pisałem. Szczęśliwie dość wcześnie, w wieku pięciu lat, nauczyłem się czytać. Była to zasługa mojej mamy. Zabierała mnie do parku i czytała mi „Potop". Kiedy doszła do miejsca, gdzie Kmicic podchodzi pod Częstochowę i podsłuchuje rozmowę Wrzeszczowicza z Lisolą, zamknęła książkę i powiedziała: chcesz poznać dalszy ciąg, musisz nauczyć się czytać. Sięgnąłem po elementarz, z którego nauczyłem się liter. Kłopot w tym, że nie potrafiłem zestawić ich w słowa, a potem w zdania. Wypracowałem więc własną technikę czytania akapitami. Teraz wiem, że podobną metodę stosują Amerykanie i nazywają ją techniką czytania blokowego.

Czyli uniknął Pan szkolnych kłopotów?

– Niestety nie. W trzeciej klasie nauczyciel krzyczał, że jestem niedorozwinięty, bo nie umiałem postawić prostej kreski od linijki. Powodem była niesprawność manualna, trzymałem rękę pod złym kątem. Także złożenie z kartonu równoległościanu było dla mnie sztuką niemożliwą do wykonania.

Czy szukał Pan pomocy nauczycieli?

– Szybko przekonałem się, że mnie nie rozumieją i jeśli im zaufam, to przegram. Zresztą sam sobie nie umiałem wyjaśnić, co mi jest, ani tego nazwać, tym bardziej nie chciałem, by ktokolwiek się o tym dowiedział. W rezultacie ani nauczyciele, ani rodzice nie mieli pojęcia o mojej przypadłości. Uważali, że jestem zdolny, ale leń.

Czy to spowodowało Pana nienawiść do szkoły?

– Absolutną. Byłem w trzech okropnych miejscach: w wojsku, więzieniu i szkole. Jakby mnie zapytali, gdzie chcesz wrócić, to wybrałbym więzienie. Gdyby nie dało się do więzienia, poszedłbym do wojska. Gdyby nie dało się do wojska, to trudno, ale do szkoły bym nie poszedł. Do dziś miewam koszmarne sny, że wołają mnie do tablicy.

Zdawał Pan z klasy do klasy?

– Miałem z tym kłopoty. Pierwszą i drugą klasę udało mi się obejść. W czwartej klasie zaskoczyłem nauczycieli liczbą przeczytanych książek. Właśnie wtedy zaczął się mechanizm: w nagrodę za pewne sukcesy, nauczyciele przymykali oko na niedoskonałości. Mimo to z klasy 9 do 10 przeszedłem z trudem i to pod warunkiem, że zmienię szkołę.

Sytuacja zmieniła się w klasach 10-11. Miałem szczęście, że trafiłem do szkoły przy Barlickiej, gdzie profesorowie starali się zrozumieć moje kłopoty. Nie przyswajałem dźwięków, których nie rozumiałem, więc nie mogłem nauczyć się języków obcych. Jedna z profesorek uparła się, żebym nauczył się jednego łacińskiego wiersza. Przepytywała mnie z niego na każdej lekcji i za każdym razem dawała niedostateczny. W końcu kazała mi uczyć się przy niej. Opanowałem tylko pierwsze trzy słowa: „Aurela prima est". Dopiero wtedy uwierzyła, że rzeczywiście coś jest nie tak.

A egzaminy?

– Po maturze z polskiego pani dyrektor poprosiła mnie na bok i powiedziała: w historii naszej szkoły nie mieliśmy tak dojrzałej pracy maturalnej. Ale też nie mieliśmy pracy z tyloma błędami ortograficznymi. Po namyśle postanowili zaliczyć mi maturę, a pracę spalić. Jednak już na Uniwersytecie nie miałem żadnych problemów. Wyszedłem na ścisłą czołówkę. Skończyłem studia, obroniłem

Czy to, że poznał Pan przyczynę kłopotów, coś zmieniło?

– Dla mnie największym problemem był psychiczny ciężar: dlaczego jestem gorszy? Próbowałem sobie to tak wyjaśnić, że jestem geniuszem, lecz współcześni mnie nie rozumieją.

Dopiero gdy przeczytałem książkę prof. Haliny Spionek „Zaburzenia psychorucho-wego rozwoju dziecka", nagle odnalazłem siebie. Dowiedziałem się, że mam zaburzenia analizatorów wzrokowego, słuchowego, nadpobudliwość ruchową i niesprawność manualną. Dwie z czterech wystarczyłyby, by nie skończyć trzeciej klasy szkoły podstawowej. Myślę, że gdybym wiedział to wcześniej, psychicznie czułbym się lepiej.

A jak radzi sobie Pan dzisiaj?

– Do dziś nie nauczyłem się ortografii ani żadnego języka. Jestem kiepski w tabliczce mnożenia, zwłaszcza na siedem. Nie umiem czytać liter. Dlatego, gdy pracowałem w redakcji „Na przełaj", byłem zwolniony z korekty. Nie potrafiłbym znaleźć literówek. Do dziś podpisuję się za każdym razem inaczej. Bank musiał mnie polubić razem z moimi podpisami, a w mojej fundacji do składania podpisów upoważniłem jeszcze dwie osoby: wiceprezesa i głównego księgowego.

Czy jako minister czytał Pan dokumenty i przeliczał np. budżet?

– Im wyższe stanowisko, tym łatwiej żyć dyslektykowi, bo większość drobnych prac wykonują inni. Pewnie nie byłoby gorzej, a może nawet byłoby lepiej, gdyby ministrami i premierami zostawali właśnie dyslektycy.

Czy Pana syn jest dyslektykiem?

– Maciek ma papiery dyslektyka i zawsze był z tego bardzo dumny. Jego dysleksja była jednak dużo słabsza niż moja i o wiele łatwiej dawał sobie z nią radę. Pomagała mu moja żona, która była psychologiem. Ale i tak w szkole patrzono na niego podejrzliwie: przecież jest zdolny, więc mógłby się nauczyć.

Rozmawiała IWONA DUDZIK

25.01 zyta 2000 GAZETA WYBORCZA

Wywiad Iwony Dudzik z Jackiem Kuroniem ukazał się w Gazecie Wyborczej 25 stycznia 2000 r.

nowe programy nauczania. Czy polski, czy biologia – wszystko miało być podporządkowane marksistowsko-leninowskiej metodzie i ukazywać klasowe podstawy podziału świata na dwa obozy: obóz imperializmu i wstecznictwa i obóz postępu i pokoju. Socjalistycznej dyscypliny uczniów miało pilnować ZMP. (...)

Trójka z łaciny, trójki z przedmiotów ścisłych, kilka czwórek, jedna jedyna piątka – świadectwo maturalne Jacka nie wygląda imponująco. Piątkę miał tylko z nauki o Polsce i świecie współczesnym."

Jerzy Głosik – bielańczyk, archeolog

„Jak wielu starszych ludzi lubię wracać wspomnieniami do czasów swego dzieciństwa i młodości, przeglądając zdjęcia. Wśród licznych pamiątek sprzed lat zachowałem zdjęcie sprzed około 60 lat, które przedstawia młodzież gimnazjalną stojącą wiosną 1947 r. przed naszą szkołą przy Barcickiej 69 (w pobliżu ulicy Twardowskiej, przy Lasku Bielańskim). Był to wolnostojący jedno-piętrowy budynek użyczony na potrzeby edukacyjne przez władze Żoliborza. Również bielańska społeczność wniosła niemały wkład w powstanie naszej szkoły, która początkowo była filią XVI Liceum Imienia Stefanii Sempołowskiej na Żoliborzu. Założycielem tej szkoły i jej długoletnim dyrektorem była pani Zofia Ringmanowa, doskonały pedagog. Pierwszym dyrektorem gimnazjum został pan Eugeniusz Jankowski. Wychowawcą klasy początkowo był pan Miluk, który uczył historii, a później pani Janina Grzybowska, która uczyła j. francuskiego i udzielała również lekcji w swoim domu przy ulicy Daniłowskiego. Matematyki uczyła pani Leokadia Kędzierska, która mieszkała przy Kleczewskiej. W naszej szkole pracowało wielu zasłużonych wychowawców i pedagogów, między innymi panie Halina Kisielewska i Maria Nowicka, którzy z oddaniem pomagali młodzieży. (...)

W naszej szkole panowała miła atmosfera, nauczyciele i wychowawcy okazywali nam życzliwość i cieszyli się dużym autorytetem. Aktywnie działało tu również harcerstwo. (...)

W budynku szkoły w okresie świątecznym organizowano różne imprezy kulturalno-oświatowe. Dobrze pamiętam święta wielkanocne w pierwszych latach

Uczniowie z liceum na Barcickiej, rok szkolny 1946/1947

Źródło: „Bielany. Przewodnik historyczny" Jarosław Zieliński

powojennych urządzane przez komitet rodzicielski w naszym gimnazjum. Skromny willowy budynek z trudem mieścił wszystkich chętnych. Główną atrakcją tych świątecznych spotkań był mieszkający na bielanach wybitny tenor Opery Warszawskiej, pan Michał Szopski."

Jerzy Głosik „Wspomnienia starego bielańczyka", fragmenty ze str. 67–69

Dariusz Rosati – absolwent z 1964 r.

Absolwent Wydziału handlu zagranicznego w Szkole Głównej Planowania i Statystyki (obecnie Szkoła Główna Handlowa). W 1973 roku obronił pracę doktorską z zakresu teorii podejmowania decyzji, a w 1978 roku uzyskał stopień doktora habilitowanego nauk ekonomicznych na podstawie pracy na temat prognozowania w handlu zagranicznym. Od 1990 roku profesor tytularny w SGH. Specjalista w dziedzinie polityki makroekonomicznej, integracji europejskiej, finansów i handlu międzynarodowego. Minister spraw zagranicznych w latach 1995–1997, członek Rady Polityki Pieniężnej (1998–2004), poseł do Parlamentu Europejskiego VI i VIII kadencji, poseł na Sejm VII i IX kadencji.

W latach 1955–1967 XXII LO mieściło się w budynku przy ulicy Żeromskiego 22/28. Jak wtedy wyglądała szkoła i sale lekcyjne?

To był wówczas w miarę nowoczesny budynek, zbudowany chyba zaraz po wojnie, z cegły i nieotynkowany. Sale lekcyjne były duże i jasne, miały wysokie stropy i dużo okien. Pamiętam też dużą salę gimnastyczną, chyba na parterze, gdzie odbywały się zajęcia WF w zimie i miały miejsce akademie z okazji różnych ważnych świąt i wydarzeń. Szatnie mieściły się w podziemiu. No i szkoła miała duże boisko, nasze ulubione miejsce spędzania czasu na przerwach i po lekcjach. Graliśmy głównie w piłkę ręczną, ale także uprawialiśmy lekkoatletykę.

Jakie były metody nauczania na początku lat 60-tych? Pomoce naukowe?

Cóż, metody były dość tradycyjne – z dzisiejszej perspektywy – głównie kreda i tablica. Ale na zajęciach z fizyki i chemii robiliśmy też różne ekspery-

menty. Pamiętam, że nauczyciel fizyki demonstrował nam działanie silnika odrzutowego – huk był na całą dzielnicę. Również nasza nauczycielka chemii, przemiła pani Stefańska, często zachęcała nas do doświadczeń. Na zajęciach z prac ręcznych wykonywaliśmy różne proste konstrukcje w warsztacie, który mieścił się w podziemiu. Podejście nauczycieli było różne. Jedni zachęcali do dyskusji i aktywnego uczestniczenia w lekcjach (np. pani Abramowicz, nauczycielka polskiego lub pani Sroka, nauczycielka matematyki), a inni wygłaszali długie monologi, każąc nam generalnie siedzieć cicho (np. pan Józef Krysiński, nauczyciel historii, czy pani Maria Pawuła – nauczycielka geografii). Pomoce naukowe to były właściwie tylko podręczniki, które kupowaliśmy sami.

5 kwietnia 1961 roku szkoła otrzymała patrona – José Martí. Jak Pan wspomina tę uroczystość? Czy to było duże wydarzenie?

Pamiętam uroczystą akademię z tej okazji, odwiedził nas wtedy ambasador Republiki Kuby. Nie mieliśmy wówczas pojęcia, kim był José Martí i trochę

Szkoła przy Żeromskiego 22, 1965 r.
Autor zdjęcia: Andrzej Walczuk

zazdrościliśmy kolegom z innych szkół, gdzie patronami byli znani Polacy (Mickiewicz, Poniatowski). Pocieszaliśmy się, że może szkoła zorganizuje nam wycieczkę na Kubę. Oczywiście nic z tego nie wyszło.

Jakie zdarzenie z czasów licealnych utkwiło Panu w pamięci najbardziej?

Kiedy byliśmy w IX klasie, to z jakiegoś niejasnego powodu połamaliśmy kilka mebli klasowych. Prawie cała klasa została za to zawieszona, miałem wtedy dość poważne kłopoty, bo Dyrekcja nie chciała mnie odwiesić. Pamiętam też, że dokuczaliśmy bardzo naszej nauczycielce języka rosyjskiego. Wstydzę się tego do dziś. Ale z drugiej strony mieliśmy bardzo dobre relacje z naszą wychowawczynią, panią Gorayską, która uczyła francuskiego i którą często odwiedzaliśmy w domu, gdy przeszła na emeryturę. Poza tym mam tysiące miłych wspomnień z tamtego czasu. Bardzo lubiłem moją szkołę.

W 2001 roku odwiedził Pan liceum i spotkał się z uczniami. Nie można powiedzieć, że wrócił Pan do starych murów szkolnych, ponieważ od 1967 roku szkoła mieści się w budynku przy ulicy Staffa 111. Jakie to było uczucie wrócić do starej/nowej szkoły po tylu latach? Jakie wrażenia miał Pan po tym

Dariusz Rosati w ogniu pytań pani Cecylii Sroki, nauczycielki matematyki, 2001 r.
Archiwum szkoły

spotkaniu? Pani Cecylia Sroka przepytywała Pana z matematyki. Czy spotkał Pan jeszcze innych nauczycieli, którzy Pana uczyli?

Tak, to prawda, ponieważ szkoła przeniosła się do innego budynku, nie czułem z nią takiej emocjonalnej więzi, nie miałem już do niej takiego sentymentu. Nigdy zresztą nie rozumiałem, dlaczego musiało dojść do tej przeprowadzki. Myślę, że miałbym z moim liceum znacznie częstszy kontakt, gdyby pozostało w tym samym budynku, z którym wiązało nas tyle wspomnień i gdzie znaliśmy każdy kąt. Panią Srokę oczywiście pamiętam, zawsze wyglądała tak samo, była surowa, ale sprawiedliwa. Innych moich nauczycieli chyba na tym spotkaniu nie było. Część z nich już nie żyła, inni wyjechali na stałe za granicę.

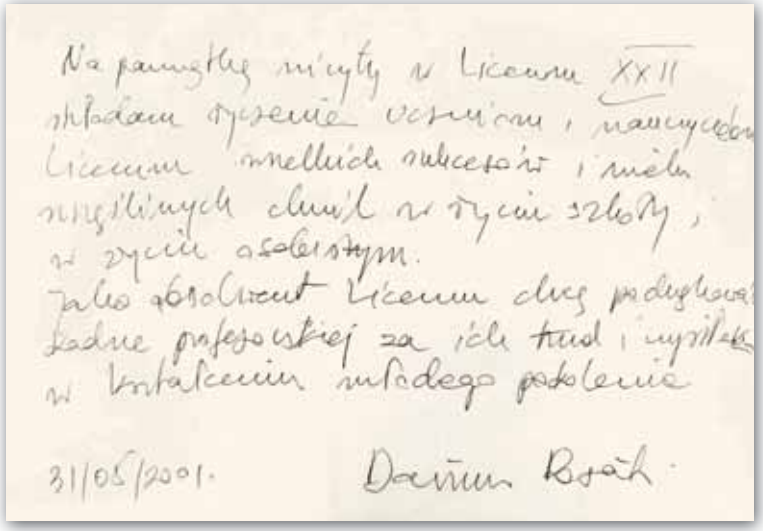
Na pamiątkę wizyty w Liceum XXII składam życzenia uczniom i nauczycielom Liceum wielkich sukcesów i wielu wzniosłych chwil w życiu szkoły, w życiu osobistym.
Jako absolwent Liceum chcę podziękować kadrze profesorskiej za ich trud i wysiłek w kształceniu młodego pokolenia
31/05/2001. Damian Bzoch

Pamiątkowy wpis do kroniki

Czy utrzymuje Pan kontakt z osobami ze swojej klasy? Czy przyjaźnie licealne przetrwały?

Tak, jak najbardziej. Mam stały kontakt z dwoma – trzema kolegami, a poza tym organizujemy co jakiś czas spotkania klasowe. Ostatnie odbyło się chyba 6 lat temu z okazji 50-lecia matury. Moja klasa była bardzo dobra – prawie wszyscy pokończyli studia wyższe.

A gdzie spędzała młodzież swój wolny czas w latach 60-tych? Miał Pan swoje ulubione miejsca na Bielanach?

Uprawialiśmy sport, korzystając z bliskości obiektów AWF (stadion lekkoatletyczny, boiska, basen). Chodziłem też na kursy angielskiego (odbywały się w szkole podstawowej nr 133). Spotykaliśmy się często na prywatkach, czyli – jak się obecnie mówi – na domówkach. No i bywałem w moim parafialnym kościele pod wezwaniem św. Zygmunta na Pl. Konfederacji – ale w tamtych czasach to był prowizoryczny barak. Nasza aktywność pozaszkolna rozciągała się też na teren Żoliborza – mieliśmy tam dużo znajomych, bywaliśmy na imprezach.

Jakie ma Pan wspomnienia z balu maturzystów i studniówki?

Pamiętam uroczystą atmosferę matury. Studniówka i bal maturalny to też były ważne wydarzenia. Szkoła kupiła mi na maturę ciemny garnitur (mój pierwszy w życiu), bo sytuacja finansowa w moim domu była wówczas niecieka-wa. Do dziś jestem za to bardzo wdzięczny.

Rozmawiała: Karolina Rudzik

Leszek Rudnicki – felietonista „Naszych Bielan"

Budynek na Staffa 111

Rok 1957 rozpoczyna budowę Bielan II, w rejonie ulic Kasprowicza, Podczaszyńskiego, Marymonckiej i nowo projektowanej o wdzięcznej nazwie Byczka Fernando (!). 35 ha terenu, 600 000 m^3 kubatury mieszkalnej i usługowej dla 9000 mieszkańców, 3 szkoły, 3 przedszkola, 1 żłobek, ośrodek zdrowia z apteką, garaże, sklepy, zieleń, place do zabaw również i dla dzieci starszych, jak boiska sportowe do siatkówki itd... Tu również przeważają budynki 4-kondygnacyjne, odrębny akcent wysokościowy stworzy grupa kilku ośmiopiętrowców.

Krystyna Krzyżakowa „Stolica", nr 35 z 1958 r.

Budynek szkoły przy ul. Leopolda Staffa 111 (dawniej Byczka Fernando) został zbudowany w latach 1959–1961. Jego otwarcie nastąpiło 1 września 1961 roku.

Wówczas mieściła się tam wyłącznie Szkoła Podstawowa nr 209 im. Romana Boguckiego, natomiast LO XXII im. José Martí znajdowało się naprzeciwko, przy ul. Żeromskiego 22/28, gdzie obecnie jest zespół szkół.

W drugiej połowie lat 60. nastąpiła zamiana budynków vis-a-vis. Duże gabaryty: tablice, ławki, regały i zbiory książek przewieziono ciężarówkami Star 25, natomiast tablice poglądowe, krzesła, a nawet plastikowe kościotrupy (sic!)

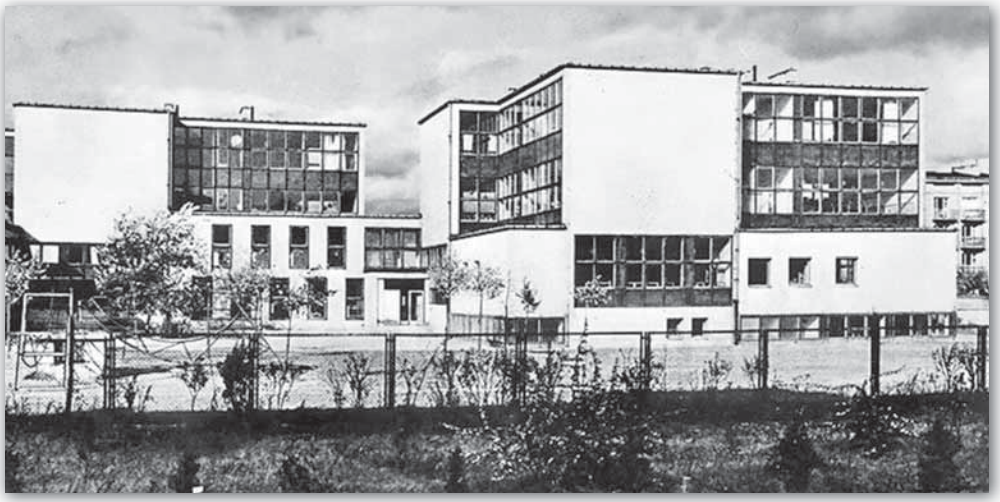

Liceum na przełomie lat 60-tych i 70-tych.
Archiwum szkoły

nosiliśmy mijając się z chichotem na polu, gdzie obecnie znajduje się sklep Radek oraz Ratusz.

Jako ciekawostkę podam fakt, że w mojej SP na ul. Staffa 111, była wyłącznie podłoga z płytek PCV w kolorze zielonym i pomarańczowym, co nas bardzo dziwiło – uczniów ze Słodowca i Starych Bielan, gdyż w domach mieliśmy drewnianą klepkę.

Ponadto w obecnym budynku XXII LO (mojej ówczesnej podstawówki nr 209) była sala gimnastyczna z przebieralniami, świetlica, stołówka, biblioteka, gabinet stomatologiczny, lekarski oraz pielęgniarski.

No i fajowo się zjeżdżało po plastikowych poręczach.

(...) Najlepsze do zabawy były piaskownice, śmietniki, garaże i wyjścia ze schronów. Świetnie nadawały się do berka, chowanego itd. Nawet ulewa nie przerywała naszej fiesty – chowaliśmy się pod balkony na parterze, gdzie do upadłego graliśmy w pikuty, ciupy, pomidora i inne słynne gry podwórkowe. Któregoś dnia kawałek pola od strony ul. Staffa nam zabrali. Stanęła pakamera z dozorcą, który pilnował cegły, cement, belki i narzędzia. Wokół ogrodzenie: drewniany płot z resztek struganych w ażurowe romby. Przez które jak te koty przełaziliśmy, by

hasać po stertach desek, co było nawet całkiem ekscytującą zabawą. „Dziadek", bo tak nazwaliśmy pilnującego, wpierw nas gonił, lecz była to „walka z wiatrakami". Wziął nas podstępem, zapraszając do wnętrza baraku i częstując kawą zbożową z kotła. Siedział przy lampie naftowej i ćmiąc „Sporta", opowiadał straszne historie, po których baliśmy się zasnąć. Bardzo go lubiliśmy. Niestety, miał zmiennika, który szybko sprowadził nas z obłoków na ziemię. Najpierw postraszył, że: „koniec balu, panno Lalu", bo tu szkołę budują, dla takich gamoni jak my, po czym kazał nam „spadać na drzewo". Nie bardzo wiedzieliśmy co oznacza to ostatnie, lecz Krzysiek „oświecił" nas swoją rozległą wiedzą. Reszty dokonała szkoła. Bo niecały rok później zakończono jej budowę i rozpoczęły się (ostatnie takie) nasze wakacje. 1 września 1961 r., ubrani w granatowe mundurki, udaliśmy się na ul. Staffa 111, lekko wystraszeni, a rodzice jeszcze bardziej(...).

Nasze Bielany nr 7/2010, str. 11, fragment felietonu
Leszka Rudnickiego „Bielany według Rudego II"

Marek Krawczyk – absolwent z 1971 r.

Nauczyciel wychowania fizycznego w XXII LO

Jakieś dwa lub trzy miesiące temu dostałem propozycję, abym z okazji zbliżającego się 75-lecia XXII LO napisał krótkie wspomnienie z uczniowskich czasów o naszej Szkole. Pracuję tu już ponad 25 lat, a pół wieku wcześniej jakoś zdałem maturę, a więc... Moja początkowa reakcja była oczywista: co? ja?, nie mam czasu..., nie pamiętam..., no, zastanowię się..., nie obiecuję...

No i naprawdę miałem zamiar dotrzymać słowa, to znaczy nie obiecać i nie pisać. Ale ten „krecik" wpuszczony do mojej głowy przez Karolinę Rudzik, bo to Ona jest sprawcą całej historii, zaczął powoli swoją robotę i zacząłem przypominać sobie fakty i osoby. Im dłużej „pracował", tym bardziej dochodziłem do przekonania, że powinienem to zrobić. Tak jak umiem i pamiętam, ale powinie-

nem. Wielu z ówczesnych Profesorów miało większy lub mniejszy wpływ na ukształtowanie mojej skromnej osoby, a na pewno wszyscy byli częścią tamtego świata. I jeśli kogoś z Nich chociaż na chwilę wydobędę z zapomnienia, to znaczy, że było warto poświęcić trochę czasu. Minęło bardzo wiele lat i nie wszystkich pamiętam, niektóre nazwiska i twarze uleciały, a więc siłą rzeczy muszę koncentrować się na tych, którzy w jakiś szczególny sposób zapisali się w mojej pamięci. I jeszcze jedno: kogoś może razić, że o niektórych mogę pisać zbyt bezpośrednio, ale w tamtych czasach tak właśnie Ich nazywaliśmy, a jak wspomnienia, to wspomnienia. Niektórzy z nich, kiedy po latach zjawiłem się w szkole, stali się moimi koleżankami i kolegami Profesorami. Ale zawsze mieli mój szacunek, do niektórych nawet wtedy nie potrafiłem powiedzieć inaczej niż Pani Profesor lub Panie Profesorze. Tak mi pozostało z tamtych zamierzchłych czasów...

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI
LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO
Marek Jan Krawczyk
6 maja 1952 r.
w Warszawie
XXII
José Martí
Warszawie
w m. st. Warszawie
30 marca 1971 r. Znak 01-60a/5/71
Warszawa 19 czerwiec 1971 r.
1887

Świadectwo Dojrzałości Marka Krawczyka
Archiwum prywatne

Moje pierwsze wspomnienie „dwudziestej drugiej", bo właśnie tak nazywaliśmy tę szkołę, pochodzi z połowy lat 60. Mieściła się wtedy przy ulicy Żeromskiego i Alei Zjednoczenia (obie jeszcze wtedy brukowane kocimi łbami !), tam gdzie teraz jest „handlówka". Chodziłem wtedy do szkoły podstawowej nr 133. Kiedy była ładna pogoda i zakończyliśmy lekcje, przechodziliśmy przez dziurę w siatce do „dwudziestej drugiej". Zaraz za ogrodzeniem była skocznia lekkoatletyczna. Tam zajęcia z wychowania fizycznego prowadziła pani Profesor Morycowa. Życzliwa i uśmiechnięta, pozwalała nam zakładać poprzeczkę na stojaki lub równać zeskok, co czyniliśmy z wielkim przejęciem. Czasem mogliśmy brać udział w lekcji. Wtedy też dowiedziałem się, że rozbieg do skoku można wymierzyć, a skakać wzwyż można inaczej niż popularnymi „nożycami". To pewnie bez znaczenia, ale jestem teraz nauczycielem wychowania fizycznego.

Potem na dwa lata mój kontakt z „dwudziestą drugą" się urwał. Przeniosłem się do innej szkoły, a do XXII LO im. José Martí powróciłem już jako uczeń

II klasy. Nie z uwagi na moje wybitne zdolności, bo klasę pierwszą zaliczyłem gdzie indziej, ale profesorowie w poprzedniej szkole (poza tymi od wf-u) jakoś za mną niezbyt przepadali. Nie wiedzieć czemu. W czasie tych dwóch lat liceum zostało przeniesione do nowego budynku – przy ulicy Staffa, czyli tam gdzie jest do dziś. Dookoła wszystko się zmieniało: bloki przy ulicy Magiera były nowe, po drugiej stronie Broniewskiego domy dopiero „wychodziły z ziemi", ulicy Kochanowskiego jeszcze nikt nie widział. Były tam piaszczyste pola (stąd Piaski) poprzecinane liniami okopów, a dalej rozpoczynało się wojskowe lotnisko Bemowo. Kto dziś pamięta, że obecna ulica Powstańców Śląskich to dawny pas startowy dla bojowych MIG-ów? Najbliższy tramwaj był na ulicy Marymonckiej, a w Lasku Lindego była rzeczka, w której pływały ryby (!!!). Był klimat! I jeszcze jedna rzecz: po drugiej stronie ulicy Jarzębskiego, za szkolnym boiskiem, była jednostka wojskowa. Nie byle jaka. Jednostka reprezentacyjna Wojska Polskiego, z całym placem ćwiczeń, makietą Grobu Nieznanego Żołnierza, orkiestrą i wszystkim co potrzebne, aby stworzyć niezłe widowisko. A kiedy już się ono zdarzało, to lekcje w klasach od strony boiska raczej mijały się z celem. W takim to otoczeniu stanął nowiutki budynek XXII Liceum Ogólnokształcącego. Z białej cegły, obok boiska: jedno asfaltowe, drugie żużlowe; za szkołą teren lekkoatletyczny z bieżnią, skocznią i kołem do pchnięcia kulą; zimą lodowisko (były zimy...). Wewnątrz od tamtego czasu duże zmiany: w obu skrzydłach na dole szatnie (o siłowni nikt nie śnił), stołówka i kuchnia (naprawdę były i jedliśmy obiady gotowane w szkole!), schron – przeciw czemu?, a nawet strzelnica dla ćwiczeń z przysposobienia obronnego (nie używaliśmy, ale jakieś karabinki kbks były). Sala sportowa „gigantyczna" – jak dziś, wyposażona w przyrządy gimnastyczne, co jeszcze ją zmniejszało. Był w szkole też gabinet lekarski (z lekarzem!) i stomatologiczny (czynny codziennie!). Na piętrach po trzy sale lekcyjne i jasne korytarze z dziennym światłem. Komu to przeszkadzało...? Do takiej to szkoły zawitałem we wrześniu 1968 roku jako nowy nabytek klasy II B.

Pierwsze moje wspomnienie, już jako ucznia XXII LO, to lekcja matematyki z panem Profesorem Łąckim. Wyobraźcie sobie starszego siwego pana z nieodłącznym, także w czasie lekcji, papierosem w ręku (tak, to było wtedy możliwe) i często pokasłującego. Sprawdzając listę, natrafił na nowe nazwisko

– moje. Poprosił, bym wstał i o coś zapytał, nie pamiętam już o co. Ja natomiast, jak to ja wtedy, odpowiedziałem w sposób wystarczająco hardy, aby nie wzbudzić nadmiernej sympatii do swojej osoby. Do dziś pamiętam szmer, jaki usłyszałem i spojrzenia klasy na przemian, to na mnie, to na pana Profesora. Czułem, że popełniłem jakiś wielki błąd. I stałem tak w ławce, a pan Profesor Łącki mówił do mnie, ale i do wszystkich pozostałych, przypominając nam kim jesteśmy i czego od nas oczekuje. Minęło tak 45 minut. Kiedy wróciliśmy do klasy po przerwie i usiadłem ławce, usłyszałem: „Wstań, jeszcze z tobą nie skończyłem!" I trwało wszystko dalej, nie pomnę już, czy całą lekcję, czy tylko jej część. Ale zrozumiałem wtedy, że znalazłem się „na innej półce". Podobne sytuacje zdarzały się na matematyce później, ale już na szczęście nie ze mną w roli głównej. Nie przypominam sobie, aby Profesor postawił mnie lub komukolwiek innemu ocenę niedostateczną. Jeżeli ktoś nie wystarczająco przygotował się do lekcji, oznaczało to, że zawiódł zaufanie i wtedy na pewno mógł liczyć na dłuższy, nie raz bardzo gorzki monolog pod swoim adresem i wysłuchiwał go z pełną pokorą. Im kogoś bardziej pan Profesor lubił, tym więcej od niego wymagał. A my po prostu nie mogliśmy sprawiać Mu przykrości. Mądrość i życzliwość ukrywana pod maską surowości, to niezapomniany pan Profesor Łącki. W następnym roku już nie było Go w szkole, a jakiś czas później żegnaliśmy Profesora na cmentarzu Bródnowskim. Czuliśmy, że dzieje się coś ważnego, choć nie zdawaliśmy sobie dokładnie sprawy, co to jest. Dopiero po latach zrozumiałem, co to było. Właśnie odchodziła pewna epoka.

Jeżeli już o matematyce mowa… Po Profesorze Łąckim nastał Profesor Mario Wachowiak, dla nas po prostu „Mario". Zupełnie inna osobowość, szczególnie zewnętrznie. Szczupły, około 30. (?), z sumiastym wąsem i wiecznie potarganymi włosami. Ubrany w rozciągnięty sweter i dżinsy, sugerował swoim wyglądem dwie możliwości: szalonego naukowca lub artystę. Wkrótce się wyjaśniło. Poza matmą miał jeszcze inną pasję: grał na trąbce w jednym z popularniejszych w tym okresie zespołów jazzowych. Czasem miało to swoje zabawne skutki. Pamiętam kiedyś, w czasie chyba Jazz Jamboree, zjawił się na lekcji po nocnym jam session. Wszedł do klasy, usiadł, oparł głowę na rękach i widać było jak walczy. Przegrał. Nie budziliśmy Go oczywiście. Ulubionym zwrotem

Mario było: „wgryzać się w problem". Wiele razy, kiedy przy tablicy nie bardzo „ogarniałem" zadanie, ale desperacko usiłowałem zmusić swoje szare komórki do pracy w tym kierunku, słyszałem: „Widać, że w domu nic nie zrobiłeś, ale ładnie wgryzasz się w problem. Trzy z minusem". Z lekkim sercem szedłem do ławki, a od tablicy przeważnie padało: „Kto to skończy?" Znaczy moje „wgryzanie" już za długo trwało. Był w porządku i lubiliśmy Go. Bywało, że do szkoły przynosił trąbkę i w czasie przerwy zamykał się w sali gimnastycznej. Zza drzwi słychać było, jak ćwiczy jakąś nową solówkę. Taki był Profesor Mario Wachowiak. Nauczyciel matematyki i muzyk jazzowy. A może odwrotnie ... (Jeszcze gwoli ścisłości historycznej, skoro już o tym wspomniałem: Mario Wachowiak w 1968 był współzałożycielem jazzowego zespołu *Vistula River Brass Band*, który działał i nagrywał jeszcze chyba do przełomu lat 80. i 90. W szkolnych dokumentach Profesor Wachowiak widnieje jako Ryszard; nie wiem, na ile to zgodne z prawdą, ale my znaliśmy i lubiliśmy Go jako Mario. Zresztą w historii jazzu też jest Mario. No i dobrze.)

Sala gimnastyczna. A jeśli tak, to Profesor Wojciech Leciejewski. Ówcześnie dla wszystkich „Leciej", a dla mnie potem po prostu Wojtek. Niezwykle życzliwy i pogodny człowiek. Uczynny i lubiany i, jak się później przekonałem, wielki (ale pozytywnie!) gaduła. Najlepszym moim, jako ucznia, wspomnieniem z Nim związanym są szkolne obozy żeglarskie organizowane dla nas właśnie przez Lecieja. W czerwcu po zakończeniu roku szkolnego brał grupę 20. chłopaków, przeważnie sportowych reprezentantów Szkoły i jechaliśmy do Giżycka. Tam pakowaliśmy się na „Omegi" i rozpoczynaliśmy dwutygodniowy rejs po jeziorach. A trzeba pamiętać, że Mazury 50 lat temu wyglądały zupełnie inaczej. Nie trudno było znaleźć zupełnie dzikie i odludne miejsca. Dla nas warszawiaków była to wspaniała przygoda. Uczyliśmy się żeglować. Wracaliśmy opaleni słońcem i wiatrem, i jechaliśmy dalej na wakacje. Piękne czasy! Dzięki, Wojtek!

Następną profesorską osobowością, którą chcę przypomnieć, jest Profesor Tadeusz Hejger. Jeden z bardziej „wyluzowanych" jak na tamte czasy „gości", czyli po prostu „Hejger". Pełen humoru i skory do oryginalnych zachowań. Na przykład otwierał dziennik, zamykał oczy i czyje nazwisko trafił długopisem, ten „lądował" przy tablicy. Śmiech często gościł na Jego zajęciach. Ale do

historii przeszły słynne przeglądy włosów na lekcjach PO. Od czasu do czasu na obowiązkowej zbiórce przed salą lekcyjną zjawiał się ówczesny Dyrektor – Wincenty Łaźniczka i od razu było wiadomo w jakim celu. Hejger z komicznym wyrazem twarzy wydawał komendę „w tył zwrot", po czym we dwóch defilowali przed szeregiem naszych zadków, a dyrektor wskazywał: „ten do fryzjera, i ten, ten też... Panie profesorze, proszę dopilnować, aby na następną lekcję włosy były skrócone. I dlaczego tarcz nie mają!" (Tu dotykamy drugiego zagadnienia – tarcze, ale o tym później.). Gdy zostawaliśmy sami, Hejger czasem rzucał coś w rodzaju: „wiecie co macie zrobić". Oznaczało to mniej więcej: weźcie podetnijcie chociaż trochę, bo spokoju nam nie da. A zagadnienie długości naszych włosów w tamtych czasach było nie byle jakim wyzwaniem. Ze względów ideologicznych dłuższe włosy były „be" – wiadomo, zachodnia zgnilizna. Natomiast dla nas ich długość miała fundamentalne znaczenie. No bo jak już człowiek uzbierał lub wyżebrał od rodziców kasę na „beatlesówki" lub „rollingstonki" (dla nieświadomych informacja – buty), to nie mógł wyglądać jak karykatura. A tanie to one nie były. Do dziś pamiętam relacje cenowe: nowa oryginalna płyta Rolling Stones lub Doors zakupiona „spod lady" w antykwariacie na Pięknej lub u babci w Fotoplastykonie w Alejach Jerozolimskich kosztowała półtora do dwóch miesięcy niejedzenia szkolnych obiadów. A takie buty to co najmniej dwie płyty, więc mając na nogach trzy lub cztery miesiące głodu, łatwo się nie poddawaliśmy. Oczywiście nie wszyscy, ale trochę nas takich zakręconych w José było. I tak przy okazji Profesora Hejgera zszedłem na buty... I jak Go dobrze nie wspominać...? W tamtym czasie krążyła anegdota odnośnie Hejgera, podobno autentyczne zdarzenie. Po jednej z takich „fryzjerskich" kontroli za oddalającym się Dyrektorem potoczył się granat przygotowany na lekcję jako pomoc naukowa. Oczywiście sprawcą tego był Hejger, który widząc nieco przerażony wzrok szefa bąknął: „... no wypadł mi z kieszeni..." Przy wydatnej pomocy właściciela tejże...

Jeszcze miałem wyjaśnić sprawę tarcz. Była to w liceach czerwona naszywka (jak nazwa wskazuje powinna być naszyta) z numerem, np. LO XXII. Miała być z dumą noszona na rękawie, również poza szkołą, obligując właściciela do godnego reprezentowania swojego Liceum. Cośmy się nakombinowali z tymi

numerami rejestracyjnymi: na gumce, na agrafce, na klapie kieszonki, „zapomniałem Panie Profesorze…". A dziś często zachwyt: „to było coś takiego!? ale fajne, mogę wziąć?". Hm, po co… Do szuflady chyba…

Nie mogę w tej całej wspominkowej historii pominąć Profesor Aliny Abramowicz – naszej Wychowawczyni i nauczycielki języka polskiego. Nazywaliśmy Ją w skrócie niewyszukanie, ale jakże dźwięcznie, „Abramówą" (przypominam, że przyszedłem już na gotowe). W zasadzie trudno mi odnaleźć w pamięci jakieś szczególnie smakowite kąski związane z lekcjami polskiego; ot, lekcje jak lekcje. Ale jedno wydarzenie utkwiło mi w pamięci i dotyczyło bezpośrednio mojej osoby. Nie od rzeczy będzie tu nadmienić, że asem polonistycznym to ja nie byłem – wypracowania głównie na „3", zazwyczaj z powodu głębokiej niechęci do poświęcenia ponadnormatywnej ilości czasu, który wolałem przeznaczyć na mniej wzniosłe cele. I tak trwaliśmy w duchu wzajemnego zrozumienia: ja Abramówie uproszczone wersje, Ona mi: „Krawczyk, dostateczny". Aż pewnego dnia nadeszli „Niemcy".

To znaczy omówienie dramatu. No i praca klasowa poświęcona ocenie postaw bohaterów na zasadzie: ten jest cacy bo…, ten jest be, ponieważ… Z jedyną dopuszczalną konkluzją i konkursem, kto ładniejszymi zdaniami do niej dojdzie. Po prostu dwie godziny w plecy, bez możliwości amnestii! Kiedy zacząłem pisać, znudzony, wpadł mi do głowy pomysł raczej ryzykowny w tamtym czasie. Pracowicie, logicznie i do bólu poprawnie, zdanie po zdaniu dążyłem do jasno wytyczonego i oczywistego jedynego możliwego do zaakceptowania celu. Ten już wyłaniał się z gąszczu moich „myśli" i wystarczyło jedynie „klepnąć" wzniosłą końcówką. Wtedy z premedytacją jednym, ostatnim zdaniem wywróciłem wszystko do góry nogami, pisząc coś o pięknie martwych bohaterach i brzydkich, upapranych błotem, ale jednak żywych świniach. Oddałem wypracowanie, oczekując wielkiej niewiadomej. Z tych raczej mniej przyjemnych niewiadomych. Profesor Abramowicz miała w zwyczaju, oddając prace, krótko omawiać te najlepiej ocenione. Gdy przyszedł ten dzień, kogoś tam chyba wyróżniła, a potem padło moje nazwisko. Usłyszałem coś w rodzaju: „zaskoczyłeś mnie, nareszcie coś napisałeś", a głos i wyraz Jej twarzy sugerował, że tyle omówienia wystarczy. Pod pracą była ocena: „5". Pierwsza i jedyna „piątka", jaką kie-

Marek Krawczyk,
pierwszy rząd od góry,
czwarty od lewej
Ewa Foley (Bednarczyk)
pierwszy rząd od dołu,
czwarta od lewej

Archium prywatne
Marka Krawczyka

dykolwiek dostałem z polskiego! Nic dziwnego, że tak dobrze pamiętam. Od tej pory trochę inaczej patrzyłem na Abramówę. Czułem, że nie jest taką zwyczajną, nudną polonistką (przepraszam Kolegów Polonistów, to oczywiste, że nikt z Nich nie jest ani zwyczajny, ani nudny!). Jak się z czasem okazało, tak też było. Ale to już wiedza nieoficjalna…

Całe to wspomnienie byłoby niepełne, a nawet niedopuszczalnie kulawe, gdybym nie poświęcił kilku zdań Osobie (a nawet Osobistości!), której nie da się zapomnieć i uwielbianej przez nas wszystkich. Profesor Maciej Bernbacher, czyli po prostu „Maciek". Uczył języka rosyjskiego. I to jak uczył! Z rosyjskiego się nie uciekało, nie wychodziło. Wprost przeciwnie – trzeba było być. Maciek, wysoki facet o nienachalnej urodzie i z dużym talentem komediowym, kiedy „łapał fazę" zmieniał lekcję w „one man show". Szczególnie, kiedy „przychodził" nowy tekst w podręczniku. Maciek najpierw czytał go wszystkim osobiście, ubarwiając interpretacją, dygresjami, anegdotkami i dodając często słówka nieobecne w tekście, powodując u nas lekką dezorientację. A wszystko oczywiście po rosyjsku. Niewiarygodne, jak wiele po takiej lekcji zostawało nam w głowach!

Trochę nas przy tym też „piłował", ale nikomu to nie przeszkadzało. Zwłaszcza, że nie miał zwyczaju stawiania „dwój", „lasek", „kaczki", „schaba", czy jak tam jeszcze nazywaliśmy ocenę niedostateczną. Do dziś pamiętam i czasem powtarzam Jego powiedzonka czy elementy zachowań. Jak opowiadają, na radach pedagogicznych też potrafił rozbawić wszystkich. Taki był w szkole. Podobno niespecjalnie lubiany przez władze, miał swoje problemy, ale ile w tym prawdy? Mieszkał niedaleko szkoły, tak jak ja i często widywałem Go przez okno idącego na poranny spacer na Piaski ze swoim wilczurem. Po raz ostatni widziałem Maćka już po maturze, jakoś chyba w lipcu. Była 1. lub 2. w nocy, kiedy, idąc z moim przyjacielem Markiem Marcińskim, natknęliśmy się na Niego wracającego do domu ze spaceru z psem. Od słowa do słowa wylądowaliśmy we czterech na środku asfaltu ulicy Kleczewskiej (psa też liczę, chociaż nie partycypował), rozmawiając bardzo poważnie o naszych najbliższych planach, nie tylko naukowych, wspierając się jakimś mniej lub bardziej szlachetnym trunkiem. Do końca jednak forma „Panie Profesorze" została zachowana. Po prostu inaczej sobie nie wyobrażaliśmy. Podobno Maciek jeszcze jakiś czas uczył w José, później wyniósł się do Stanów, skąd już nie wrócił. Ale tu jest…

Nie wszyscy Profesorowie, ale Legendy Tamtych Czasów, pozostały w pamięci, mimo że nie miałem z Nimi „naukowego" kontaktu, poza może sporadycznymi przypadkami zastępstw. Polonista Profesor Roman Kadziński, zwany „Fąflem"; Profesor Cecylia Sroka – nauczycielka matematyki; Profesor Kazimierz Sadowski „Kazio"– fizyk, wielkie chłopisko, nieco „elektryczny" na swoim punkcie. Obok nich Profesor Krystyna Bielczyk ucząca języka francuskiego – bardzo miła, łagodna i życzliwa (krążyła legenda, że była chrześnicą samego Piłsudskiego). Dalej, niewiele chyba wtedy starsza od nas, anglistka – Profesor Ania Galli, z którą tłumaczyliśmy teksty piosenek Beatlesów. Nie mogę nie wspomnieć też o Profesorkach Danusi Krosnowskiej i Ani Baranowskiej – zawsze uśmiechniętych, później już przemiłych moich koleżanek, kiedy pojawiłem się w José, już po „drugiej stronie mocy". A że szkoła nie samymi tylko profesorami stała, muszę wspomnieć Zosię Cieślak – czyli „Zosię Sekretarkę", przez lata niepodzielnie władającą sekretariatem. Zosia była, kiedy zjawiłem się w José jako uczeń, była kiedy podpisywałem odbiór świadectwa maturalnego i… była

20 lat później, kiedy składałem „papiery" do pracy. Zawsze z tym samym wyrazem twarzy nie wróżącym nic dobrego. Ale wtedy mnie rozpoznała, co oznaczało, że nie mam się czego obawiać. Bo to dobra kobieta była. Odeszła na emeryturę chyba w 2005 roku.

Nie starcza pamięci, aby opisać, czy po prostu wymienić tych wszystkich, których postacie kołaczą się, gdzieś tam we wspomnieniach. Piszę spontanicznie, wspierając się jedynie szybko zamienionymi zdaniami z kilkoma osobami, aby potwierdzić pewne fakty czy daty. Może gdybym „wszedł" w jakieś szkolne dokumenty, mógłbym napisać coś więcej i ciekawiej. No dobra, ostatecznie jestem fizyczny.

I tak to pół wieku temu szkolne życie w José biegło sobie raz szybciej, raz wolniej, raz pod górkę, raz z górki. Obok momentów radosnych, zabawnych, a nawet pikantnych, bywały też wielkie ludzkie tragedie. Nie czas i miejsce, aby o tym pisać, choć zapomnieć nie sposób. Więc niech historia milczy, a kto powinien – pamięta.

I na koniec jeszcze jedna rzecz, której przemilczeć nie sposób. W owych czasach, kiedy to jeszcze uczeń był uczniem, a mistrz – mistrzem, nie mieliśmy nawet odruchu, aby rozmawiać z Profesorami: siedząc, jedząc, trzymając ręce w kieszeniach, drapiąc się tu i ówdzie lub mając świadomość, że właśnie wyszedłem z WC, gdzie wszyscy palili i śmierdzę jak popielniczka. Usiąść można było na wyraźne zezwolenie lub dopiero wtedy, gdy Profesor już usiadł. I jeszcze można byłoby wymienić kilka takich „drobnostek" wynikających z szacunku. Było to dla nas normalne i nie powodowało żadnej ujmy dla poczucia własnej godności. Jeszcze w 1992 roku, kiedy rozpocząłem pracę w XXII LO, w zasadzie było to jeszcze czymś zwykłym. Ale wkrótce, z roku na rok, Profesor stawał się „Sorem", później Panem Iksińskim, wreszcie panem Markiem czy panią Jolą, a bywa już: „tą blondynką" lub „panem szeryfem", często w towarzystwie: „pani się pomyliła, pani to mi zmieni". Żeby było jasne, nie jestem ortodoksyjnym zwolennikiem „profesorowania" i uważam, że można bez tego żyć. Czasem może nawet łatwiej. Pewne rzeczy muszą iść na przód i godzimy się na to, chociaż pewnie czasem mamy wrażenie, że ten przód jakoś nam się odwrócił. Kto zastanawiał się nad tym, jakie są tego przyczyny i czy na pewno są to przyczyny? Rączka w górę.

Ewa Bednarczyk vel Konewka vel Ewa Foley – absolwentka z 1971 r.

Ceniona promotorka pozytywnego życia, trener rozwoju osobistego i charyzmatyczny mówca. Jest autorką popularnych książek-poradników zwanych „trylogią życia".

Wydarzenie, które zmieniło moje życie...

Od kilku lat znowu mieszkam na warszawskich Bielanach w moim domu rodzinnym na ulicy Kleczewskiej, gdzie urodziłam się jesienią roku 1952. Za każdym razem, gdy przechodzę lub przejeżdżam rowerem ulicą Staffa, patrzę z sentymentem na budynek LO XXII im. José Martí, bo to w nim spędziłam 4 cudowne lata mojego nastoletniego życia (1967–1971).

Wszystkie wspomnienia z tego okresu zaczynają się i kończą uczuciem ogromnej wdzięczności dla mojej ukochanej wychowawczyni (i polonistki), pani Aliny Abramowicz. Gdy piszę te słowa, ja zbliżam się do 70., a ona do 90. urodzin.

Ewa Foley (Bednarczyk) na zabawie szkolnej, piąta od lewej
Archiwum szkoły

W życiu każdego z nas zdarzają się KAMIENIE MILOWE – wydarzenia, słowa, spotkania, które nieodwracalnie nas zmieniają i zmieniają nasz los. O takim wydarzeniu w moim życiu, które miało miejsce na lekcji polskiego z panią Abramowicz, chciałabym dzisiaj opowiedzieć. Od wielu wielu lat opowiadam tę historię, gdzie tylko mogę i wszystkim, którzy są chętni do słuchania. Jesienią roku 2000 miałam okazję opowiedzieć tę historię kilkuset osobom obecnym na sali MUZEUM ETNOGRAFICZNEGO w Warszawie w czasie promocji mojej pierwszej książki. Pani Abramowicz i moja mama siedziały w pierwszym rzędzie…

To jest historia o mocy słów, o pracy pedagogicznej, o odwadze bycia sobą. Oto ona…

Warszawa, Stare Bielany rok 1968

Mam 16 lat i uczęszczam do XXII LO im. José Martí. Zaczyna się właśnie lekcja polskiego z moją ulubioną nauczycielką a jednocześnie wychowawczynią mojej klasy – IV D. Pani Abramowicz jest jak zwykle uśmiechnięta i pogodna, rutynowo sprawdza listę obecności, po czym zamyka dziennik i ogłasza:

„A teraz klasówka."

Jestem wściekła, bo nie cierpię klasówek! Moja wolna i niezależna osobowość uwielbia się uczyć, ale nie znosi klasówek… Kocham lekcje polskiego mojej wychowawczyni – przez te lata zaszczepiła mi swoją miłość do poezji i literatury a tu bęc! Klasówka czyli nudaaa!! Pani Abramowicz pisze na tablicy 3 tematy wypracowania do wyboru: coś tam z Kochanowskiego, coś innego z Żeromskiego i coś jeszcze z Reymonta. Owszem jestem dobra z polskiego i może nawet coś tam bym naskrobała na jakiś temat…, ale tu nagle na tablicy ukazuje się temat Nr 4: „LIST DO WYCHOWAWCZYNI."

TO JEST COŚ DLA MNIE!!! Przez 2 godziny z wypiekami na twarzy piszę, piszę, piszę ten list, nie przerywając ani na chwilę. W pewnym sensie ten list pisze się sam, albo ten list mną pisze… Wylewam na tych kilkunastu kartkach wszystkie moje nastoletnie rozterki duszy i dylematy osobowości, lęki i ograniczenia,

marzenia i zuchwałe plany..., odkrywam wstydliwe tajemnice nieśmiałej nastolatki nigdy nikomu nie opowiedziane...., bo nikt dorosły nigdy mnie nie chciał wysłuchać. To pozwolenie, by do niej napisać list, jest dla mnie objawieniem, nie mam najmniejszego pojęcia, jak ważnym jest aktem odwagi... No to piszę jak opętana, bo w tym pisaniu do wychowawczyni, którą tak bardzo kocham i której tak bardzo ufam, odnajduję swoistą ulgę... i jakiś luz ... i pogodzenie się z samą sobą a może nawet z życiem...

Dzwoni dzwonek. Oddaję wypracowanie. I wtedy dopada mnie przerażenie:

„Co ja narobiłam...?" Tak się odkryć... Tak totalnie wylać z siebie wszystkie rozterki i ujawnić tajemnice...??"

Ale odpuszczam ten temat. Życie szkolne jest zbyt ciekawe i toczy się dalej pod dyktando dzwonków na przerwę. Uwielbiany przez uczniów nasz rusycysta – Maciek Bernbacher chodzi po korytarzach, praktykując szalone miny i „akademię śmiesznych kroków". Jego lekcje są pełne humoru, więc rosyjski sam wchodzi do głowy. „Dziadek", nauczyciel matmy (matematyki) rwie włosy z siwej głowy nad naszą tępotą. Pani Krosnowska, od geografii, jakoś znajduje do mnie kluczyk i zaszczepia we mnie miłość do podróży. Koledzy i koleżanki z równoległych klas okazują się fajnymi kumplami do drak szkolnych, zabaw i wycieczek. Ich nauczycielka matematyki, pani Sroka, wydaje się bardzo groźna, ale pani od francuskiego, Krystyna Bielczyk, budzi mój codzienny podziw swoją urodą i elegancją. Jej syn, Piotrek, jest w mojej (angielskiej) klasie. Znamy się z nim od podstawówki. Do dzisiaj.

I przychodzi TEN DZIEŃ. Pani Abramowicz na lekcji polskiego rozdaje wycenione na jakiś stopień (wtedy 2 czyli pała to najgorsza, a 5 to najlepsza ocena), poprawiane często i gęsto jej czerwonym długopisem wypracowania. Wywołuje mnie, wstaję z ławki, by odebrać moje kiepskie wypracowanie (pała na 100% myślę), podchodzę do stołu nauczycielskiego, a ONA patrzy mi w oczy i patrzy, i patrzy, i czas się zatrzymuje w jakiejś magicznej przestrzeni, którą na dzisiaj mogę po prostu nazwać porozumieniem dusz... Wręcza mi moja wychowawczyni „to" wypracowanie i tajemniczo się uśmiecha. To ja też się głupkowato uśmiecham

i wracam na swoje miejsce. Nie mam odwagi popatrzeć na ostatnią stronę, bo tam jest ocena… W końcu patrzę i oczom nie wierzę, bo jest wielka czerwonym długopisem 5+ oraz pięknym charakterem pisma pani Abramowicz uwaga:

„Pisz Ewka pisz. Masz talent."

I tak oto moja wychowawczyni jako pierwsza osoba dorosła pochwaliła mnie i uznała, że ta moja pisanina jest coś warta (od dziecka pisałam pamiętnik, a potem dużo „do szuflady"). Uwierzyłam jej i zaczęłam pisać już nie tylko do szuflady, ale zaczęłam publikować pod pseudonimem KONEWKA moje eseje, krótkie opowiadania w harcerskiej gazecie „NA PRZEŁAJ" i innych. Wygrałam nawet jakiś ogólnopolski konkurs.

Reszta jest historią. Po prostu zaczęłam pisać… Często po maturze odwiedzałam Alę w jej domu. Nasze filozoficzne rozmowy o życiu i literaturze kształtowały mój charakter, a przez to i mój los…

Historia kołem się toczy: cd. jesień 2000, Warszawa, Stare Bielany

Właśnie przyjechała do mojego domu na Kleczewskiej z drukarni moja pierwsza książka pt. *Zakochaj się w życiu – podręcznik małych kroków dla poszukującej duszy.* Rozrywam niecierpliwie pierwszą z brzegu paczkę, przytulam do serca jeden egzemplarz książki i lecę z nią pędem kilka ulic dalej do mojej (już na emeryturze) ukochanej wychowawczyni – Ali Abramowicz. MUSZĘ SIĘ POCHWALIĆ! Zapraszam ją, by była moim gościem na moim pierwszym wieczorze autorskim. Zgadza się. I nawet na chwilę wzięła na tym spotkaniu mikrofon do ręki i powiedziała tak:

„Praca pedagoga jest interesującą pracą. Bo nauczyciel robi wszystko najlepiej jak potrafi, ale nigdy nie wiadomo, co z tej jego pracy wyjdzie. Mnie wyszła Ewka."

Dostała owację na stojąco. Ja się popłakałam. Tak jak płaczę ze wzruszenia teraz pisząc te słowa wiosną roku 2020.

Ewa Foley (Bednarczyk) obecnie

Archiwum prywatne

Jacek Maślankiewicz – absolwent z 1973 r.

Absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, artysta malarz, odznaczony w roku 2013 przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Honorową Odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej", Członek Komisji Kultury Polskiego Komitetu Olimpijskiego, notowany w Kompasie Sztuki Polskiej, Prezes Okręgu Warszawskiego Związku Polskich Artystów Plastyków (2010–2016)

Budynek na Staffa 111 powstał na początku lat 60-tych. Gdy Pan zaczął chodzić do liceum, budynek pewnie pachniał jeszcze nowością. Jak wyglądały sale lekcyjne? Czy były nowoczesne jak na tamte czasy?

„Trafiłem" do Liceum 22 w roku 1969. Zapach nowości nieco się już ulotnił. Sale lekcyjne były raczej standardem na owe czasy w trakcie mojej nauki... Nazywane pracowniami, jako że wyposażenie w mniejszym (j. polski, matematyka) lub nieco większym stopniu (biologia, chemia, fizyka) odpowiadało zajęciom przeprowadzanym tamże. Pamiętam, iż w pierwszych (i późniejszych) dniach pobytu w szkole element nowoczesności nie był istotnym wrażeniem.

Na początku lat 70. organizowano w szkole bardzo dużo różnych zabaw tanecznych. Czy brał Pan w nich udział? Jak wyglądały takie dyskoteki?

Tak, bodaj we wszystkich. Szkoła startowała – m.in. w konkursach „Zabawa, jakiej nie było" Nie pamiętam dokładnie – nie mam dokumentacji, ale do jednej – zatytułowanej bodaj „W Świecie Fantazji" robiłem pełną oprawę – taką dużą dekorację. I to – zdaje się – dało wygraną w rywalizacji z innymi liceami. Największą moją satysfakcją było to, że te duże formy malarskie robiłem w trakcie zajęć lekcyjnych... oddelegowany.

6 czerwca 1972 roku odwiedził Polskę Fidel Castro. Uczniowie naszego liceum oraz uczniowie Szkoły Podstawowej nr 92 witali „El Comendante" w jego ojczystym języku. Jak pamięta Pan tę wizytę?

Castro nie był raczej „idolem" mojej paczki..., ale Magda Gessler (wówczas Ikonowicz) z racji dobrej znajomości języka hiszpańskiego uczestniczyła w witaniu Castro.

Wizyta Fidela Castro w Warszawie, 07.06.1972 r.
Archiwum szkoły

Jakie jeszcze inne szkolne wydarzenie zapisało się Panu w pamięci?

Matura… Bo zdałem i do dziś nie wiem tak do końca, jak to było możliwe. A najsilniejsze emocje we wspomnieniach to wakacyjne obozy żeglarskie na Mazurach, które organizował znakomicie Leciej – prof. Leciejewski.

Jaki był Pana ulubiony przedmiot? Którego nauczyciela wspomina Pan najbardziej?

Zdecydowanie WF i pan Leciejewski.

Czy utrzymuje Pan kontakt z kolegami i koleżankami z klasy?

Tak, z wieloma i są to nadal bardzo bliskie kontakty.

Jest Pan synem artysty malarza, Ireneusza Maślankiewicza. Malował Pan zapewne od dziecka. Czy liceum pozwalało Panu rozwijać tę pasję?

Z tą swobodą realizacji pasji było różnie. Faktycznie od lat dziecięcych byłem zdecydowany na studia w ASP i chciałem podążać artystyczną drogą. Ogromną w tym rolę odegrali rodzice – Ojciec – artysta malarz i Mama – pierwsza i najlepsza recenzentka ojca, a później i moich dokonań. Było mi raczej

trudno uwierzyć w sens nauki z wielu przedmiotów... Nauczyciele przymykali oko, szkołę ukończyłem dzięki plastycznym umiejętnościom.

Czy jakiś Pana obraz przedstawia wspomnienie z czasów młodości?

Tak, z bardzo wczesnej młodości. Zatytułowany „MIŚ" – obraz olejny z roku 1961. Mając 6 lat „podebrałem" Ojcu jakieś podobrazie i skorzystałem z Jego palety i pędzli. Obraz wisi u nas do dziś...

Kiedyś Bielany nie były tak zabudowane, było pełno przestrzeni. Jak bardzo się zmieniły? Czy były dobrym „modelem", „materiałem" do namalowania?

Odpowiem może trochę paradoksalnie, ale im bardziej się zabudowały, tym bardziej były... W latach 80. pierwszym, moim, profesjonalnym cyklem obrazów były NOKTURNY. Bielańskie ulice odegrały w tym istotną rolę – tzn. bardziej nocne, rowerowe wypady.

Rozmawiała: Karolina Rudzik

z cyklu Nokturny
„STUDNIA"
rok powstania 1987

z cyklu Nokturny
„PRZEDŚWIT"
rok powstania 1987

Archiwum
Jacka Maślankiewicza

Ewa Afteni-Zdrzalik – absolwentka z 1975 r.

Nauczycielka języka francuskiego, absolwentka filologii romańskiej UŁ,
tłumaczka języka francuskiego

Ewo, pamiętam nasze pierwsze spotkanie. Przyszłam do szkoły na rozmowę kwalifikacyjną o pracę. Miałaś dyżur przy wejściu. Od razu mnie zauważyłaś – byłam zagubiona, nie wiedziałam, w którą stronę iść, z początku szkoła wydawała mi się małym labiryntem. Podeszłaś do mnie i z uśmiechem na twarzy zaproponowałaś pomoc. I odprowadziłaś mnie do sekretariatu, po drodze mówiąc mi, że trafiłam do dobrej szkoły z cudowną i miłą atmosferą. Ucieszyłam się i jeszcze bardziej chciałam tu pracować. I udało się, we wrześniu 2012 roku dołączyłam do Waszego grona. A Ty stałaś się moją mentorką i wzorem. Cieszyłam się na nasze wspólne akcje. Najpierw były jasełka. Wspaniała praca z młodzieżą i obserwowanie Ciebie w akcji. Jak Ty wspominasz organizację szkolnych jasełek i koncertu kolęd?

Byłam już wcześniej pod urokiem niektórych jasełek, szczególnie tych wystawianych pod opieką Janusza Noniewicza. Te najciekawsze były wystawiane na scenie w kościele pod wezwaniem św. Zygmunta. Przez lata nie raz całkiem przypadkowo zajmowałam się przedstawieniami świątecznymi. Ale to, co mnie najbardziej interesowało, co było mi najbliższe, to przygotowanie występów wokalno-muzycznych. Młodzież sama zgłaszała się do występów. Przez lata przewinęło się przez nasze występy kolędowe wiele talentów. Miło mi, że zapamiętałaś mnie od pierwszego razu.

Pamiętasz jak wpadłyśmy na pomysł na kolejne muzyczne wydarzenie, czyli *JoséSong*? I to Ty wymyśliłaś tę nazwę!

Pamiętam, że zastanawiałyśmy się nad jakimś konkursem wokalnym. I wtedy przyszła do nas Sandra Zaleska i David Vargas. Oni, o ile pamiętam, myśleli o konkursie wokalnym w języku hiszpańskim. I tak doszło do połączenia pomysłów. Nazwa *JoséSong* to połączenie nazw – naszej szkoły i song. Nazwa się udała. Cieszę się.

Podczas przesłuchań konkursu *JoséSong*, z Karoliną Rudzik i Davidem Vargasem, 2016 r.
Archiwum szkoły

Od dwóch edycji jesteś w gronie jury naszego konkursu. Jak podoba Ci się ta rola? Czy młodzież śpiewa dobrze po francusku? Na co zwracasz uwagę najbardziej?

Bycie jurorem to dla mnie ogromny zaszczyt, to wielka odpowiedzialność – oceniać czyjeś zdolności językowe i wokalne. Większość młodzieży dobrze sobie radzi. Widać ich wielką pasję do nauki języków. Doceniam wielką pracę nauczycieli, którzy ich przygotowują do występu. Uwagę zwracam głównie na poprawność wymowy, akcent i melodię wypowiedzi.

Łączy nas nie tylko miłość do muzyki, języków, młodzieży, ale też fakt, że pracowałyśmy w liceum, które wcześniej ukończyłyśmy. Ja jestem absolwentką XLIX Liceum Ogólnokształcącego im. J. W. Goethego, w którym też pracowałam. Ty jesteś absolwentką naszego liceum, XXII LO im. José Martí, w którym również pracowałaś. Powrót do starych murów szkolnych i praca jako nauczyciel była dla mnie czymś wyjątkowym i niesamowitym. Nagle moi nauczyciele stali się kolegami z pracy. Miło było też powspominać dawne czasy i poczuć ten specyficzny szkolny zapach. A jakie były Twoje wrażenia z tej innej perspektywy? Jakie różnice widziałaś?

Bardzo się ucieszyłam, że dawny dyrektor (Waldemar Pacholec) od razu przyjął mnie do pracy. Pracowali tu jeszcze niektórzy nauczyciele, którzy kiedyś mnie uczyli, np. Danuta Lewczuk (fizyka) i Anna Baranowska (język rosyjski). Było bardzo miło i ciekawie pracować z dawnymi nauczycielami, korzystać z ich doświadczenia i słuchać ich uwag na radach pedagogicznych. Zawsze chciałam pracować z młodzieżą, więc pomału spełniały się moje marzenia. Wielkiej różnicy nie zauważyłam, łatwo było mi wejść w nowy/stary świat.

Jak wyglądała szkoła w latach 70-tych, kiedy chodziłaś do liceum?

Szkoła lat siedemdziesiątych to więcej dyscypliny. Należało nosić tarczę, odpowiednie obuwie i fartuszek. Co do fartuszka, to zbuntowałam się już w czwartej klasie i nosiłam „moje" ubrania. Poza tym w szkole było już więcej

miejsca, młodzież była trochę z innej epoki, dziś można powiedzieć – zdyscyplinowana i skupiona.

Nie mieszkam na Bielanach, ale uwielbiam je. Są oazą spokoju, lubię tu spacerować, jest tu bardzo zielono i klimatycznie. Gdy mam chwilkę wpadam na Plac Konfederacji do ulubionej kawiarni. Zawsze muszę się przejść ulicą Płatniczą, zachwyca mnie. Wiem, że mieszkasz na Bielanach „od zawsze". Jak Bielany wyglądały w latach 70-tych, gdy chodziłaś do szkoły? Miałaś swoje ulubione miejsca jako licealistka? Gdzie młodzież spędzała swój czas wolny?

Bielany kocham „od zawsze", mieszkam tu prawie od samego początku. Spotykaliśmy się przeważnie u kogoś w domu, nie raz jakiś wspólny wypad do kina. Jeździliśmy na wycieczki do Izabelina, Lasek i na Dewajtis (nad Wisłę). To był miły czas.

Początek lat 70-tych
Archiwum prywatne

Czy jako uczennica brałaś udział w akademiach szkolnych, konkursach? Dużo się działo w szkole?

Niestety nie pamiętam. Raczej nie brałam udziału w akademiach. Co jakiś czas odbywały się uroczystości i jakieś apele (na parterze szkoły przy bibliotece).

Miałaś ulubiony przedmiot? Jak wspominasz nauczycieli? Kto był Twoim wychowawcą?

Moje ulubione przedmioty to polski, francuski i rosyjski. Praktycznie po maturze mogłam wybierać: polonistyka, rusycystyka, czy filologia romańska. Wygrała ta ostatnia. Choć dziś na emeryturze spełniam marzenie z przeszłości i uczę dzieci ukraińskie i białoruskie języka polskiego. Język rosyjski też się przydaje. W klasie pierwszej miałam cudowną nauczycielkę francuskiego – panią Krystynę Bielczyk. Prawdziwa dama. Ceniłam też ogromną wiedzę polonistek – pani Sabiny Frączek i pani Jadwigi Przybylskiej-Gmyrek. Ceniłam też wiedzę i podejście do młodzieży Anny Baranowskiej. Wychowawcą był cudowny człowiek – kapitan Adam Reszka.

Jesteś nauczycielką języka francuskiego. Kochasz ten język, jak ja język niemiecki. Skąd ta miłość do francuskiego?

Miłość do francuskiego to zupełny przypadek, choć miałam dalszą część rodziny we Francji i początkowo dzięki mojej wspaniałej cioci miałam możliwość wyjazdu tam (a były to czasy głębokiej komuny – kłopoty

z wyjazdami). Praktycznie pochodzę z rodziny dwujęzycznej (tu chodziło o niemiecki), ale z powodu przejść wojennych w części mojej rodziny język niemiecki był początkowo, niestety, izolowany i odrzucany. Do niemieckiego wróciłam z siostrą po kilku latach. Dziś uważam, że każdy język, który poznajemy, ubogaca nas i całą naszą kulturę, historię i pomaga w kontaktach międzyludzkich. Przez lata studiów i wyjazdów naukowych miłość do francuskiego się pogłębiała. Poznawałam ludzi, z którymi mogłam porozmawiać na każdy temat w języku francuskim. Ludzi z całego świata, bo z: Azji, Afryki, Europy, Kanady. Język nas łączy.

Pracując w naszej szkole, często organizowałaś wycieczki do Paryża. Czy pamiętasz jakieś ciekawe historie z tych podróży?

Kilka razy organizowałam wycieczki do Francji. Za każdym razem była to moc atrakcji i wrażeń. Cudowny świat zabytków, muzeów stał dla nas otworem. Kiedyś mieliśmy też wymianę z liceum z Francji. To też ważne przeżycie. Pokazaliśmy im kawałek Polski (wielkie przeżycie podczas wspólnego zwiedzania Oświęcimia – byłam tam wtedy pierwszy raz). Ogromne emocje. Mieliśmy okazję w ramach tej wymiany uczestniczyć w życiu tego liceum. Wspólne lekcje, posiłki i rady pedagogiczne. Wspaniała wymiana doświadczeń. Podróże kształcą.

Wycieczka do Paryża
Archiwum szkoły

Wycieczka do Francji w 2014 r.
Pani Ewa Afteni-Zdrzalik i pani Grażyna Zagórska
Archiwum prywatne

A jak wspominasz uczniów, już jako nauczycielka i wychowawca? Utrzymujesz z nimi kontakt?

Uczniów zawsze wspominam miło, wiele razy zaskoczyli mnie bardzo pozytywnie swoją ogromną zmianą. Z kilkoma uczniami mam kontakt, raczej luźny, ale serdeczny. Każdy z nich zostawił jakiś ślad w moim sercu. Czasami spotykam uczniów, którzy nie byli moimi wychowankami, ale stają na mojej drodze i miło wspominają lekcje i szkołę. Nauczanie przynosi nieoczekiwane plany, jestem/jesteśmy tego świadkami.

Przyjaźnie z liceum pozostają zazwyczaj na całe życie. Wiem, że spotykasz się z koleżankami z klasy. Czy oglądacie często szkolne zdjęcia, czy wspominacie szczególnie jakieś zdarzenie z czasów szkoły?

Mam kilka koleżanek, z którymi jestem dosyć blisko. W miarę możliwości doradzamy sobie i organizujemy małe spotkanie przy kawie (w tym zabieganym świecie). Nieraz oczywiście wspominamy dawne lata, ale życie biegnie dalej i bieżące tematy są na pierwszym miejscu. Ważne, że jednak takie osoby są wokół nas. Nasza młodość przypadła na te same lata i może dlatego lepiej się rozumiemy.

Rozmawiała: Karolina Rudzik

Zofia Wójcik-Parol

Nauczycielka fizyki w XXII LO

Jak zmienił się stosunek uczniów do przedmiotu na przestrzeni lat, kiedy Pani uczy?

To zależy, teraz niestety nie uczę w klasach, w których fizyka jest rozszerzona. Trudno niestety wzbudzić entuzjazm w uczniach klas z fizyką na poziomie podstawowym. Dawniej i teraz nie jest to ich ulubiony przedmiot.

Jak się zmieniło Pani nastawienie do uczniów?

Moje w żadnym stopniu. Zawsze staram się zainteresować fizyką, i martwię się, gdy nie osiągam celu.

ESCUELA "JOSE MARTI"

UN RINCON DE CUBA EN VARSOVIA

Un grupo de alumnos repasa durante el receso.

EN la escuela "José Martí" de Varsovia, en la República Popular de Polonia se conjuga el estudio con el trabajo siguiendo las experiencias de la educación cubana.

La vinculación de la producción al estudio no es nuevo en este país de Europa Socialista, sin embargo, profesores y alumnos de la escuela que lleva el nombre del Apóstol de Cuba, visitan anualmente la isla del Caribe para poner en práctica, en formas similares, este método que comenzó a practicarse con la instauración del Gobierno Revolucionario.

El centro de estudios, de nivel secundario, está situado en el barrio norte de Varsovia —Bielany— y posee una matrícula de 650 alumnos de uno y otro sexos.

En el último curso escolar hubo un total de 157 graduados de bachillerato, el alumno de mejor expediente entregó su diploma de egresado al Embajador de Cuba en Varsovia, práctica que se sigue al finalizar cada período anual. Cuarenta de estos jóvenes recibieron, además, certificado de graduados en idioma español; tres continuaron estudios de licenciatura española.

Todo el interior del centro docente hace recordar Cuba. Los que no conocen el Primer País Socialista de América tienen en él una amplia visión de la patria de Martí.

En los pasillos se destacan fotografías del Comandante Fidel Castro, Primer Ministro del Gobierno Revolucionario y del Guerrillero Heroico, Ernesto Che Guevara. En el otro extremo se advierte un hermoso "Rincón Martiano", homenaje al Apóstol cubano cuyo nombre ostenta la escuela.

A la entrada de la biblioteca se lee: "Una casa sin libros es como una playa sin sol", uno de los numerosos pensamientos de Martí; tiene un rico surtido de libros de autores cubanos entre los que se destacan las obras de José Martí, títulos de Alejo Carpentier y otros. Los estudiosos del idioma español disponen de numerosas publicaciones cubanas: periódicos "Granma", revistas "BOHEMIA", "Cuba", etc., con que practicar y documentarse aún más sobre la lejana isla.

La cátedra de Ciencias Naturales cuenta con una gran variedad de ejemplares de la flora y fauna cubanas traídas por alumnos y profesores que, anualmente, en época de vacaciones, viajan a Cuba.

Estos viajes, que permiten a los visitantes conocer los distintos logros de la Revolución para el disfrute del pueblo, son aprovechados por alumnos y profesores para tomar experiencias que posteriormente ponen en práctica.

La escuela tomó el nombre de "José Martí" en el año 1961; en 1965, durante un acto solemne, recibió de manos del embajador cubano una hermosa bandera con la inscripción "Trabajo, Saber, Amistad, Socialismo". La organización de pioneros del plantel, por otra parte, adoptó —hace un año— el nombre de "Carlos Roloff Mialowski", patriota polaco colaborador de José Martí y quien participó con él en las luchas independentistas de Cuba.

Fotorreportaje de PL-Interpress

Malgosia Szweatk habla a sus compañeros sobre las costumbres del pueblo cubano.

Jak wyglądała ta sławna i wiecznie wspominana wycieczka na Kubę?

To był początek mojej pracy, zaczęłam uczyć w szkole 1971, a trzy lata później wybrałam się na Kubę. Wicepremier Kuby, który był gościem w naszej szkole, zaprosił nas do zwiedzenia swojego kraju. Stwierdził, że to będzie piękna wymiana młodzieży i nauczycieli. I w następnym roku pojechaliśmy. A razem z „dziećmi" pojechali nauczycielka geografii i dyrektor szkoły.

W czasie następnych wakacji przypadkowo byłam w szkole, kiedy zadzwonił telefon. Dzwonili z Głównej Kwatery Harcerstwa, że są gotowi do wyjazdu i jeśli my nie mamy zamiaru jechać to oni chętnie wykorzystają zaproszenie przypisane naszej szkole. Po długiej dyskusji przez telefon zdecydowałam, że spróbujemy zorganizować tę wycieczkę. W ciągu miesiąca zorganizowaliśmy paszporty i inne niezbędne dokumenty. Wraz ze mną pojechało pięciu uczniów i nauczycielka biologii. Harcerze polecieli na Kubę, a my mieliśmy wyruszyć trzy dni później.

Od razu zaczęły się kłopoty. Mieliśmy na Kubę wylecieć z Pragi Czeskiej, ale linie lotnicze nie chciały nas zabrać, bo mieli nadbagaż w samolocie. Myśleliśmy, że wycieczka się nie uda, ale później zrodził się pomysł, że może „Moskwa nas wyśle na Kubę". Nie pamiętam, jaki urząd podjął taką decyzję. Pojechaliśmy do Rosji, wtedy do Związku Radzieckiego. W Moskwie siedzieliśmy tydzień, czekając na lot na Kubę, w tym czasie pooglądaliśmy trochę miasto. I pewnego dnia okrzyk „Jutro wylot!", wszyscy myśleliśmy, że na Kubę. Nie, do Pragi Czeskiej. W Pradze byliśmy dwa dni i zastanawialiśmy się, czy następny kierunek to Warszawa. Na szczęście

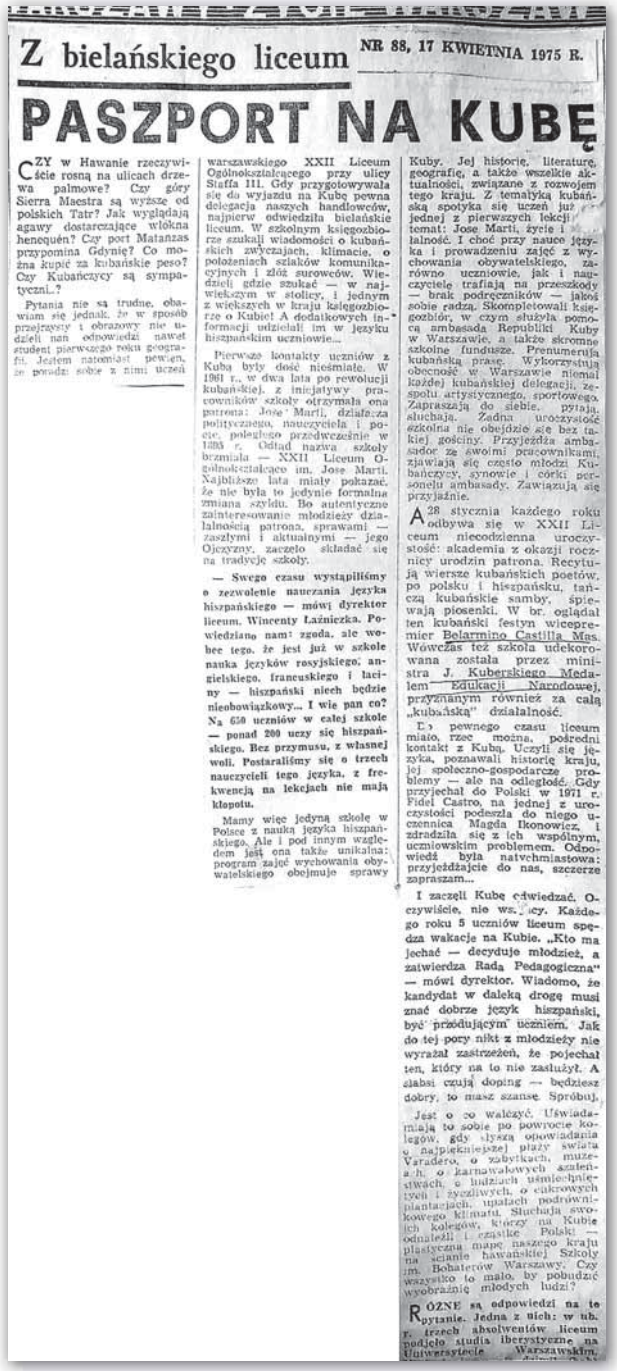

Z bielańskiego liceum NR 88, 17 KWIETNIA 1975 R.

PASZPORT NA KUBĘ

CZY w Hawanie rzeczywiście rosną na ulicach drzewa palmowe? Czy góry Sierra Maestra są wyższe od polskich Tatr? Jak wyglądają agawy dostarczające włókna henequén? Czy port Matanzas przypomina Gdynię? Co można kupić za kubańskie peso? Czy Kubańczycy są sympatyczni..?

Pytania nie są trudne, obawiam się jednak, że w sposób przejrzysty i obrazowy nie udzieli nań odpowiedzi nawet student pierwszego roku geografii. Jestem natomiast pewien, że powoli sobie z nimi uczeń warszawskiego XXII Liceum Ogólnokształcącego przy ulicy Staffa 111. Gdy przygotowywała się do wyjazdu na Kubę pewna delegacja naszych handlowców, najpierw odwiedziła bielańskie liceum. W szkolnym księgozbiorze szukali wiadomości o kubańskich zwyczajach, klimacie, o położeniach szlaków komunikacyjnych i złóż surowców. Wiedzieli gdzie szukać — w największym w stolicy, i jednym z większych w kraju księgozbiorze o Kubie! A dodatkowych informacji udzielali im w języku hiszpańskim uczniowie...

Pierwsze kontakty uczniów z Kubą były dość nieśmiałe. W 1961 r., w dwa lata po rewolucji kubańskiej, z inicjatywy pracowników szkoły otrzymała ona patrona: Jose Marti, działacza politycznego, nauczyciela i poetę, poległego przedwcześnie w 1895 r. Odtąd nazwa szkoły brzmiała — XXII Liceum Ogólnokształcące im. Jose Marti. Najbliższe lata miały pokazać, że nie była to jedynie formalna zmiana szyldu. Bo autentyczne zainteresowanie młodzieży działalnością patrona, sprawami — zaszłymi i aktualnymi — jego Ojczyzny, zaczęło składać się na tradycję szkoły.

— Swego czasu wystąpiliśmy o zezwolenie nauczania języka hiszpańskiego — mówi dyrektor liceum, Wincenty Łaźniczka. Powiedziano nam: zgoda, ale wobec tego, że jest już w szkole nauka języków rosyjskiego, angielskiego, francuskiego i łaciny — hiszpański niech będzie nieobowiązkowy... I wie pan co? Na 650 uczniów w całej szkole — ponad 200 uczy się hiszpańskiego. Bez przymusu, z własnej woli. Postaraliśmy się o trzech nauczycieli tego języka, z frekwencją na lekcjach nie mają kłopotu.

Mamy więc jedyną szkołę w Polsce z nauką języka hiszpańskiego. Ale i pod innym względem jest ona także unikalna: program zajęć wychowania obywatelskiego obejmuje sprawy Kuby. Jej historię, literaturę, geografię, a także wszelkie aktualności, związane z rozwojem tego kraju. Z tematyką kubańską spotyka się uczeń już w jednej z pierwszych lekcji: temat: Jose Marti, życie i działalność. I choć przy nauce języka i prowadzeniu zajęć z wychowania obywatelskiego, zarówno uczniowie, jak i nauczyciele trafiają na przeszkody — brak podręczników — jakoś sobie radzą. Skompletowali księgozbiór, w czym służyła pomocą ambasada Republiki Kuby w Warszawie, a także skromne szkolne fundusze. Prenumerują kubańską prasę. Wykorzystują obecność w Warszawie niemal każdej kubańskiej delegacji, zespołu artystycznego, sportowego. Zapraszają do siebie, pytają, słuchają. Żadna uroczystość szkolna nie obejdzie się bez kubańskiej gościny. Przyjeżdża ambasador ze swoimi pracownikami, zjawiają się często młodzi Kubańczycy, synowie i córki personelu ambasady. Zawiązują się przyjaźnie.

A 28 stycznia każdego roku odbywa się w XXII Liceum niecodzienna uroczystość: akademia z okazji rocznicy urodzin patrona. Recytują wiersze kubańskich poetów, po polsku i hiszpańsku, tańczą kubańskie samby, śpiewają piosenki. W br. oglądał ten kubański festyn wicepremier Belarmino Castilla Mas. Wówczas też szkoła udekorowana została przez ministra J. Kuberskiego Medalem Edukacji Narodowej, przyznanym również za całą „kubańską" działalność.

I> pewnego czasu liceum miało, rzec można, podręczny kontakt z Kubą. Uczyli się języka, poznawali historię kraju, jej społeczno-gospodarcze problemy — ale na odległość. Gdy przyjechał do Polski w 1971 r. Fidel Castro, na jednej z uroczystości podeszła do niego uczennica Magda Ikonowicz, i zdradziła się z ich wspólnym, uczniowskim problemem. Odpowiedź była natychmiastowa: przyjeżdżajcie do nas, szczerze zapraszam...

I zaczęli Kubę odwiedzać. Oczywiście, nie wszyscy. Każdego roku 5 uczniów liceum spędza wakacje na Kubie. „Kto ma jechać — decyduje młodzież, a zatwierdza Rada Pedagogiczna" — mówi dyrektor. Wiadomo, że kandydat w daleką drogę musi znać dobrze język hiszpański, być przodującym uczniem. Jak do tej pory nikt z młodzieży nie wyrażał zastrzeżeń, że pojechał ten, który na to nie zasłużył. A słabsi czują doping — będziesz dobry, to masz szanse. Spróbuj.

Jest o co walczyć. Uświadamiają to sobie po powrocie koledzy, gdy słyszą opowiadania o najpiękniejszej plaży świata Varadero, o zabawach, muzeach, o karnawałowych szaleństwach, o ludziach uśmiechniętych i życzliwych, o cukrowych plantacjach, ujałach podwodnego królestwa. Słuchają swoich kolegów, którzy na Kubie odnaleźli i czynie. Polski — plastyczną mapę naszego kraju na ścianie hawańskiej Szkoły im. Bohaterów Warszawy. Czy wszystko to mało, by pobudzić wyobraźnię młodych ludzi?

RÓŻNE są odpowiedzi na to pytanie. Jedna z nich: w ub. r. trzech absolwentów liceum podjęło studia iberystyczne na Uniwersytecie Warszawskim.

na lotnisko przyleciał samolot firmy „Cubana", co znaczyło, że mamy wycieczkę na Kubę. Wylądowaliśmy w Irlandii. Okazało się, że samolot jest niezdolny do dalszego lotu. Po 5–6 godzinach „załadowali" nas do autokaru i pojechaliśmy do hotelu. No i byliśmy tydzień w Irlandii, niestety nie zwiedzaliśmy. Po tygodniu wreszcie wsiedliśmy do samolotu, który zawiózł nas do Kanady, tj. na Nową Funlandię. Tam byliśmy krótko, tylko po to, aby zatankować paliwo. W końcu, jednak, dolecieliśmy na Kubę, do Varadero. Tam, na szczęście, na nas czekano. Harcerze już zakończyli swoją wycieczkę. Specjalnie dla nas zorganizowano pobyt i zwiedzanie. Spędziliśmy na Kubie dwa tygodnie. Wróciliśmy do Warszawy, już bez przygód, po rozpoczęciu roku szkolnego. To nie była moja ostatnia wycieczka, bo dwa lata później do Hiszpanii wybrałam się w taki sam sposób, po prostu odebrałam telefon.

Czy podczas wycieczki, zauważyła Pani wśród uczniów zrezygnowanie z powodu czekania na samoloty, czy bardziej ekscytację z powodu niewiadomego jutra?

Zrezygnowanie? Ależ skąd! Były z nami dwie dziewczynki z mojej klasy, które biegle władały językiem hiszpańskim, jeden z uczniów był chorążym szkoły i dwóch pozostałych bardzo sympatycznych chłopców. Cała piątka była zachwycona wyjazdem. Nie sądzę, żeby jeszcze kiedykolwiek w swoim życiu przeżyli tak ekscytującą wycieczkę.

W jakich wycieczkach szkolnych jeszcze Pani uczestniczyła?

Jak mówiłam, rok później pojechałam do Hiszpanii. Bardzo lubiłam wycieczki po Polsce z moimi klasami. Nie zdradzę Wam szczegółów tych wyjazdów, bo to już tajemnica moja i uczniów z tych klas, ale to były wspaniałe wycieczki. Jeździłam z uczniami na narty i organizowałam szkoły zimowe. Na białej szkole byłam dwa razy w Polsce i raz w Austrii.

Czy José podoba się Pani bardziej teraz, czy wtedy?

Wtedy oczywiście, bo miałam mniej lat. Ale naprawdę nadal w szkole czuję się bardzo dobrze.

Rozmawiali: Filip Jagnieża, Kornel Pańko, uczniowie kl. 1E3

Zofia Gajewicz (Łuczak) – absolwentka z 1976 r.

Naczelnik Wydziału Oświaty i Wychowania dla Dzielnicy Bielany m. st. Warszawy

Z racji swojej funkcji uczestniczy Pani w wielu przedsięwzięciach organizowanych w XXII LO. Można powiedzieć, że jest Pani absolwentką, która najczęściej odwiedza szkolne mury. Jakie to uczucie?

Jest to wielka radość. Za każdym razem jest to powrót do młodości. Gdy wchodzę do szkoły, zawsze mi towarzyszą wspomnienia, zawsze widzę tu swoje koleżanki, kolegów, nauczycieli i za każdym razem jest to bardzo miłe uczucie.

A jakie obecne uroczystości szkolne zapadły Pani w pamięć?

Najbardziej lubię spotkania z Teatrem Hiszpańskim i to, co prezentują uczniowie w języku hiszpańskim. Mają wielki talent aktorski i językowy. To ogromna przyjemność oglądać te spektakle, przygotowywane pod kierunkiem pani profesor Moniki Zwierzyńskiej-Pióro.

Dzień Patrona w 2018 r., Zofia Gajewicz (naczelnik Wydziału Oświaty i Wychowania dla Dzielnicy Bielany) stoi pośrodku (szósta od lewej) obok pana Zbigniewa Ślęzakowskiego, dyrektora liceum, i obok pana Grzegorza Pietruczuka, burmistrza Dzielnicy Bielany m.st. Warszawy. Na zdjęciu jest również m.in. Jego Ekscelencja Jorge Martí Martínez – Ambasador Republiki Kuby oraz pani Monika Zwierzyńska-Pióro, opiekun sekcji dwujęzycznej

Archiwum szkoły

Czy język hiszpański był też na takim wysokim poziomie, gdy Pani chodziła do szkoły?

Niestety miałam pecha. Gdy dostałam się do liceum, do klasy ogólnej, miałam mieć hiszpański, i nawet miałam kilka lekcji ku mojej wielkiej radości, ale później nauczycielka przestała pracować. Język hiszpański został zamieniony na rosyjski i już tak pozostało.

Dziesięć lat temu szkoła przeszła generalny remont. To była duża metamorfoza?

Tak, zmieniła się, ale wydaje się jeszcze trochę za mała na obecne standardy i przydałoby się ją nieco rozbudować. Szczególnie salę gimnastyczną. Na pewno przydałaby się aula. I tego bym życzyła jeszcze szkole.

Podczas remontu lekcje odbywały się po drugiej stronie ulicy, w Ratuszu. Jak Pani wspomina ten okres?

Zofia Gajewicz (Łuczak) ze swoją klasą (trzeci rząd od dołu, druga z prawej)
Archiwum prywatne Zofii Gajewicz

Dobrze wspominam wizytę młodzieży w ratuszu i w ogóle to nam nie przeszkadzało. Czasami młodzież pisała śmieszne rzeczy na kartkach i to było dla nas przesłanie, czasami się wygłupiali, ale to też dobrze. Bliskość ratusza i szkoły była przydatna, i dla nauczycieli, i dla uczniów.

Wróćmy jeszcze do wspomnień Pani z okresu licealnego. Jak Pani wspomina nauczycieli?

Miło wspominam panią profesor Anię Ponikowską, nauczycielkę języka angielskiego. Wtedy dopiero zaczynała pracę i była niewiele starsza od nas. Była delikatna, wspaniała, nieśmiała, cudowna. Wspominam ją z wielkim sentymentem. Bardzo dobrze wspominam też panią Barbarę Stefańską, nauczycielkę chemii. Ja jestem raczej humanistką, a pani profesor była tak cudowna i tak wspaniale tłumaczyła chemię, że chemię, której nie kochałam, pokochałam i zaczęłam ją rozumieć. Pamiętam też panią profesor Sabinę Frączek, nauczycielkę języka polskiego. Była bardzo wymagająca, wiele nas nauczyła. Z polskim nie miałam nigdy problemu i to była dla mnie przyjemność. Moje koleżanki i koledzy niekiedy bali się pani profesor, ale to była mistrzyni, jeśli chodzi o język polski.

Zofia Gajewicz (Łuczak) w 1976 r.
Archiwum prywatne Zofii Gajewicz

Czy pamięta Pani jakieś ciekawe wydarzenia?

Pamiętam takie, które się nie nadają do opowiadania [śmiech], ale to były raczej pozaszkolne. A w szkole, jak to w szkole. Im człowiek jest starszy, tym z większym sentymentem wspomina szkołę, bo to jest po prostu jego młodość.

Czy pamięta Pani 30-lecie szkoły w 1975 roku?

Śpiewałam wtedy w chórze, który prowadził pan profesor Kuczewski, więc pewnie uświetniliśmy tę uroczystość. Pamiętam też, że dziewczyny tańczyły.

Czy utrzymuje Pani kontakty z osobami z liceum?

Nadal utrzymuję kontakty z moją ówczesną pierwszą miłością. Kilka osób z mojej klasy było na moim ślubie i przyjęciu weselnym, ale życie się tak

potoczyło, że nasze drogi się rozeszły i jedyny kontakt, jaki utrzymuję, to właśnie z moim byłym chłopakiem.

XXII LO to najstarsze liceum na Bielanach. Obecnie – najlepsza bielańska szkoła ponadpodstawowa. A jaką rangą cieszyło się liceum w latach 70.?

Bardzo dobrą. Uzyskałam dobry poziom wiedzy ze wszystkich przedmiotów i bez problemów dostałam się na studia. Szkoła wychowała wiele osób, które teraz odnoszą sukcesy w wielu dziedzinach. Liceum miało i nadal ma bardzo dobry poziom.

Rozmawiała: Karolina Rudzik

Wiesław Thor – absolwent z 1977 r.

Absolwent SGPIS na wydziale Ekonomiki Produkcji, do 1990 r. pracownik Polskiej Akademii Nauk, z przerwą 1,5 roczną na pracę jako magazynier w firmie polonijnej.

Od 1990 r. pracownik w Banku Rozwoju Eksportu (kolejno nazwa: BRE Bank, mBank) od stanowiska referenta do wiceprezesa zarządu (2002–2013) i następnie członka Rady Nadzorczej do 2017 r. Obecnie członek Rad Nadzorczych Deutsche Bank Polska, TU Warta i TU Europa.

Wiesław Thor obecnie

Archiwum prywatne

Do jakiego wydarzenia związanego z naszym liceum najchętniej Pan powraca?

Dobrze pamiętam, jakie wydarzenia ze szkoły źle mi się kojarzą. Wiele wydarzeń wynikało z jakiegoś porządku organizacyjnego, politycznego. W porównaniu ze szkołą z lat 50., mniej było inicjatywy dyrekcji, grona pedagogicznego, więcej było poprawności. Patronem szkoły był i jest José Martí i delegacja kubańska przyjeżdżała na uroczystości szkolne. Trzeba było być poprawnym politycznie, bardziej niż wiele innych szkół. Bardzo źle wspominam organizację obchodów 1 Maja. To był po prostu, mówiąc najprościej, czysty przymus. Oczekiwano, że młodzież będzie w tym uczestniczyła. Ja miałem o tyle gorzej, że przez rok albo dwa nosiłem sztandar szkoły. I ewentualne moje nieprzyjście na

pochód byłoby swoistą manifestacją, jeszcze gorzej przyjętą niż zwyczajna odmowa. Cierpiałem strasznie, nie znosiłem tego systemu, źle się w nim czułem. Byłem skrępowany i każda taka sytuacja, w której mnie do tego zmuszano, była dla mnie bolesna. Inne wydarzenia też raczej źle mi się kojarzą, bo działy się z przymusu, realizowano oczekiwania jakichś tam władz. Dyrekcja zachowywała się tak, jak wydawało się jej, że należy się zachować, żeby chronić szkołę i czasami ich samych. Takie były czasy.

Ale miło wspominam chór szkolny, którego byłem członkiem. Uczestniczyliśmy w wielu konkursach w województwie, które nawet wygrywaliśmy. Czułem się dumny, że mogę reprezentować szkołę. Opiekunem chóru był pan Stanisław Kuczewski.

Na 60-lecie liceum został nagrany film o historii szkoły. Stworzyła go Pani Stanisława Fabiańska. Czy kiedy Pan go oglądał, to odżyły w Panu jakieś wspomnienia?

Wspomnienia nie odżyły, kiedy oglądałem ten film. Być może migawki były zbyt krótkie. Być może brak głosu w niektórych miejscach powoduje, że wszystko jest bardzo odległe, trochę jakby człowiek oglądał wspomnienia z wojny z Mandżurii w 1904 [śmiech]. Najsilniej rezonuje w mojej wyobraźni fragment o początkach szkoły. Mam ogromny szacunek dla tych, którzy byli pierwsi w tym liceum. Ich stosunek do założycielki liceum – pani Zofii Ringmanowej – jest absolutnie unikalny. Tak sobie wyobrażałem licea przedwojenne. To był jeszcze ten sznyt, który powodował, że ludzie ze szkołą czuli bardzo silny związek. Szkoła nie musiała organizować niczego sztucznie, bo ludzie żyli w szkole i żyli szkołą i szkoła żyła nimi. Szkoła to nauczyciele i młodzież, którzy ze sobą spędzają czas. Kiedy ja się uczyłem, już tak nie było, również z powodów politycznych. Polityka zdeformowała funkcję liceum i w ogóle szkoły w Polsce. Dużo było propagandy. Nawet harcerstwo było nacechowane propagandą. We fragmentach z lat 70. próbuję odnaleźć siebie podczas uroczystości, gdy wprowadzany był sztandar lub wśród śpiewających w chórze.

W 1973, a potem w 1976 były wycieczki na Kubę. Kto w nich uczestniczył?

Wydaje mi się, że prymusi i osoby, które uczyły się hiszpańskiego. Ja uczyłem się tylko rok hiszpańskiego. Śmialiśmy się z kolegami, że chyba tylko

dlatego, że bardzo nam się podobała nauczycielka – pani Grażyna Bełkowska. Chłopcy szybko jednak wymiękli, no bo ile można platonicznie kochać się w nauczycielce i tylko dlatego uczyć się hiszpańskiego. Więc zaprzestaliśmy nauki hiszpańskiego. W tamtych czasach jakoś nie myśleliśmy, że hiszpański może się do czegoś przydać.

To jakich języków obcych Pan się uczył?

Byłem w klasie matematyczno-fizycznej, uczyłem się angielskiego i rosyjskiego. Rosyjski był obowiązkowy dla wszystkich, angielski powiedzmy, że fakultatywny. Humanistyczne klasy uczyły się francuskiego, biologiczno-chemiczne chyba angielskiego, matematyczno-fizyczna – angielskiego. Chyba niemiecki w ogóle nie był nauczany.

Jakiego nauczyciela wspomina Pan najlepiej?

Dwóch nauczycieli wspominam najlepiej, byli to nauczyciele: języka angielskiego – pani Basia Górska i wychowania fizycznego – pan Wojtek Leciejewski. W obu tych przypadkach nawet nie chodzi o to, że ci nauczyciele jakoś zachęcili mnie do zainteresowania się ich przedmiotem, bo po prostu interesowałem się tymi przedmiotami. Oni potrafili to zainteresowanie podtrzymać.

Pani Basia Górska była mądrym nauczycielem, który do niczego nie zmuszał, a raczej pozwalał na rozwijanie zainteresowań i to mi bardzo odpowiadało. Przyszedłem do liceum, nie znając angielskiego ni w ząb. W pierwszej klasie bardzo ciężko doświadczyła nas nauczycielka, którą nazywaliśmy Krwawa Zdzicha. Uczyła angielskiego, była bardzo wymagająca i wydawała nam się brutalna, zupełnie bezwzględna. Na pierwszej lekcji angielskiego mówiła po angielsku również do osób, które nigdy nie uczyły się tego języka. Żeby sprostać jej wymaganiom, zapisywaliśmy sobie wszystko fonetycznie. Żeby uniknąć dużego stresu, zacząłem się sam uczyć angielskiego i w ten sposób polubiłem angielski. Później w drugiej klasie była pani Basia Górska, która pozwalała mi poszerzać zainteresowania językiem angielskim.

Wojtek Leciejewski był o wiele starszym nauczycielem, jego siła i charakter wzbudzały we mnie zaufanie. Podobało mi się to, że jest mężczyzną o silnym charakterze. Pan Leciejewski organizował wyjazdy narciarskie i żeglarskie.

Ja jeździłem tylko na narciarskie. Zdarzały się sytuacje w tamtych czasach, że do PKS-u nie chciano nas wpuścić, a Wojtek Leciejewski po prostu zaparł się w drzwiach i spowodował, że pas ograniczający drzwi wejściowe do autobusu po prostu pękł jak zapałka. Myśleliśmy, że to niemożliwe, żeby ludzka siła mogła go przerwać. Wojtek Leciejewski to potrafił i w końcu weszliśmy do autobusu. Mieliśmy poczucie, że jesteśmy pod opieką kogoś silnego, osoby, która nie pozwoli nas skrzywdzić. Był rodzajem kumpla, mimo że był od nas znacząco starszy, był naprawdę fajnym nauczycielem, z którym się dobrze współpracowało, jeśli się było zainteresowanym sportem. Osoby, które nie interesowały się sportem, zapewne tak dobrze go nie wspominają, bo on nie wykazywał dla nich dużej tolerancji.

Grałem w koszykówkę, siatkówkę. Kiedy przyszedłem do szkoły, od razu dostałem się do reprezentacji szkoły w obu tych dyscyplinach. Mówiąc szczerze, większość mojego życia w liceum, poza jakimiś obowiązkami wynikającymi z odbębnienia klasówek i kartkówek, czy spotkaniami z dziewczynami, kręciło się wokół sportu.

Wiesław Thor podczas rozgrzewki, 1976 r.
Archiwum prywatne

Jak wspomina Pan nauczycielkę fizyki – panią Zofię Wójcik?

Teraz nie jestem obiektywny, bo się przyjaźnimy od wielu lat. W zasadzie to jest dowód na to, jak dobrze ją oceniam. To była osoba, która pomagała tym, którzy chcieli, żeby im pomóc. Nie zmuszała do nauki – „nie chciałeś się uczyć, to twoja sprawa, ty będziesz miał problem". Dla tych, którzy chcieli, zostawała po lekcjach, siedziała z uczniami nad zadaniami z matematyki i fizyki, godzinami. Więc znalazła się grupka osób, która zorientowała się, że może dużo skorzystać. To było dla mnie wcześniej niespotykane podejście. Była też rodzajem kumpla. Niby stwarzała duży dystans i masa ludzi się jej bała, ale z drugiej strony potrafiła nawiązać relacje partnerskie.

Myśli Pan, że fakt, iż pani Zofia Wójcik siadywała z Wami po lekcjach, nad zadaniami z matematyki i fizyki, mógł mieć wpływ na to, że został Pan wybitnym ekonomistą?

Raczej określiłbym siebie jako doświadczonego finansistę. A to, co zadecydowało o dalszym rozwoju, w tym kariery zawodowej, to moje rozległe, ale nie bardzo głębokie, zainteresowania w wielu dziedzinach. I to pomogło mi w rozwoju kariery zawodowej w okresie transformacji. Wiedza z matematyki z pewnością w tym pomogła.

A jaki był wychowawca Pana klasy?

Andrzej Pery był początkującym nauczycielem. Rozpoczął karierę nauczycielską od wychowawstwa w naszej klasie. Niestety trochę to nam zaszkodziło jako klasie, bo nie miał doświadczenia, ale później go bardzo dobrze wspominaliśmy. Różnica wieku nie była taka duża i potem z wieloma z nas pan Andrzej się zakolegował. Do dziś nie ma problemu, żeby do niego zadzwonić.

Zapewne wyjeżdżaliście na wycieczki klasowe.

Dobrze pamiętam jedną dłuższą wycieczkę organizowaną w trzeciej klasie. To była wyprawa do Krakowa i Oświęcimia. Z tego wyjazdu pamiętam wspólne balowanie w internacie. Wychowawca, w sposób odbiegający od dopuszczalnych norm, ale w sposób kontrolowany jednocześnie, pozwolił nam na trochę więcej niż powinien. Mowa także o spróbowaniu alkoholu. Nigdy nie żałował swojej decyzji, bo wiedział, że gdy zabroni, to i tak dojdzie do złamania zakazu. Traktował nas poważnie. A my się odpłaciliśmy poważnym zachowaniem.

To był jeden z ciekawszych momentów w nastoletnim życiu. Nauczyciel, który pozwoli sobie na trochę więcej luzu niż dopuszczałyby normy i zasady, może dużo zyskać i on wtedy dużo zyskał w naszych oczach, a my w jego. I od tego czasu nigdy nie mieliśmy problemu ze współpracą. Z tej wycieczki pamiętam jeszcze jedną rzecz. Wtedy trwała budowa trasy katowickiej i wracaliśmy w nocy autobusem trasą, która jeszcze nie była dokończona. Pamiętam więc budowę „gierkówki".

Czy utrzymuje Pan kontakty z kolegami?

Tak, z kilkoma osobami pracowałem w jednej firmie albo spotykaliśmy się na gruncie zawodowym, kiedy oni wykonywali jakieś zadania dla mojej firmy. Poza tym przyjaźnię się z osobami, z którymi wówczas się zaprzyjaźniłem. Z moim przyjacielem Grzegorzem Skotnickim nadal utrzymuję kontakt. Spotykamy się regularnie. Uprawiał sport, był świetnym siatkarzem. Mam też kontakt z Ewą Sławińską, która organizuje nasze spotkania klasowe. Te kontakty nigdy nie wygasną.

Jaka była dyscyplina na lekcjach i jak o nią dbano w tamtych czasach?

Dyscyplina była większa niż w tej chwili. Nauczyciel był panem sytuacji i to on dyktował warunki współpracy ucznia ze szkołą i rodzica ze szkołą. Dzisiaj, z tego, co słyszę od znajomych nauczycieli, sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Kiedyś dyscyplina i szkoła to był synonim.

Czy w szkole były mundurki?

Mundurków akurat nie nosiliśmy, ale wymagano od nas noszenia tarczy. Przed szkołą robiono łapanki i nauczyciele sprawdzali przed wejściem do szkoły, czy tarcza jest, czy nie jest przypadkiem przymocowana agrafką. Powinna być przyszyta. I oczywiście musieliśmy zmieniać buty.

A czy był narzucony jakiś styl ubierania?

Tego nie pamiętam, ale przypominam sobie, że niektórzy nauczyciele, szczególnie starsi, „ścigali" za długie włosy. „Tępiono" również spodnie dzwony.

Czy pisaliście po ławkach, malowaliście po ścianach?

Nie, nawet trudno mi to sobie wyobrazić. Chyba, że jakiś łobuziak. Poza tym w sklepach nie było materiałów – chyba, że pędzel i farba. W toalecie strzelenie zapałką w sufit albo hartowanie peta – to było maksimum tego, na co było

nas stać, albo wyznanie miłości na drzwiach toalety. Poza tym nauczyciele ścigali za palenie papierosów. To był rytuał wpisany w funkcjonowanie szkoły. Nauczyciel wchodził do toalety i sprawdzał, czy czuć dym. Jak już mowa o tym, z czym się kojarzy szkoła, to z ganianiem tych, którzy w szkole palili.

Jakie ma Pan wspomnienia ze studniówki i balu maturalnego?

W ogóle nie byłem na balu maturalnym. Z kilkoma osobami z klasy zorganizowaliśmy sobie własne przyjęcie w domu. Z jakiegoś powodu uznaliśmy, że nie chcemy balować w szkole. Później trochę żałowałem, bo w domu można zawsze się spotkać, a bal maturalny jest tylko jeden. Natomiast, jeśli chodzi o studniówkę, kompletnie nic z niej nie pamiętam poza faktem, że sala gimnastyczna była przykryta siatką maskującą z jakiejś jednostki wojskowej. Pamiętam, że tańczyliśmy poloneza.

Pana siostra – Elwira również skończyła XXII LO. W 1981 r. chodziła do klasy z Agnieszką Brustman, arcymistrzynią szachową. Czy przyjaźniły się może?

Z opowieści mojej siostry wiem, że Agnieszka była raczej zamkniętą w sobie osobą. O ile wiem nie miała rozbudowanej grupki towarzyskiej wokół siebie i była bardzo skupiona na szachach. W szachach osiągnęła poziom najwyższy, arcymistrzowski. Dużo czasu poświęcała na grę w szachy i myślę, że na nic innego już go nie miała. Tylko szkoła i szachy. Wszyscy byli dumni z tego, że mają taką koleżankę.

Czy siostra szukała oparcia w starszym bracie i podpytywała o nauczycieli?

Elwira była bardzo dobrą uczennicą i świetnie sobie radziła z nauką, nie potrzebowała mojej pomocy.

W liceum uwielbiał Pan sport, a przede wszystkim siatkówkę. Czy nadal swój wolny czas spędza Pan na sportowo?

Tak. Na studiach byłem w reprezentacji koszykówki. W siatkówkę grałem w reprezentacji firmy, w której pracowałem przez wiele lat. Kocham narciarstwo, nie wyobrażam sobie roku bez wyjazdu na narty. Lubię jeździć na rowerze terenowym. Uwielbiam oglądać sport i moja miłość do siatkówki pozostała do dziś. Sport jest nadal dla mnie ważny i staram się być aktywny, pomimo że mam 61 lat. Jest to dla mnie odskocznia w życiu.

Rozmawiała: Karolina Rudzik

Romuald Zabielski – absolwent z 1979 r.

Profesor nauk weterynaryjnych, członek korespondent PAN, od 2019 r. pełni funkcję wiceprezesa Polskiej Akademii Nauk

Piszę to wspomnienie w drugiej połowie kwietnia 2020 r. w środku koronawirusowej zawieruchy. Fantastyczne oderwanie od pandemicznej rzeczywistości, które pozwala na chwilę odsunąć uwagę od wielu niewesołych wydarzeń i myśli krążących, powracających i świdrujących niepewnością dalszych dni. Jestem wdzięczny Organizatorom 75-lecia XXII LO za to chwilowe oderwanie od rzeczywistości. Zaraz po otrzymaniu tej niespodziewanej propozycji zaczęły otwierać się szufladki w mózgu, bo przecież, według amerykańskiego pastora Marka Gungora, męski mózg ma w środku szufladki, całą masę szufladek, które

Klasa III b w 1978 roku, górny rząd, czwarty od lewej to Romuald Zabielski

Archiwum prywatne Romualda Zabielskiego

gromadzą ściśle określone zbiory informacji… No i zaczęły wypływać z licznych przykurzonych, dawno nie używanych szufladek najrozmaitsze wspomnienia z lat licealnych. Najpierw o przyjaźniach, potem o mojej klasie i nauczycielach, o harcerstwie i o wielu różnych bardziej lub mniej ważnych, dobrych lub mniej dobrych wydarzeniach. Co z tego gąszczu wspomnień miałbym wybrać, aby nadawało się do druku, miało sens i najlepiej charakteryzowało lata 1975–1979 spędzone w moim Liceum. Dlaczego „moim"? Nie wiem, ale często właśnie tak je określam – Moje Liceum … Może dlatego, że spędziłem w nim cztery całkiem szczęśliwe lata, chociaż sama szkoła jest najzwyczajniejsza w świecie, ani wybitna, ani najgorsza. Przynajmniej w tamtych, moich, czasach była całkiem niezła jak na warszawską średnią, później już nie śledziłem rankingów. Na pewno położona najbliżej miejsca zamieszkania, tylko jedno przejście przez ruchliwą ulicę. Ale czy to wszystko upoważnia do określenia „moje"? Może uczniowie, moje koleżanki i koledzy byli obdarzeni szczególnymi cechami? Też nie, żadnych wybitnych osobowości, normalni młodzi ludzie w większości mieszkający na pobliskich żoliborskich ulicach, jak ja, moja żona Anna i brat Mariusz – też absolwenci XXII LO. Też jak ja, ci zwyczajni młodzi ludzie nie musieli wiele razy przechodzić przez ruchliwą ulicę w drodze do szkoły, a potem poszli na studia

Romuald Zabielski: dolny rząd, trzeci od lewej

„Prace społeczne", czyli dyrektor Łaźniczka uczy uczniów jak malować „suchym pędzlem", sadzić krzewy i zakładać trawnik, pierwszy od lewej Romuald Zabielski

Autorka zdjęć: Joanna Adamowska, wiosna 1978 r.

i rozpłynęli się po Warszawie i świecie, by żyć swoim życiem. Z niektórymi spotykamy się co kilka lat. Co by tu jeszcze?

Architektura szkoły nietuzinkowa, na przykład łatwo było niepostrzeżenie opuszczać sale na pierwszym piętrze, po rynnie, ale w sumie to żaden gmach historyczny (natenczas) i położenie też takie sobie, nie licząc pobliskich atrakcji typu bar Radek i kawiarenka Agatka.

No i nauczyciele… o nich za chwilę, bo w moim przekonaniu kilkoro z nich wpłynęło znacząco na moje dalsze życiowe losy i o kilku z nich będę chciał wspomnieć. Kadra nauczycielska XXII LO była bardzo ciekawym przekrojem środowiska nauczycielskiego zgodnym z krzywą rozkładu normalnego, od kilku naprawdę wybitnych, przez jednostki szare, bezbarwne po… eeech, ale miało być tylko dobrze w tych wspomnieniach. Liczebność populacji ze środka krzywej Gaussa prawdopodobnie powodowała, że o naszej szkole nie było tak głośno jak o Gottwaldzie czy Rejtanie, czy chociażby o żoliborskim Lelewelu. Ale cóż, codzienna wędrówka do jednego czy drugiego wiązałaby się z wielokrotnym przechodzeniem przez ruchliwą ulicę. Nawiązuję maniakalnie do tej ruchliwej ulicy, bo właśnie w połowie lat 70. królował dowcip o tejże, jako głównym powodzie wyboru tego czy owego, a według odgórnych zaleceń wydawców miałem także oddać ducha epoki. Więc oddaję. Dodam na obronę naszego ciała pedagogicznego, że szarość, bezbarwność nie wynikała z braków warsztatowych. To byli na ogół dobrzy pedagodzy, o czym świadczą chociażby wyniki. Z naszej klasy większość z tych, którzy składali egzaminy wstępne na studia, została przyjęta na swoje wymarzone kierunki na SGPiS, Politechnice czy Uniwersytecie. Ale poziom mistrzowski trzymała garstka, wymienię tu moje nauczycielki: angielskiego, biologii i fizyki albo nauczycieli historii i języka polskiego. Wybór całkowicie subiektywny, może nietrafny, może niezbyt sprawiedliwy. Byli też nauczyciele, jakby tu rzec, osobliwi albo nad wyraz osobliwi, których się łatwo nie zapomina, ale z powodów niekoniecznie związanych z wiedzą czy doświadczeniem. W sumie pedagogiczna mozaika sprawiała całkiem sympatyczne wrażenie i nawet cotygodniowe „leciejki", czyli przebieżki do Radka i z powrotem, serwowane na lekcjach w-f, czy osławione kartkówki z nazw stolic państw Afryki, nie umniejszają tego pozytywnego tonu wspomnień. Do dziś pamiętam:

Wagadugu – Górna Wolta, mimo że to od dłuższego czasu już nieaktualne. Lubiłem, jak widać, chodzić do tej szkoły nie tylko ze względu na bliskość i tę jedyną ruchliwą ulicę do przejścia. Byłbym zapomniał, grono pedagogiczne było wówczas kierowane ręką Dyrektora matematyka, który miał w zwyczaju wieszczyć przed każdą maturą, że oto: „nadchodzi czas oddzielenia ziarna od plewy". Uprzedzali nas o tym koledzy ze starszych klas i ja to słyszałem przed moją maturą, a trzy lata później mój brat i jeszcze rok później – Anna. Pan Dyrektor jeszcze z tego był znany, że na uroczystych akademiach niezależnie od ich intencji grzmiał: „uczniowie, waszym głównym obowiązkiem jest uczyć się", a po akademii wraz z ambasadorem Kuby zamykał się w swoim gabinecie na klucz. I tak sobie tam siedzieli, bywało, że długo.

Lata 1975–1979 były latami późnogierkowskiej niby–prosperity, w których jeszcze nie do końca czuło się narastające problemy polityczne i gospodarcze. Żyło się muzyką, niekoniecznie polską, ja szczególnie płytami *Wish You Were Here* i *Animals* zespołu Pink Floyd. Płytę *The Wall* wydali, kiedy byłem już na pierwszym semestrze moich studiów na SGGW. A *Wish You Were Here* jest nadal tą, do której szczególnie chętnie i często wracam. Przy okazji muzyki, nasza wspaniała nauczycielka języka angielskiego – pani Barbara Górska, która często tłumaczyła nam zawiłości tekstów piosenek brytyjskich i amerykańskich, raz nie dała się podpuścić i odmówiła tłumaczenia – z klasą, tekstów, powiedzmy szczerze – dość osobliwych, z albumu zespołu Budgie. Płytę i teksty przyniósł jeden z naszych kolegów, częsty bywalec bazaru na Wolumenie. Odmówiła klasie z klasą, z uśmiechem i bez żadnych konsekwencji w stosunku do autorów pomysłu, a my z żalem, że mały skandalik nam nie wyszedł, wynegocjowaliśmy spojrzenie na tekst *House of the Rising Sun* Boba Dylana. Była świetnym choć wymagającym nauczycielem, ale to dzięki Barbarze Górskiej moje lektoraty na studiach przeszły nadzwyczaj gładko, tak jak i pierwsze kontakty z naukowcami zza żelaznej kurtyny. Po muzyce na drugim miejscu był rower i wypady do Lasku Bielańskiego i Puszczy Kampinoskiej, samotnie lub z kolegami z klasy. Szczególnie pamiętam te wczesnowiosenne, kiedy wręcz wykradaliśmy po cichu rowery z piwnic czy garaży, żeby poszaleć po zamarzniętym strumyku i na resztkach śniegu w Lasku Bielańskim. Były też wrotki, takie przyczepiane pa-

skami do butów, bardzo hałaśliwe i wolne. Nieraz braliśmy wrotki na bagażnik rowerowy, żeby popróbować się z żołnierzami pilnującymi płyty lotniska na Bemowie. Rowery czekały ukryte w krzakach, kiedy my korzystaliśmy z niezmierzonej wstęgi pasa startowego. Raz o mały włos nie zostaliśmy złapani (to było w pierwszej klasie), ale chyba patrolowi nie chciało się nami zbytnio zajmować, bo nie wierzę, że nie byli w stanie nas dogonić swoim gazikiem. Tym niemniej, nie wiem czy dzisiaj potrafiłbym pojechać szybciej na moich rolkach niż na zgrzebnym sprzęcie podczas tamtej ucieczki. Na ubiór raczej w tamtych czasach nie zwracało się większej uwagi, nasze koleżanki owszem, ale męska część klasy nosiła się bez zbędnych ekstrawagancji. Ale, ale… koszule i spodnie w kolorach khaki z żoliborskiego „Apisu" były dla niejednego obiektem westchnień (jeden z licealnych kolegów, którego ojciec pracował w „Apisie" stał się przez to nadzwyczaj popularny). Do tego jeszcze granatowa elastyczna bluza z golfem, jeansowa kamizelka i… chłopczyk jak walczyk! Piszę o ubiorach z jeszcze innego powodu – był to dla mnie też czas… intensywnej nauki szycia ręcznego i maszynowego. Mój młodszy brat namiętnie grywał w hokeja na wrotkach (oczywiście na asfalcie i bez żadnych ochraniaczy) i często musiałem naprawiać na *cito* części garderoby, żeby zdążyć przed powrotem rodziców z pracy. Dzięki temu na studiach zaliczenie zajęć z szycia chirurgicznego przyszło z łatwością. Z tej szufladki ulało się, tak przy okazji innych wspomnień z lat licealnych, bowiem o rozwijaniu talentów w zszywaniu tego co już trudno zszyć, z wiadomych powodów nie wspominałem ani w szkole, ani tym bardziej w domu.

Spływ Dunajcem, drugi rząd pierwszy od prawej Romuald Zabielski, wiosna 1977

Archiwum prywatne

Zanim przejdę do rzeczy związanych stricte z nauką w czasach licealnych, może jeszcze trochę z szufladki „przyjaźń". Z szufladki „miłość" wystaje delikatna wstążka wspomnień, której nie podejmę, za to serdecznie pozdrowię

dziewczyny z tamtych lat. A przyjaźnie z lat licealnych…, widząc po moich bliskich i znajomych, potrafiły przetrwać bardzo wiele lat. Moje także przetrwały, chociaż tylko niektóre, wiele zgasło niedługo po maturze. Tłumaczę to głównie odległością i czasem, a raczej jego brakiem, wyjazdami, zaangażowaniem zawodowym. Część przyjaźni odgrzał stan wojenny, kiedy po zamknięciu uczelni podjąłem pracę jako salowa w szpitalu dziecięcym w Dziekanowie Leśnym. Zero nauki i długie wolne wieczory. Wtedy też odżyła liga brydżowa, chociaż w zmienionym składzie (o brydżu będzie jeszcze poniżej). Kiedy spotykamy się w gronie klasowym, a dzieje się to co kilka lat, widzę, że część z nas utrzymuje nadal ze sobą ożywione kontakty, a to już minęło ponad 40 lat od matury.

No i przyszedł czas na szufladki bardziej związane z XXII LO, czyli szufladki nauczycielskie. Jak wspominałem, szkoła była postrzegana przez pryzmat jej kadry, o niektórych jej przedstawicielach chodziły różne słuchy po całym Żoliborzu i nawet dalej. Będąc olimpijczykiem z biologii, trafiłem do klasy o profilu matematyczno-fizycznym (klasa Ib). Nie był to ślepy traf ani tym bardziej złośliwy los, tak wybrałem za namową rodziców, którzy nie uważali moich biologicznych zainteresowań za zbyt przyszłościowe, no może ewentualnie medycyna (w końcu stanęło na medycynie, tyle że weterynaryjnej). Mimo wspomnianych różnych słuchów, mojej klasie bardzo się poszczęściło, jeśli chodzi o nauczycieli przedmiotów ścisłych i nauk o życiu – mieliśmy chyba najlepszych. Osobiście, szczególnie doceniam wysiłki pani Jadwigi Kalbarczyk, nauczycielki biologii i wybaczam, że nigdy nie chciała mi postawić piątki na koniec semestru. Zawsze mówiła, że będzie ode mnie wymagać więcej niż od innych, a stać mnie na więcej. Oceny ocenami, ale dzięki takiemu podejściu na egzaminie wstępnym na studia nie miałem z biologią większych problemów i tak chyba pozostało do dzisiaj. Nauczycielka traktowała uczniów elegancko, chociaż z dystansem, zmuszała do czytania z wielu źródeł, wymagała kojarzenia faktów, prowadzenia obserwacji i pisania opracowań. Wiele zajęć mieliśmy z mikroskopem i preparatami, część preparatów tkanek roślinnych wykonywaliśmy sami. Pani Kalbarczyk, o czym dowiedziałem się wiele lat później, była aktywna w radach programowych nauczania biologii. Angażowała się w powstawanie podręczników i skryptów dla nauczycieli. Była to bardzo ciekawa postać i otaczana powszechnym

szacunkiem. Dla odmiany nauczyciel historii, pan Dariusz Karolak, nie był zbyt lubiany przez uczniów i był obiektem częstych, żywcem wziętych z dziewiętnastowiecznych książek dowcipów, ale niezwykle ceniłem jego rozległą wiedzę historyczną i rozumienie złożoności wydarzeń historycznych. Tym, co chcieli słuchać, przekazał sporo, szczególnie z historii XIX i XX wieku i, o zgrozo, w interpretacji nie zawsze zgodnej z tą obowiązującą w czasach PRL. Opowiadał, bardziej opowiadał niż uczył, o tragicznych losach polskich oficerów na wschodzie, chociaż o ile pamiętam ani razu nie padła żadna nazwa geograficzna, jak Kozielsk, Starobielsk czy Katyń. Pamiętam jego opowieści o powstaniu unii Polsko-Litewskiej i genezie II wojny światowej – pokazywał na ich przykładzie, jak ważny jest szerszy kontekst wydarzeń, jak duża może być rola zachowań, ambicji pojedynczych osób oraz jak dalece może różnić się ocena sytuacji dokonywana na bieżąco od tej czynionej po latach przez historyków. Jakiś czas później spotkałem go przypadkiem na Żoliborzu na ulicy, już w zaawansowanej chorobie. Poznał, zatrzymał się i pogadaliśmy serdecznie przez dłuższą chwilę. Bardzo był zainteresowany tym, gdzie studiuję, co robią inni koledzy z mojej klasy. Parę miesięcy później umarł. To był naprawdę bardzo wartościowy nauczyciel, który chciał młodzieży przekazać – jak rozumieć historię i jak z niej wyciągać wnioski dzisiaj, ale myśmy chyba tego nie umieli przyjąć.

Przysposobienie obronne, czy jakoś tak to się nazywało, kojarzy się z dziarskim majorem rezerwy Adamem Reszką. Jego żywiołem było żeglarstwo i prowadzenie drużyny żeglarskiej w 122. Szczepie WDH, czyli organizacji harcerskiej działającej w naszym liceum. Każdej wiosny przed garażem wystawiał z harcerzami z drużyny żeglarskiej brudne brzuchy omeg, które pieczołowicie czyszczono, a potem smarowano jakimiś lepiszczami. Każdego lata organizował obozy na jeziorach mazurskich. Harcerzy-nie-żeglarzy, ledwie tolerował, zmieniło się to po przejęciu szczepu przez Andrzeja Perego… Ale wracając do lekcji PO, po odejściu Majora i przelotnym epizodzie z innym dość osobliwym gościem, który w szkole zjawił się chyba przez przypadek, nastał też na niezbyt długo pan Sieczkowski (imienia nie pamiętam), który to bardzo przyczynił się do rozkwitu ligi brydżowej w naszej klasie. Bywało, że na jego lekcji grały 3–4 stoliki jednocześnie, co więcej prawie nikt nie chciał wychodzić na przerwę

między lekcjami PO. Nauczyciel nie mógł nie widzieć naszych rozgrywek, ale myśmy bardzo cicho licytowali, a on w tym czasie omawiał zakres zadań obrony cywilnej, budowę kbk czy zasady gaszenia pożaru A i B. Dyżurujące na ochotnika osoby robiły notatki z lekcji dla wszystkich. Nie pamiętam żebym chociaż raz podjął się tego dyżuru. Oczywiste, że karty znikały, kiedy w sali pojawiał się ktoś z zewnątrz, a szczególnie pani Dyrektor (Jadwiga Przybylska-Gmyrek, która z mocą podkreślała – magister), której nie wiedzieć czemu, nasz nauczyciel bał się panicznie. Czasem, a PO były naszymi ostatnimi piątkowymi zajęciami, po lekcji zbieraliśmy karty i kartki z zapisem partii i szliśmy do któregoś z naszych domów dokończyć grę, czasem zdarzało się kończyć ostatniego robra około północy. W rewanżu, doceniając istotny wkład naszego nauczyciela w rozwój ligi, klasówki z PO pisaliśmy niemal bezbłędnie. Taki to był nasz wkład w osłabienie sił obronnych Układu Warszawskiego.

Wspomnę jeszcze o pani Barbarze Wilewskiej-Bober, która przez pewien czas próbowała z nas zrobić wytrawnych literaturoznawców, potem odeszła na urlop macierzyński, aby w klasie maturalnej powrócić i doprowadzić nas do egzaminu dojrzałości. Zafascynowana zespołem Breakout i Czesławem Niemenem, „niebanalnie" wprowadzała nas w tajniki literatury polskiej, wpatrzona, jak się później okazało, w dzieła Juliana Krzyżanowskiego. Fakt, prowadziła z nami żywe dyskusje o omawianych lekturach. Debatowaliśmy zatem o dylematach życiowych, o odpowiedzialności za słowa i czyny, o gorzkim smaku prawdy. Na przykład, przy okazji omawiania jednej z lektur o czasach wojennych wywiązała się trudna dyskusja o bohaterstwie, czy bohaterstwo jest obowiązkiem, czy należy winić kogoś, kto nie sprostał wyzwaniu, uległ instynktowi samozachowawczemu i nie dokonał bohaterskiego czynu. To było niesamowite. W dyskusjach każdy mógł się swobodnie wypowiedzieć, ale do zeszytu trafiały już notatki pod dyktando, podawane z luźno zapisanych notatek albo grubego brulionu polonistki. Dopiero w klasie maturalnej rozszyfrowaliśmy, że dyktowane treści pochodzą z dzieł prof. Krzyżanowskiego. Wpadł na to jeden z naszych kolegów, nie dociekam samodzielnie czy nie, zdobył też odpowiednie książki i zaczął zabierać głos w dyskusjach, jak natenczas w TV mówiono, „po linii i na bazie" onego badacza literatury polskiej i… piątka leciała za piątką. No

Pochylone głowy piszących ćwierć- albo półfinały z fizyki albo matematyki w „pucharowym systemie Zośki". Reszta, czyli ci co zdali w pierwszym terminie stłoczeni w tyle sali szepczą sobie coś do ucha albo rozwiązują zadania

Autorka zdjęcia: Joanna Adamowska.

cóż, dotąd przeciętny z polskiego uczeń, dokonał odkrycia, które szybko i skrzętnie zdyskontował. Należało mu się. Moje wypracowania zazwyczaj oceniane były na dst+ z uwagi na ich „niebanalną" treść, ale błędy interpunkcyjne niweczyły szanse na lepsze oceny. Próbowałem z tym walczyć, studiując labirynty zasad interpunkcji, niestety bez skutku. Raz w akcie desperacji dodałem na końcu mojego kolejnego „niebanalnego" wypracowania typu: „W roztańczonej bronowickiej chacie... dokończ myśl" coś ze dwadzieścia przecinków i kropek z dopiskiem, że to te brakujące w tekście. Otrzymałem za to dst i chyba nawet z minusem i jeszcze suchy dopisek, że niestety dodałem o 5 przecinków za mało. Zwyczajowego dopisku, że: „praca niebanalna, lecz ..." tym razem zabrakło, chociaż ja miałem zgoła inne przekonanie co do jej wartości. Z drem Andrzejem Chruszczyńskim, polonistą, mieliśmy krótką styczność, ale znamienną. Jego lekcje przypominały bardziej spektakle teatralne jednego aktora niż dotychczasowe lekcje. Nie musieliśmy też pisać pod dyktando notatek. Słuchaliśmy z przyjemnością świetnego wyrazistego języka, tasiemcowych cytatów z literatury romantyzmu i Młodej Polski, i oryginalnych interpretacji tekstów, których nie sposób znaleźć w oficjalnych podręcznikach.

Na koniec postanowiłem wspomnieć o Zofii Wójcik, czyli o Zośce, która gdzieś w drugiej klasie przyjęła rolę wychowawcy. Była wtedy ambitną młodą nauczycielką fizyki. Zatrudniła się w XXII LO, chociaż jak opowiadała, zaraz po studiach Urząd Pracy zamierzał przydzielić jej etat pracy fizycznej, no bo przecież fizyk i to w dodatku jądrowy (a fuj...). Poza wspomnianą fizyką uczyła nas także matematyki i to chyba nieźle, skoro większość z nas trafiła na wymarzone kierunki studiów, na których oba przedmioty należały do kluczowych na egzaminach wstępnych. Ja jako biolog przemalowany w czasach licealnych na matematyka też coś skorzystałem z jej nauczania. Potem niestraszne mi były biofizyczne podstawy powstawania potencjałów elektrycznych rejestrowanych w mięśniach i nerwach, optyka mikroskopu czy rachunek prawdopodobieństwa i elementy statystyki matematycznej. A elementy geometrii wykreślnej

Obóz rowerowy w 1981 r. Romuald Zabielski: trzeci od góry i pierwszy od lewej (w czapce i okularach), przed nim siedzi Maciej Kielar, po prawej stronie w tym samym rzędzie, co Romuald Zabielski, siedzi pan Andrzej Pery, który był komendantem szczepu 122. Anna Zabielska (Kulig) siedzi w pierwszym rzędzie, druga od prawej

Archiwum prywatne

przydały się przy okazji budowy kilku narzędzi badawczych, a później jeszcze przy budowie domu. Była także osobą bardzo integrującą naszą klasę, przepadaliśmy za naszą Zośką, spędzając wspólnie każdą przerwę na herbacie i wybaczając jej codzienne „no i co, moje robaczki" oraz tasiemce kartkówkowe (ćwierćfinały, finały). O dwóje wcale nie było trudno, bo poprzeczka była zawieszona wysoko, ale to były te nieliczne lufy, które przyjmowaliśmy z uśmiechem, które bardziej mobilizowały niż obezwładniały. No cóż, latka lecą, a my regularnie co jakiś czas się spotykamy z Zośką, tradycyjnie w połowie maja i wspominamy. I co ciekawe, frekwencja z dekady na dekadę jest coraz lepsza.

Romuald Zabielski, profesor nauk weterynaryjnych, członek korespondent PAN. Pracuje na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej SGGW w Warszawie, od 2019 r. pełni funkcję wiceprezesa Polskiej Akademii Nauk. Autor ponad 200. publikacji naukowych z zakresu fizjologii trawienia. Autor monografii naukowych, książek i podręczników akademickich, w tym pierwszej polskiej fizjologii noworodka. Kilka lat spędził w ośrodkach akademickich w Japonii, Francji i Szwecji. Wydał album fotograficzny o Polskich Tatrach (*Moje Tatry* 2015), ilustrowane fotografiami rozmowy o Japonii (*Japonia na nowo – po raz pierwszy odkryta* 2016), bajkę kryminalną (*Duchy Tatr* 2017) i album fotograficzny o wiśni japońskiej (*Sakura w ogrodzie* 2019). Swoje fotografie prezentował na kilkunastu wystawach m.in. w Kościelisku, Olsztynie, Warszawie i Zakopanem.

Żona Anna (z domu Kulig) – profil humanistyczny, matura 1983, XXII LO – absolwentka pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego, jest dyrektorem jednego z warszawskich przedszkoli oraz członkiem zarządu Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty.

Brat Mariusz – profil matematyczno-fizyczny, matura 1982, XXII LO – absolwent mechaniki precyzyjnej i elektroniki na Politechnice Warszawskiej, od 2010 r. dyrektor generalny Siemens PLM Software na Polskę i Czechy.

Anna Zabielska (Kulig) – absolwentka 1983 r.

Dyrektor jednego z warszawskich przedszkoli oraz członek zarządu Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty

Ileż obrazów natychmiast się pojawia przed oczyma… Nasza klasa – matura 1983…

Trudne to były lata – byliśmy w 3 klasie, kiedy ogłoszono stan wojenny… Trzeba było wyjątkowo szybko dorosnąć…

Jednak gdy ma się 16 lat, to wszystko inaczej się traktuje. Ucierpiało z pewnością nasze „życie szkolne" – nie było zabaw szkolnych, dyskotek, wycieczek klasowych. Ale nie oznacza to, że nie mieliśmy życia towarzyskiego – toczyło się jednak bardziej prywatnie, domowo, w mniejszych grupach … Nosiliśmy oporniki powpinane w swetry, prawie wszyscy nosiliśmy plecaki – bo takie były

Anna Zabielska (Kulig) – pierwszy rząd, piąta od prawej, w tym samym rzędzie siedzi pan Paweł Waszak. Pan Bogdan Sekinda – piąty od lewej w drugim rzędzie. Ostatni rząd: Andrzej Saramonowicz (piąty od lewej), Marcin Baczyński (czwarty od lewej), Sambor Grucza (siódmy od lewej)

apele „podziemia", w ten sposób można było pomóc osobom przenoszącym w plecakach ulotki, słuchaliśmy Kaczmarskiego i Gintrowskiego….

Byliśmy świadkami pacyfikacji Szkoły Pożarniczej, pogrzebu księdza Popiełuszki… Braliśmy udział w manifestacjach… nawet na parę dni przed maturą… Jednym słowem – żyliśmy w „ciekawych czasach".

Ale jednocześnie mimo tego przyspieszonego „egzaminu z dorosłości" toczyło się nasze normalne życie szkolne… Wszyscy drżeliśmy przed łacinnikiem – prof. Zdzisławem Warmtem, który wieszczył nam wszystkim dokończenie edukacji w pobliskiej szkole handlowej… Był jak żywcem wyjęty nauczyciel z książek Niziurskiego – ubrany zawsze w garnitur, często w angielską kratę, poszetka, krawat…Wyjmował czarny notes, w którym zapisywał nasze oceny… walił nim w biurko, aż wszyscy podskakiwali… Pytał zwykle dwie osoby – zawsze: tekst, słówka, gramatyka… Czasem historia starożytna…Wzywał do tablicy nieszczęśnika i męczył go niemiłosiernie… Do dziś, obudzona w środku nocy mogę wyrecytować – z odpowiednim akcentem: *„Tityre, tu patulae recubans sub tegmine fagi silvestrem tenui Musam meditaris avena"* albo *„Galia est omnis divisa in partes tres Quorum unam incolunt Belgae aliam Aquitani, Tertiam qui ipsorum lingua Celtae nostra Gali apelantur Ave Caesar morituri te salutant!"*

I czuliśmy się jak ci „morituri". Jego powiedzonka „zdechł Azorek podskakując" albo „do rzeźnika po zapałki" miały nam uzmysłowić bezmiar naszej niewiedzy. Co roku w czerwcu żegnał się z nami, informując, że już nie wróci po wakacjach. Obdarowywaliśmy go bukietem kwiatów i żyliśmy nadzieją, że koszmar się skończył. Niestety… nadchodził 1 września, profesor radośnie wchodził do klasy, walił notesem w biurko, zacierał dłonie i mówił „No co, zrobił was stary kundel!" *„Ave Caesar…"*

Nie tylko profesor wieszczył nam marny koniec. Będąc obecnie pedagogiem, naprawdę nie mogę pojąć, dlaczego z takim przekonaniem uważano, że to zmobilizuje nas do nauki. Biorąc pod uwagę, że z tych „głąbów" wyrosło 2 profesorów, 2 twórców filmowych, kilku pedagogów, biznesmenów, prawników – to jednak tamten system edukacji nie dał nam rady.

W obecnych czasach szalejącego RODO nie wiem, czy mogę we wspomnieniach przywoływać osoby z imienia i nazwiska… Takie czasy.

Ale... kto widział i był, to wie. Na jednej z lekcji w celu uzyskania lepszej oceny jeden z kolegów zgłosił się do przygotowania referatu o jednym z filozofów i jego teoriach filozoficznych. Przez 40 minut opowiadał o wizji świata, założeniach, opracowaniach, dziełach, życiorysie. Nauczyciel z powagą kiwał głową, potakując. Wszystko pięknie – tylko... taki filozof nigdy nie istniał. Został przez naszego kolegę wymyślony. Byliśmy pełni podziwu, pękaliśmy ze śmiechu, a profesor chyba się nie zorientował...

W moich wspomnieniach szczególne miejsce ma pani profesor Barbara Stefańska, nasza wychowawczyni. Byliśmy klasą humanistyczną, chemia była dla nas zmorą, podobnie jak fizyka i matma. Pani profesor Stefańska pomogła mi w naprawdę wielu trudnych chwilach. Była przede wszystkim świetnym pedagogiem – potrafiła zrozumieć, że w tamtych trudnych latach borykaliśmy się nie tylko z nauką i mieliśmy czasem dużo większe problemy niż brak pracy domowej czy dwója na półrocze. Potrafiła pomóc, wesprzeć, a czasem zawalczyć o nas.

Anna Zabielska (Kulig) – stoi piąta od prawej, 25 sierpnia 1981

Andrzej Saramonowicz: stoi drugi od lewej, Witold Jacórzyński: ostatni rząd trzeci od prawej, pod tablicą, Anna Zabielska (Kulig) – w białej bluzce, czwarta od lewej, Bożena Czekaj (Fejst) – kuca, druga od lewej. Na zdjęciu jest również wychowawczyni 3D – pani Barbara Stefańska

Szczególne wspomnienia to również harcerstwo…. 122 WDH…. Harcerstwo to dla mnie najwspanialsze chwile spędzone w szkole. Fantastyczni ludzie, przyjaciele na dobre i złe. Do dziś pozostały mi z harcerstwa wspomnienia i… małżonek. Ileż radości mieliśmy, urządzając harcówkę, zmieniając mundury – z bluz i krawatów HSPS na szare i zielone. Obozy… rajdy… Tu muszę wspomnieć o Andrzeju Perym – naszym Komendancie, który ze stoickim spokojem znosił wszystkie nasze pomysły. Pamiętam nasz obóz wędrowny – rowerowy. Był lipiec 1981 roku. Nic nie można już było kupić, więc jechaliśmy objuczeni przede wszystkim jedzeniem, mieliśmy nawet masło w słoiku…. Wszelkiego rodzaju sakwy rowerowe nie były wówczas znane. Inwencja twórcza nie miała więc granic. Jeden z kolegów wyprodukował nakładki na bagażnik rowerowy z plastikowych misek. Wywalił się już w drodze na Dworzec Wschodni – na jezdnię wysypał mu się makaron, który pieczołowicie zbieraliśmy. Jeden z kolegów miał tak ciężki plecak, że nie mógł ruszyć z miejsca – rower stawał mu od razu dęba. O awariach rowerów i metodach ich naprawiania mogłabym napisać

tu podręcznik dla mechanika–amatora. A nad tym wszystkim wisiał lęk, straszono, że lada, lada moment…"wejdą, nie wejdą….". Pisząc o harcerstwie, muszę wspomnieć o wspaniałych przyjaciołach z tamtych czasów – Małgorzata, Monika, Malina, Małgorzata druga, Maciek, Jarek, Romek…. Zawsze mogłam liczyć na nich i polegać jak na przysłowiowym Zawiszy….

W klasie maturalnej z inicjatywy kilku kolegów pan Józef Wojcieski, ówczesny wicedyrektor i nauczyciel PNOS-u, pomógł zorganizować w naszej szkole koncert Przemysława Gintrowskiego i Zbigniewa Łapińskiego. Jacek Kaczmarski był już wtedy na emigracji. Było to dla nas niesamowite przeżycie, tym bardziej, że był to jedyny koncert zorganizowany w naszej szkole. Stan wojenny wykluczał takie atrakcje. Studniówka – owszem, była. Do godziny 23.

Byliśmy pierwszym rocznikiem, który nie zdawał matematyki na maturze i chyba tylko dzięki temu tę maturę zdaliśmy. Pisemny egzamin z polskiego i historii…"Ludzie ludziom zgotowali ten los" – temat z polskiego… Jakże znamienny.

Kilka dni później milicja zabiła Grzegorza Przemyka. Był naszym rówieśnikiem.

Ostatni dzwonek.

Zaczęła się dorosłość.

Zdjęcia: archiwum prywatne Anny Zabielskiej (Kulig)

Andrzej Saramonowicz – absolwent z 1983 r.

Reżyser, scenarzysta, pisarz, dramaturg i dziennikarz. Autor największych polskich hitów komediowych w XXI w. (m.in. *Ciało*, *Testosteron* i *Lejdis*). Wydał dwie powieści (*Chłopcy* w 2015 i *Pokraj* w 2018). Członek zarządu Gildii Reżyserów Polskich

W maju 2019 r. odwiedził Pan szkołę po latach. Jakie były Pana wrażenia po tym spotkaniu? Czy powrót do starych murów szkolnych rozbudził później inne wspomnienia, o których Pan wcześniej nie wspomniał?

Mam bardzo dużo wspomnień związanych z naszym liceum i mną jako licealistą. W ogromnej mierze bardzo dobrych. To był czas wielkich przyjaźni

i niekończących się spotkań towarzyskich, dużo bardziej intensywnych niż relacje młodzieży dziś. Także dlatego, że dziś jest więcej atrakcji niż w moich czasach, w których spotkanie z drugim człowiekiem nie mogło zostać zastąpione przez internet, gry komputerowe, filmy online itd.

I wszystko, co się wiąże z moimi przeżyciami licealnymi, pamiętam bardzo dobrze, nie wszystko jednak nadaje się do opowiadania na publicznych spotkaniach. Może kiedyś napiszę o tym powieść albo zrobię film.

Andrzej Saramonowicz przepytywany przez Piotra Chęcińskiego, ucznia kl. 1A, maj 2019 r.

Autor zdjęcia: Franciszek Zakrzewski

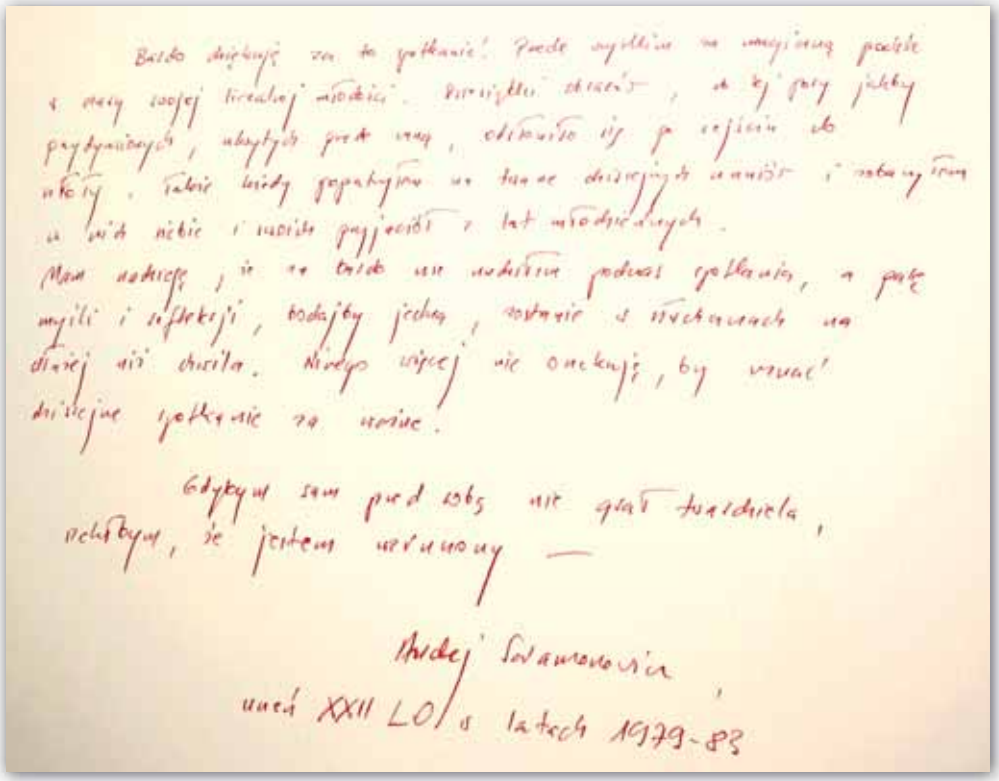

Pamiątkowy wpis do kroniki

Mówił Pan wtedy, że utrzymuje kontakt z kolegami ze szkolnej ławki: Witoldem Jacórzyńskim i Marcinem Baczyńskim. Czy kiedy się spotykacie, wspominacie razem czasy szkolne?

Marcin Baczyński to mój najbliższy przyjaciel do dziś. Spotykamy się bardzo często, nie tylko dlatego, że zajmujemy się podobną profesją (Marcin jest również scenarzystą, autorem wszystkich części kinowego hitu *Listy do M.),* ale przede wszystkim z tego powodu, że jesteśmy dla siebie ciągle ważni i towarzysko atrakcyjni. Z Witkiem Jacórzyńskim, który jest profesorem filozofii i etnografii w Meksyku, widuję się z powodów oczywistych rzadziej. Teraz mieliśmy z Marcinem odwiedzić go w Hiszpanii (w której będzie mieszkał przez najbliższy rok), ale pandemia nam to na razie uniemożliwiła.

Oczywiście, kiedy się we trzech spotykamy, mówimy także o szkole (a dokładnie rzecz ujmując o nas w czasach szkolnych), ale to nie jest jedyny temat naszych rozmów. Nie przypominamy w tym więc legendarnych kumpli z wojska, którzy poza wspomnieniami z koszar nie mają sobie nic do powiedzenia. Nasza przyjaźń ciągle jest żywa i zmienia się wraz z nami.

Zdjęcie zrobione 7.12.1981 r., tuż przed wprowadzeniem Stanu Wojennego w Polsce. Drugi rząd od dołu: Andrzej Saramonowicz – pierwszy z lewej, obok niego klęczy Marcin Baczyński. Anna Zabielska (Kulig) – trzecia od prawej. Witold Jacórzyński: stoi z papierosem (!) w ręku, pierwszy z lewej; Bożena Czekaj (Fejst) – stoi po prawej, w ręku trzyma balon (B. Czekaj uczyła później języka rosyjskiego w naszym liceum). Na zdjęciu jest również wychowawczyni – Barbara Stefańska (nauczycielka chemii)

Archiwum prywatne Anny Zabielskiej (Kulig)

Opowiadał nam Pan o pewnym wybryku pana Marcina. Czy mógłby Pan przypomnieć tę historię?

Wybryk to raczej określenie belferskie, w którym już jest zawarta negatywna ocena, ja bym to nazwał przebiegłym i uroczym żartem. To było w czasie stanu wojennego, kiedy za jedną z form protestu przeciwko terrorowi władzy, uczniowie uznawali tzw. ciche przerwy. Wiem, że teraz może się to wydać błahe, ale zapewniam, że szkoła, gdzie na korytarzach są setki uczniów, i w której panuje głuche milczenie, naprawdę robi wrażenie.

Nie oceniam odwagi ówczesnej dyrekcji liceum im. José Martí, ale nie bardzo jej się nasz protest podobał, więc byliśmy po wielokroć namawiani, by tego milczenia zaprzestać, a ponieważ nie chcieliśmy, pewnego dnia dyrekcja w swojej przemyślności uznała, że jeśli zagoni wszystkich nauczycieli do pokoju nauczycielskiego, by tego milczącego protestu nie widzieli i nie słyszeli, to potem łatwo się wytłumaczy z kłopotu, gdyby kuratorium czy milicja miały jakiekolwiek pretensje. I kiedy już wszyscy nauczyciele zostali karnie zapędzeni do pokoju nauczycielskiego, to się okazało, że w pośpiechu zostawiono klucz w zamku po zewnętrznej stronie. Wówczas Marcin Baczyński, jak gdyby nigdy nic, zamknął pokój, a klucz wrzucił do sedesu i spuścił wodę. To była z pewnością jedna z najdłuższych przerw w historii naszego liceum.

Gdy spotyka się Pan ze swoim bratankiem Stanisławem Saramonowiczem (również absolwentem naszego liceum), to czy wspominacie razem szkołę, porównując, jak to było kiedyś i dziś? Pana córka Konstancja również jest absolwentką tego liceum. Czy rozmawiacie o liceum, o nauczycielach, sposobie nauczania, podejściu do ucznia kiedyś i dziś?

Ani Staś, ani Konstancja nie wspominają liceum ze szczególnym sentymentem, wolałbym jednak szczegółowo nie tłumaczyć dlaczego, bo przy świecie nie chcę sprawić przykrości paru osobom, które pracowały w szkole w ich czasach i być może ciągle jeszcze tu pracują. Dla mnie czasy liceum kojarzą się wspaniale, wszelako nie ze względu na samą szkołę, a raczej przyjaciół, których wówczas miałem. Nauczyciele – mogę to dziś powiedzieć z pełną odpowiedzialnością – poza kilkoma wyjątkami, których szczególnie miło wspominam, byli raczej marni, zarówno zawodowo, jak i charakterologicznie.

Wracając jednak do wątku familijnego, to chyba jest jakaś rodzinna karma związana z tym liceum, bo kończyły je także moje ciotki. Jak ktoś dobrze „pogrzebie" w archiwach, to je odnajdzie.

Na studniówce w 1983 roku został Pan królem. Co było oceniane? Strój, taniec?

Ja nie zostałem królem studniówki, ale zostałem nań wybrany przed. A królową była Agnieszka Jędrzejuk, przepiękna blondynka z klasy biologiczno-chemicznej, dziś mieszkająca w Hiszpanii. Nie wiem, dlaczego akurat myśmy zostali wybrani, mam wrażenie, że był to arbitralny wybór pani Barbary Sikorskiej, nauczycielki WF-u, która zajmowała się organizacją balu studniówkowego. Niestety, już się tego nie dowiemy, jakie były konkretne powody, bo pani Sikorska po kilku zaledwie latach od tej matury zmarła na raka.

Pamiętam, że moim obowiązkiem jako króla balu było wygłoszenie przemówienia. Chyba nie poszło mi najlepiej, bo byłem już pijany. Moja matka – która z ramienia rady rodziców była obecna wówczas na sali gimnastycznej – powiedziała mi następnego dnia rano, że strasznie się za mnie wstydziła. Ale jakoś zbytnio się tym nie przejąłem.

A jak się wtedy bawiła młodzież? Do jakich piosenek najchętniej tańczyła?

Muzyki nie pamiętam, ale to dlatego, że ja nie lubię tańczyć, więc poza obowiązkowym polonezem do niczego nie dałem się więcej namówić. Pamiętam za to bardzo dobrze, w jakich miejscach mieliśmy od wielu dni poutykany w szkole alkohol, którego nie wolno było wnosić. Były jakieś kontrole antyalkoholowe, więc część wódki – cóż za genialny plan! – wnieśliśmy na teren szkoły w sobie, wypijając ją rach-ciach na placu, gdzie dziś stoi bielański ratusz. Proszę wybaczyć, że ja tak o tym alkoholu dużo, ale jak się ma 18–19 lat, to się do tego przywiązuje naprawdę dużą wagę, z pewnością nadmierną. I je-

Andrzej Saramonowicz podczas spotkania, maj 2019 r.
Autor zdjęcia: Filip Naumienko

Andrzej Saramonowicz
jako król studniówki, 1983 r.
Archiwum szkoły

stem pewien, że akurat w tym aspekcie my z lat 80. XX wieku nic a nic się od współczesnej młodzieży nie różnimy.

Jakie ma Pan wspomnienia związane z Bielanami z początku lat osiemdziesiątych?

Kiedy powiem, że czołgi na ulicach, to wszyscy uznają mnie za nudnego pierdołę, epatującego nieznośnym kombatanctwem. Ale w takich czasach akurat przyszło mi i moim przyjaciołom żyć, więc trudno się dziwić, że to pamiętam wyraźnie. Dzisiejsi licealiści będą za 30–40 lat zanudzać młodzież opowiadaniami o dojrzewaniu w czasach światowej pandemii, bo to jest dzisiejsze doświadczenie pokoleniowe, którego już nic nie wytrze z pamięci.

No i pamiętam nieustanne imprezy, robione po domach, przez które przewijały się tabuny młodych ludzi, często z różnych szkół i środowisk. Imprezowaliśmy tydzień w tydzień, nie zaprzątając sobie głowy koniecznością budowania przyszłych karier, bo uważaliśmy – przynajmniej ja i moi najbliżsi przyjaciele – że żadnej przyszłości w państwie dyktatury komunistycznej i tak dla nas nie ma, więc nie pozostaje nam nic innego, jak się tylko w sposób atrakcyjny zmarnować.

Czy będąc w liceum pisał Pan pierwsze własne teksty, nie licząc wypracowań na język polski?

Pisałem pamiętnik, w którym nieśmiało próbowałem przekonywać samego siebie, że zostanę kiedyś artystą. Pisałem też jakieś malutkie formy beletrystyczne, ale ja się wówczas składałem z wielkich niepewności, więc je od razu niszczyłem. Nie pisałem nigdy wierszy, za to pisałem piosenki, które potem przy akompaniamencie gitary, odśpiewywałem znajomym. Mam wrażenie, że kilku z tych piosenek do dziś nie muszę się wstydzić.

Czy jakieś wydarzenie z czasów licealnych zainspirowało Pana do napisania felietonu czy scenariusza?

W moich filmach czy książkach są często jakieś wątki z czasów szkolnych. Na przykład w powieści *Chłopcy* pojawiają się belfrzy, którzy noszą nazwiska nauczycieli z liceum im. José Martí z lat 80. XX wieku. Napisałem też kilka opowiadań – które były drukowane tu i tam – gdzie pojawiają się bohaterowie podobni do mnie i moich przyjaciół, z którymi poznałem się w liceum. No i ciągle noszę się z zamiarem napisania scenariusza lub powieści o młodych ludziach w latach stanu wojennego. Ale zdecydowanie bez martyrologii, wyłącznie obyczaj w tragikomicznym sosie. Może kiedyś się do tego zbiorę.

Rozmawiała: Karolina Rudzik

Agnieszka Gawerska-Jabłonowska – absolwentka z 1985 r.

Absolwentka Wydziału Dziennikarstwa UW, wieloletnia dziennikarka TVP (Panorama, redakcja zagraniczna, redakcja publicystyki). W latach 2000–2005 korespondentka TVP w Rzymie i Watykanie, dziennikarka TVN (produkcja filmów dokumentalnych). Nadal w branży.

To był taki eksperyment. Chyba niezbyt udany, bo, o ile mi wiadomo, nigdy nie został powtórzony. Eksperymentalna klasa żeńska, oczywiście humanistyczna. Eksperymentalna być może z tego prostego powodu, że

„Eksperymentalna klasa żeńska", czyli „human" na początku lat 80-tych

akurat w 1982 roku, gdy zaczynałam naukę w XXII LO, nie było kandydatów na humanistów, albo po prostu żaden chłopak nie zdał egzaminu. Czułyśmy się trochę jak na pensji, ale jakoś w tym żeńskim gronie przetrwałyśmy do matury.

Miałyśmy szczęście do nauczycieli. Na pewno wiele zawdzięczam naszej wspaniałej polonistce – pani profesor Barbarze Wilewskiej-Bober. Jej niekonwencjonalne, wyprzedzające czas, metody nauczania: np. quizy ze znajomości lektur przeszły do historii szkoły, podobnie jak pytanie: „ile złotych zębów miała Telimena?". Do dziś, nawet wyrwana ze snu potrafiłabym wyrecytować całe długie fragmenty „Pana Tadeusza", „Dziadów" lub fraszek Kochanowskiego. Nasze zeszyty, lepiej niż podręczniki, jeszcze przez wiele lat służyły wielu młodszym kolegom z innych szkół jako postawa przygotowania do

Agnieszka Gawerska-
-Jabłonowska w czasach
licealnych

matury. Pani Profesor miała też styl bycia i ubierania się, który bardzo nam imponował i który, mimo trudnych czasów, pragnęłyśmy naśladować.

Z wielką sympatią wspominam też panią profesor Barbarę Stefańską, która potrafiła zaciekawić nas chemią, choć w klasie zdecydowanie brakowało „ścisłowców". Z politowaniem i wielką wyrozumiałością traktował nas matematyk – profesor Andrzej Pery oraz profesor Danuta Lewczuk, która próbowała wtłoczyć nam do głowy przynajmniej podstawy fizyki, choć czasem ponosiły ją emocje…

Miałyśmy też niezwykłe szczęście, choć tylko przez rok, ponieważ łaciny uczył nas profesor Zdzisław Warmt – jeszcze przedwojenny nauczyciel i wykładowca uniwersytecki. Człowiek ten, znający chyba większość języków, współczesnego i oczywiście starożytnego świata, miał cudowne powiedzonka, którymi kwitował nasze niepoprawne odpowiedzi, błędy w łacińskiej składni, deklinacji i koniugacji. „Aha, zdechł Azorek podskakując" – zakrzykiwał gromko, gdy któraś z koleżanek męczyła się przy tablicy. Lubił też kwitować błędne odpowiedzi zdaniem: „Kara Mustafa – wielki wódz Krzyżaków". Gdy któraś, co raczej rzadko się zdarzało, spóźniła się na lekcję pytał: „A cóż to? Narzeczony za daleko odprowadził?". Założyłyśmy nawet „słownik wyrażeń profesora Warmta". A jak On uczył! Kilka lat później, gdy z ogromną łatwością skończyłam kurs włoskiego, wiedziałam komu zawdzięczam podstawy…

Z innych mniej naukowych wspomnień pamiętam naszą żeńską drużynę… piłkarską. Sama ją założyłam, jako wielka pasjonatka futbolu. Rozegrałyśmy nawet kilka meczów towarzyskich, budząc duże zainteresowanie, na pewno nie stylem gry…

Maturę zdałam w 1985 roku. Profesor Wilewska przewidywała, że będę dziennikarką albo prawniczką. I oczywiście trafiła. Poszłam w ślady mojej Mamy – Teresy Gawerskiej (nota bene również absolwentki naszego liceum), dziennikarki *Życia Warszawy*, wieloletniej szefowej działu miejskiego tej, bardzo wówczas prestiżowej, gazety. Skończyłam dziennikarstwo na UW. Jeszcze na studiach trafiłam na praktyki do telewizyjnej *Panoramy*, a zawdzięczałam to właśnie znajomości włoskiego, bo redakcja poszukiwała akurat kogoś z włoskim do działu zagranicznego. Italia była moją pasją. W czasach, gdy podró-

żować można było głównie w marzeniach, wertowałam przewodniki, zawierałam (listowne) znajomości i uczyłam się włoskiego. W pracy wszystko to bardzo mi się przydało. Przez dziesięć lat, pracując w telewizji, w dziale zagranicznym wyspecjalizowałam się w problematyce włoskiej i watykańskiej. W latach dziewięćdziesiątych dużo jeździłam po świecie (przede wszystkim służbowo), a najczęściej do Italii. Obsługiwałam też polskie pielgrzymki Jana Pawła II. To były bardzo burzliwe początki nowej TVP czasów demokracji. Pracowało w niej dużo bardzo młodych zapaleńców, którzy z marszu uczyli się fachu i wcielali w życie różne, często szalone, pomysły. To były naprawdę wspaniałe czasy dla tych, którzy zaczynali dorosłe życie!

Moje zawodowe marzenia spełniły się w roku 2000. Zostałam korespondentką w Rzymie i w Watykanie. Początkowo pracowałam jednocześnie dla Polskiej Agencji Prasowej i TVP, potem już tylko dla TVP. Tu ciekawostka: w tym czasie w Rzymie spotkały się trzy osoby z naszej szkoły, a właściwie z naszej klasy. Nasza wychowawczyni – profesor Ewa Bilińska była dyrektorką szkoły polskiej w Rzymie, a moja koleżanka z ławki – Sylwia Wysocka została, wkrótce po mnie, korespondentką Polskiej Agencji Prasowej.

Wielki Jubileusz Roku 2000, codzienne obserwowanie działalności papieża Jana Pawła II, historyczne pielgrzymki, a w tle niezwykle ciekawa włoska scena polityczna zdominowana wówczas przez Silvia Berlusconiego – to było wielkie wyzwanie i największa przygoda mojego życia. Potem coraz trudniej było patrzeć i zdawać relację z postępującej choroby Papieża. Świat na żywo oglądał Jego heroiczne zmagania z własną słabością. Ciężko było relacjonować postępy choroby w ciągu ostatnich miesięcy i tygodni, a potem przekazywać wiadomość o Jego odejściu. To, co po śmierci Jana Pawła II działo się w Rzymie, te miliony stojące w absolutnej ciszy w kolejce do Bazyliki św. Piotra dniem i nocą by Go pożegnać – to obrazy, które przeszły do historii. Ja miałam możliwość obserwować i relacjonować to z samego centrum wydarzeń. Takich chwil się nie zapomina. Podobnie jak nie zapomina się szkoły, która na pewno w dużym stopniu pomogła mi wybrać drogę, którą podążam do dziś.

Agnieszka Gawerska-
-Jabłonowska obecnie

Zdjęcia: archiwum prywatne Agnieszki Gawerskiej-Jabłonowskiej

Wojciech Orliński – absolwent z 1987 r.

Polski dziennikarz, publicysta i pisarz, działacz związkowy, autor książek podróżniczych, fantastycznych i publicystycznych. Od 1997 pracuje w „Gazecie Wyborczej". Znawca twórczości Stanisława Lema.

Jak chyba każdy, wspomnienia z liceum mam raczej mieszane. Ale po latach wolę pamiętać raczej te dobre, więc na nich się skupię.

Należę do ostatniego pokolenia, które dorastało w cieniu komunizmu. Byłem przekonany, że ten ustrój będzie trwać wiecznie. Prawie wszyscy wtedy tak myśleli. Zaznaczam „prawie", bo pamiętam, jak na pewnej imprezie sylwestrowej u kolegi Michała z biolchemu (mieszkał samodzielnie w kawalerce na Piaskach, tuż obok José Martí, więc często urządzał imprezy) kolega Władzio, też z biolchemu, o północy wyszedł na balkon i wywrzeszczał życzenia dla całego osiedla: „ŻEBY DO PRZYSZŁEGO SYLWESTRA KOMUNY NIE BYŁO!". Popukałem się w czoło, że wariat. A to był sylwester z 1987 na 1988. Pomylił się w sumie o pół roku.

Wybacz Władziu – jeśli to czytasz. Miałeś wtedy rację, a ja się myliłem, jak zwykle.

Wojciech Orliński (szósty od lewej) podczas spotkania z licealistami w 2016 r., trzeci od prawej to jego syn Jacek, również absolwent XXII LO. Oprócz uczniów na zdjęciu są jeszcze: pan Marek Cegieła (tłumacz, trzeci od lewej), pan Krzysztof Rogucki (absolwent, nauczyciel języka angielskiego, czwarty od lewej) oraz pani Barbara Jankowska (nauczycielka języka polskiego i Wiedzy o Kulturze, piąta od prawej)
Archiwum szkoły

Dorastanie z tą świadomością było – łagodnie mówiąc – raczej dołujące. Mieliśmy w miarę swobodny dostęp do globalnej popkultury, w kinach na bieżąco pokazywano amerykańskie filmy, wielu ludzi miało anteny satelitarne, popularne było piracenie kaset VHS (w komunizmie niespecjalnie szanowano prawa autorskie). Wiedzieliśmy więc, jak żyją ludzie w tzw. normalnych krajach. Że mają samochody i domy, że podróżują sobie po świecie, że jedzą jakieś owoce o nazwach mango albo awokado (które my znaliśmy tylko z ekranów i zdjęć). W Polsce jeśli ktoś miał dom i samochód, uchodził za niebywale uprzywilejowanego burżuja. Do licha, Michał O. był burżujem z tą swoją kawalerką – reszcie z nas pozostawała perspektywa czekania na mieszkanie 30 lat.

Dorastaliśmy więc z zimną świadomością, że nigdy nie będziemy żyć „jak w normalnym kraju". Że bez względu na to, jak się będziemy starać w liceum czy na studiach, czeka nas wegetacja za absurdalnie niską pensję, wypłacaną w pieniądzach, które są w gruncie rzeczy niewiele więcej warte od tych z gry w „Monopol" (dostępu do tej gry też nie mieliśmy, ale w latach 80. bardzo popularne były jej polskie podróbki, jak „Eurobiznes", „Tranzyt" albo „Bankrut").

W José Martí był wtedy taki nauczyciel WF, pan Leciejewski. Uwielbiał nas drażnić, pytając o nasze życiowe ambicje. Jak ktoś – nie daj Boże – powiedział mu, że chce być lekarzem albo fizykiem, w odpowiedzi przedstawiał swoją wizję, jak to w praktyce będzie wyglądało. „Wylądujesz na stażu w prowincjonalnym szpitalu i dadzą ci tysiąc pięćset plus miejsce w służbowym pokoju, ze współlokatorem". Albo: „Jeśli uczelnia ci zaproponuje pracę, może dostaniesz tysiąc osiemset i zaczniesz pisać doktorat, ale jak nie zaproponuje, to wylądujesz jako nauczyciel w liceum, a to jeszcze gorsze".

Wniosek z tych jego rozważań zawsze był taki sam. Że nie ma sensu się starać, że nie ma co snuć marzeń, bo i tak nasze życie będzie do niczego. Mamy wyzbyć się ambicji, by uniknąć rozczarowań.

Sam był potwierdzeniem swojej teorii, bo – właśnie – ledwie chodził, co było trochę dziwne jak na nauczyciela WF. Kazał nam biegać dookoła boiska, ale sam nie był w stanie wejść po schodach bez przerwy na oddech.

A najgorsze było to, że w pewnym sensie miał rację. To znaczy, tak naprawdę, jej nie miał, bo rację miał tylko kolega Władzio. Ale gdyby komuna nie upadła, tak by to wyglądało.

Przecież widzieliśmy, jak wyglądają tzw. „kariery" naszych rodziców. Nasi rodzice byli zazwyczaj inteligenckimi gołodupcami – byli właśnie nauczycielami, naukowcami, lekarzami. Kariera kloszarda w Paryżu wydawała się atrakcyjniejsza.

W kółko wtedy słuchałem czarnego albumu *Brygady Kryzys*, a zwłaszcza piosenki z przesłaniem: „stracisz swoje sny, stracisz je i ty, i ty". W gruncie rzeczy to samo przekazywał nam nasz zgorzkniały wuefista. To miało przynajmniej jedną zaletę. Jeśli ktoś z nas się czegoś uczył to dlatego, że go to naprawdę interesowało.

Kilka lat po nas przyszło pokolenie nastawione na karierę – bo mieli się na co nastawiać. Słuchałem ze zdumieniem, jak to wszystko mają rozplanowane, że teraz chodzą na takie dodatkowe zajęcia, bo coś tam, na inne bo śmoś tam, do tego roku zrobią licencjat, do tego magistra, a do tego doktorat, zapiszą się do AIESEC, tu zaliczą praktyki, a tam zrobią staż i wymarzony fotel w zarządzie korporacji jest już ich.

Gdy piszę te wspomnienia, trwa globalna pandemia. A więc myślę, że dzisiejsi licealiści mogą łatwiej zrozumieć nas, pokolenie naznaczone przez stan wojenny i Czarnobyl.

Będziecie wchodzić w dorosłość przy dwudziestoprocentowym bezrobociu i największej recesji w kapitalizmie od drugiej wojny światowej. Jeśli miesiąc temu mieliście jakieś plany karierowe, już możecie o nich zapomnieć. Stracicie swoje sny, stracicie je i wy.

Mam dla was słowa pociechy: z tym uczuciem da się żyć. Nauka może nawet jest ciekawsza, jeśli się uczymy bez tej presji, że trzeba mieć odpowiednią ilość punktów na coś tam, że wygrana w konkursie jest potrzebna do CV.

U nas to wyglądało tak. Byłem w klasie o profilu matematyczno-fizycznym. Na początku pierwszej klasy nauczycielka matematyki, legendarna pani Sroka, zadała nam mniej więcej to samo pytanie, co nasz drogi wuefista – jakie mamy dalsze plany. Część z nas odpowiedziała, że chce być lekarzem albo inżynierem.

Klasa IV a w 1987 roku, od lewej w dolnym rzędzie: Wojciech Orliński, pani Anna Baranowska, pani Wanda Antuszewicz, pani Danuta Lewczuk, drugi rząd w środku pani Cecylia Sroka, za nią w muszce Marek Domaradzki, po lewej stronie w drugim rzędzie pan Bogusław Król

Archiwum prywatne Marka Domaradzkiego

Ja odpowiedziałem (bo istotnie takie wtedy miałem ambicje), że chcę być naukowcem. Ci, którzy udzielili takiej odpowiedzi, zostali przymusowo zapisani do dobrowolnego kółka zainteresowań. Przypominam, że była komuna.

Wtedy byłem zły. A potem byłem wdzięczny. O Boże, jak bardzo byłem wdzięczny. To strasznie smutny paradoks, że tak rzadko mamy okazję podziękować nauczycielom, którym tak wiele zawdzięczamy.

Bo na pierwszym roku studiów przyszły lekarz, inżynier czy naukowiec spotyka się z równaniami różniczkowymi, których wtedy klasa mat.-fiz. w ogóle nie miała w programie. Poczciwe zasady mechaniki Newtona albo zasada zachowania pędu nagle wyglądają inaczej i trzeba się ich uczyć od nowa, w zupełnie nowym języku.

To było dla mnie bezcenne, że podstawy tego języka opanowałem jeszcze w José Martí, siedząc po zajęciach, na czymś, co de facto było siódmą i ósmą godziną lekcyjną. Wtedy byłem wściekły i przeklinałem sam siebie, że musiałem się przyznać do swoich marzeń. Powinienem był powiedzieć, że marzę o karierze wuefisty!

Ale kilka lat później na pierwszym roku studiów, przynajmniej z grubsza, rozumiałem, co wykładowca rysuje kredą na tablicy – a inni studenci, którzy przyszli z innych liceów, po prostu bezradnie patrzyli z opadniętymi szczękami, usiłując zrozumieć, dlaczego wykładowca właśnie dzieli zero przez zero (rachunek różniczkowy polega na dzieleniu „prawie zera" przez „prawie zero", co wymaga wyparcia odruchów, których człowiek się uczył przez poprzednie kilkanaście lat edukacji).

Dobra wiadomość, drodzy współcześni licealiści, jest więc taka, że nie zginiecie w życiu. Dacie sobie radę. Jesteście (tzn. będziecie) po José Martí, a po tej szkole ludzie zazwyczaj zachodzą daleko.

Te kariery, których się nie spodziewaliśmy, życie nam w końcu samo podsunęło pod nos. Jednym na srebrnej tacy, innym na fajansowym półmisku, ale jednak jakieś porobiliśmy.

Ja jestem tylko drugorzędnym felietonistą i autorem niszowych książek dla ludzi o bardzo specyficznych zainteresowaniach. Czym to jest w porównaniu choćby do kariery kolegi z mojej klasy – Marka Egurroli? Tak, to ten od Egurrola Dance Studio.

Obu nas jednak łączyło to, że gdyby nam jakiś wróżbita to przepowiedział w 1986 – mnie, że będę zawodowo pisał książki (i będę się z tego w stanie utrzymać), a jemu, że będzie miał ogólnopolską sieć szkół tańca, wyśmialibyśmy tę wróżbę. Kompletnie nic, ale to naprawdę nic tego nie zapowiadało.

Historycy do dziś nie udzielili jednoznacznej odpowiedzi, dlaczego właściwie komunizm, który wydawał się taki wiecznotrwały jeszcze w 1987, w 1989 rozpadł się jak domek z kart. Mam prywatną teorię, że zawdzięczamy to pijackiemu okrzykowi Władzia z biolchemu.

Drodzy dzisiejsi licealiści: wam też życie pewnie szykuje niejedną niespodziankę. Trochę złych, trochę dobrych, ale skoro będziecie po José Martí, spodziewałbym się raczej tych dobrych.

Uczcie się tylko tego, co was naprawdę interesuje. Ale jeśli myślicie o studiach typu medycyna, polibuda, informatyka, fizyka czy chemia, rachunku różniczkowego zacznijcie się uczyć już teraz.

Nie czekajcie z tym do pierwszego roku studiów. Pierwszy rok na tych kierunkach przynosi wielki odsiew, po którym odpada nawet więcej niż połowa

przyjętych. A odpadają właśnie ci, których w liceum tego nie nauczył ktoś taki, jak pani Sroka.

Za co Jej – oraz całej szkole – chciałbym w ostatnich słowach gorąco podziękować. I przeprosić, że nie zrobiłem tego 30 lat temu.

Agustin Egurrola – absolwent z 1987 r.

Absolwent Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie (specjalizacja – taniec), absolwent Podyplomowych Studiów Menedżerskich na Wydziale Zarządzania UW, absolwent programu Executive MBA GFKM, choreograf, tancerz, pedagog, sędzia taneczny, juror programów „Mam Talent" i „You Can Dance – Po prostu tańcz!", główny choreograf dwunastu edycji „Tańca z Gwiazdami" dla telewizji TVN, wielokrotny Mistrz Polski w tańcach latynoamerykańskich i South-American Show Dance

Jakie ma Pan wspomnienia z liceum?

Moje lata licealne to był czas wielkich przemian w Polsce. Zacząłem chodzić do liceum tuż po tym, jak się skończył stan wojenny. Zdarzenia polityczne miały ogromny wpływ na postrzeganie rzeczywistości przez młodzież. Młodzi ludzie musieli funkcjonować w bardzo trudnych realiach. To był bardzo trudny czas, który mnie ukształtował.

19 października 1984 roku zmarł ks. J. Popiełuszko, był Pan wtedy uczniem drugiej klasy i ministrantem w Kościele św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Znał Pan osobiście ks. J. Popiełuszkę. Jak Jego śmierć wpłynęła na życie w szkole?

Śmierć ks. Jerzego Popiełuszki była ważnym wydarzeniem w Polsce, wszystko się nagle zatrzymało. Nasze licealne życie również. Były przerwy ciszy, podczas których siadaliśmy, byliśmy ze sobą, tą ciszą chcieliśmy uczcić pamięć o ks. Jerzym. Chcieliśmy pokazać, że Jego śmierć nie jest nam obojętna, że nie zgadzamy się z nią. To były ważne chwile dla nas, młodych ludzi.

Jak reagowali nauczyciele na ciche przerwy? Byli razem z Wami?

Myślę, że szkoła stanęła na wysokości zadania. Wielu nauczycieli było przejętych tak samo jak my i potrafiło z nami o tym porozmawiać. Inni nie reagowali i po prostu pozwalali na robienie takich rzeczy. Nauczyciele wiedzieli, kto inspiruje takie akcje, ale nikt nie wyciągał żadnych konsekwencji, które byłyby dla nas w jakikolwiek sposób bolesne. Pan Bogdan Sekinda – ówczesny dyrektor szkoły, mój wychowawca i nauczyciel historii – zachowywał się w miarę neutralnie, chociaż był członkiem partii.

Czy pamięta Pan, dlaczego wybrał liceum José Martí?

To była naturalna decyzja, bo patronem był bohater narodowy Kuby i w programie był język hiszpański jako dodatkowy i bardzo chciałem się go uczyć, szlifować. Poza tym mój ojciec jest Kubańczykiem. Poszedłem tam jako jedyny uczeń z mojej szkoły podstawowej.

I jaki efekt przyniosły te 4 lata nauki hiszpańskiego?

Okazało się, że zabrakło pieniędzy na nauczyciela języka hiszpańskiego… Uczyłem się rosyjskiego i francuskiego przez 4 lata. Ale wiem, że to był trudny okres w Polsce, czas przemian i walki o niepodległość. I mimo wszystko patrzę na szkołę z wielkim sentymentem i nie żałuję mojego wyboru.

Pana klasa liczyła 20 dziewczyn i 7. chłopców. Jaka była atmosfera w takiej, prawie, żeńskiej klasie?

Na początku było nas siedmiu, a później już czterech. To była klasa humanistyczna i myślę, że nie mogło być lepiej. Czułem się jak pączek w maśle. Generalnie, my chłopcy, byliśmy zaopiekowani w każdym aspekcie i była fajna atmosfera, mnóstwo radości i śmiechu. Myślę, że każdy facet chciałby być w takiej klasie. [śmiech]

W pana klasie był też Grzegorz Damięcki i Mariusz Kowalski. Jakimi byli kolegami?

Mariusz Kowalski był fantastycznym prymusem z geografii. Pamiętam, że zawsze nam ogromnie imponował swoją wiedzą i przygotowaniem do lekcji. Godzinami mógł patrzeć w mapy. Geografia była jego ogromną pasją. Najbardziej mnie fascynowało to, że on od początku do końca wiedział, na co chce iść po maturze. Natomiast Grzesiek to była bratnia dusza, artysta,

Rok 1986, pierwszy rząd od góry, drugi od lewej: Agustin Egurrola, czwarty od lewej: Grzegorz Damięcki; drugi rząd od góry, drugi od lewej: Mariusz Kowalski, szósta od lewej: Agnieszka Janiszewska (Przepiórkowska)

Archiwum szkoły

z którym spędzałem mnóstwo wolnego czasu. Lubiłem z nim rozmawiać, miał takie same rozterki jak ja. Ciągle się zastanawialiśmy, co w życiu chcemy robić, czym się zająć. Byłem przy tym, jak podejmował decyzję, że będzie zdawał do szkoły teatralnej. Bardzo fajny chłopak. Jest świetnym aktorem teatralnym i filmowym. Ostatnio zdecydował się nawet na film komercyjny i zagrał główną rolę w komedii *Podatek od miłości*. Cieszę się bardzo i kibicuję mu!

Jak się teraz spotykacie, to wspominacie szkołę i jakieś zdarzenia, czy to już temat zapomniany?

Bardzo rzadko się spotykamy. Każdy jest pochłonięty swoim światem. Mieliśmy tak naprawdę jedno poważne spotkanie klasowe. Ale oczywiście myślę, że każdy z nas wspomina dobrze to liceum. Nie da się porównać obecnych czasów z tym, co się wtedy działo, z tamtą atmosferą. Nie ukrywam, że był to też czas ogromnego stresu, lęku. Wielu z nas wyjechało za granicę. Mój najlepszy przyjaciel Marcin Kozłowski wyjechał do Francji, a Kuba Ostaszewski do Kanady.

To był okres, kiedy nie mieliśmy takich perspektyw jak teraz. Kto mógł, szukał swojego miejsca na świecie.

Czy Pana klasa wyjeżdżała na jakieś wycieczki?

Tak, mieliśmy fantastyczne wycieczki. Nasz nauczyciel – pan Andrzej Chruszczyński – kochał wycieczki w góry i zarażał nas pasją chodzenia po górach. Wiele nam pokazał, ciekawie opowiadał. Te wyjazdy były inspirujące i integrujące. Pan Chruszczyński był wyjątkowym nauczycielem, dzięki jego podejściu, zdaliśmy bezproblemowo maturę z języka polskiego. Świetnie nas przygotował.

Jakim był wychowawcą pan Bogdan Sekinda?

Przeprowadził nas bezpiecznie przez te cztery lata. Zdawał sobie sprawę, że młodzi ludzie dorastali wówczas w ciężkich dla Polski czasach. Wspierał nas i stał na straży, byśmy dorastali w dobrych warunkach, mimo że jak my to określaliśmy, był po drugiej stronie muru.

Miał Pan ulubiony przedmiot i ulubionego nauczyciela?

Teraz z perspektywy czasu uważam, że było kilku naprawdę fajnych nauczycieli. Rosyjskiego uczyła pani Anna Baranowska – była niezwykłą przyjaciółką, kochała uczniów, a oni Ją. Była osobą, z którą na przerwach dobrze się rozmawiało. Mówiła nam, co w życiu jest najważniejsze. To było fantastyczne. Ważnym nauczycielem był też pan Sekinda, który w mądry sposób wykładał nam historię. Odnajdywał się w tym wszystkim, nie łamał kręgosłupów. Wolał czegoś nie powiedzieć niż mówić coś, z czym się wewnętrznie nie zgadzał. I to mi się bardzo podobało. Pan Andrzej Chruszczyński nauczył nas jak pisać wypracowania i miłości do wielu lektur. Robił quizy, kazał nam zadawać pytania i sam odpowiadał na wiele naszych pytań. Chciał nas zainteresować językiem polskim. Niezwykłą nauczycielką była Hanna Biziel, która uczyła języka francuskiego. Miała mnóstwo klasy w sobie. Z Nią też rozmawialiśmy o Polsce i o sytuacji politycznej. Lubiłem też nauczycieli WF-u, którzy nas inspirowali. Myślę, że było wielu świetnych nauczycieli. Miałem z nimi bardzo dobre relacje. Dzięki temu ten czas był taki budujący.

Jakim był Pan uczniem?

Nie byłem najlepszym uczniem, żeby była jasność. Takim może średniakiem. Nie miałem najlepszych ocen, nie byłem prymusem, nie byłem w pierwszej piątce. Wiele rzeczy mi kompletnie nie wychodziło, np. fizyka. Pani Danuta

Lewczuk – nauczycielka fizyki – była bardzo wymagająca, ale też nie zrobiła mi krzywdy. Liceum José Martí dobrze mnie przygotowało na studia. Byłem najlepszym studentem na Akademii Wychowania Fizycznego. Pisałem nawet innym różne prace zaliczeniowe, pomagałem w pisaniu magisterskich. Wysokie wymagania nauczycieli, ciągłe sprawdziany i wypracowania, bez wątpienia zaprocentowały. To były ogromnie ważne cztery lata w moim życiu.

O czym marzył Pan, będąc w liceum, jakie zainteresowania Pan miał?

Jak większość młodych ludzi w liceum, nie wiedziałem co chcę robić w przyszłości. Oczywiście sport był moją wielką pasją. Lubiłem grać w koszykówkę. Gdy byłem bodajże w drugiej klasie, zobaczyłem w holu plakat i zaproszenie na kurs tańca, który miał odbyć się na terenie szkoły. Cieszę się, że dyrekcja w tamtych czasach zgodziła się na takie zajęcia pozalekcyjne. Poszedłem na zajęcia, które nawet nie odbywały się w sali gimnastycznej, tylko na korytarzu. Spodobało mi się. Potem była długa przerwa, nie licząc w czwartej klasie nauki poloneza przed studniówką. Później poszedłem do klubu „Park" na nabór i tak zaczęła się moja wielka przygoda życia.

Podobno myślał Pan też o tym, by pójść do seminarium.

Tak, byłem bardzo blisko kościoła. Kiedy chodziłem do liceum, służyłem do mszy w każdy poniedziałek. Służyłem także podczas pogrzebu ks. J. Popiełuszki. Moi dziadkowie byli bardzo wierzący i byli ze mnie bardzo dumni. I w pewnym momencie była we mnie taka chęć, żeby pójść do seminarium. Ale nie miałem w sobie tyle odwagi, żeby postawić wszystko na jedną kartę. Zauważyłem też, że taniec i kultura latynoamerykańska bardzo mnie inspirowały. Moja mama była przeciwna temu, abym został tancerzem i chciała, abym poszedł na prawo. Złożyłem dokumenty na oba kierunki. Egzaminy do Akademii Wychowania Fizycznego były wcześniej. Kiedy zdałem pierwsze egzaminy kwalifikacyjne, to już wybrałem tę uczelnię.

Wracając do tańca. Czy w szkole były organizowane dyskoteki? Gdzie się młodzież bawiła?

Studniówka była ważnym momentem. Wtedy obtańczyłem wszystkie panie nauczycielki. Już wiedziałem, że z maturą nie będzie większego problemu [śmiech]. Była dobra energia, nikt nie sądził, że już tak dobrze tańczę. Były też kluby jak „Stodoła" czy „Park", ale w czasach licealnych przede wszystkim

Agustin Egurrola z córką przed pomnikiem José Martí w Hawanie w 2020 r.

Archiwum prywatne Agustina Egurroli

robiliśmy domówki, na które chodziliśmy całą klasą. Bawiliśmy się w piątki lub soboty, kiedy rodziców nie było w domu.

W jednym z wywiadów powiedział Pan, że w szkole nauczyciele i rówieśnicy traktowali Pana inaczej. Między innymi dlatego używał Pan drugiego imienia, by się do nich upodobnić. Nie udawało się, bo miał Pan ciemniejszą karnację i obco brzmiące nazwisko i wszyscy uważali Pana za Kubańczyka. Na czym dokładnie polegało to inne traktowanie?

W pierwszej klasie, gdy po raz pierwszy czytano moje nazwisko, każdy łamał sobie język. To był podwójny stres dla mnie, szczególnie gdy byłem odpytywany. Poza tym – jak każdy młody człowiek – chciałem być akceptowany i być częścią pewnej społeczności. Nie chciałem być traktowany inaczej. Moje kubańskie korzenie były czymś oryginalnym i egzotycznym, a ja chciałem do niej należeć i dlatego używałem drugiego imienia – Marek. Myślę, że teraz, gdybym był w liceum, to moje imię i nazwisko byłyby ogromnym atutem.

A czy z powodu swojej egzotycznej urody miał Pan większe powodzenie u dziewczyn?

Moja pierwsza prawdziwa miłość była właśnie w José Martí – Małgosia Świątek. Zaczęliśmy chodzić w III klasie i chodziliśmy ze sobą praktycznie do końca szkoły, byliśmy oficjalną parą. Poza tym byłem w klasie humanistycznej, w której było dużo dziewczyn, więc z tym powodzeniem nie było problemu.

Był Pan na Kubie już wielokrotnie. Czy może nam Pan powiedzieć, jak postrzegany jest José Martí przez Kubańczyków?

José Martí jest wielkim bohaterem, który walczył przeciwko Hiszpanom o wyzwolenie Kuby. Został zastrzelony w szarży. Wielu historyków mówi, że chciał zginąć. W przemówieniach Fidela Castro i Che Guevary jest on niezwykle ważną postacią. Wśród Kubańczyków cieszy się ogromnym szacunkiem, w wielu miejscach stoją piękne monumenty. Trudno przecenić jego rolę, cały czas funkcjonuje w świadomości Kubańczyków.

Czy będąc na Kubie, zrobił Pan sobie zdjęcie z pomnikiem José Martí?

Mam zdjęcie razem z moją córką przed pomnikiem, który stoi tuż przed pałacem prezydenckim w Hawanie. To przepiękny pomnik przedstawiający José Martí na koniu w ostatniej szarży.

José Martí jest autorem poematu, którego tekst został wykorzystany do stworzenia najbardziej popularnej piosenki kubańskiej – *Guantanamera*. Czy tańczył Pan kiedyś cza-czę do tej piosenki?

Oczywiście, *Guantanamera* to najważniejsza wizytówka Kuby i myślę, że cały świat kojarzy *Guantanamerę* z Kubą. Tańczyłem wielokrotnie cza-czę do tego utworu. Teraz, gdy uczę ludzi tańczyć, wykorzystuję ten utwór i od razu przenosimy się w świat Kuby.

Czy zechciałby Pan zatańczyć *Guantanamerę* na obchodach 75-lecia liceum?

Zatańczyć – pewnie mi się nie uda, ale może pouczyłbym wszystkich. Mam ogromny sentyment do liceum. Zrobię wszystko, żeby być z wami na jubileuszu. Żeby zobaczyć klasy, boisko, powspominać i poczuć licealną atmosferę.

Rozmawiała: Karolina Rudzik

Agnieszka Janiszewska (Przepiórkowska) – absolwentka z 1987 r.

Pisarka, nauczycielka oraz dyplomowana historyczka (absolwentka historii na Uniwersytecie Warszawskim), na co dzień pracuje jako nauczyciel historii w podwarszawskim liceum, jako pisarka specjalizuje się w literaturze obyczajowej, do jej najsłynniejszych publikacji należą: *Szepty i tajemnice* (2015); *Aleja starych topoli* (2017) oraz powieść *Pamiętam* (2017)

Agnieszka Janiszewska (Przepiórkowska) obecnie

Archiwum prywatne

Dlaczego wybrała Pani tę szkołę?

Najważniejszym kryterium, które zadecydowało o wyborze tego właśnie liceum był fakt, że mieszkałam na Żoliborzu, a wobec tego nie musiałam pokonywać długiej i przez to czasochłonnej drogi do szkoły.

Co może Pani powiedzieć o latach spędzonych w szkole i obowiązkach z nią związanych?

Szczerze mówiąc, bywało różnie. Gdy wspominam tamte lata, siłą rzeczy przychodzą mi na myśl dni (a nierzadko noce) spędzane na intensywnej nauce.

Nauczyciele byli bardzo wymagający, nie przypominam sobie żadnej taryfy ulgowej. Bywało, że mieliśmy dwa sprawdziany dziennie. Trzeba się było porządnie natrudzić i napracować, by uzyskać w miarę przyzwoite oceny. Profesorowie byli nader oszczędni w stawianiu ocen na wyrost, dla tak zwanej zachęty. Z drugiej jednak strony dało to bardzo konkretne wyniki – większość osób z mojej klasy, a także z innych klas, które w tym samym roku zdawały maturę, dostało się na studia wyższe, co w tamtych czasach było naprawdę dużym osiągnięciem. Przypomnę, że niezależnie od matury, o przyjęciu na studia decydowały wyniki niełatwego egzaminu wstępnego na wyższą uczelnię.

Niezależnie od tego, że niekiedy bywało trudno, dobrze wspominam tamte lata. A nawet bardzo dobrze, z uśmiechem i wzruszeniem. Miałam fajną klasę, i choć pod wieloma względami niektórzy z nas bardzo się od siebie różnili, nie brakowało oryginałów i tak zwanych silnych osobowości, byliśmy naprawdę zgrani i lubiliśmy spędzać razem czas. Mieliśmy też wartościowych, porządnych nauczycieli, aczkolwiek niektórych zrozumiałam i doceniłam dopiero kilka lat po skończeniu szkoły.

Chodziła Pani do klasy humanistycznej. Zdecydowaną większość w Pani klasie stanowiły dziewczyny. Jak w takiej, prawie żeńskiej, klasie odnajdywali się chłopcy?

Myślę, że najlepiej byłoby ich o to zapytać. A tak zupełnie poważnie – sądzę, że nasi koledzy odnajdywali się bardzo dobrze w naszej klasie. Byliśmy raczej zgraną grupą, choć oczywiście jedni się ze sobą przyjaźnili, a inni utrzymywali znacznie luźniejsze kontakty. Nie przypominam sobie żadnego poważnego konfliktu. W tym wieku dziewczęta i chłopcy raczej mają już za sobą okres wzajemnych animozji, tak charakterystyczny dla uczniów młodszych klas podstawówki. Przypominam też sobie, że zawiązały się nawet dwie czy trzy pary, szczególnie ze sobą sympatyzujące, choć, z tego co mi wiadomo, żadna nie utrzymała tych relacji po skończeniu szkoły.

Męską część klasy reprezentowali m.in. Agustin Egurrola, Grzegorz Damięcki, Mariusz Kowalski. Jakimi byli kolegami?

Ja wspominam ich bardzo dobrze, także żadnemu z pozostałych kolegów nie mam nic do zarzucenia. Grzegorz i Agustin byli z pewnością tak zwanymi

artystycznymi duszami i to od razu rzucało się w oczy. Z tego co pamiętam, w naszej klasie nie brakowało indywidualistów, osób wyróżniających się w jakiejś dziedzinie, z którymi można było przeprowadzić naprawdę interesującą rozmowę. Mimo to byliśmy naprawdę dość zgrani, co w przypadku grupy składającej się z indywidualistów bynajmniej nie jest regułą. Bardzo dobrze wspominam też Mariusza, choć o tym, że zamierza zdawać na studia geograficzne, dowiedziałam się dopiero pod koniec klasy maturalnej. Jego też czasem spotykałam na uczelni, ale tylko podczas pierwszego roku studiów. Potem kontakty się urwały, podobnie jak z resztą klasy. Czas jednak zrobił swoje. Ale zostały przynajmniej miłe wspomnienia.

Wasza klasa miała kilku wychowawców...

W przeciągu czterech lat nauki moja klasa miała po kolei troje wychowawców. W pierwszej klasie była to pani profesor ucząca języka angielskiego, ale niestety nie potrafię już sobie przypomnieć jej nazwiska. Być może dlatego, że po roku odeszła ze szkoły i z tego co wiem, podjęła zupełnie inną pracę. Wobec tego kolejnym wychowawcą został pan profesor Bogdan Sekinda, nauczyciel historii. Rok później został dyrektorem szkoły, co oczywiście oznaczało kolejną zmianę wychowawcy. Tym razem został nim nauczyciel języka polskiego, pan profesor Andrzej Chruszczyński i pełnił tę funkcję przez dwa lata, to znaczy do skończenia przez nas szkoły. Każda z tych osób miała inną, barwną osobowość. Z każdą związane są inne wspomnienia.

Pan Andrzej Chruszczyński jest również absolwentem naszego liceum (z 1953 r.). Czy rozmawiał z Wami o tym, jak kiedyś wyglądała szkoła i jakie były warunki nauki tuż po wojnie? Wtedy szkoła mieściła się przy ulicy Barcickiej 2.

Czasem coś wspominał, ale dość ogólnie. Przeważnie jego wspomnienia dotyczyły niektórych, nielicznych kolegów i niektórych profesorów. Być może wymieniał także ich nazwiska, ale nie zapamiętałam ich. Nie wiedziałam, że skończył szkołę w 1953 roku. Zdaję sobie jednak sprawę, że były to bardzo trudne czasy stalinizmu, co rzutowało na wszystkie dziedziny życia. Także kultury i oświaty.

Studiowała Pani historię. Teraz uczy Pani tego przedmiotu. Pisze Pani powieści obyczajowo-historyczne. Czy liceum miało na to jakiś wpływ, ukształtowało Panią w tym kierunku?

Historia stała się moim ulubionym przedmiotem jeszcze podczas nauki w szkole podstawowej. Zawdzięczam to dwóm nauczycielkom, które kolejno, jedna po drugiej, uczyły moją klasę. Nauka w liceum nie miała już większego wpływu na moje zainteresowania – zostały one ukształtowane dużo wcześniej. Choć oczywiście w szkole średniej zdecydowanie poszerzyłam swoją wiedzę. Moją przygodę z własną „twórczością" literacką także zaczęłam już w szkole podstawowej, do tej pory przechowałam kilka zeszytów, którymi zapisywałam moje ówczesne „powieści". Czasem do nich zaglądam, poprawiają mi wtedy nastrój choć oczywiście nie traktuję ich poważnie. W liceum rozwinęłam swoją „twórczość'. Pisałam jeszcze więcej, oczywiście w kolejnych brulionach, zachęcana przez koleżanki z klasy, moje ówczesne wierne czytelniczki. Tak, dopiero w liceum zaczęłam udostępniać moje powieści większemu gronu. Naturalnie żadna z tamtych powiastek nigdy nie została opublikowana, wtedy nawet nie snułam takich marzeń. Pisałam do szuflady i sprawiało mi to radość. Czytelników przecież i tak mi nie brakowało.

Czy w swoich powieściach nawiązuje Pani do wydarzeń lub postaci z czasów licealnych?

W pewnym sensie i tylko do pewnego stopnia miało to miejsce w przypadku jednej powieści *Po drugiej stronie*. Fabuła jest wyłącznie wytworem mojej wyobraźni, podobnie jak wykreowani przeze mnie bohaterowie. Jednak, gdy pisałam tę książkę, w części poświęconej retrospekcjom, wspomnieniom głównej bohaterki z czasów szkoły średniej, oczami wyobraźni widziałam moje liceum, moją klasę, nauczycieli, a nawet drogę do szkoły. Także panią woźną, ulubienicę wszystkich uczniów, która miała nieograniczoną władzę w szkolnej szatni. Widziałam koleżanki i kolegów, którzy jeszcze na kilka minut przed rozpoczęciem lekcji usiłowali przypomnieć sobie materiał, zdając sobie sprawę, że za chwilę ten czy inny nauczyciel przystąpi do odpytywania. Jak już wspomniałam, wymagano od nas solidnej nauki. Jak to się mówi – nie było zmiłowania dla tych, którzy nie zdążyli się przygotować.

Czy pamięta Pani jakieś zabawne sytuacje związane ze szkołą, bądź szczególnie radosne wspomnienie?

Niejednokrotnie bywało wesoło. Pod tym względem szczególnie zapadły mi w pamięć dwie wycieczki w Bieszczady (z dwoma różnymi wychowawcami).

Odbywały się one w iście spartańskich warunkach, zwłaszcza w porównaniu z dzisiejszymi standardami i wymaganiami. My jednak byliśmy bardzo zadowoleni i mieliśmy z tego niezły ubaw. Pamiętam też akcję sprawdzania, jakie od czasu do czasu przeprowadzali nauczyciele i komitet rodzicielski – chodziło o sprawdzanie, czy uczniowie mają przyszyte tarcze szkolne i czy przynoszą obuwie na zmianę. Sprawdzanie odbyło się przed wejściem do szkoły i wywołało niemałą konsternację, jako że niejeden z uczniów nie miał przy sobie owych akcesoriów, a zatem trzeba było uciec się do niemałego sprytu, by przechytrzyć „komitet sprawdzający". Były też inne zdarzenia, ale oczywiście nie sposób wszystkie tu przywołać…

Czy był jakiś szczególny nauczyciel, który zapadł Pani w pamięć?

Zapamiętałam większość z nich. Oprócz wychowawców mogłabym też wymienić panią profesor Annę Baranowską, nauczycielkę języka rosyjskiego, którą wszyscy kochaliśmy, bo miała prawdziwy dar do uczenia i do tego znakomicie pracowała z młodzieżą. Nie sposób też przeoczyć panią profesor Annę Popiak, nauczycielkę łaciny, która z kolei była bardzo surowa i wymagająca, toteż lekcje z nią były dla nas nie lada wyzwaniem. I oczywiście pani profesor Danuta Krosnowska, nauczycielka geografii, która na każdej lekcji przepytywała przynajmniej dwie osoby, a oprócz tego brała „na pierwszą ławeczkę" (jak mówiła), czyli do odpowiedzi pisemnej cztery, pięć osób.

Czy miała Pani studniówkę?

Oczywiście. W sali gimnastycznej na terenie szkoły, bez tej oprawy jaką mają dzisiejsze zabawy studniówkowe. A mimo to – niezapomnianą**.**

Dlaczego niezapomnianą? Jaki był wystrój sali? Jakie jedzenie było na stołach? Do jakich przebojów najchętniej tańczyliście?

Salę musieliśmy udekorować sami. Oczywiście jedni z nas się do tego przykładali, inni delikatnie mówiąc – obijali się, ale wszyscy mieliśmy z tego dużo dobrej zabawy. Jedzenie przygotowały nasze mamy, czyli ściślej mówiąc panie, które zostały wpisane przez naszych wychowawców do komitetu studniówkowego. Z tego co wiem, żadna nie buntowała się przeciwko nałożonym przez szkołę obowiązkom. Dla rodziców było oczywiste, że pewne rzeczy trzeba po prostu wykonać. A przecież też mieli sporo innych spraw na głowie,

codzienność niejednokrotnie bywała nie lada wyzwaniem, zwłaszcza jeśli przypomnieć fakt, że nasze mamy musiały spędzać po pracy mnóstwo czasu w kolejkach sklepowych, a potem stawać na froncie obowiązków domowych. Dlatego docenialiśmy ich wysiłek, z tego co pamiętam, nikt nie narzekał na przygotowane przez nie menu studniówkowe. Było danie na ciepło, chyba kurczak, choć nie jestem już tego pewna. Oprócz tego jakieś sałatki, ciastka i pączki. Stoły zostały ustawione na szkolnym korytarzu. Jeśli chodzi o muzykę hitem były wtedy np. przeboje w wykonaniu Michaela Jacksona.

Czy uważa Pani, że wybór XXII LO im. José Martí był dobrym wyborem?

Bez wątpienia był to dobry wybór. Szkoła nauczyła mnie ciężkiej pracy i przekonania, że rzadko kiedy sukces przychodzi bez wysiłku. Przydała mi się ta dewiza, gdy zostałam przyjęta na Wydział Historii na Uniwersytecie Warszawskim, bo i tam trzeba się było dużo uczyć i poradzić sobie z niejedną stresującą sytuacją. I choć teraz podobne spostrzeżenia nie są modne, a bywa, że nie najlepiej widziane – muszę przyznać, że dało mi to siłę na dalsze lata mojego życia. Na sprostanie kolejnym wyzwaniom. Czasami naprawdę nie warto sobie pobłażać i usprawiedliwiać się ze wszystkiego.

Rozmawiały: Maja Jarząbek (uczennica kl. 1H3) i Karolina Rudzik

Dariusz Piwowarczyk – absolwent z 1990 r.

Absolwent historii UW, laureat Nagrody im. Adama Heymowskiego (1998), autor książek o kulturze średniowiecza, od 1994 roku związany zawodowo z Telewizją Polsat (dziennikarz sportowy, sekretarz redakcji, archiwista, kierownik archiwum programowego)

Szkoła kojarzy się z określonym, regularnie odwiedzanym miejscem, w którym spędzamy długą i ważną część życia. Wyróżnia się tym, że nie pozwala o sobie zapomnieć również z dala od własnych murów. Najpierw za sprawą prac domowych, sprawdzianów i zebrań klasowych, po których w rodziców

wstępuje osobliwe wzmożenie zainteresowania się naszymi postępami edukacyjnymi; następnie dzięki więziom zadzierzgniętym we wspólnej ławce, na boisku czy w kole zainteresowań oraz utrzymywanym przez lata kontaktom z nauczycielami, którzy nas inspirowali, z kolegami i koleżankami, z którymi dzieliliśmy problemy, doświadczenia, nadzieje, a niekiedy i serce; wreszcie w tych najbardziej zaskakujących momentach, gdy odkrywamy, że ta konkretna szkoła jest tym, co łączy nas z innymi: z podrywaną na weselu dziewczyną w czerwonej sukience, która zdała maturę kilka roczników później, z sąsiadką, która tam pracowała, z kolegami, których dzieci uczą się, tam gdzie my. Wspólne doświadczenia nie wykluczają różnic, bo każdy inaczej pamięta to samo. Oto jak ja pamiętam XXII LO, nauczycieli, koleżanki i kolegów, szkolną naukę i wycieczki.

Legitymacja szkolna Dariusza Piwowarczyka, 1986–1990

* * *

Liceum było dla mnie i całej mojej klasy zupełnie nowym doświadczeniem i to na różnych poziomach. Już pierwsza lekcja pokazała, że nikt tu się z nami nie będzie cackał jak z dziećmi, lecz wymagał i wiedzy, i odpowiedniego zachowania. Zaczęliśmy bowiem od fizyki z profesor Danutą Lewczuk. Weszliśmy do jej pracowni jak wesoła zbieranina nastolatków wciąż myślących o minionych wakacjach, a wyszliśmy jak mniej lub bardziej przestraszeni uczniowie przejęci ogromem stojącego przed nimi zadania. Przez 45 minut pani profesor skutecznie zapanowała nad chaosem (było nas tak wiele, że z trudem znajdowaliśmy sobie miejsce w klasie i chcieliśmy, by ten rozgardiasz trwał jak najdłużej), przekonała, że czeka nas dużo ciężkiej pracy (a przecież do klasy humanistycznej uciekaliśmy m.in. przed fizyką!) i zapewniła sobie szacunek i autorytet aż do końca naszej nauki. Nie ona jedna.

Starsze klasy nie były takie straszne, jak początkowo myśleliśmy. Przede wszystkim zazdrościliśmy im luzu i pewności siebie. Oni zaś mieli z nas ubaw, najpierw chociażby na szkolnych otrzęsinach. Na koniec zajęć, tak na szóstej czy siódmej lekcji, zgarnęli wszystkich, klasa po klasie (bez trudu, bo młode osiołki karnie przyszły). Następnie wypuszczali nas pojedynczo w labirynt drabinek przykryty siatkami maskującymi, krzykiem i poszturchiwaniami zmuszali do czołgania się, a przy wyjściu usłużnie pomagali wstać. Po to tylko jednak, by

sprawnie przytrzymać zaskoczonego beana, gdy inni smarowali go pastą do butów i farbami oraz karmili oślim przysmakiem – dżemem z musztardą. Potem nowicjusz trafiał na gilotynę, gdzie obcinano mu uszy. Duże i papierowe, które trzeba było założyć przed wejściem do labiryntu. I wtedy każdy nabierał rozumu: lepiej się uczyć, niż za rok znowu być na oślej diecie.

Sposobności do nauki nie brakowało, tak jak zapadających w pamięć nauczycieli. Tym, który najbardziej nas zaskoczył, był polonista profesor Paweł Waszak. Nikt z nas nie miał wcześniej takiego mistrza i przewodnika – oryginalnego, autentycznego, myślącego krytycznie i niezależnie, z niebanalnymi zainteresowaniami (był pierwszą osobą w moim życiu, dla której staro-cerkiewno-słowiański nie jest językiem obcym) i wymaganiami, którym nawet najlepszym trudno było sprostać. Był bezpośredni, niekiedy brutalnie szczery lub dowcipnie prześmiewczy w swoich ocenach i komentarzach, a przy tym czynił to z językową finezją i maestrią. Kiedy uczeń miał urodziny lub imieniny śpiewał mu w języku oryginału ludową piosenkę pochodzącą z rozległego terenu Bałkanów i środkowo-wschodniej Europy. Kiedy zaś on miał święto, prosił, by nie przynosić mu kwiatów, bo nie jest kozą, lecz jabłka albo czereśnie. Wyjątkowo lubiliśmy go za zrozumienie dla naszych problemów. Pewnego razu, gdy zauważył, że prawie nikt nie słucha jego wykładu, zamiast wymusić uważność represjami, zaczął dociekać przyczyny naszego rozkojarzenia. Dowiedziawszy się, że większość słuchaczy jest skupiona na potajemnym przepisywaniu wyjątkowo trudnej pracy domowej z innego przedmiotu, przerwał na kilkanaście minut wykład i pozwolił nam na jawne i szybkie ściąganie.

Przedmiotem, który stanowił źródło powyższej anegdoty, była matematyka. O ile na lekcjach polskiego mogliśmy się zorientować, ile nas jeszcze dzieli od miana humanistów, to przekraczając próg sali matematycznej, stawaliśmy się „tumanistami". Profesor Cecylia Sroka to bez wątpienia jedna z nauczycielek – symboli XXII LO i to dla wielu roczników absolwentów. Perfekcyjna, precyzyjna, wymagająca, nie podnosząca głosu, ani nie okazująca złego humoru, bo zawsze posługująca się żelazną, choć raczej należałoby powiedzieć matematyczną, logiką. I właśnie ta logika nas przerastała i przestraszała. Ot weźmy takie prawa Morgana – jasne, proste, niezmienne, już wydawało się, że zapamiętane

i opanowane – gdy stawało się przy tablicy i trzeba było ich użyć, znikały jak fatamorgana. Pani profesor stale powtarzała, że „matematyka uczy logicznego myślenia", „jest królową nauk" i przydaje się każdemu. Kto się nie poddał, z czasem odkrywał i piękno, i użyteczność matematyki (dzięki temu, na studiach nie miałem problemów ze statystyką, choć niektórzy koledzy bledli na dźwięk słowa „funkcja"). Ale dopiero po wielu godzinach nauki. Na panią profesor Cecylię Srokę nie było bowiem innego sposobu. Ściąganie kończyło się koniecznością samodzielnego udowodnienia swojej wiedzy przy tablicy, a próba przekazania na pracy klasowej rozwiązanego zadania – współczującym komentarzem pani profesor, że: „Dariusz usiłował ingerować w pracę kolegi, na szczęście bezskutecznie".

Paradoksalnie, najrzadziej widywaliśmy się z naszą wychowawczynią, profesor Barbarą Antonów. Z tej prostej przyczyny, że była ona nauczycielką wychowania fizycznego. Miało to tę dobrą stronę, że nie istniało ryzyko, iż na godzinie wychowawczej postanowi nadrabiać zaległości programowe i urządzi nam bieg na 1000 metrów. Niestety nie był to przedmiot, z którego byłem mocny (na sprawdzianach nikogo nie interesowały wyniki meczów i kto w której minucie strzelił), a więc raczej unikałem obecności i aktywności. Jak na zaangażowaną wychowawczynię przystało, pani profesor starała się poznać nas jak najlepiej i wyrwać z tej obojętności. Na pierwszą wycieczkę klasową zabrała nas w swoje rodzinne strony, w Bieszczady, do Ustrzyk Dolnych.

Mimo iż jako klasa uczyliśmy się razem już od ośmiu miesięcy, słabo znaliśmy się nawzajem. Pewnie dlatego, że wszyscy byliśmy nowi, brakowało licznej i silnie powiązanej ze sobą grupy znającej się jeszcze z podstawówki (ja z poprzedniej szkoły znałem, i to bardziej z widzenia, tylko Ankę Wyrzykowską, i to z nią wymieniałem się zeszytami, by przepisać notatki z lekcji straconych przez choroby). Większy wpływ na słabe zgranie się klasy miała jednak niewielka liczba chłopców. Najpierw siedmiu, potem sześciu. Połowa z nich podczas przerw paliła w toalecie, a ja dotrzymywałem im towarzystwa (co ciekawe, tylko ta nasza grupka dotrwała w klasie do matury). Innymi słowy, większość się ukrywała i udawała, że jej nie ma. Na wycieczkę też pojechali nie wszyscy i każdy chodził samopas.

Ja pierwszy, i to dosłownie. Podczas inauguracyjnej wyprawy w góry dość szybko uznałem, że nie będę się wlókł i dogoniłem czoło grupy. Tempo nie było wysokie, ale i ono, pod warunkiem niezatrzymywania się, pozwoliło mi zgubić ostatnie ambitne koleżanki (jak pamiętam Monikę Fabijańską i Agnieszkę Rudalską) i wędrować samemu. Na końcu szlaku czekało mnie półtoragodzinne oczekiwanie, aż wszyscy dotrą i indywidualna rozmowa z profesor Antonów. Nie, nie o tym, że prawdopodobnie ustanowiłem rekord trasy i wychowawczyni cieszy się, że ma takiego wytrwałego ucznia.

Potem już trzymałem się grupy, zwłaszcza że pogoda nas nie rozpieszczała, a nie każdy wychodził w góry przygotowany na duży deszcz. Po kilku godzinach, nawet tym lepiej zabezpieczonym, zaczynało być obojętne jak bardzo są przemoczeni. Ale i to, okazało się, miało swoje granice. Niezapomnianą sceną z tej wycieczki był ostatni jej etap, gdy szliśmy już utwardzoną drogą, zakręt której przykryty był rozległą kałużą. Monika Fabijańska twierdząc, że jej obojętne czy woda jest w powietrzu czy pod nogami, bo bardziej mokra już nie będzie, ścięła zakręt przechodząc przez kałużę. Przestało jej być obojętne, gdy kałuża okazała się głęboka, tak do połowy łydki.

Wspólne doświadczenia łączą, na zakończenie doczekaliśmy się więc klasowego ślubu: Rafała Falkowskiego i Lucyny Kamińskiej. Wszyscy zaangażowali się w przygotowania, a ceremonia wypadła „epicko". W uzgodnieniu z głównymi bohaterami wyszedłem poza tradycyjnie pojmowaną rolę świadka, uprowadziłem pannę młodą, wciągając ją do najbliższego pokoju. Lucyna zagrała jeszcze lepiej: tak krzyczała i wzywała pomocy, że jako pierwsi, gotowi ją nieść, zjawili się właściciele pensjonatu, w którym mieszkaliśmy. Ostatecznie wszystko dobrze się skończyło, porywacz zginął i ceremonię doprowadzono do finału. Podczas wycieczki i Rafał i ja mieliśmy okazję po raz pierwszy porozmawiać z niektórymi koleżankami, co było dużą zmianą. Ja dodatkowo zmieniłem fryzurę stawiając włosy na wszelkie możliwe sposoby (z wodą z cukrem włącznie). Po powrocie moja mama nie poznała mnie na dworcu i przeszła obok…

Było to nieuniknione, bo wycieczki zachęcają nas do wprowadzania zmian we własnym życiu, pozwalają odkrywać w sobie nieznane i nieuświadamiane, i ujawniać to światu.

* * *

Drugi rok nauki był, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, najtrudniejszy. Z wakacji wróciliśmy z przekonaniem, że przecież wszystko już wiemy o szkole, o nauczycielach i o sposobach na dobre oceny bez przemęczania się. Myślenie takie okazało się błędem. Po pierwsze, zmienili się nauczyciele niektórych przedmiotów i to wyłącznie z mniej na bardziej wymagających, po drugie, każdy profesor oczekiwał, że będziemy korzystać z już zdobytej wiedzy, a nie zaczynać naukę od zapomnianych początków.

Ot, taki język rosyjski. W pierwszej klasie stwarzał możliwość czytania na lekcji „Przeglądu Sportowego", od drugiej urósł do rangi pierwszorzędnego przedmiotu. Profesor Marianna Kasznicka była uroczą, starszą panią, kulturalną, spokojną (udało się nam wyprowadzić ją z równowagi nie więcej niż dwa razy), cierpliwie tłumaczącą przewidziane programem tematy i zagadnienia, i z równie wielkim opanowaniem egzekwującą wiedzę. Jej styl doskonale oddaje anegdota, prawdopodobnie wymyślona w równoległej klasie, której była

Klasa I C, maj 1987

wychowawczynią, o tym, co usłyszał odpytany przy tablicy uczeń: – „Да, ты, хорошо ответил на все вопросы, но к сожалению, получаешь двойку" (Tak, dobrze odpowiedziałeś na wszystkie pytania, ale, z żalem, stawiam ci dwoję).

Oczywiście bywało i tak, że uczyliśmy się i powiększaliśmy kompetencje, nie będąc tego do końca świadomymi. Nauczycielka biologii, profesor Jadwiga Kalbarczyk, raz w miesiącu prowadziła lekcję pracy z mikroskopami. Początkowo traktowaliśmy to jako rozrywkę, urozmaicenie, a przede wszystkim trzy kwadranse bez ryzyka bycia odpytanym. Z czasem stały się one coraz bardziej interesującym i fascynującym elementem edukacji, szczególnie że pani profesor obce było podejście typu „nie dotykaj, bo zepsujesz". Wolała dawać nam materiały i zadania, preparaty do przygotowania i analizy. To było genialne dydaktycznie i wychowawczo, nawet jeśli po takiej lekcji konieczne było poświęcenie kilkunastu lub kilkudziesięciu minut na narysowanie i opisanie świata widzianego okiem uzbrojonym.

Konieczność korzystania z wiedzy z klasy pierwszej najdotkliwiej dawała się we znaki na lekcjach łaciny z profesorem Zdzisławem Warmtem. Nasza znajomość koniugacji i deklinacji była rachityczna, a oprócz coraz wymyślniejszych konstrukcji gramatycznych, profesor zasypywał nas informacjami o kulturze i literaturze antycznej Grecji i Rzymu. Można było się uczyć, jak Kaśka Próba, która chyba jako jedyna znała wszystkie funkcje stylistyczne każdego przypadka albo próbować innych metod. Jak wiadomo, kto nie chce, szuka wytłumaczenia, kto chce, szuka sposobu. My bardzo chcieliśmy.

Najpierw pomógł nam profesor Waszak. Poświęcił całą lekcję, by nauczyć nas śpiewania w kanonie pierwszego wersetu Psalmu 100. Zrozumiałe, że po łacinie – „Iubilate Deo, omnis terra: servite Domino in laetitia" (Chwal cała ziemio Boga, radośnie służ Panu). Wszystko w szczytnym celu znalezienia „sposobu" na profesora Warmta. Odśpiewaliśmy zaskoczonemu łacinnikowi, wyuczony, acz niekoniecznie rozumiany, fragment Psalmu, a nasze oczekiwania wyraziliśmy mało poetycką rymowanką: „Ostatnia lekcja przed Świętami, Niech Pan nie znęca się nad nami; Niech Pan nie pyta, dwój nie stawia, Miłe wrażenia na święta zostawia". To jedyny znany mi przypadek skutecznej uczniowskiej perswazji na lekcji łaciny. Nie bez znaczenia była tu wszakże okoliczność, iż

Boże Narodzenie jest raz w roku, a lekcje z profesorem Warmtem odbywały się nawet cztery razy w tygodniu.

Z kolegą z ławki, Marcinem Walesiakiem, spróbowaliśmy więc inaczej. Ponieważ na pracach klasowych dostawaliśmy do przetłumaczenia teksty ze starego podręcznika, postanowiliśmy zdobyć go i zawczasu przygotować się do zadań. Podczas kolejnego sprawdzianu spisaliśmy dane publikacji (Zofia Kwiecińska, *Schola latina 1*, Warszawa 1965), wypożyczyliśmy książkę do czytelni na ul. Koszykowej i tam mozolnie skopiowaliśmy teksty. Po wszystkim dotarło do nas, że teraz trzeba je przetłumaczyć, a nie wiemy jak. Nie mniej podjąłem się tego i na następną pracę klasową szliśmy zaopatrzeni we fragmentaryczne tłumaczenia. Nie przydały się, albowiem tym razem musieliśmy dokonać przekładu tekstu ze zbioru *Schola latina 2*.

O niepowodzeniu staraliśmy się zapomnieć na klasowej wycieczce do Wrocławia. Wyjątkowo na kilka dni pojechali chyba wszyscy, prawdopodobnie dlatego, że niechętnym zapewniono alternatywę w postaci czasowego dołączenia do innej klasy. Program wycieczki był bogaty, od zoo, przez starówkę, po freski Auli Leopoldyńskiej, a jego najważniejszy punkt stanowiła „Panorama Racławicka". Chociaż była ona udostępniania publiczności dopiero od niecałych trzech lat, cieszyła się tak wielkim zainteresowaniem, że nie zdołaliśmy zmieścić się w pierwszym milionie widzów. Warto było ją zobaczyć, dzieło wywarło wrażenie, choć trzeba uczciwie przyznać, iż oglądaliśmy je uważnie również dlatego, że po powrocie musieliśmy na ten temat napisać wypracowanie z języka polskiego. Dziś łatwo się o tym pisze, ale wtedy zadanie wydawało się ponad nasze siły. Znowu nie wszystkich. To wówczas najlepsza uczennica – Adrianna Szewczyk stworzyła pierwszy i być może jedyny w naszej klasie tekst, spełniający oczekiwania profesora Waszaka. Tekst świetny formalnie, naładowany emocjami i zapełniony szczegółami – pamiętam, bo nie wiedziałem, czy większy jest mój podziw, czy zazdrość.

Innym miejscem na zawsze kojarzonym z tą wycieczką było schronisko młodzieżowe, nasz dom przez kilka dni. Większy z dwóch pokojów, przydzielony chłopcom, miał zabite gwoździami wewnętrzne drzwi, które natychmiast przyciągnęły uwagę jego mieszkańców. Odblokowane i otwarte ujawniły puste

pomieszczenie bez okna, być może dawny składzik lub łazienkę. Po prostu idealne miejsce na uczniowską palarnię. Ponieważ klasowa grupa palaczy i palaczek była już liczna, każdy potrzebujący „dymka" przychodził w odwiedziny i znikał za tajemniczymi drzwiami. Znikał w dymie i w tłumie. W części mieszkalnej było natomiast pusto, cicho i spokojnie. Jak wielkie musiało być zdumienie naszej wychowawczyni, gdy weszła do pokoju, w którym spodziewała się zastać połowę wycieczki i ujrzała mnie samotnie czytającego książkę. Zdumienie tym większe, że ja mieszkałem w innym pokoju, a tu jedynie siedziałem na czatach. Odpowiedziałem pani profesor Antonów, że nie wiem, gdzie są pozostali, ale pewnie u kogoś w innym pokoju. Wróciłem do lektury, pani profesor zaś do poszukiwań. Dlaczego nie przebywałem jak zwykle z palaczami? W trakcie podróży zauważyłem, że Jakub Bójko z wypiekami na twarzy czyta jakąś książkę i nie może się oderwać. Zaintrygowany, wyprosiłem, by mi ją pożyczył na czas wycieczki i czytałem z nie mniejszym zainteresowaniem niż on. To była „Justyna" markiza de Sade.

To dowód, że klasowe wycieczki poszerzają horyzonty (również literackie) i uczą, iż to, co najważniejsze, jest niewidoczne dla oczu.

* * *

Trzecia klasa była początkiem zmian. W nas i dookoła nas. Bieżąca polityka i związane z nią oczekiwania stawały się jednym z tematów rozmów między nami oraz z nauczycielami. Przecież każdy sposób jest dobry i usprawiedliwiony, aby odpytywanie i sprawdzanie prac domowych zastąpić poważną, prawie że partnerską rozmową. Po raz pierwszy udało się to nam w czwartek 1 grudnia 1988 roku. Pierwszą lekcją była wówczas geografia z profesor Danutą Krosnowską, jedyną nauczycielką, która potrafiła równocześnie sprawdzać przedmiotową wiedzę kilku osób. Dwoje lub troje pechowców sadzała przed sobą w pierwszej ławce i dyktowała krótkie pisemne zadanie z tematu ostatniej lekcji lub z geografii fizycznej, równocześnie przepytywała dwoje innych uczniów, pilnując, by zadawane pytania nie pomogły w żaden sposób piszącym. Zagadanie pani profesor mogło więc ocalić nawet pięć osób. Pomogła nam transmitowana poprzedniego wieczoru telewizyjna debata Wałęsa – Miodowicz, każdy ją obejrzał i chciał podzielić się wrażeniami i przemyśleniami. Nikt nie wiedział, co będzie dalej, lecz wszyscy wskazali tego samego zwycięzcę debaty.

Dla mojego pokolenia taka wolność była czymś nowym. Oswajaliśmy ją stopniowo wraz z Okrągłym Stołem, lekturą *Gazety Wyborczej* i wyborami 4 czerwca 1989 roku. Nasi nauczyciele również. Z nauczycielką rosyjskiego, profesor Anną Baranowską, zaczytywaliśmy się w co dowcipniejszych i bardziej złośliwych komentarzach gazety, jak o tym, że Jane Fonda i Nastassia Kinski z wpiętymi w ubrania znaczkami „Solidarności" i palcami ułożonymi w „V" „brutalnie ingerują w wybory w Polsce", a to wszystko z dedykacją dla kolegów z *Trybuny Ludu*. Sprawdziłem, była to *Gazeta Wyborcza* z czwartku 1 czerwca 1989 roku. Żałowałem i żałuję, że nie mogłem głosować w wyborach trzy dni później, bo zabrakło mi mniej niż trzech miesięcy do pełnoletności.

Na swój sposób odbieraliśmy i przetwarzaliśmy dokonujące się zmiany i również w życiu szkolnym testowaliśmy granice wolności. Nauczyciele nie mieli z nami łatwo, zwłaszcza jeżeli coś, co miało być śmiałym żartem, zostało opacznie zrozumiane. Większość wypracowań i prac domowych pisanych na luźnych kartkach podpisywałem wówczas na najdziwniejsze sposoby. Długo było to przyjmowane z uśmiechem (niekiedy politowania), lecz skończyło się gwałtownie i nieprzyjemnie. Polonista Paweł Waszak odszedł ze szkoły, mimo iż rok wcześniej na setnej lekcji, która zwyczajowo należała do uczniów, pod warunkiem zapewnienia profesorowi dobrej zabawy, wytoczyliśmy mu proces i skazaliśmy go na uczenie nas aż do matury. Niesłusznie oczekiwaliśmy, że jego następczyni, profesor Elżbieta Walczak, będzie taka jak on. Miała inny styl, a więc konflikt wzajemnych oczekiwań prowadził do naszej niechęci i biernego oporu, przełamywanego czy raczej wzmacnianego represyjnymi kartkówkami. Pech chciał, że na początku takiej lekcji, której atmosfera stała się nerwowa, oddałem wypracowanie podpisane jako „Więzień nr 13, III Cela". Innego dnia, pewnie by to przeszło, ale wówczas zostało uznane za, nomem omen, „celową" prowokację. W konsekwencji moja mama została wezwana do szkoły, a język polski stał się dla mnie przedmiotem „trudnym".

Sprawdzanie granic wolności i ekspresji nie sprawdziło się także na zajęciach z przysposobienia obronnego, kiedy profesor Zygmunt Rowiński zabrał naszą klasę na obowiązkowe strzelanie z KBKS-u. Byłem w pierwszej grupie, która pobrała broń i przenosiła ją na stanowiska strzeleckie. Pamiętam, że

żelastwo było ciężkie i niewygodnie się je niosło. Oddałem trzy próbne strzały – nie najlepsze, nie były Panu Bogu w okno, ale pod stopy – po czym zostałem wyrzucony z oceną niedostateczną za „opowiadanie dowcipów na strzelnicy". I tak zostałem pacyfistą, gdy reszta klasy dobrze się bawiła strzelając.

Bezdyskusyjnie najlepszy strzał tego roku udał się na łacinie. Poziom trudności tekstów wzrósł, ich autorzy zyskali słynne starożytne imiona, ale, co za tym idzie, łatwiej było znaleźć przekłady poszukiwanych fragmentów. Pierwszy krok był dla nas łatwizną – ustalenie tytułu zbioru wykorzystywanego na sprawdzianach, drugi oczywistością – spisanie autorów, tytułów, numerów ksiąg i rozdziałów, trzeci pomysłowością – skserowanie wskazanych fragmentów tłumaczeń w pomniejszeniu, tak, by mieściły się w dłoni. Perfekcyjnie przygotowani byliśmy pewni sukcesu. Prawdopodobnie tym właśnie podpadłem Jowiszowi, bo na klasówce profesor Warmt znowu zmienił zbiór tekstów i przypadł mi zupełnie nieznany fragment. Ulubieńcem Fortuny okazał się natomiast Marcin. Jemu trafił się tekst, do którego mieliśmy tłumaczenie. Korzystając z całej posiadanej niewiedzy, przez 45 minut zacierał ślady jakiejkolwiek znajomości *O wojnie galijskiej* Cezara. Nie do końca skutecznie, ponieważ dostał całą trójkę, czym wzbudził wątpliwości i sprowokował liczne pytania profesora. Ocena została uznana – „nie złapałem na ściąganiu, a czytać i pamiętać każdy może" – ale było to nasze Pyrrusowe zwycięstwo. Wiedzieliśmy, że odtąd będziemy pilnie obserwowani na każdym sprawdzianie, a ewentualna wpadka może mieć przykre konsekwencje, bo profesor Warmt bardzo przeżywał to, że został przechytrzony. I to przez takich, co słabo znają łacinę. Nigdy więcej nie powtórzyliśmy takiego działania.

Z wielu zdarzeń z tamtego okresu jednym z ważniejszych okazało się takie z pozoru nieistotne – film obejrzany na wagarach (tak, rzadko praktykowane wagary stanowiły istotny element skutecznej nauki, ponieważ pozwalały uniknąć odpytania w stanie nieprzygotowania oraz na następnej lekcji, bo „pani profesor, mnie nie było na poprzednich zajęciach"; dawały czas na solidne przygotowanie się na kolejną lekcję, połączone z wysokim prawdopodobieństwem bycia odpytanym; chodzenie zaś do kina w środku dnia nie pozbawiało nas popołudniami czasu niezbędnego na naukę i odrabianie lekcji). Film

opowiadał o wakacyjnej miłości dziewczyny (nuda), było w nim dużo muzyki i tańca, co razem nijak nie pasowało do tytułu, pod jakim był wyświetlany: *Wirujący seks* (dziś znany wyłącznie pod oryginalnym *Dirty Dancing*). Wkrótce film widzieli już chyba wszyscy w klasie i większość słuchała piosenek z niego (nagranych z jednej i tej samej kopii-matki). Nieuchronnie muzyka ta zdominowała klasową wycieczkę do Wisły.

Mieszkaliśmy w schronisku przy miejscowej parafii i wyjątkowo miałem do dyspozycji wielki pokój, albowiem z naszej męskiej czwórki, w góry pojechałem tylko ja. Korzystałem z doświadczeń z Bieszczadów i podczas wycieczek nie szedłem pierwszy i nie forsowałem tempa. A nawet wprost przeciwnie. Podczas pierwszej wędrówki zostałem z tyłu z Gośką Lipińską i rozmawiając niespiesznie podążaliśmy do celu. Ponieważ łatwiej iść krętą i łagodną drogą niż wspinać się po zboczu, wybraliśmy tę trasę. Pozdrawialiśmy mijających nas uczestników rajdu starych samochodów, cieszyliśmy się piękną słoneczną pogodą, by na końcu znowu otrzymać burę. Ponoć pozostali nudzili się czekając na nas prawie dwie godziny.

Z wycieczek po górach wracaliśmy zmęczeni, lecz po kolacji wstępowały w nas nowe siły. Zaopatrzeni w kasetowy magnetofon i piosenki z *Dirty Dancing* wychodziliśmy na pustą, peryferyjną ulicę i … grupowo tańczyliśmy. W tłumie łatwo się było ukryć, ale znajomość kroku podstawowego mambo stanowiła niezbędne minimum. Wydaje mi się, że nauczyły mnie tego Anka Wyrzykowska i Monika Duszyńska. Nasze wieczorne tańce przyciągały uwagę wszystkich okolicznych mieszkańców, którzy zamiast oglądać „Dziennik telewizyjny" stawali przy płotach i patrzyli jak bawi się młodzież z Warszawy. Nikt z nas się tym nie przejmował. Szliśmy i wracaliśmy tanecznym krokiem, a potem jeszcze, jak zwykle chowając się przed naszą wychowawczynią, cała grupa trafiała do mojego pustego pokoju. Karolina Kowalska nauczyła mnie dwóch gitarowych akordów, a ja skomponowałem z nich swój pierwszy i jedyny utwór „Legia". I tak powoli koleżanki oswajały jednego z czterech klasowych „dzikusów".

Wycieczki uczą przecież śmiałości, samodzielności, podążania za pasją i współdziałania oraz tego, że ten, kto ogranicza się wyłącznie do patrzenia i stania z boku, traci mnóstwo godnych zapamiętania a bezpowrotnie mijających chwil.

edferries
Polska Żegluga Bałtycka
78-100 Kołobrzeg ul. Morska 2
tel. 25-211 tlx 0532502

Przedstawicielstwa PŻB – Morskie Biura Podróży w Polsce:

00-613 Warszawa ul. Chałubińskiego 8
tel. 30-09-20 tlx 815659

60-741 Poznań ul. Głogowska 82
tel. 613-12 tlx 0413645

50-149 Wrocław ul. Wita Stwosza 28
tel. 44-13-78 tlx 0715103

90-114 Łódź ul. Sienkiewicza 20
tel. 660-45 tlx 885568

31-154 Kraków ul. Pawia 6
tel. 22-71-14 tlx 0325355

70-203 Szczecin ul. Kard. Wyszyńskiego 28
tel. 359-45 tlx 0422533

81-401 Gdynia ul. Świętojańska 132
tel. 20-87-61 tlx 054710

KARTA ZAOKRĘTOWANIA

ważna tylko z biletem zbiorowym

PIWOWARCZYK
Nazwisko

DARIUSZ
Imię

grupa nr _____ kab. nr 139

BARBARA ANTONÓW
Nazwisko opiekuna grupy – pilota

Rejs na trasie ŚWINOUJŚCIE-KOPENHAGA

w dniach: 26-29 LISTOPADA

Karta zaokrętowania, wycieczka do Kopenhagi, 1989 r.

* * *

Najlepszym dowodem zmian zachodzących wówczas w Polsce była wycieczka w ostatniej klasie liceum. Jej celem była Kopenhaga. Dziś to nikogo nie dziwi, ale wtedy kontekst był inny. W latach 80. XX wieku na Zachód wyjeżdżało się raczej już po maturze, a my pojechaliśmy przed. Liczne ograniczenia istniały nadal – na przykład ja i Marcin, bo tylko tylu chłopców z klasy pojechało, dostaliśmy paszporty jednorazowego użytku, by nie przyszło nam do głowy pojechać na ich podstawie gdzieś dalej, ale wolność uderzała do głów i już w nich pozostawała. Wycieczka była kolejowo-promowa, do Świnoujścia i stamtąd przez Bałtyk do Danii. Dni spędzaliśmy na lądzie, a noce na pełnym morzu. W Kopenhadze widzieliśmy pomnik małej syrenki, Nyhavn i inne charakterystyczne budynki i miejsca, które wielokrotnie widziałem w duńskich filmach. Niektórzy załapali się nawet na wycieczkę do browaru Tuborga. Chłonęliśmy obcą nam rzeczywistość pełnych sklepów i braku kolejek, wszechobecnych reklam i różnokolorowego tłumu na ulicach. I jakoś zawsze bez trudu byliśmy w stanie wypatrzeć w nim Polaków. Wieczorami natomiast integrowaliśmy się jako klasa. Wreszcie z sukcesem. To właśnie wtedy prawdziwie poznaliśmy się

Dariusz Piwowarczyk i Marcin Walesiak, wycieczka do Kopenhagi, listopad 1989 r.

Dariusz Piwowarczyk, paszport jednorazowego użytku, 1989 r.

Klasa II C, maj 1988 r.

Klasa II C, maj 1988 r., rewers

i polubiliśmy, zaczęliśmy współpracować i współdziałać w myśl zasady jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. I tak już zostało na lata – z grona osób nie wymienionych jeszcze w tej opowieści Monika Kunikowska i Monika Komorowska są moimi przyjaciółkami do dziś.

Wtedy klasowe zgranie przełożyło się na skokowy wzrost liczby osób pomagających mi w zbieraniu językowych błędów, lapsusów i powiedzonek nauczycieli. Zeszyt z powyższymi zacząłem prowadzić w drugiej klasie, choć najstarsze zapiski zostały zapamiętane jeszcze rok wcześniej. Przez lata kolekcja rosła: „Każden matematyk jest dobrym humanistą ze wszystkich przedmiotów"; „Człowiek-noga musi odpoczywać" (o przyczynie konieczności zmieniania obuwia); „Tutaj, przy symborze funkcji"; „Istnieją tylko pięć rodzaje wielościanów foremnych"; „Radziwiłł to była tytularna funkcja"; „Ludzie, którzy uczestniczą w wojnach, mają blizny na psychice"; „Rok przestępczy"; „Gruźlactwo"; „Nie uciekłem z Sobieskiego 1/9"; „Walczysz ze mną o tę czwórkę pod pierwiastkiem?"; „Dla ciebie wiedza to jak przeszczep" czy nieśmiertelna rozmowa profesor Baranowskiej z Krzysztofem Szyszko: „– Ty mu tu nie… za… nie… mąć! – Pani profesor, ja mu tu niezaniemącam!".

W klasie maturalnej istnienie kolekcji było już tajemnicą Poliszynela. Zdarzyły się bowiem wpadki, gdy na geografii profesor Krosnowska wziąwszy mój zeszyt do sprawdzenia nieroztropnie otworzyła go na ostatniej stronie, która służyła do sporządzania „na gorąco" notatek do zbioru, po czym udawała, że niczego nie przeczytała, czy też gdy sam na religioznawstwie wręczyłem profesorowi Bogusławowi Królowi zaległy referat, który wydawał mi się już tak zapomniany, że używałem go do potajemnych zapisków. Bywało i odwrotnie, ten niezapomniany niepokój nauczycieli, czy przypadkiem nie powiedzieli właśnie czegoś błędnego lub śmiesznego, bo Piwowarczyk jako jedyny z klasy raptem zaczął notować. Dzięki temu zeszytowi, kiedy na koniec nauki nauczyciele zorganizowali szkolne „echo" zostałem w nim wymieniony jako „Donosy rzeczywistości". Zdecydowanie lepsze to niż, gdy razem z kolegami opisano nas „Chłopcy z IVC – są… a jakoby nikogo nie było".

Po wycieczce do Kopenhagi nadal udanie łączyliśmy naukę z zabawą, ale nie oszukujmy się, przygotowania do matury były najważniejsze. Największą niewiadomą stanowił język polski. Mieliśmy kolejną nauczycielkę, profesor Barbarę Jankowską, dla której byliśmy pierwszą maturalną klasą. Mój niepokój

wzrósł po próbnej maturze – dostałem dwóję z adnotacją, że to jest praca z polskiego, a nie z historii. Na szczęście właściwą maturę zdałem na bezpieczną trójkę, a czytelnicy tego tekstu chyba domyślają się pointy – „tylko trójka, bo nic nie napisałeś o tle historycznym epoki".

Innego rodzaju obawy towarzyszyły mi na historii. Z jednej strony chciałem wypaść jak najlepiej i nie obawiałem się porażki, z drugiej przygotowywałem się przede wszystkim do egzaminu wstępnego na historię na UW. Od drugiej klasy historii uczył nas profesor Maciej Papiz i mnie nauczył jej bardzo dobrze. Obaj mieliśmy przy tym dużo szczęścia – na pierwszej lekcji profesor wyznaczył mnie i Marcina „mapowymi", odpowiedzialnymi za przygotowanie map potrzebnych do każdej lekcji. Szybko zorientował się, że nie musi nam mówić, jaka konkretnie mapa jest mu potrzebna, a my, jeśli lekcja odbywała się poza pracownią historyczną, zyskaliśmy możliwość zjawiania się na zajęciach, gdy już było wiadomo, kto jest odpytywany. Najważniejsze okazało się to, że profesor Papiz na pracach klasowych wymagał pisania esejów na jeden z tematów do wyboru, nie sprawdzał więc samej wiedzy, ale oczekiwał interpretacji, wniosków i ich odpowiedniego zaprezentowania. Przyjąłem i rozwijałem ten styl i za to serdecznie dziękuję panu profesorowi Papizowi.

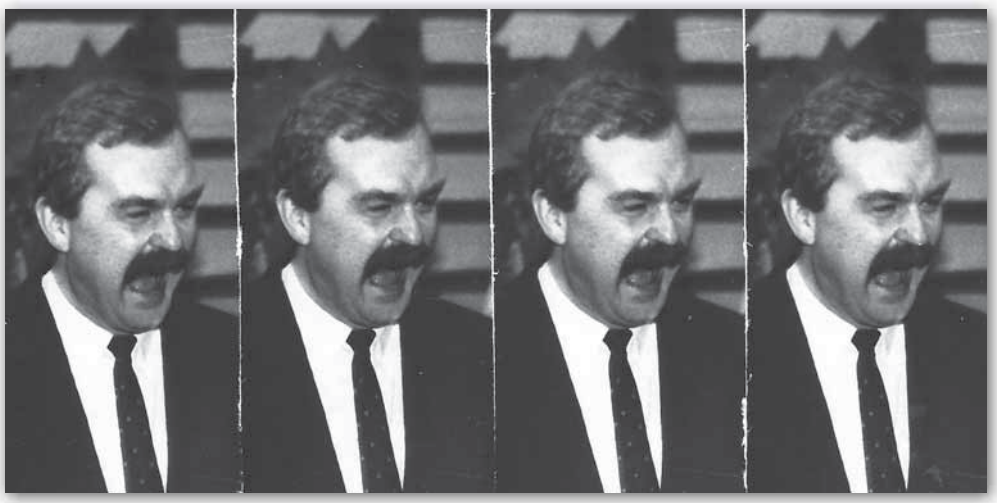

Dyrektor XXII LO Bogdan Sekinda, fotomontaż

Autor – maturzysta 1989

Z języków obcych na maturze wybrałem rosyjski. Pani profesor Anna Baranowska sprawiła, że byłem zaangażowany w jego naukę. I nie dlatego, że trzeba było zaliczyć mnóstwo ćwiczeń, tekstów i biografii. Nasza nauczycielka miała wyjątkową umiejętność demaskowania fałszu i ośmieszania propagandy. Naprawdę dokładaliśmy wszelkich starań na lekcji, by w nagrodę móc obejrzeć albumy, których bohaterem był „уважаемый и любимый вождь" Kim Ir Sen. Traktując zawarte w nich treści i ilustracje całkiem poważnie, osiągało się, niezamierzony przez autorów, potężny efekt komiczny. Przy okazji nauczyliśmy się pewnej odporności na propagandę oraz tego, że po rosyjsku słowo „wódz" piszemy ze znakiem miękkim na końcu. Podobnie było z *Opowiadaniami o Leninie* Michaiła Zoszczenki. Możliwość ich słuchania lub czytania była najbardziej pożądaną nagrodą. I wówczas można było poświęcić na to nawet przerwę. Kiedyś zdarzyło mi się, czytając je, zatrzymać w sali naszą klasę oraz tę, która przyszła na kolejną lekcję. Było to opowiadanie o tym jak Lenin w więzieniu pisał mlekiem jak atramentem sympatycznym i na kartach wypożyczanych książek przekazywał w ten sposób instrukcje dla partyjnych towarzyszy. Dostawał mleko, bo chorował na wrzody żołądka, a kałamarz zrobił sobie z chleba. Kiedy podejrzliwy strażnik wszedł do celi, Lenin przekonał go, że tylko czyta książkę i je chleb z mlekiem (przy okazji zacierając ślady konspiracyjnej działalności). Po wyjściu strażnika, Lenin błyskawicznie zrobił nowy kałamarz i kontynuował rewolucyjną pracę. I jak tu można było nie chcieć nauczyć się rosyjskiego?

Egzaminy maturalne wspominam dobrze, choć los najpierw ze mnie zadrwił. Na polskim usadził mnie w pierwszej ławce, a na historii w ostatniej, odwrotnie względem potrzeb i konieczności korzystania ze ściągawek. Ponieważ Marcin miał przed maturą wypadek i zdawał ją później, razem z innymi rekonwalescentami, przejąłem jego zestaw ściąg z historii. Pisał je od drugiej klasy, z większości tematów i na każdy sprawdzian. Dodatkowo zabezpieczał je taśmą klejącą przed niszczącym wpływem czasu, światła i spoconych ze strachu dłoni. Było tych ściąg kilkadziesiąt i miałem je podzielone epokami i porozkładane w kieszeniach marynarki. Nie były mi potrzebne, ale przecież nie pisałem matury sam. Po ujawnieniu tematów dotarła do mnie z drugiego końca sali, od Agnieszki Olszewskiej, paczka z chusteczkami higienicznymi. Jedną chusteczkę

wyciągnąłem, pozostałe dopełniłem właściwymi ściągami i odesłałem dwa razy grubszą paczkę. Dobre uczynki nie pozostają bez nagrody, egzaminy ustne wspominam więc jeszcze milej. Historię, albowiem nie musiałem jej zdawać wcale, rosyjski, ponieważ wszystko wiedziałem i umiałem oraz język polski, podczas którego los mi się odwdzięczył – wylosowałem najłatwiejszy zestaw pytań.

Świadectwa maturalne odebraliśmy w piątek 8 czerwca 1990 roku. Zaczął się nowy okres w życiu każdego z nas – już w kilka godzin później Kamerun wygrał w meczu otwarcia piłkarskich mistrzostw świata z broniącą tytułu Argentyną – ale to temat innej opowieści.

Oprócz wielu dobrych wspomnień, cztery lata nauki w XXII LO im. José Martí pozostawiły mi dwa trwałe skarby, korzystanie z których uczyniło mnie tym, kim jestem i jaki jestem: dobre wykształcenie i dobrych przyjaciół.

Zdjęcia: archiwum prywatne Dariusza Piwowarczyka

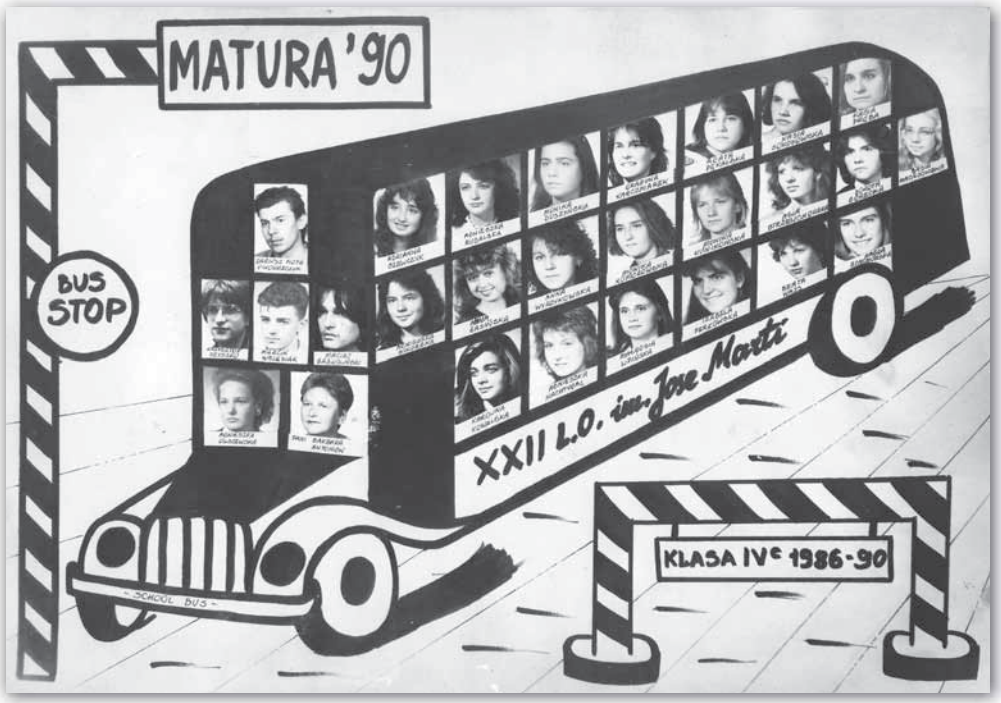

Klasa IV C, maj 1990 r.

Beata Righesso (Krasuska), Paula Ostaszewska, Marta Luesdon (Sałyga), Renata Jankowska – absolwentki z 1990 r.

Chodziłyśmy do klasy biologiczno-chemicznej, a naszą wychowawczynią była pani Maria Kasznicka. Wspominamy naszą klasę jako bardzo zgraną, mimo wielu różnic. Pamiętam te ożywione dyskusje światopoglądowe, wiele nas różniło, ale o tym, że dobrze się ze sobą czuliśmy może świadczyć to, że do dziś grupa kilkunastu osób wciąż ma z sobą kontakt. Spotykamy się kilka razy do roku, a dużą część naszych spotkań wciąż zajmują wspomnienia. Niektórzy z nas byli świadkami na ślubach kolegów lub koleżanek lub chrzestnymi rodzicami. Jest też jedna para klasowa, która przetrwała do dziś. Niektórzy z nas spędzają wspólne wakacje.

Profesorowie, których wspominamy do dziś na naszych spotkaniach klasowych to:

• Pani Marianna Kasznicka, nasza wychowawczyni i profesor języka rosyjskiego: „Oczeń charaszo połuczisz trojku z minusem" (bardzo dobrze otrzymujesz trójkę z minusem) – przy odpowiedzi.

• Pan Zdzisław Warmt, który uczył łaciny. Miał dużo powiedzonek, którymi wnosił nieco kolorytu do ówczesnej szkolnej rzeczywistości. Oto kilka, które pamiętamy do dziś: „kto z kim przestaje, takim się staje"; „Sobieskiego 1/9" (adres szpitala psychiatrycznego) – gdy ktoś słabo odpowiadał, „Dobre południe, Panie

Wycieczka w góry, od lewej Renata, Agnieszka i Małgorzata, druga klasa.

Wycieczka w góry, od lewej Paula, Marta, Renata, druga klasa.

Klasa IV b

Dziedzicu" – do kolegi, kiedy się spóźniał; „Sługa uniżony" – gdy o coś prosiliśmy; „Homo Sapiąc nad talerzem..." – przy słabej odpowiedzi; „Co się odwlecze, to nie uciecze" – kiedy zgłaszaliśmy nieprzygotowanie...; „tak jaśnie pani, a teraz żółw na hamulcu!" – gdy protestowaliśmy, kiedy profesor zbyt szybko dyktuje deklinacje.

• Pani Profesor Barbara Wilewska, która uczyła nas polskiego, organizowała szczegółowe testy weryfikujące przeczytanie poszczególnych lektur, konkursy cytatów, sceny i przedstawienia. Lektury takie jak *Antygona* Sofoklesa, *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego, Adama Mickiewicza, wiersze Cypriana Kamila Norwida czy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego... są nadal żywe w naszej pamięci.

Uczniowie, którym przyszło żyć poza granicami Polski, mogą do dziś bezbłędnie zacytować:

„Niechaj mnie Zośka o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci"

Po maturze, 1990 r.

lub
„Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów Nieba....
Tęskno mi, Panie..."

Zdjęcia: archiwum Pauli Ostaszewskiej

Martyna Wojciechowska – absolwentka z 1993 r., przewodnicząca Samorządu Szkolnego

Dziennikarka, podróżniczka, aktywistka i założycielka Fundacji UNAWEZA

Czy pamięta Pani, dlaczego wybrała to konkretne liceum?

To był rok 1989, okres wyjątkowych przemian w Polsce, czas upadku komunizmu, pojawiających się nowych możliwości, alternatyw edukacyjnych i entuzjazmu, że wszystko będzie inne. Szukałam szkoły, w której dobrze

nauczę się języków obcych. W dzisiejszych czasach wiadomo, że to kluczowa umiejętność, ale wtedy nie było to takie oczywiste. A ja wierzyłam, że jeśli otworzą granice, to może w końcu będziemy mogli podróżować. Akurat liceum im. José Martí miało opinię szkoły, która stawia nacisk na języki i to był jeden z ważniejszych powodów w podejmowaniu mojej decyzji. Marzyłam o języku hiszpańskim, ale miałam pecha – trafiłam do klasy z angielskim i rosyjskim.

Języka hiszpańskiego jest obecnie bardzo dużo w szkole. Są klasy dwujęzyczne, teatr w języku hiszpańskim, stała współpraca z Ambasadą Kuby...

To wspaniały język, którego bardzo mi brakuje. Przez lata podróży się go biernie nauczyłam, ale żałuję, że nie mam dobrych podstaw jak w języku angielskim. Zresztą ciągle sobie obiecuję, że zapiszę się na prywatne lekcje, więc może ta rozmowa mnie w końcu zmobilizuje! Jeśli mogę komuś doradzić jakich języków warto się w życiu uczyć to na pewno angielskiego i hiszpańskiego. Mówię to z perspektywy osoby, która dużo podróżuje, poznaje świat, a bycie w drodze to także moja praca. Po angielsku lepiej lub gorzej można porozumieć się i w Afryce, i w Azji, ale cała Ameryka Łacińska to królestwo języka hiszpańskiego i bez niego nie sposób ani się dogadać, ani zrozumieć tamtejszej kultury.

A jak było z językiem rosyjskim?

Chyba pierwszy raz w życiu dostałam jedynkę właśnie z języka rosyjskiego u pani profesor Marianny Kasznickiej. Zresztą wtedy nieuczenie się języka rosyjskiego było moją niezbyt mądrą formą młodzieńczego oporu i buntu. Potem zmieniła się nauczycielka na profesor Annę Baranowską, którą bardzo polubiłam i okazało się, że jednak jestem piątkową uczennicą. Co więcej, rosyjski bardzo mi się przydaje w pracy, bo sporo podróżowałam do Rosji, Mongolii, Kirgizji, Kazachstanu, a wszędzie tam czułam się jak ryba w wodzie dzięki znajomości języka i cyrylicy.

Jak wspomina Pani swoją wychowawczynię?

Pani profesor Monika Stysiak była moją nauczycielką angielskiego, która dobrze nauczyła mnie tego języka, a także wyrozumiałą dla młodzieży wychowawczynią. Kiedy nasza klasa spotkała się po latach, pani profesor przyniosła nasze dzienniczki z usprawiedliwieniami nieobecności i okazało się, że część moich była napisana przeze mnie samą... Przyznała wtedy, że przymykała oko na różne rzeczy, za co byłam jej bardzo wdzięczna. Żeby było jasne, nigdy nie musiałam uciekać ze szkoły, bo moi rodzice dawali mi dużo wolności i czasem zgadzali się, żebym opuszczała lekcje, o ile je potem nadrabiałam. Po prostu

regularnie zapominałam usprawiedliwień na godzinę wychowawczą, więc pisałam je na kolanie tuż przed zajęciami.

A jaką miała Pani klasę?

Wspaniałą! Byliśmy zintegrowaną i bardzo kreatywną ekipą. Myślę, że zapisaliśmy się w annałach szkolnych jako grono aktywnych działaczy. Organizowaliśmy koncerty muzyczne, przedstawienia, pisaliśmy swoje piosenki, występowaliśmy na apelach, robiliśmy dużo ponadprogramowych rzeczy. Bywaliśmy też bardzo niepoprawni, ale nie mogę w tej rozmowie opowiedzieć wszystkiego, bo z pewnością i tak nie mogłoby się znaleźć na łamach tej znakomitej publikacji [śmiech].

Czy utrzymuje Pani kontakt z koleżankami i kolegami z klasy?

Z niektórymi osobami jestem w okazjonalnym kontakcie. Zorganizowaliśmy jednak kilka spotkań na własną rękę i to było jak podróż w czasie. Choć ciągle mam wrażenie, że liceum skończyłam przed chwilą.

Była Pani szkolną aktywistką.

Wcześnie zostałam przewodniczącą samorządu szkolnego, więc rzeczywiście byłam bardzo aktywna na poziomie szkoły. To był bardzo intensywny czas. Ale przyznaję też, że jako przewodnicząca samorządu czasem zwoływałam posiedzenia w czasie lekcji. No cóż, wiem, że brzmi to mało wychowawczo, ale skłamałabym, gdybym nie przyznała, że kilka razy zdarzyło mi się to wykorzystać, żeby uniknąć nielubianych przedmiotów.

Jak układała się współpraca między samorządem uczniowskim a dyrekcją?

Czasem były zgrzyty, częściej – wyzwania. Ja się chyba urodziłam rewolucjonistką, więc z założenia chciałam przesunąć granicę naszej uczniowskiej wolności. Udawało mi się to z różnym skutkiem, ale traktowałam to jak swego rodzaju misję. Cieszę się, że moja córka chodzi do szkoły, w której mają sejm uczniowski i traktowani są po partnersku. Ja chciałam wprowadzać system demokratyczny na własną

rękę ponad 30 lat temu. Dziś szkoła to inne miejsce, choć uważam, że XXII LO na tle innych liceów i tak było bardzo postępowe i promowało otwartość.

Jakieś najlepsze i najgorsze wspomnienia z liceum.

Nie mam jakichś szczególnie złych wspomnień. No, może poza lekcjami fizyki u pani profesor Zofii Wójcik, których się po prostu bałam. W sumie nie wiem, dlaczego, bo przecież kar cielesnych nie było, ale fizyka nie była moją domeną, delikatnie mówiąc. Ale na pewno jest to nauczycielka, która najmocniej zapadła mi w pamięć. Zaczynałam u niej bardzo miernie, a skończyłam na mocnej czwórce. Przyznaję jednak, że z żadnym przedmiotem nie miałam takich problemów i żaden nie stawiał takich wyzwań jak fizyka. Z perspektywy czasu, uśmiecham się jednak do tego wspomnienia.

Wspaniałym wspomnieniem jest dla mnie pani profesor Lucyna Taciak, która uczyła mnie matematyki. Niezbyt dobrze radziłam sobie z tego przedmiotu, bo na sprawdzianach robiłam różne głupie pomyłki np. myliłam plus z minusem. Na szczęście byłam uprzywilejowanym rocznikiem i matura z matematyki nie była obowiązkowa. Miałam zdawać na medycynę, więc uczyłam się języków, chemii i biologii – mojego ulubionego przedmiotu u pani profesor Emilii Osuch. Na koniec czwartej klasy z matematyki wypadała mi ocena mierna, ale nie miałam siły jej poprawiać i postanowiłam skupić się na innych przedmiotach. Byłam bardzo zdziwiona, kiedy odebrałam świadectwo maturalne i zobaczyłam, że pani profesor poprawiła mi tę ocenę. Poszłam do niej podziękować, a ona powiedziała: „Obiecaj mi tylko, że nie pójdziesz na żadne studia, gdzie będziesz musiała popisać się wiedzą z matematyki". Proszę sobie wyobrazić, że przedziwnym zrządzeniem losu skończyłam zarządzanie i okazało się, że świetnie liczę, tylko na końcu równania muszę mieć podaną jakąś walutę! Dobrze się poruszam w zagadnieniach ekonomicznych i w rachunkowości, o ile jest to przedmiot doprecyzowany, a nie czysto hipotetyczna praca na liczbach. Efekt był taki, że skoń-

czyłam te studia z wyróżnieniem, potem zdałam dyplom MBA (Master of Business and Administration) z wyróżnieniem i rozpoczęłam przewód doktorski, którego już nie skończyłam, bo rzuciłam się w wir podróżowania, ale matematyka towarzyszy mi przez cale życie. Nagle mi się wszystkie klapki pootwierały i okazało się, że dobrze się w niej poruszam, za co jestem pani profesor Taciak bardzo wdzięczna. W sumie danego słowa nie dotrzymałam, ale myślę, że wstydu nie przyniosłam.

Jakich nauczycieli Pani jeszcze wspomina?

Często spotykam pana profesora Janusza Noniewicza – nauczyciela języka polskiego, którego w szkole bardzo lubiliśmy. Mnie akurat uczyła pani profesor Barbara Jankowska, ale profesor Noniewicz był bardzo blisko uczniów i aktywizował nas do myślenia. Dzisiaj jesteśmy na „ty", spotykamy się na kawie na Żoliborzu i wspominamy stare czasy. Myślę sobie, że to było wspaniałe – mieć nauczycieli, którzy potrafili rozbudzać w nas pasje, w moim przypadku pasję do języka polskiego, który stał się moim najważniejszym narzędziem pracy.

Wiedza z jakich przedmiotów okazała się jeszcze najbardziej przydatna?

Wiele pracy wkładałam w naukę biologii i geografii. Tak swoją drogą to z geografii wszyscy byliśmy wytresowani. Naszą nauczycielką była pani profesor Danuta Krosnowska i do dzisiaj obudzona o każdej porze dnia i nocy, recytuję państwa, stolice, morza, oceany, rzeki, dopływy, masywy górskie, wszystko. Wtedy to było przekleństwo, ale dzisiaj mam tę wiedzę „spod palca". Więc w mojej pracy najczęściej wykorzystuję wiedzę z geografii, biologii, oczywiście język angielski i język polski, który jest w zawodzie dziennikarza tak ważny.

W 2002 roku odwiedziła Pani nasze liceum. Jak Pani wspomina to spotkanie?

Byłam zawstydzona faktem, że występuję w szkole na tzw. „spotkaniu z ciekawym człowiekiem". Domagałam się uparcie, żeby wszyscy mówili do mnie na „ty", bo miałam poczucie, że rok temu skończyłam to liceum i wydawało mi się, że wszyscy są moimi kolegami i koleżankami. Byłam bardzo zdziwiona, kiedy zdałam sobie sprawę, ile czasu minęło od mojej matury. Zresztą to zdziwienie wciąż mi towarzyszy, bo czuję się młodsza niż kiedykolwiek. No i w dzienniku lekcyjnym figurowałam jako Marta, więc na spotkaniu się z tego tłumaczyłam.

Odkąd pamiętam wszyscy mówili do mnie Martyna, tym imieniem posługiwałam się też od początku pracy zawodowej, ale formalnie zmieniłam je dopiero rok temu.

Pamiętam też, że podczas spotkania nauczyciele zrobili mi niespodziankę i przygotowali test. Dostałam pytania z fizyki i z chemii, która akurat była moją mocną stroną. Nie wiem, czy ze stresu, czy po prostu z zamieszania, fatalnie sobie poradziłam. Myślałam, że się zapadnę pod ziemię! I nagle zobaczyłam moich nauczycieli w zupełnie innej roli – że nie chcą już mnie odpytać, tylko pomóc mi, żebym siebie i także ich nie skompromitowała. Byłam im bardzo wdzięczna, bo dzięki temu nie była to kompletna klapa. [śmiech]

Kuba Przygoński i Marcin Sońta byli w 2002 roku uczniami naszego liceum i byli obecni na tym spotkaniu. Opowiadali nam, że z czasów szkolnych dobrze pamiętają, jak pani Martyna Wojciechowska przyjechała do szkoły swoim niebieskim Subaru i zrobiła niesamowite wrażenie. Czy zdawała sobie Pani wtedy sprawę, że zwykłe odwiedziny starych murów szkolnych i rozmowa z uczniami, zapiszą się głęboko w pamięci młodych ludzi, a nawet zainspi-

Podczas wizyty w liceum, 2002 r.
Archiwum szkoły

rują ich do działania i spełniania marzeń, tak jak to było w przypadku Kuby Przygońskiego?

Poczułam się tym naprawdę wzruszona, bo czasem nie zdajemy sobie sprawy jak nasze działania mogą wpłynąć na choćby jedną osobę, która przychodzi na takie spotkanie. Bardzo lubię rozmowy z młodymi ludźmi, chciałabym budzić w nich pasję, ale aż do tej pory nie miałam naocznego dowodu na to, że to, co powiedziałam w 2002 roku faktycznie wywarło na kogoś wpływ. Przyznaję, że jestem fanką Kuby Przygońskiego, bardzo mu kibicuję i uważam, że jest niezwykłej klasy sportowcem i człowiekiem. Nie miałam jednak świadomości, że był na tym spotkaniu i że miało to dla niego znaczenie. Bardzo dziękuję, że dzięki tej rozmowie o tym wiem.

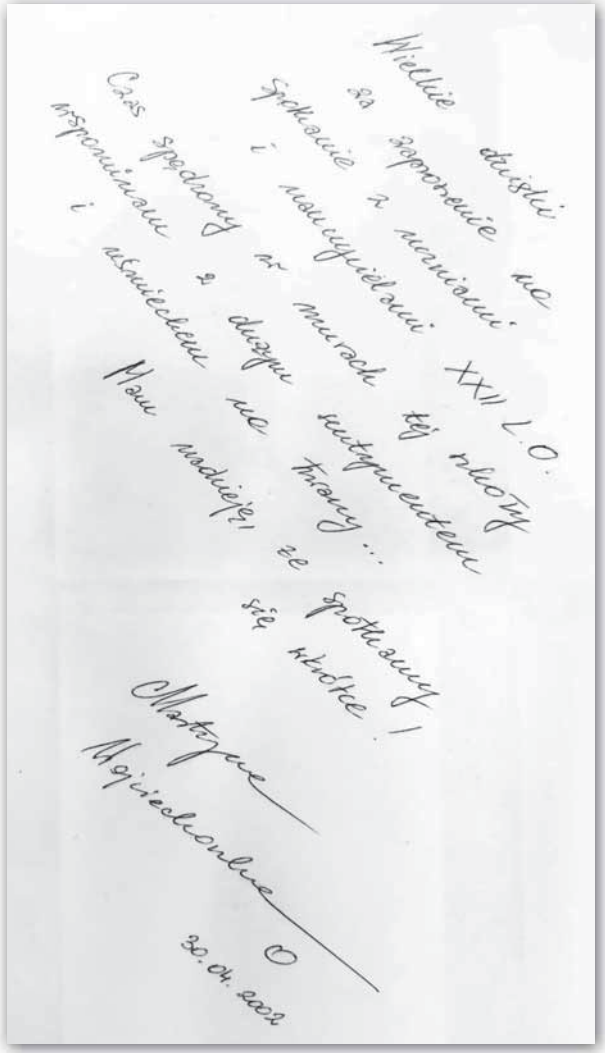

Czy wiedziała Pani, że wśród absolwentów naszego liceum są jeszcze m.in.: Magda Gessler, Agustin Egurrola, Andrzej Saramonowicz, Dariusz Rosati, Grzegorz Damięcki, Dariusz Piwowarczyk, Wojciech Orliński.

Z większością tych osób znam się osobiście, ale nie wiedziałam, że byliśmy absolwentami tej samej szkoły. Jednak, kiedy myślę o osobistościach, które skończyły to liceum, czuję ducha tej szkoły. To, jak żyją, jak postępują i jak sobie radzą w życiu jest dowodem na to, że są ludźmi otwartymi. W tych postaciach jest coś takiego… kolorowego, śmiałego i z rozmachem. Zresztą tak właśnie zapamiętałam okres nauki w José Martí. Pewnie, że część rzeczy odbywała się na drodze negocjacji, przesuwania granic między nauczycielami a uczniami, ale wspominam to jako czas radości i wolności. Na pewno przez te cztery lata nauki mogłam ćwiczyć się w odwadze, która w życiu przydała mi się najbardziej. Pamiętam też, że kiedy ówczesny dyrektor wręczał mi dyplom maturalny, popatrzył na mnie i powiedział „o tej to jeszcze usłyszymy".

Gdyby Pani córka wybierała liceum, to poradziłaby Pani XXII LO?

Nie wiem jakim miejscem jest dzisiaj José Martí, bo przecież szkołę tworzą ludzie – nauczyciele, uczniowie, ważne jest jaka panuje atmosfera. Ale liceum z moich wspomnień na pewno bym poleciła.

Teraz nasza szkoła jest najlepszą szkołą na Bielanach, wyżej niż Lelewel...

Wspaniale! Kiedyś uczniowie Lelewela uważali się za lepszych od nas i zawsze to podkreślali. Więc czuję dużą satysfakcję [śmiech].

Gdyby miała Pani możliwość porozmawiania z samą sobą sprzed lat, co Pani powiedziałaby tej osobie?

Żeby się tak nie spinała i znalazła radość w samym fakcie, że ma naście lat i życie przed nią! A sobie sprzed lat i wszystkim uczniom w tym wieku powiedziałabym może trochę górnolotnie, że nauka może stać się pasją. Bo przecież poszerzanie wiedzy jest najbardziej pasjonującą rzeczą, jaką człowiek może robić w życiu. To nie jest i nie musi być obowiązek, to przywilej! Na krańcach świata poznałam tak wiele osób, które marzą choćby o podstawowej edukacji, że sama zaczęłam inaczej patrzeć na swoją, doceniać to, co miałam. Z pewnością w trakcie lat spędzonych w szkołach i na uczelniach trzeba przyswoić wiele niepotrzebnej potem wiedzy, więc są rzeczy, na których warto się skupić bardziej i poświęcić im więcej przestrzeni – rozwijać zainteresowania i nie bać się samodzielnego, śmiałego myślenia, nawet jeśli nie każdemu się to podoba. W Polsce wciąż borykamy się z systemem edukacji opartym na poprawianiu słabości, a nie na rozwijaniu mocnych stron, ale wierzę, że to się zmienia. Wszyscy musimy to zmieniać. Dziś najważniejszą rzeczą jakiej młodzi ludzie powinni się nauczyć jest szybka adaptacja do wciąż zmieniającego się otoczenia. A to dla wszystkich duże wyzwanie.

Czy kiedy była Pani w liceum, to marzyła Pani o podróżach na kraniec świata, zdobywaniu szczytów górskich i tym wszystkim, co Pani teraz robi?

Marzyłam, żeby zostać lekarzem. Na skutek przedziwnego zrządzenia losu, w końcu nie zdawałam na ten kierunek, ale nie żałuję. Myślę, że byłam dla nauczycieli wymagającą uczennicą. Miałam nieznośną potrzebę zadawania pytań i kwestionowania wszystkiego oraz szukania nowych rozwiązań. W szkole nie zawsze jest to premiowane, ale w życiu dobrze na tym wyszłam. Ale kiedy byłam w liceum nie marzyłam o tym, co robię teraz, bo moja wyobraźnia po prostu nie sięgała tak daleko. Dziś wierzę, że jedyne, co nas w życiu ogranicza, to właśnie nasza własna wyobraźnia. I wtedy, na tamtym etapie nie potrafiłam sobie wymyślić tak wspaniałego życia, jakie mam. Oglądając masywy górskie i ucząc się o Mount Evereście na lekcjach geografii nie przewidziałam, że kiedyś stanę na jego wierzchołku, a potem zdobędę Koronę Ziemi, czyli najwyższe szczyty na siedmiu kontynentach. Że przejadę Rajd Dakar i Transsyberia, będę nurkować i skakać ze spadochronem, zwiedzę tyle miejsc, poznam niezwykłych ludzi, ich zwyczaje, kulturę aż założę Fundację UNAWEZA i zajmę się wspieraniem kobiet w Polsce i na krańcach świata. Że od takiego prostego młodzieńczego „też chciałabym tam być" do tego, żeby to zrealizować, jest droga co prawda pod górkę, ale możliwa do pokonania. Dlatego teraz na każdym kroku powtarzam młodym ludziom, że trzeba mieć odwagę marzyć i mieć odwagę te marzenia realizować, bo niemożliwe nie istnieje. Przekonałam się o tym na własnej skórze.

Rozmawiała: Karolina Rudzik

Zdjęcia: archiwum Martyny Wojciechowskiej

Marcin Muraszko – absolwent z 1994 r.

Absolwent Uczelni Łazarskiego (d. Wyższa Szkoła Handlu i Prawa im. Ryszarda Łazarskiego w Warszawie), absolwent studiów podyplomowych Zarządzanie Nieruchomościami na Uniwersytecie Warszawskim, magister ekonomii

Do dzisiaj pamiętam ten stres, który towarzyszył mi w dniu egzaminu pisemnego z matematyki.

W czasie jego trwania jedną z osób pilnujących maturzystów na egzaminie był pan Marek Krawczyk, który był i jest do dzisiaj nauczycielem WF. Dodam również, że jednym z wielu nauczycieli, których bardzo lubiłem. Szczególnie za bardzo dobre oceny, na które „ciężko", ale zawsze do końca utraty tchu i sił, pracowałem i dzięki temu podwyższały „średnią".

Marcin Muraszko z panią Anną Baranowską, 1994 r.
Archiwum prywatne

Pan Marek Krawczyk, pani Barbara Jankowska i Marcin Muraszko, 2020 r.
Archiwum szkoły

Przejdźmy jednak do matury z matmy…

Otóż, kiedy w trakcie rozwiązywania zadania przechodził pan Marek i zatrzymał się obok mnie, zapytałem go, czy może sprawdzić jak „idzie" rozwiązywanie zadań Rafałowi – najlepszemu uczniowi z naszej klasy.

Po jakimś czasie wrócił do mnie, spojrzał na moją kartkę i stwierdził: „Marcin, nie jestem dobry z matmy, ale rysunki macie takie same…". Chodziło o przebieg zmienności funkcji.

Przy okazji, przesyłam pozdrowienia dla pana Marka!

Marta Jurek (Piekarska) – absolwentka z 1996 r.

Absolwentka Międzywydziałowego Studium Ochrony Środowiska na SGGW, specjalista ds. edukacji ekologicznej

Liceum… to był wyjątkowy czas w moim życiu, nowe wyzwania i relacje towarzyskie, lekkość bytu i nauka, kierunkujące ścieżkę rozwoju i kształtujące charakter. Jak wspominam szkołę? Jako *miejsce* akceptujące słabości i przejawy radości młodych ludzi, w którym był czas na błędy, wybaczenie i twórcze inicjatywy. Jako *społeczność* otwartych serc, w której szacunek i zrozumienie wobec drugiej osoby były kluczem do sukcesu szkolnego i towarzyskiego.

W 1992 roku, do szkoły małymi krokami wkraczała nowoczesność, utworzono pierwszą salę komputerową i wprowadzono lekcje informatyki, która dla świeżo upieczonych licealistów była światem dzikim i nieodgadnionym. Wkrótce uruchomiono też radiowęzeł. Z kolei brak telefonów komórkowych w tamtym czasie wpływał na życie wyjątkowo twórczo. Dzięki temu mnóstwo rozmów toczyło się na parapecie w szkolnej szatni, a podczas lekcji po sali krążyło mnóstwo karteczek z żartami, okolicznościowymi tekstami i karykaturami nas samych. To powodowało, że mieliśmy do siebie ogromny dystans, a jednocześnie

integrowaliśmy się w każdym możliwym momencie, w szkole i poza nią, chcąc się nacieszyć tymi chwilami „na zapas".

Na lekcjach królowały zielone tablice i skrzypiące białe kredy, a z biurka nauczycielskiego złowieszczo spoglądał szaro-brązowy dziennik, w którym skrzętnie długopisem odnotowywano nasze sukcesy i porażki. W sali geografii wisiały kolorowe mapy, a w sali biologii szkielet człowieka i kilka plansz dydaktycznych, zaś naukę języka obcego umilał stary kasetowiec, wydobywający z siebie nieco trzeszczące słowa lektora.

Szkoła, nauczyciele i inni pracownicy liceum przywołują po latach wiele wspomnień. I są wśród nich takie, których nie zaciera mijający czas i zostają w myślach na zawsze. Powodów jest wiele...

Czy matematykę można pokochać, będąc na profilu ogólnym (jak ja), czyli „dla niezdecydowanych"? Oczywiście – jeśli uczy Pan Leszek Zajączkowski, człowiek z wielką pasją, wiedzą i niezwykłym poczuciem humoru. Nauczyciel w kremowej marynarce, który umiejętnie godził trudne zagad-

Marta Jurek (Piekarska) – drugi rząd od dołu, czwarta od prawej – ze swoją klasą i nauczycielami: panią Jadwigą Płoszajską, panią Barbarą Pytlak i panem Wacławem Zajączkowskim

Archiwum prywatne

nienia matematyczne z brakiem wiedzy uczniów, stwarzając przy tym atmosferę nie do podrobienia. Tak potrafią uczyć tylko najlepsi! Efekt – bardzo dobrze zdana pisemna i ustna matura z matematyki. Nieoceniona w swoim fachu była również pani Anna Palińska, która biologię miała zaszyfrowaną we własnym kodzie genetycznym. Lekcje w sali z niekonwencjonalnymi, jak na tamte czasy, często własnoręcznie wykonanymi pomocami dydaktycznymi, ekscytacja prawami i pięknem przyrody, bezpośrednio w terenie i twórcze „pogawędki" na zapleczu sali były znakomitą inspiracją do dalszej pracy. Za to groza miała na imię Zofia – pani od fizyki. Mądra, wyważona i sprawiedliwa, budząca respekt, wymagająca od uczniów skupienia i szacunku do pracy. Dostosowanie, to w tym przypadku, jedyny słuszny kierunek przetrwania.

Najcieplejsze wspomnienia budzą jednak lekcje chemii z elegancką panią Jadwigą Płoszajską w doskonale dobranej do stroju kolorowej kamizelce i odpowiednim makijażu. Zawsze uśmiechnięta, dyscyplinująca nawet najbardziej niepokornych, ciepła i wrażliwa na problemy uczniów. Swoją postawą uczyła uczciwości, kultury, pracowitości i empatii. Taka była Wychowawczyni klasy o profilu ogólnym („E") – mojej klasy!

Dopiero po latach docenia się to, co dała nam szkoła – wartości, cele, przyjaźnie i barwne obrazy z przeszłości. Szkoda, że ten czas już bezpowrotnie minął, ale dobrze, że pozostawił po sobie wspomnienia – dobre chwile, które mają swoje niekwestionowane miejsce w sercu.

Wszystkim nauczycielom, których miałam zaszczyt spotkać na swojej drodze, dziękuję za najpiękniejszą przygodę mojego życia i życzę sukcesów w kształceniu i wychowaniu kolejnych pokoleń.

Anna Sitarska (Cyrna) – absolwentka z 1997 r.

Absolwentka Wydziału Chemii Uniwersytetu Warszawskiego, studiów podyplomowych z Chemii Kosmetycznej na Politechnice Warszawskiej oraz preMBA na Uniwersytecie Warszawskim, pracownik w firmie farmaceutycznej

Arkadiusz Sitarski – absolwent z 1997 r.

Absolwent Wydziału Zarządzania Gospodarczego Uniwersytetu Warszawskiego, studiów podyplomowych z Zarządzania Jakością w Szkole Głównej Handlowej, pracownik towarzystwa emerytalnego

Dzień Wiosny
z panią Anną Baranowską
Archiwum prywatne
państwa Sitarskich

Lata 1993–1997... mamy bardzo dużo osobistych wspomnień, które są z nami do dzisiaj. Jesteśmy „klasowym" małżeństwem. Do dziś utrzymujemy kontakt oraz przyjaźnie z wieloma osobami z naszej klasy. Jesteśmy wychowankami Pani Anny Baranowskiej-Mularczyk, która dla nas była zawsze Panią Profesor i tylko tak się do Niej zwracaliśmy. Pani Profesor została naszą wychowawczynią w drugiej klasie liceum. Wtedy profil naszej klasy nazywał się podstawowym.

Najdobitniejszym dowodem świadczącym, iż nasze wspomnienia ze szkoły są wyjątkowo dobre, jest między innymi fakt, iż od ukończenia szkoły, czyli od 1997 roku, organizujemy wspólną wigilię klasową. Do czasu, kiedy Pani Baranowska uczyła jeszcze w szkole, wigilię organizowaliśmy w naszej klasie w José. Ostatni raz na wigilii w szkole byliśmy w 2003 roku razem z naszym, wtedy miesięcznym, synkiem (stąd pamiętamy rok). Po 16 latach nasz syn „wrócił" do tej samej szkoły, a nawet klasy, o czym się przekonaliśmy z mężem na pierwszym zebraniu. Po wigiliach w sali w José przyszedł czas,

w miarę możliwości oczywiście, na coroczną wigilię w naszych domach. I tak od skończenia Liceum, czyli od 22 lat, organizujemy domowe wigilie klasowe, których skład co roku się trochę zmienia, ale ZAWSZE obecna jest Nasza Pani Profesor. Pani Profesor towarzyszyła nam we wszystkich naszych najważniejszych wydarzeniach życiowych, takich jak śluby, czy chrzciny. W czasach szkolnych Pani Profesor również towarzyszyła nam w wydarzeniach szkolnych, np. przebierała się z nami na pierwszy Dzień Wiosny.

Z czasów Liceum, razem z mężem bardzo miło wspominamy studniówkę (25.01.1997), która była zapewne dla większości ogromnym przeżyciem, ale dla nas szczególnie, ponieważ mieliśmy ten zaszczyt tańczyć poloneza w drugiej parze, zaraz za Dyrekcją.

Bycie parą w czasach liceum (jesteśmy z mężem od drugiej klasy razem) miało też niestety swoje „cienie". Niektórzy nauczyciele jasno nam dawali do zrozumienia, że liceum to nie czas na zakochiwanie się i randki, a tylko i wyłącznie na naukę, mimo że w żaden sposób nie obnosiliśmy się w szkole ze swoim uczuciem, co dodatkowo w tamtych czasach byłoby zupełnie nie do zaakceptowania.

Z języka polskiego z pisemnej matury dostałam swoją pierwszą dobrą ocenę w liceum i to tylko dlatego, że matura była kodowana. Główny wysiłek na maturze włożyłam w charakter pisma (przechylałam litery w drugą stronę), po to tylko, żeby nauczyciel nie rozpoznał mojej pracy, ale opłacało się. Po tylu latach wydaje się to nawet zabawne, ale wtedy nie było mi do śmiechu i mój stres przed maturą był pomnożony przez, niestety ogromny, brak tolerancji ze strony nauczyciela...

Mimo to skupiamy się tylko na miłych wspomnieniach, bo to w końcu dzięki José jesteśmy 26 lat razem. Patrząc przez pryzmat naszego małżeństwa, szkoła średnia to jedno z najlepszych miejsc na znalezienie dobrego męża.

Archiwum ks. Bartłomieja Pergoła

Studniówka, 1997 r.

Archiwum prywatne państwa Sitarskich

Na koniec chcielibyśmy jeszcze dodać, że Pani Profesor Baranowska nie tylko była wybitnym nauczycielem języka rosyjskiego, ale przede wszystkim nauczycielem, który po prostu LUBIŁ młodzież. W naszej opinii to był Jej największy sekret bycia DOBRYM nauczycielem. Nauczycielem, z którym po tylu latach jesteśmy w kontakcie.

P.S. Nasza córka również planuje podtrzymać „rodzinną tradycję" i „pójść" do José.

Bartłomiej Pergoł – absolwent z 1997 r.

Ks. kanonik dr, Notariusz Kurii Metropolitalnej Warszawskiej

Bartłomiej Pergoł, 1997 r.

Czas, w którym było dane mi być uczniem liceum znajdującego się przy ulicy Staffa 111 w Warszawie, to lata 1993–1997. Dyrektorem szkoły był wówczas mgr Waldemar Pacholec.

O wyborze tej szkoły zadecydowało kilka czynników. Wiadomo, że jako 15-latek nie byłem w tej decyzji samodzielny i miały na nią wpływ także czynniki niezależne ode mnie. Natomiast tym, co przemawiało za jej wyborem, był fakt, że znajdowała się stosunkowo blisko od ówczesnego miejsca mego zamieszkania i cieszyła się opinią szkoły o dobrym poziomie, aczkolwiek nie należała do szkół z grupy „egzaminów wcześniejszych". Wiele osób, którym zabrakło kilku punktów do liceum renomowanego, do których należałem także ja, trafiało właśnie do José Martí. Nie pamiętam dokładnie ile osób było na jedno miejsce w roku mojego naboru, ale na pewno nie wszystkim udało się dostać. Liczyłem na to, że spotkam się w tej szkole z kolegą z podstawówki, ale niestety za słabo zdał egzaminy i nie został przyjęty.

Dla mnie zmiana szkoły z podstawówki na liceum to było „rewolucyjne" wydarzenie. Był to dość burzliwy czas. Nastolatek w trudnym wieku wczesnego dorastania porzuca osiedlowe dobrze znane środowisko i zaczyna wszystko,

idąc w nieznane. To niełatwe, ale konieczne „odcięcie pępowiny" było źródłem wielu nowych doświadczeń, które miały znaczący wpływ na kształtowanie się mojej osobowości.

Trafiłem do klasy o profilu humanistycznym, czyli „D". Nie wiem, czy rzeczywiście byłem humanistą, ale na pewno lubiłem historię i bardzo chciałem uczyć się języków francuskiego, hiszpańskiego. Klasa była mocno sfeminizowana i pochodziliśmy z różnych szkół, niekiedy nawet spoza Warszawy. Na około 28 osób było nas 6. chłopaków. Oczywiście miało to swoje wady i zalety, ale generalnie udało się stworzyć pokojową i zgraną atmosferę.

Dość szybko doszło do integracji klasy, co znacznie przyspieszył kryzys wychowawczy, który przeżyliśmy podczas pierwszego roku. Wtedy wszyscy solidarnie stanęliśmy razem, sprzeciwiając się apodyktycznym zapędom pierwszej wychowawczyni. Można było powiedzieć, że sprawa była bezprecedensowa i wycisnęła trwałe piętno na naszej klasie. Zaangażowała rodziców, uczniów i podzieliła nauczycieli w szkole, odbijając się głośnym echem w kuratorium oświaty. Ostatecznie udało nam się doprowadzić do korzystnej zmiany wychowawcy klasy, aczkolwiek już do końca nasza klasa była naznaczona piętnem „rebeliantów". Pojedynczy nauczyciele, zwolennicy tejże wychowawczyni, dawali się nam we znaki, aż do matury.

Mimo tej awantury ze zmianą wychowawcy, mogę powiedzieć, że wśród grona pedagogicznego przeważała liczba dobrych nauczycieli. Większość z nich, początkowo patrzyła na nas z dystansem, ale z czasem przekonali się do nas. A byli wśród nich tacy, którzy bardziej lub mniej otwarcie poparli nas, okazując nam swoje wsparcie. Z uwagi na to, że podczas tych czterech lat była dość spora wymiana nauczycieli w szkole, część nie była świadkami wydarzeń i nie musiała opowiadać się po żadnej ze stron.

Z wieloma nauczycielami bardzo zżyliśmy się jako klasa. Pamiętam, że dużą stratą było dla nas odejście pana Krawczaka od ZPT, który był naszym drugim wychowawcą. Był z nami tylko w pierwszej klasie, potem jakoś w krótkim czasie odszedł z pracy. Choć to zaledwie był rok, bardzo go lubiliśmy i szanowaliśmy, myślę, że z wzajemnością. Teraz, z perspektywy czasu, sam mając za sobą pracę nauczyciela w szkole, uważam, że był mądrym pedagogiem.

Klasa 1D, pierwszy rząd, druga od lewej: Karolina Malczyk, drugi od prawej: Bartłomiej Pergoł, 1993 r.

Jak prawdziwy ojciec był obok nas i uczył nas różnych praktycznych rzeczy. Przypominam sobie, jak wypalaliśmy tabliczki, hartowaliśmy stal, ale także uczyliśmy się sztuki przygotowania i podawania herbaty. Zawsze, ilekroć przechodziłem obok sali na parterze, gdzie mieliśmy z nim zajęcia, z tęsknotą wspominałem jego osobę.

Wiele dobra, serdeczności i wyrozumiałości okazywała nam też młoda nauczycielka biologii – pani Anna Palińska. Miała wyjątkową łatwość w komunikacji z młodzieżą. Ciesząc się naszym szacunkiem, nie tworzyła dystansu między sobą i uczniami, aczkolwiek potrafiła wymagać. Pamiętam jak czasami na długich przerwach, już w starszych klasach, przychodziliśmy do niej na zaplecze pracowni biologicznej, żeby przy herbatce pogadać, pożartować, ale także wyżalić się, powiedzieć o swoich problemach. Miała pogodne usposobienie, cierpliwie nas wysłuchiwała i zawsze coś doradziła.

Na dobre słowo zasługuje też pani Danuta Krosnowska, nauczycielka geografii, która przez pewien czas była naszą wychowawczynią, choć nie wszystkim w klasie przypadła do gustu. Pamiętam, że zrobiła mi miłą niespodziankę,

gdy po 10. latach od ukończenia liceum (razem z poniżej wspomnianą panią Baranowską) pojawiły się na mojej Mszy prymicyjnej.

Myślę też życzliwie o pani Barbarze Neubart, nauczycielce plastyki, czy o pani Ewie Lenard, nauczycielce historii, które imponowały nam swoją kompetencją, wrażliwością, wiedzą. Ta druga zapewne miała niemały wpływ na to, że ja i kilka osób z klasy kontynuowaliśmy naszą edukację na studiach, na kierunkach historycznych.

Miło wspominam też grono filologów szkolnych, którzy nas uczyli: pani Renata Świetlicka od języka francuskiego, pani od języka polskiego – Aneta Chodowiec, a nawet siejąca postrach – pani od języka łacińskiego – pani Jolanta Calińska. Z czasem surową łacinniczkę zastąpiła inna pani, Karolina Ekes, przemiła i anielsko cierpliwa, która całkowicie rozluźniła nasz stosunek do tego przedmiotu.

Jednak osobą, z którą najbardziej zżyła się nasza klasa, była pani od języka rosyjskiego – Anna Baranowska. Nauczycielka języka, którego za moich czasów nikt nie chciał się uczyć (byłem ostatnim rocznikiem z przymusowym rosyjskim w szkole podstawowej), ściągnęła prawie całą klasę na rosyjski. Zjednała

Grono Pedagogiczne, 1997 r.

Pani Anna Baranowska, Studniówka, 1997 r.

nasze serca swoją pogodą ducha, optymizmem, łagodnością i serdecznością. Zawsze dla wszystkich nas miała czas, otwarte serce, uśmiech i dużo cierpliwości. Była dla nas jak matka, a raczej ukochana babcia. Zawsze można było do niej pójść, pogadać, poprosić o pomoc, a nawet znaleźć coś do jedzenia, jeśli ktoś był głodny. W jej klasie zawsze czekała na nas gorąca herbata. Pomagała nam w najtrudniejszych momentach. Nigdy nie zapomnę dobra, jakiego od niej doświadczyłem. To ona pokazała nam, co tak naprawdę znaczy miłować bliźniego, nawet tego, który jest trudny. Do końca liceum pozostała naszą nieoficjalną, a później już oficjalną, wychowawczynią. Jak wspomniałem, razem z panią od geografii była na mojej Prymicji.

Relacje z dyrekcją każdy z nas kształtował indywidualnie. Osobą zdecydowanie bardziej lubianą była pani wicedyrektor Renata Janowska. Jeśli trzeba było cokolwiek załatwić, najpierw próbowaliśmy z Nią. O wiele bardziej stresujące i trudne były rozmowy z p. Pacholcem, choć trzeba przyznać, że byli wśród uczniów wielcy faworyci pana dyrektora. Jednak zdecydowana większość zachowywała odpowiedni dystans, a nie brakowało też osób, które nie darzyły go wielką sympatią. Był zawsze poważny, miał surowy wyraz twarzy i nie lubił, jak coś szło nie po jego myśli, ale potrafił utrzymać dyscyplinę. Teraz, po około 25. latach potrafię spojrzeć na Niego z większym zrozumieniem. Był młodym, ambitnym dyrektorem, który w tamtych czasach przemian próbował się wykazać i wznieść szkołę ponad przeciętny poziom. Bardzo zależało mu na dostosowaniu poziomu szkoły do nowoczesnych, europejskich standardów. Pamiętam, był mocno pochłonięty programem Matura 2000. Może dlatego, że zależało mu na dobrym wizerunku szkoły, zaproponował mi, abym podjął się funkcji rzecznika praw ucznia w XXII LO.

W tę nowo wprowadzaną wówczas instytucję samorządu szkolnego dałem się wciągnąć jeszcze w szkole podstawowej. Najwyraźniej dyrektor wyczytał w moich papierach, że byłem rzecznikiem i postanowił wykorzystać moje doświadczenia. Szybko okazało się jednak, że chciał narzucić mi swój styl działa-

nia. Niestety nie trafił na odpowiednią osobę. Zresztą u początków wprowadzania tej instytucji, broniącej praw ucznia przeciw nadużyciom nauczycieli, tliła się wzajemna podejrzliwość i nieufność. Splot wydarzeń ze zmianą wychowawcy spowodował, że dość szybko rzecznik praw ucznia przestał należeć do grona ulubieńców dyrekcji. Być może chętnie by się mnie pozbyli, ale pozostawałem w stałym kontakcie i w serdecznych relacjach z ówczesnym, kuratoryjnym rzecznikiem praw ucznia – Lucyną Bojarską. To dawało mi ochronę i pozwalało zachować niezależność od dyrekcji.

Generalnie nasza klasa była bardzo zaangażowana w działalność samorządową i społeczną w to, co działo się w szkole. Koleżanki z klasy wchodziły w skład samorządu szkolnego. Pamiętam, że organizowaliśmy pierwszy dzień wiosny, dyskoteki, inne wydarzenia rozrywkowe i kulturalne. To było dobre przygotowanie do pracy społecznej, w którą wielu z nas, w różnej formie, zaangażowało się w przyszłości.

Klasa 4D, pierwszy rząd: pani Anna Baranowska (pierwsza z prawej), Karolina Malczyk (druga z prawej), wicedyrektorka Renata Janowska (drugi rząd, pierwsza z prawej), Bartłomiej Pergoł (ostatni rząd, pierwszy z lewej)

Na końcu wspomnę ogólnie moich kolegów i koleżanki. Mimo różnic jakie były między nami, wszystkich wspominam życzliwie. Podczas nauki w liceum nawiązałem szczere i długotrwałe przyjaźnie. Duża część z nich przeniosła się poza szkołę i trwała jeszcze długo po ukończeniu liceum. Niektóre trwają do dziś, choć kontakty nie są już tak regularne. Niewątpliwie te cztery lata w XXII LO na trwałe wpisały się w historię mojego życia i zaważyły na wyborze drogi życiowej.

Zdjęcia: archiwum ks. Bartłomieja Pergoła

Karolina Malczyk – absolwentka 1997 r.

MBA, wicedyrektorka Warszawskiego Centrum Innowacji Edukacyjno-Społecznych i Szkoleń, wieloletnia wicedyrektorka Centrum Komunikacji Społecznej Urzędu m.st. Warszawy, była Pełnomocniczka Prezydenta m.st. Warszawy ds. równego traktowania, Stypendystka International Visitor Leadership Program (IVLP)

Karolina Malczyk obecnie

Kiedy trafiła do mnie prośba o wysyłanie zdjęć i wspomnień związanych z nauką w naszym liceum, przeglądając zakurzone albumy, wyjęte z pudeł z najwyższej półki w szafie, oprócz zdjęć klasowych, zdjęć z niezapomnianych wycieczek, imprez, w ręce wpadły mi te dwa zdjęcia. Jedno i drugie pochodzi z 1995 roku. To rok pięćdziesięciolecia szkoły. Pierwsze zrobione podczas apelu, drugie z uroczystości związanej z jubileuszem. Patrząc uważnie, dostrzegłam wśród osób zatrzymanych w kadrze ówczesnego Mazowieckiego Kuratora Oświaty – Włodzimierza Paszyńskiego. Uśmiechnęłam się i pomyślałam – życie potrafi zaskakiwać!

W liceum angażowałam się w życie klasy i szkoły, działałam w samorządzie uczniowskim. Wspólnie organizowaliśmy wydarzenia kulturalne, działał radiowęzeł (chłopaki z B, dawaliście radę), wydawaliśmy gazetkę szkolną (ile było z nią kłopotów!). Utworzyliśmy funkcję Rzecznika Praw Ucznia (brawo Agata za pomysł, Bartek za odwagę). Reprezentowałam nas w Młodzieżowej Radzie Bielan. Działałam w Klubie Ośmiu – młodzieżowym wolontariacie. Z innymi ak-

tywnymi koleżankami i kolegami współtworzyliśmy otaczającą rzeczywistość. To był czas pierwszych, prawie dorosłych, sukcesów i porażek, odkrywania złożoności rzeczy i spraw. Godzenie działalności społecznej z nauką było niełatwym zadaniem (dziękuję profesorom: Annie Baranowskiej za motywację i Leszkowi Zajączkowskiemu za cierpliwość), a spory z dyrekcją były burzliwe. Czas nauki w szkole średniej miał znaczący wpływ na ukształtowanie mojego charakteru, rozwinięcie umiejętności i zdobycie kompetencji do działania na rzecz wspólnoty. Zostało mi to do dziś.

Od 2007 roku pracuję w warszawskim samorządzie – i tu wracam do wspomnianego wyżej zdjęcia. Otóż przez wiele lat współdziałałam z wieloma osobami i instytucjami oraz organizacjami pozarządowymi. Wśród nich (uwaga!) wiceprezydent Warszawy – Włodzimierz Paszyński (tak – Ten ze zdjęcia), ale także liczni absolwenci José Martí: zastępczyni skarbnika Warszawy – Małgorzata Gajewska, burmistrzyni Pragi Północ – Ilona Kozłowska–Soja oraz jedna z moich najbliższych długoletnich współpracownic – Magdalena Wojno, którą spotkałam w ratuszu, a z którą byłyśmy w jednej klasie czy Sylwia Grzegorzewska z klasy równoległej, z którą obecnie pracujemy w obszarze edukacji. Z Wami

mogę wszystko! Tak! Życie potrafi zaskakiwać! Stanowiska się miewa, a człowiekiem się jest. I mimo iż ukończenie danej szkoły nie definiuje nas (za bardzo jesteśmy skomplikowani), to jednak wierzę, że również ze względu na wspólne licealne korzenie, współpracowało się łatwiej, mając podobne cele, wartości i doświadczenia.

Czas, w którym piszę to wspomnienie, to czas związany z pandemią koronawirusa SARS-CoV-2. To czas, w którym dzięki społecznej izolacji i internetowi odnowiłam kontakty. Wśród nich z moją szkolną przyjaciółką, Agnieszką Nowak, z którą, mimo dłuższej ciszy, rozmawiałyśmy jakby minął zaledwie jeden dzień. Do kompletu zdjęć dołączam kadr z pierwszego dnia wiosny. Na zdjęciu: Joanna, Bartłomiej Pergoł, Bartłomiej B., Paweł, Michał, Marta, Agata i ja (pierwsza od prawej). Możecie nas, absolwentów XXII Liceum Ogólnokształcącego im. José Martí w Warszawie, „gdzieś" i „kiedyś" spotkać, bo życie potrafi zaskakiwać!

Zdjęcia: archiwum Karoliny Malczyk

Krzysztof Rogucki – absolwent z 1998 r.

Nauczyciel języka angielskiego w XXII LO

Jak zaczęła się Pańska przygoda z liceum im. José Martí?

Muszę odtworzyć sobie bieg wydarzeń… Ja tak wysoko na początku nie mierzyłem, nie wiem, może niska samoocena [śmiech]. Chyba namowy dziadka, który wysłał mnie na semestr kursów przygotowawczych, sprawiły, że zacząłem się oswajać ze szkołą, jeszcze zanim się do niej dostałem i zanim zacząłem się tu uczyć. Było to zawsze dobre liceum, o niezłych notowaniach, z ciekawymi ludźmi: nauczycielami, absolwentami i uczniami. Było przede wszystkim w pobliżu, bo nie ukrywam, że kierowałem się między innymi pragmatyką. Nie wiem, na ile ówczesna oferta szkolna się różni od dzisiejszej, ale [liceum] było w pobliżu, było naprawdę niezłe i tak się wszystko zgrabnie poskładało, że udało mi się tu dostać. Później trafił tu także mój młodszy brat.

ODPIS

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI

LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO

Krzysztof Rogucki

LEGITYMACJA SZKOLNA

Warszawa 3 czerwca

Jak wyglądał proces rekrutacji do liceum w Pańskich czasach?

Za moich czasów nie było konkursu świadectw tak jak teraz, tylko egzaminy wstępne i one troszeczkę takiego zdrowego stresu i nerwów przysparzały. Były dwa rodzaje szkół, to znaczy, były tak zwane „eksperymenty", np. z trymestrami, z wcześniejszymi egzaminami, no i później w oficjalnym, regularnym czasie odbywały się egzaminy wstępne do pozostałych liceów, w tym dwudziestego drugiego. Panowała opinia, że jak ktoś już się tutaj dostanie, bo poza egzaminem pisemnym były jeszcze rozmowy kwalifikacyjne, chociaż mam nadzieję, że teraz nie przekręcam faktów i nie zlewa mi się z maturą, ale na pewno były rozmowy, za rozmowy się dostawało punkty, podobnie jak za wybrane przedmioty na świadectwie ze szkoły podstawowej.

Tak, były wstępne egzaminy, bo pamiętam jak, bodaj na matematyce, nauczyciel, nie miałem z nim później lekcji, więc nawet nie powiem dziś, kto to był, ale powiedział, że działamy po amerykańsku i jeżeli komuś będziemy, że tak powiem, pomagać, to żebyśmy nie mieli później do nikogo pretensji o to, że on się dostał do szkoły, a my nie. Nie żebym się na części ustnej egzaminów popisał, bo jakieś śmieszne ułamki punktów dostałem, chociaż maksymalnie były chyba tylko dwa, ale lekcje odrobiłem, pamiętam, że przedyskutowałem (również z dziadkiem), jak należy odpowiadać na różne pytania. Zacząłem się uczyć życia [śmiech], którego wydaje mi się sporo się nauczyłem w szkole. Pamiętam wywieszenie wyników, pamiętam dwóch sowizdrzałów zaśmiewających się z nazwisk… Znalazłem swoje imię i nazwisko na liście, dostałem się do klasy „e", to pamiętam.

Jaki to był profil?

To był profil ogólny z angielskim i rosyjskim, ja celowałem w angielski – niemiecki, ale prawdopodobnie, ponieważ w podstawówce miałem rosyjski i nie uczyłem się wcześniej w szkole angielskiego, chodziło o to, żebym nie zaczynał obu języków od początku. I byłem do końca przez cztery lata w klasie e, to jest jedna z rzeczy, które się zmieniły, chociaż właśnie wróciło czteroletnie liceum.

Czy pamięta Pan w sposób szczególny któregoś ze swoich nauczycieli, czy byli nauczyciele wyróżniający się swoim podejściem, charakterem?

Uczyła mnie na pewno pani profesor Zofia Wójcik – fizyki i to był bardzo wymagający nauczyciel. Jak ktoś sobie radził z fizyką, to nie było problemu, natomiast jeśli sobie nie radził, niekoniecznie darzył nauczycielkę sympatią. Fama była taka, że po zajęciach z fizyki z panią Wójcik, na politechnikę wszyscy bez problemu się dostawali i trójkowicze z naszego liceum, spokojnie na czwórkach, piątkach przez pięć lat studiów na politechnice sobie radzili.

Z panią profesor Anetą Chodowiec miałem język polski, historię z panią profesor Agnieszką Żuberek, nie wiem czy wszystkie anegdoty, które mi się przypominają, są cenzuralne. Pamiętam w klasie maturalnej na polskim, już wtedy były to takie fakultety w zasadzie, tuż przed maturą, było nas chyba dwóch czy trzech na zajęciach. Dwóch z nas standardowo usiadło w ostatniej

ławce, tam gdzie zwykle siadali, przed nimi były trzy, czy cztery ławki wolne i na froncie biurko pani Anety Chodowiec, która spytała ich, dlaczego tak daleko usiedli. To była ich standardowa ławka, także usiedli po prostu na swoich miejscach. Pani Chodowiec zapytała, czy im się wydaje, że ona pluje jak lama.

Na historii, u pani profesor Agnieszki Żuberek, były kartki z nieprzygotowaniami i tam się wpisywali uczniowie nieprzygotowani do lekcji i zawsze na tej kartce wśród nieprzygotowanych był albo Kaczor Donald, albo Myszka Miki, albo Boniek czy Lato, jeżeli w ogóle te nazwiska dzisiaj komukolwiek coś mówią.

Jak zacząłem tutaj chodzić, to jeszcze mieliśmy plastykę. Na plastyce się cuda działy, dlatego że pani profesor Barbara Neubart była niewielkiego wzrostu. Takich podrostków, dryblasów trzydzieścioro, czy nawet więcej, tam po prostu nie dość, że uczniowie ją zasłaniali to jeszcze zagłuszali w tej sali. Więc tam przedziwne rzeczy się działy podczas lekcji plastyki, które odbywały się w miejscu, gdzie teraz jest szkolny sklepik.

Mojego brata uczyła grupa nauczycieli, którzy mnie nie uczyli. Na pewno z profesorem Markiem Krawczykiem miałem w-f, z panią Grażyną Zagórską, która za moich czasów już nie uczyła polskiego, ale pamiętam, że pracowała w bibliotece, miałem świetny kontakt. Pamiętam jeszcze panią profesor Annę Baranowską, opiekunkę samorządu, wieloletnią rusycystkę, przesympatyczną, niewysoką panią, która z rosyjskiego nas przepytywała, odpytywała, uczyła. I miała bardzo… trudno powiedzieć partnerski stosunek do uczniów, ale bardzo przyjazny, nadzwyczaj pomocna i otwarta, tolerancyjna osoba.

Jakie cenne i pouczające doświadczenia wyniósł Pan z okresu nauki w liceum?

Wspomniałem wcześniej o lekcjach życia. Na fizyce nauczyłem się na pewno, żeby się spodziewać niespodziewanego i że sama nauka i ocena z jednego, czy drugiego sprawdzianu nie jest końcem świata, nie należy tego tak traktować. Na przysposobieniu obronnym, a później obronie cywilnej, bo taką ewolucję nazwa przedmiotu przechodziła, który obecnie funkcjonuje pod nazwą EDB, bywało wesoło. Były alarmy, odwoływanie alarmów, zakładanie masek, a pani profesor Maria Siudy była wyjątkowo, jeśli można się tak wyrazić, współczującym nauczycielem, bardzo blisko ucznia, w sensie pomagania, wrażliwości,

wspierania i zwracania uwagi na to, czy komuś jakaś krzywda się nie dzieje, albo czy nie można mu jakoś pomóc.

Pamiętam, że na drugiej lekcji przysposobienia obronnego jeden z kolegów, kiedy wszyscy wstawaliśmy i troszeczkę jak na zajęciach z musztry mówiliśmy „Dzień dobry/ Dzień dobry Pani", jeden z kolegów wykazał się dobrą pamięcią i dokończył zdanie: „Dzień dobry, Pani… Mario Siudy". No i wtedy chyba ze trzy razy nauczycielka zadała pytanie: „Kto to powiedział?". Oczywiście wszyscy nabrali wody w usta. Nie przyznawał się żartowniś, w ogóle nie spodziewałbym się, że ktoś go wskaże, niemniej on sam się nie przyznał. No i pierwsza okazja na dobrą ocenę przeszła koło nosa, ponieważ pani profesor przyznała, że chciała postawić dobrą ocenę za dobrą pamięć. Ale było, minęło.

Jak wyglądała Pana studniówka?

To była chyba druga studniówka po remoncie sali gimnastycznej i w związku z powyższym, nie odbywała się w szkole, tylko w Hotelu Europejskim. Były na pewno programy artystyczne. Moja klasa się nie popisała, wliczając mnie oczywiście, dlatego że z lenistwa absolutnego „wystawiliśmy" koleżankę, która ćwiczyła taniec i wraz ze swoim partnerem z klubu przygotowała występ – to był nasz wkład w program artystyczny. Był polonez, był toast szampanem, nie było to wino musujące, o ile mnie pamięć nie myli. A poza tym zabawa na parkiecie. Były, rzeczywiście, występy różnych klas. Kabarety się wtedy pojawiały i niektóre bardzo ciekawe, chociaż o wiele lepiej pamiętam te występy, które obserwowałem już jako nauczyciel.

I jak Pan wspomina późniejsze studniówki, widziane z perspektywy nauczyciela?

Nie pamiętam, niestety, studniówek organizowanych w szkole. Byłem związany, już jako nauczyciel, przez co najmniej pięć lat z tymi sprawami, bo byłem koordynatorem przygotowań studniówkowych. Z udziałem rodziców bardziej niż uczniów, ponieważ studniówka wciąż była, w cudzysłowie, wyprowadzona ze szkoły, to było jeszcze przed powrotem imprezy do szkolnych murów. Starałem się zbudować, skonstruować coś takiego, co by było jednolite i tamte studniówki odbywały się w hotelu Marriott. Nie wnikam teraz czy to była wysoka półka, czy niska. Ale zależało mi na jednym miejscu, tak jak Czacki,

na przykład, miał przez całe lata imprezy w budynku NOT-u na Czackiego. No i zależało mi, żeby jak najwięcej uczniowie się w to angażowali – obsługę imprezy od strony DJ-skiej próbowaliśmy powierzać uczniom, dekoracje też powstawały własnym sumptem. Zależało nam, żeby była to nadal szkoła, a nie tylko kolejna impreza na mieście, w jakich młodzież bierze dzisiaj udział regularnie, co tydzień chadzając do klubów.

Czy w szkole organizowano inne zabawy, wydarzenia kulturalne, za Pana czasów uczniowskich?

Wydaje mi się, że organizowano, natomiast nie ukrywam, że nie byłem wtedy szczególnie zaangażowany w te inicjatywy. Na pewno pamiętam wyjścia do teatrów z panią profesor Barbarą Jankowską (na przykład *Mistrza Twardowskiego* w Teatrze Komedia). Pamiętam za to, że zanim się dostałem do szkoły, to kojarzyłem ją z tego, że w programie na TVP2, prowadzonym przez młodego Krzysztofa Ibisza pod tytułem *Klub Yuppies* pojawiali się uczniowie, bodaj z profesorem Januszem Noniewiczem, którego akurat znałem z kursu przygotowawczego. To ciekawa postać, no i sam program był śmieszny, taki młodzieżowy. To był początek lat dziewięćdziesiątych, okres burzliwych zmian, więc różne rzeczy, artystyczne i nie tylko zaczynały do nas docierać.

Jak wyglądał Pana powrót do szkoły, tym razem w roli nauczyciela?

Wróciłem trochę jak do siebie. Miałem tylko dwuletnią przerwę w obecności tutaj, bo na trzecim roku Kolegium Językowego rozpocząłem praktyki nauczycielskie, które wtedy były w wymiarze pół etatu przez cały rok szkolny, w związku z czym zmieniłem stronę barykady. Ta szkoła to ponad połowa mojego życia, poza czterema latami nauki, przez pół roku chodziłem, w soboty bodaj, na kursy przygotowawcze z polskiego i matematyki, no to jest cztery i pół roku i później dwadzieścia lat pracy… To zdecydowanie więcej niż połowa mojego życia. Wróciłem do bezpiecznego, oswojonego, wydaje mi się środowiska. Nie wiem czy powinienem to mówić, ale miałem pseudonim „junior". Jeden z wuefistów tak mnie ochrzcił, dlatego że byłem wtedy najmłodszy w gronie, dwa lata po maturze, no to miałem dwadzieścia-dwadzieścia jeden lat. Odnalazłem się, myślę, całkiem zgrabnie, choć pozostaje kwestia akceptacji w gronie

Krzysztof Rogucki na początku drogi jako nauczyciel

Archiwum prywatne Krzysztofa Roguckiego

kolegów, czyli zaledwie „wczoraj", moich nauczycieli. Oni byliby tu wiarygodniejsi. Tak jak mówię, wróciłem do „mojego" liceum, co na starcie działało jak handicap. Uczniowie przychodzą, zmieniają się, odchodzą, dysponują przewagą liczebną przede wszystkim. Będąc oswojonym z miejscem, dobrze wspominając szkołę i znając nauczycieli, stwierdziłem, że to jest grono, w którym chciałbym spróbować swoich sił. Po praktykach zostałem w szkole, także wydaje mi się, że w tamtym czasie oceniałem całą sytuację nieźle.

Czy zauważył Pan jakieś zmiany w szkole, w mentalności uczniów na przestrzeni ostatnich lat?

Kiedyś w ogóle inaczej to wszystko funkcjonowało, mam wrażenie. Rodzice nie byli obecni w szkole aż w takim stopniu, co teraz i nie ukrywam że mnie to trochę uwiera. No i tamten system „8+4" – moim skromnym zdaniem – to był ciekawszy wariant, do którego przywykłem, bo pozwalał trochę bardziej osiąść w szkole, rozwinąć się społecznie. Last but not least, jak powiedziałbym na swoich zajęciach, ewidentnie nie był to wyłącznie kurs przygotowawczy do matury, tudzież do egzaminów wstępnych na studia, bo wtedy egzaminy na studia wciąż funkcjonowały. Świat się bardzo zmienił przez te dwadzieścia parę lat. Mam wrażenie, że uczniowie byli dojrzalsi, nie śmiem kwestionować obecnego poziomu intelektualnego młodzieży, ale było inaczej po prostu.

Czy utrzymywał Pan kontakt ze swoimi znajomymi z liceum w późniejszych latach?

Mam bardzo dobry kontakt, z co najmniej czterema kolegami, taki w miarę regularny, wiadomo, że mamy dzisiaj swoje rodziny i tak dalej. Widuję się z co najmniej dwoma kumplami z klasy i dwoma ze starszych roczników. To też jest ciekawe bo poznaliśmy się na obozie językowo-sportowym, zupełnie przypadkiem, w Dusznikach-Zdroju i takie ślady nasze się przeplatały. Mam na myśli starszego kolegę, który teraz pracuje w wydawnictwie językowym, bo też kończył Kolegium i ja jakby w jego ślady poszedłem.

Poza tym mam kolegę prawnika. Teraz powinna paść kwestia, jak nie przymierzając z „Wniebowziętych", że „wojsko-" a tutaj byśmy powiedzieli „szkoła… łączy ludzi-", albo „José łączy ludzi na całe życie". Tak jak mówię, są to bardzo bliskie mi osoby, które darzę zaufaniem. Mamy ze sobą kontakt, widujemy się, może nie tak często jak dawniej, ale na pewno w miarę regularnie. I to są istotne, prawdziwe przyjaźnie w moim życiu, a nie że tak powiem znajomości. Może o swoich bieżących różnych sprawach nie wiemy wiele, ale na pewno osoby te obdarzam zaufaniem.

Mam też kontakt z kilkoma absolwentami, czasem mieszkającymi zagranicą, tam pracującymi i bywało, że się tam spotykaliśmy. Ktoś inny zdążył wrócić ze studiów, „ze świata" z żoną i spotkałem go przypadkiem, odwiedzając innego kolegę, absolwenta José. Jedna (już dzisiaj) Pani [śmiech] działa w teatrze improwizowanym, na którego przedstawieniach bywałem.

Mam wrażenie, że ten czas zależności od rodziców, czyli niepełnej samodzielności, ale młodości, naiwności w pewnym sensie i nieskrępowania różnymi obowiązkami życiowymi sprzyjał temu, by podobne znajomości na resztę życia zawiązywać, później już troszeczkę z innych perspektyw się patrzy. Może to tylko kwestia mojej osoby, że później nie nawiązałem wielu bardziej wartościowych przyjaźni, czy relacji, ale jeśli chodzi o osoby stąd, to na pewno nie żałuję, wręcz przeciwnie, bardzo się cieszę, że tych ludzi poznałem.

Rozmawiał: Krzysztof Warzocha, uczeń kl. 3H

Sebastian Parfjanowicz – absolwent z 1999 r.

Dziennikarz, pracownik TVP Sport

Rok 1995. Wszystko jest inne. Nie tylko dlatego, że z internetem łączysz się jak ze stacją kosmiczną, uzyskując zawrotną prędkość 56 Kb/s. Pomiędzy ulicami Staffa a Żeromskiego też inny świat. Nie ma Urzędu Dzielnicy Bielany,

jest pusty plac z kilkoma ławeczkami, a naprzeciwko kiosk z gazetami. Nie ma wyszukanych kafejek, jest kawiarnia z trzema stołami, gdzie próbuję pierwszej kawy, z fusami, podanej w szklance w metalowym koszyczku. Trzy złote po denominacji kosztowała, pamiętam jak dziś.

Szkoła też zupełnie inna. Na zewnątrz odrapana, w środku z duszą. Zostały mi w głowie krótkie ujęcia. Otrzęsiny klas pierwszych w formie, która dziś bankowo przyciągnęłaby wszystkie programy interwencyjne w kraju. Wtedy nikt się nie obrażał.

Szerokie i wygodne parapety na korytarzach, towar deficytowy, o które z dźwiękiem dzwonka zaczynał się szalony wyścig, do roku 1997 – o ile mnie pamięć nie myli – gdy doczekaliśmy się koło szatni upragnionego sklepiku z kilkoma ławami. I tam przeniosło się życie szkoły.

Sebastian Parafjanowicz: pierwszy rząd od dołu, trzeci od lewej, Małgorzata Zalewska (Staniszewska): ten sam rząd, piąta od lewej, ostatnia w tym rzędzie to wychowawczyni pani Agnieszka Żuberek

Archiwum prywatne Małgorzaty Zalewskiej

Kadra nauczycielska. Pełen przegląd. Cicha jak myszka profesor Żuberek, która uczyła historii, ale też uczyła się być wychowawcą. Byliśmy jej pierwszą klasą. Uczyła się z powodzeniem, bo u niej można było mieć swoje zdanie. Gorzej było na fizyce z profesor Wójcik. Legenda. Z tych legend, którymi się dzieci straszy. Na pierwszej lekcji zamiast dzień dobry, usłyszeliśmy: „kto usiadł w ostatnich ławkach, właśnie oblał rok". Z tego co pamiętam, robiła wszystko, by obietnicy dotrzymać. Na szczęście siadłem w przedostatniej. Profesor Bakun – miło było potem usłyszeć o nim po latach w polskiej koszykówce. Wymagający. Nie interesowało go najbardziej, kto zdobywał punkty. Ale jak przestawałeś pracować w obronie, to z miejsca były karne pompki. Dobra harówka. I moje najcieplejsze wspomnienie – matematyka z profesorem Amroziewiczem. On naprawdę chciał, byśmy z tej szkoły wynieśli coś więcej niż ułamki i rachunek prawdopodobieństwa. Gdy któregoś razu przyznał mimochodem, że w weekend czeka go przeprowadzka, kilkanaście osób przyszło pomagać – to wystarczy za komentarz.

Co jeszcze? Wycieczka szkolna do Zakopanego, wypady na bilard do Centrum Handlowego Bemowo, tony zadawanych lekcji na weekend, ale może to właśnie dzięki temu przedmaturalny stres okazał się zupełnie nieuzasadniony. Gładko poszło. I szybko. Nie do wiary, że to już ponad 20 lat temu.

Małgorzata Zalewska (Staniszewska) – absolwentka z 1999 r.

Doktor nauk o kulturze fizycznej, absolwentka Akademii Wychowania Fizycznego, wicedyrektor szkoły w latach 2017–2019, nauczycielka wychowania fizycznego

Dlaczego wybrała Pani tę szkołę?

Bo była blisko mojej podstawówki i moje koleżanki z klasy też wybrały tę szkołę.

W jakiej klasie Pani była?

W ogólnej, bez żadnych rozszerzeń.

Czy lubiła Pani swoją klasę, nauczycieli, wychowawczynię?

Swoją klasę lubiłam, mimo że nie byłam ze wszystkimi zżyta. Ale do tej pory utrzymuję z niektórymi kolegami z klasy kontakt. Portale społecznościowe bardzo to teraz ułatwiają. Nauczycieli miałam różnych, mniej i bardziej wymagających. Co ciekawe, najwięcej wspomnień jest oczywiście związanych z tymi nauczycielami bardziej wymagającymi. Nasza wychowawczyni, pani Agnieszka Żuberek, była bardzo młoda, byliśmy jej pierwszą klasą wychowawczą. Z tego, co pamiętam, to jedyna wychowawczyni z naszego rocznika, która była z nami na korytarzu podczas egzaminów ustnych na maturze. Było to niestandardowe zachowanie i bardzo ją za to doceniliśmy.

Na jakie zawody Pani jeździła?

Reprezentowałam szkołę w siatkówce. Razem z koleżankami z drużyny zdobyłyśmy 3. miejsce w szkolnej lidze siatkówki.

Czy zdobywała Pani dużo medali dla szkoły?

Dużo to niestety nie. Nie było tak łatwo wygrać z innymi szkołami, obecni reprezentanci naszej szkoły coś o tym na pewno wiedzą. Natomiast przez wszystkie lata nauki grałam dla José i mam bardzo dużo miłych wspomnień związanych z naszą drużyną.

Czyli Pani ulubionym sportem była siatkówka. Czy coś się zmieniło od tamtego czasu?

Nadal bardzo lubię siatkówkę, aczkolwiek obecnie dużo częściej uprawiam inne formy aktywności: jeżdżę na rowerze, na rolkach lub ćwiczę jogę.

Co zmieniło się w szkole? Czy są duże różnice od czasu kiedy Pani się uczyła?

Szkoła została wyremontowana, zupełnie inaczej wyglądała za moich czasów. Zamiast szafek były boksy z siatki, każda klasa miała swój boks, w którym uczniowie zostawiali kurtki i buty. Sala gimnastyczna miała na ścianach drewnianą boazerię, a okna zasłonięte były kratami. I jeszcze zamiast małych sal językowych były korytarze, więc korytarze na piętrach miały okna.

Dlaczego chciała Pani uczyć wychowania fizycznego?

Małgorzata Zalewska
z drużyną siatkarską
Archiwum prywatne

Zawsze chciałam uczyć wychowania fizycznego. Jestem czwartą osobą w mojej rodzinie, która skończyła Akademię Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Mój mąż też jest absolwentem AWF, więc ogólnie jesteśmy taką sportową rodziną.

Jaki był Pani ulubiony przedmiot oprócz WF-u?

Oprócz WF-u lubiłam bardzo matematykę.

Z którego przedmiotu Pani najgorzej szło?

Z fizyki szło mi najgorzej, aczkolwiek wtedy pani profesor Wójcik trójki stawiała tylko tym, którzy szli na politechnikę, więc u nas zdobycie dwójki było bardzo trudne. Ale z panią profesor Zofią Wójcik do tej pory bardzo się lubię. Co oczywiście nie zmienia faktu, że z fizyki było nam

bardzo ciężko. Na studiach już nie miałam z fizyką problemu, bo miałam piątkę z biomechaniki.

Na pewno w Pani klasie była grupka zaprzyjaźnionych osób.

Przez całe liceum siedziałam w ławce z moją koleżanką Dagmarą, która też grała ze mną w siatkówkę w szkole i w klubie w Łomiankach. Ale mieliśmy też takie grono znajomych z klasy, z którymi spotykaliśmy się czasem po lekcjach, na imprezach w domu.

A ma Pani z kimś jeszcze kontakt?

Z kilkoma osobami sporadycznie, kontakt telefoniczny lub przez media społecznościowe. Nawet z osobami, z którymi się bardzo nie przyjaźniłam w liceum, mam kontakt i czasem rozmawiamy poprzez Messengera.

Jaką była Pani uczennicą? Jak wspomina Pani maturę?

Byłam raczej dobrą uczennicą, natomiast były przedmioty, z których byłam uczennicą dwójkową, np. fizyka…, ale to była mocna dwójka.

Wyniki matury były dla mnie zaskoczeniem. Okazało się, że lepiej mi poszły przedmioty humanistyczne, a wydawało mi się, że lepsza jestem z matematyki.

Jakie to uczucie, kiedy jest Pani na Ty z nauczycielami, którzy Panią uczyli?

Bardzo dobrze się z tym czuję. Fakt, że znałam szkołę i nauczycieli bardzo ułatwił mi start. Nauczyciele, którzy mnie uczyli, bardzo miło mnie przyjęli do swojego grona.

Czy nie było to dziwne?

Na początku myślałam, że będzie to dziwne, a to było bardzo przyjemne. Nie byłam obca, inni też mnie znali, więc dużo łatwiej zaczynało mi się pracę.

Rozmawiały: Kaja Baszyńska i Karolina Strzałkowska,
uczennice z kl. 1B4

Marcin Sońta – absolwent z 2002 r.

Prezenter, scenarzysta, tekściarz. Autor programów radiowych i telewizyjnych, w Radiu Zet prowadzi obecnie audycję *Dzień dobry bardzo*.

Jakie ma Pan najlepsze wspomnienie ze szkoły?

W José Martí przeżyłem tylko dobre chwile. Pamiętam tych kilka momentów, jak na przykład, gdy błysnąłem dobrą odpowiedzią na lekcji, pamiętam kilka niezapowiedzianych kartkówek, na które zupełnie przypadkiem byłem nauczony, kilka bramek strzelonych w samo okienko na lekcji WF, świetne szkolne dyskoteki i wycieczki, do Pragi, czy Wilna. Pamiętam doskonale ten moment, gdy dostałem się do José i pamiętam świetnie dzień, w którym skończyłem José, zdając maturę. To dwa osiągnięcia, które sprawiły, że byłem z siebie wtedy naprawdę dumny. Nadal jestem! Do dzisiaj mam XXII LO im. José Martí wpisane do CV!

Marcin Sońta obecnie
Archiwum prywatne

Czy pamięta Pan jakieś ciekawe anegdoty i zabawne powiedzenia nauczycieli?

Pewnie, że pamiętam śmieszne powiedzonka… Ale jak nauczyciele to przeczytają i dowiedzą się, że my uczniowie uważamy je za śmieszne, to przestaną ich używać. Nie chciałbym odbierać tego kolejnym pokoleniom… Niech to będzie nasza słodka, uczniowska tajemnica.

Jak Pan teraz wspomina szkołę? Czy żałuje Pan, że był uczniem LO im. José Martí?

Nie żałuję i nigdy nie będę żałował. W José Martí było super i choć czasem było trudno, to potem wysiłek włożony w naukę procentował. Gdy zacząłem studia dziennikarskie, to się okazało, że mam tak mało nauki, w porównaniu do tego, co było w José, że na pierwszym roku znalazłem sobie dwie prace – jedną w radiu, drugą w telewizji i bez problemu udało mi się to pogodzić. José to świetna szkoła organizacji czasu.

Czy jest jakaś sytuacja ze szkoły, która wpłynęła na Pana życie?

Pamiętam, jak zaliczałem ustnie epoki w 4 klasie na polskim. Dostawałem same piątki i szóstki. Dowiedziałem się wtedy, że pięknie mówię – pani Aneta

Chodowiec powiedziała, że pięknie się mnie słucha i zażartowała, że dawno już nie było żadnej „szóstki" na ustnym polskim. Wtedy uwierzyłem, że mogę mówić do ludzi i kto wie, czy właśnie wtedy podświadomie nie postanowiłem zostać radiowcem. Parę miesięcy później na ustnej maturze z polskiego dostałem przeokropną dla mnie „tróję", bo nie wiedziałem o co chodzi z tzw. „paryskim brukiem" w *Panu Tadeuszu*. Już bym pewnie radiowcem nie został, ale później – na studiach – profesor Jerzy Bralczyk też wspomniał, że dobrze się mnie słucha, więc wróciłem do pierwotnego planu podboju świata głosem.

W jednym z wywiadów powiedział Pan, że chciał Pan zostać aktorem, ale apele szkolne boleśnie zweryfikowały Pana marzenia. Jak wyglądały apele szkolne, kiedy chodził Pan do liceum i co takiego się wydarzyło?

Oj wydarzyło się… Tańczyłem, śpiewałem, opowiadałem dowcipy… Wszystkim się podobało, ale jak się zobaczyłem na nagraniach wideo, to stwierdziłem, że moje talenty kończą się dużo wcześniej, niż mi się wydawało. Dobrze, że kaset VHS nie da się dzisiaj tak łatwo oglądać, bo utrącałbym kawałek swojej pewności siebie przy każdej projekcji.

Czy zna Pan język węgierski?

Nie. Skąd. Nigdy. Tylko kilka słów, jak laszlo, gulasz, Budapeszt, czy czardasz. Ale potrafię mówić niby-węgierskim, gdy przesadzę z Tokajem. Kto wam o tym powiedział? Niech no znajdę…

Kim Pan chciał zostać i o czym Pan marzył, gdy chodził do tej szkoły?

Aktorem. Ten Brad Pitt dostający Oscara, to miałem być ja… Jak się teraz nad tym zamyślam, to dochodzi do mnie, że on ma ponad 50 lat – być może nie jest za późno.

Miał Pan ulubioną nauczycielkę/ulubionego nauczyciela?

Najbardziej lubiłem język polski i matematykę. W związku z tym najlepiej pamiętam panią Anetę Chodowiec i pana Leszka Zajączkowskiego, „Zająca". Pani Chodowiec tak pięknie opowiadała o lekturach, które kazała nam przeczytać, że często naprawdę żałowałem, że ich nie przeczytałem. Natomiast pan Zajączkowski to człowiek, który kochał matmę miłością nieobliczalną, a to bywa zaraźliwe. Oni sprawili, że do końca nie wiedziałem, czy jestem humanistą, czy

mam umysł ścisły. Złożyłem papiery na UW i na Politechnikę. Egzamin na dziennikarstwo był pierwszy – jak już się okazało, że się dostałem, to na egzamin na PW już nie poszedłem. Los tak chciał. Los był łaskawy dla mnie.

Czy ma Pan kontakt z kolegami i koleżankami z klasy?

Jasne. Najlepszy kontakt z Pawłem Truszczyńskim. Poznaliśmy się już w podstawówce, potem siedzieliśmy razem w ławce w liceum i na studiach. Prowadziliśmy razem dwa programy o grach video w telewizji, a dzisiaj pracujemy razem w Radiu ZET. Paweł odpowiada za wiadomości, a ja jestem prezenterem muzyki. Ta przyjaźń na całe życie była pielęgnowana na słynnym „łączniku" w José.

Martyna Wojciechowska i Marcin Sońta, 2002 r.
Archiwum prywatne

Pisze Pan różne teksty. Czy pisał już Pan jako nastolatek? Czy na lekcji polskiego zauważono Pana talent?

Jestem specjalistą od dialogów. Potrafię pisać tak, żeby prezenterzy albo bohaterowie wypowiadali się tak, jakby mówili naturalnie, od siebie. To nieco inny sposób narracji, niż eseje, rozprawki czy opowiadania, które piszemy w szkole, więc to nie przekłada się jeden do jednego. Pamiętam, że na początku liceum robiłem dużo błędów stylistycznych, ale z czasem było ich coraz mniej – od tego jest szkoła, żebym się nauczył, czyż nie? Za to jeszcze raz serdecznie dziękuję.

Czy z racji zawodu spotyka Pan innych absolwentów LO im. José Martí – Agustina Egurrolę, Magdę Gessler, Martynę Wojciechowską, Kubę Przygońskiego, Andrzeja Saramonowicza?

Świat jest mały, więc zdarza się... Ostatnio mijam się z Agustinem Egurrolą podczas dużych koncertów telewizyjnych (np. Finał Eurowizji Junior) – on przygotowuje choreografię, a ja piszę teksty dla prezenterów. Bardzo często spotykamy się też w radiu. Na przykład

z Martyną Wojciechowską – wspominam wtedy moment, gdy ona w 2002 roku odwiedziła José jako znana i lubiana absolwetka, a ja byłem w trzeciej lub czwartek klasie i stałem na czele delegacji, która ją witała. Miała wtedy niebieskie Subaru i krótkie włosy. Ależ się stresowałem.

Rozmawiały: Alicja Bartkowska (uczennica kl. 1E3) i Karolina Rudzik

Janusz Noniewicz – nauczyciel języka polskiego w XXII LO w latach 1989–2004

Obecnie kierownik Katedry Mody Wydziału Wzornictwa Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie

Janusz Noniewicz w swojej sali
Archiwum prywatne Magdaleny Uhmy

Oryginalny, nieobliczalny, elokwentny, wyrazisty, twórczy, szalony, młoda legenda, artysta, nienawidzący systemu, Noniek na dyrektora – takimi słowami wspominają Pana absolwenci. Co Pan na to?

To jest bardzo miłe, że absolwenci po tylu latach i pamiętają, i wspominają czasami. A jeszcze bardziej miłe, jeśli to są pozytywne wspomnienia. Choć oczywiście bywa z tym różnie. Przez 16 lat pracy, co roku pracowałem z ponad setką uczniów. Trudno, żeby wszyscy wspominali mnie dobrze. To, co Pani cytuje, to są moim zdaniem dobre wspomnienia. Choć oczywiście określenie „nieobliczalny" czy „szalony" w stosunku do nauczyciela mogą być różnie odbierane. Ja jednak uważam, że pewna doza szaleństwa i nieobliczalności przydaje się w dydaktyce. Oczywiście jeśli za ekscentrycznością idzie jakiś cel edukacyjny. Ja mam to szczęście, że spotykam się często z dowodami na to, że tamte szalone metody zadziałały. Kiedy spotykam mo-

ich byłych uczniów, spotykam ludzi inteligentnych, wrażliwych, myślących krytycznie – bez względu na to, jak potoczyły się ich zawodowe losy. I ku mojej radości i wielkiej satysfakcji większość z nich przyznaje, że lekcje polskiego miały istotny wpływ na to, kim są i jak patrzą na świat.

Ale mój sposób bycia nauczycielem opierał się też w dużej mierze na budzeniu emocji. I nie ma co udawać, że zawsze były to emocje pozytywne. Myślę, że wielu uczniów mnie nie cierpiało i żyło w nieustannym napięciu. Na szczęście były to czasy sprzed internetowego hejtu, więc jakoś udało mi się przeżyć i przepracować te szesnaście lat.

Pana metody nauczania były dość nowatorskie. Czy ciężko było namówić uczniów do aktywności?

Dużo oczywiście zależy od klasy. Trzydziestoosobowa grupa ma w sobie ogromną siłę. I jak się trafi na opór, to trudno jest jednej osobie ten opór pokonać. Pamiętam taką klasę, w której nie udało mi się go pokonać przez cały rok i w końcu musiałem zrezygnować z jej uczenia. Nie dałem rady. Na szczęście to nie było w José. José, muszę powiedzieć, wspominam bardzo dobrze. W latach, w których ja tu pracowałem, przychodzili tutaj naprawdę wspaniali ludzie. Otwarci, ciekawi świata. A co ważne – pozbawieni snobizmu i jakichś niezdrowych ambicji. Można było naprawdę bardzo wiele z nimi osiągnąć.

Proszę sobie wyobrazić, że my wyjeżdżaliśmy na przykład na trzy dni, gdzieś do jakiegoś ośrodka wczasowego, po to, by np. studiować *Fausta* Goethego. Po śniadaniu do obiadu, po obiedzie do kolacji i po kolacji do ciszy nocnej. Oczywiście średnio było z tą ciszą, bo uczniowie oczywiście potrafili sobie zorganizować czas i w nocy. Ale w dzień naprawdę odbywała się tam praca. I nie pamiętam, żeby ktoś specjalnie narzekał.

Jak Pan ocenia sytuację/atmosferę panującą w szkole w tamtych czasach? Jakie ma Pan wspomnienia?

José Martí to było dla mnie bardzo ważne miejsce. Jedno z najważniejszych w moim życiu. Przez wiele lat czułem, że to jest moje miejsce na ziemi. Nawet dosłownie. Kiedy miałem kłopoty mieszkaniowe, pamiętam, że nasz dyrektor pan Bogdan Sekinda – który miał odwagę przyjąć mnie do pracy w roku 1989, kiedy to byłem jeszcze studentem, nosiłem długie do pasa włosy i ekscentrycznie się

ubierałem – na poważnie rozważał, czy nie zorganizować mi służbowego mieszkania w szkolnym budynku. I taka panowała tu atmosfera: przyjacielska, niemal rodzinna. Stąd się nie wychodziło po zakończeniu lekcji. Tu się toczyło życie i szkolne, i intelektualne, i towarzyskie. I to na wielu rożnych poziomach.

Pamiętam, kiedy zdecydowałem się prowadzić dodatkowe zajęcia rozszerzające program nauczania, przychodziło na nie ponad 60 osób! W piątki o 20.00! Zdarzało się, że kończyliśmy je po 22.00 i niektórzy mieli problem, bo rodzice nie chcieli uwierzyć w ich odpowiedź na pytanie: „gdzie byłeś?" – „w szkole". Ale muszę też powiedzieć, że na początku swojej szkolnej kariery dostałem ogromne wsparcie od moich koleżanek i kolegów. I od ówczesnej dyrekcji. Bogdan Sekinda i Hanna Biziel pozostają dla mnie do dziś wzorem szefów! I jeżeli odniosłem sukces jako nauczyciel – a z dzisiejszej perspektywy wydaje mi się, że tak – to też dlatego, że pracowałem w takim zespole, gdzie miałem od kogo się uczyć tego zawodu. A moje starsze koleżanki i moi starsi koledzy wspierali moją nauczycielską „odmienność", dostrzegając w niej wartość. To bardzo ważne, bo w szkole nie działa się samemu.

Dlaczego odszedł Pan z liceum?

Nie zawsze było różowo. Pracowałem tu przez 16 lat. W tym czasie zmieniały się sposoby zarządzania, zmieniała się wizja szkoły. I powoli to moje miejsce na ziemi stawało się coraz mniej moje, stawało się coraz bardziej obce. W końcu nadszedł taki moment, że u siebie czułem się tylko wtedy, kiedy zamykałem drzwi do mojej sali (nr 35 na pierwszym piętrze) i rozpoczynałem lekcje. Ale poza klasą i lekcjami czułem się nieswojo. Tym bardziej obco, im bardziej kiedyś byłem tu u siebie. W końcu przy kolejnych zmianach uświadomiłem sobie, że dla mnie nic się już tu nie zmieni i zdecydowałem się odejść. Zresztą w ogóle wtedy odszedłem z zawodu. Może to nie tylko José Martí, ale całe szkolnictwo stawało się już nie dla mnie?

Czy praca ze studentami daje więcej satysfakcji?

Nie. To jest w ogóle nie do porównania. Tym bardziej, że pracuję na uczelni artystycznej. Zakres moich zainteresowań, cel dydaktyczny są zupełnie inne. Może, gdybym pracował na polonistyce, te doświadczenia byłyby bardziej porównywalne. Ale to dobrze, że nie są. Bardzo lubię swoją obecną pracę. A jedno-

cześnie dzięki pracy w szkole czuję, że moja dusza (czy serce, czy mózg, czy nie wiem co) nauczyciela–polonisty też mogła się w życiu zrealizować. Pamiętam, kiedy poprowadziłem swoją pierwszą lekcję (jeszcze w ramach zajęć z metodyki nauczania podczas studiów), poczułem, że to jest właśnie to co chcę robić. Nic chyba nie może dorównać poczuciu satysfakcji jakie towarzyszy dobrze przeprowadzonej lekcji. No, może czują to aktorzy po dobrze zagranym Hamlecie. Albo Papkinie.

Są takie momenty, których się nie zapomina. One są trudne do opisania. Ale pamiętam np. jak kończyłem lekcję o poezji Tuwima. Klasa matematyczno-fizyczna. Temat dosyć trudny, bo poezja nie jest tylko o uczuciach i wzruszeniach, ale o całej skomplikowanej maszynerii języka. O jego gramatyce, o zasadach, o łamaniu zasad, o słowach, dźwiękach, literach. No jednym słowem – trzeba się napracować. Pamiętam siedzącego w pierwszej ławce ucznia, który przez całe te 45 minut nie otworzył nawet zeszytu (w ogóle nie wiem, czy on prowadził jakikolwiek zeszyt), który pomimo dzwonka na przerwę nie ruszył się z ławki, siedział jeszcze chwilę i wychodząc z klasy jako jeden z ostatnich trochę stwierdził, trochę zapytał: „panie profesorze, ale ten Tuwim to dobry poeta?". Kiedy to piszę, to w ogóle nie oddaje tamtej sytuacji. Bo trzeba by widzieć tego ucznia, jego skate'owy look, wiedzieć, że nie był zainteresowany językiem polskim, nie był zapewne też miłośnikiem poezji. A jednak, wtedy na tamtej lekcji, coś mu się spodobało. Jakoś się w tę poezję zasłuchał. Poczuł ją. Zrozumiał. To było widać w jego ciele, w ruchach, w twarzy, w głosie, w tym stwierdzeniu – pytaniu.

Dla nauczyciela to są niezwykle ważne momenty. Tym bardziej, że ja nigdy nie byłem zainteresowany pracą z tzw. olimpijczykami. Nie chciałem nigdy być nauczycielem od olimpijczyków. Chciałem do literatury przekonać wszystkich, również tych, którzy nie marzyli o polonistycznych studiach (lub zaczynali o nich myśleć dopiero pod wpływem naszych lekcji).

Dla magazynu *Vogue* pisze Pan artykuły dotyczące historii mody w sztuce. Czy faktycznie ubiór stanowi to, co łączy ludzi, kulturę, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość? Strój jest w pewnym rodzaju językiem. Co nam może powiedzieć o nas samych?

No właśnie! Moda jest ciekawa, kiedy można ją czytać. Kiedy coś znaczy. Kiedy staje się źródłem wiedzy o świecie. To mnie w modzie interesuje. I tego uczę swoich studentów. Czytania mody. Traktowania jej (jak Pani powiedziała) jako języka. A więc również i budowania wypowiedzi w tym języku. Moda oczywiście jest formą ekspresji, wyrażania samego siebie, ale dla mnie fascynujące w modzie jest nie to, że mówi coś ona o jednostkach. Ale o świecie, o społeczeństwach, o życiu codziennym ludzi, o wyznawanych przez nich wartościach, o radościach i kłopotach. O dążeniach i marzeniach. Tym mocniejsze stawało się moje zainteresowanie modą, im bardziej odkrywałem w niej literacką zdolność do opowiadania historii.

A jak Pan ocenia modę szkolną/młodzieżową w latach 90.?

W tym temacie jestem niewiarygodny. Bo patrzę na nią przede wszystkim przez pryzmat dzisiejszych czasów i z punktu widzenia moich dzisiejszych zainteresowań zawodowych. A dziś moda lat 90., mówiąc krótko, jest „cool". W roku 2015 przygotowałem nawet w Akademii taki performance, zatytułowany „Twerk like teen spirit", w którym jedną z głównych ról grały ubrania z lat 90. (wyciągnięte wówczas gdzieś spod ziemi przez Hankę Podrazę jedną z najlepszych polskich kostiumografek). Wtedy to było jeszcze trochę szokujące, ale dziś wiadomo, że moda młodzieżowa lat 90. ma swoje ważne miejsce w historii.

Lubi Pan Bielany. Jakie były kiedyś, jakie są teraz?

Liceum José Martí to była moja pierwsza praca. I pierwsze po Uniwersytecie stałe miejsce w Warszawie, do którego przyjeżdżałem codziennie. W ten sposób Bielany (wtedy chyba jeszcze Żoliborz–Bielany) stały się moim miejscem w Warszawie. Najpierw przyjeżdżałem tu do pracy, potem do znajomych i przyjaciół, których miałem tutaj coraz więcej, stopniowo moje życie przenosiło się na Bielany. Wreszcie tu zamieszkałem na stałe. I to w dodatku w miejscu z widokiem na plac Konfederacji. Tego widoku wszyscy mi zazdroszczą. Jest coś w tej dzielnicy takiego, że od początku poczułem się w niej dobrze. Właśnie od pewnego październikowego słonecznego dnia, kiedy przyjechałem na rozmowę w dyrektorem XXII LO im. José Martí i przechodziłem przez dziedziniec szkoły pełen młodzieży. Wyglądało to jak obrazek z campusu jakiejś światowej uczelni.

Urok Bielan polega na tym, że one się zmieniają i nie zmieniają jednocześnie.

Śniadania w Café de la Poste. Dlaczego?

Café de la Poste to kolejne moje stałe miejsce na Bielanach. Po pierwsze – mam je tuż pod domem. Po drugie – od początku było to z założenia francuskie bistro, miejsce, które nie tyle świadczy usługi gastronomiczne, ile kształtuje życie społeczne. CDLP wyciągnęło nas – okolicznych mieszkańców – z domów, sprawiło, że się poznaliśmy, że mówimy sobie „dzień dobry" (przynajmniej większość z nas, bo z tym mówieniem sobie „dzień dobry" jest w Polsce XXI wieku bardzo ciężko), że się do siebie uśmiechamy, że ze sobą rozmawiamy. No i mój pies uwielbia tamtejszą bagietkę.

Rozmawiała: Karolina Rudzik

Jakub Przygoński – absolwent z 2004 r.

Absolwent Politechniki Warszawskiej na Wydziale Samochodów i Maszyn Roboczych, kierowca rajdowy

Kuba Przygoński i pani Aneta Chodowiec, 2020 r.
Archiwum szkoły

Jak Pan wspomina szkołę?

Przez pierwszą klasę byłem w innej szkole, więc tu przyszedłem dopiero w drugiej klasie liceum. Trochę się zmieniła przez ostatnie lata, część poznaję, a części nie. Na przykład nie było tutaj tego dużego budynku Urzędu Dzielnicy Bielany. Mieliśmy tutaj bardzo fajne czasy, wesoło było, bo mieliśmy dość zgraną klasę. Bardzo dobrze wspominam takie wyjazdy narciarskie, które organizował nam pan Leszek Zajączkowski, z tego co pamiętam. On uwielbiał jeździć. Jechały wtedy wszystkie klasy z jednego rocznika, więc się bardzo zbliżaliśmy i integrowaliśmy.

Jakie przedmioty szkolne były dla Pana wiodące?

Z matematyki było super trudno, mało osób miało oceny wyższe niż 3. Pan Zajączkowski był bardzo wymagający, ale

Kuba Przygoński podczas spotkania z młodzieżą, 2020 r.
Archiwum szkoły

przez to miało się do Niego ogromny szacunek. Również nasza wychowawczyni – pani Renata Janowska, nauczycielka fizyki, była dość wymagająca, ale przy tym wszystkim bardzo w porządku. Właśnie tacy nauczyciele pozostają w pamięci na długo.

Czy pomogło to jakoś w dalszej drodze?

Na pewno matematyka i fizyka, ponieważ poszedłem na Politechnikę Warszawską, na Wydział Samochody i Maszyny Robocze, więc te przedmioty pomogły w zrozumieniu materiału na studiach. Było ciężko od samego początku, ale też już trochę byłem przyzwyczajony, więc sądzę, że czasy liceum dały mi taką dobrą szkołę.

Jak Pan pogodził swoją pasję ze szkołą?

W liceum było trudno, bo tak naprawdę ścigałem się zanim przyszedłem tu do szkoły, bo już od podstawówki. W weekendy mieliśmy zawody, czyli spędzałem tam piątek, sobotę, niedzielę i jak była w poniedziałek jakaś kartkówka, na przykład z matematyki, to trudno było się do niej przygotować, nie było kiedy. Ale pamiętam to też tak, że jak było mało czasu, to się wszystko robiło szybciej

i się nie odwlekało tego przygotowania, więc to była taka pigułka wiedzy, którą trzeba było szybko przyswoić, a nie rozłożyć na 2 dni nauki. Było to trudne do połączenia, można powiedzieć, że trochę na tym towarzysko traciłem, ponieważ większość spotkań i imprez mnie omijała. Na przykład osiemnastki, chyba tylko jedną udało mi się zaliczyć przez cały rok.

Miał Pan jakiś czas wolny?

Codziennie po szkole jechałem na trening, później zajęcia i czas na przygotowanie się na następny dzień, a w weekendy zawody, więc to tak szybko mijało.

Wybrałby Pan ponownie tę szkołę?

Ja jestem teraz na innym etapie życia i mam dwie córeczki, jedna ma 3 lata, druga 1,5 roku i mają jeszcze trochę czasu, aby wybrać liceum, ale mam bardzo dobre wspomnienia, więc fajnie byłoby, gdyby tu przyszły.

W liceum miał Pan przezwisko Qbiszon?

Tak, takie było przezwisko. Ostatnio rozmawiałem z Dominikiem, z którym chodziłem razem do klasy i od razu właśnie tak mnie przezwał, przez prawie 15 lat nikt mnie tak nie nazywał, więc te licealne przezwiska, tak, pozostają.

Kto był dla Pana inspiracją w czasach szkolnych?

Pamiętam takie spotkanie z Martyną Wojciechowską, która też jest absolwentką tej szkoły. Było zorganizowane w sali gimnastycznej. Ja wtedy byłem na początku swojej drogi motosportowej, ona przyjechała Subaru, co zrobiło na mnie ogromne wrażenie, ponieważ kobieta w takim agresywniejszym samochodzie... Dodatkowo przejechała Rajd Dakar, co jest niezwykłym sukcesem, mnie się to udało siedem lat później. Znam Martynę Wojciechowską osobiście, czasami się gdzieś mijamy. Ma ciekawy pomysł na realizowanie swojej pasji i pomocy, za co ją bardzo szanuję. A ona trzyma kciuki za mnie, ponieważ jestem teraz maksymalnie zaangażowany w sport.

Rozmawialiście w kontekście szkoły, że oboje skończyliście to samo liceum?

Ostatnio nie udało się, nigdy „nie zeszło" na ten temat, ale myślę, że jest to ciekawy pomysł.

W szkole są promowane różne dyscypliny sportu. Jak to wyglądało kilka lat temu?

Mieliśmy po prostu lekcje WF-u, na grze w piłkę się kończyło. Teraz się zmienia nastawienie do sportu, dlatego dobrze, że w szkole się go rozwija. Uważam, że trzeba się ruszać. Polecam uprawiać trochę sportu. To jest dobre dla głowy i ciała. Dzisiaj o 7 rano byłem „na bieganiu", bo też lepiej się czuje człowiek po takim porannym treningu. To odświeża, jest więcej energii i fajnie się zaczyna dzień. Później, w ciągu dnia, czasu jest coraz mniej i jest się ciężej zmobilizować.

Czy sporty motorowe powinny być bardziej promowane wśród młodzieży?

Sporty motorowe są trudne, ponieważ są trudniej dostępne niż na przykład bieganie czy basen. Dużą barierą jest też koszt motocykla albo samochodu. Wydaje mi się, że trzeba najpierw zacząć od pasji. Jeśli ktoś się pasjonuje tym sportem i obraca się w środowisku związanym z motosportem, to może dopiero przejść dalej, żeby zacząć się ścigać. Są oczywiście dziewczyny, które jeżdżą i startują w zawodach. Na przykład na Dakarze jest motocyklistka Laia Sanz, która jest taką super szybką dziewczyną. Jest twardym zawodnikiem, ale też bardzo miłą dziewczyną. W Polsce mamy między innymi Karolinę Pilarczyk – drift i Gosię Rdest – jeżdżącą torowym samochodem. Mają dobre wyniki, „trzymają gaz" i są przy tym kobiece, ale podczas rywalizacji mają ciężej. W trakcie wyścigu wszyscy mężczyźni chcą je wyprzedzić, żeby tylko nie być za kobietą, co moim zdaniem wynika z tego, iż kobiet jest mniej w sporcie motorowym.

Jak wyglądał początek przygody ze sportem?

Jako dziecko trenowałem pływanie. Chodziłem do podstawówki sportowej, do czego namawiali mnie rodzice, więc myślę, że przez to w pewnym momencie przestałem je lubić. Później ten sport zmienił się w motosport. Zacząłem się ścigać, gdy miałem 12 lat. Sport bardzo wzmacnia osobowość i uczy przegrywać, wydaje mi się, że nawet więcej razy poniesiesz porażkę niż osiągniesz sukces, uczy że trzeba ciężko pracować, żeby zacząć wygrywać. Trzeba swoje przegrać, ale nie poddawać się, aż zaczniesz wygrywać. To bardzo wzmacnia człowieka w życiu codziennym. Na motocyklu chciałem jeździć od początku, ten sport bardzo mnie wciągnął. Sam jeździłem na zawody, sam zacząłem naprawiać sobie motocykl. Rodzice nie bardzo chcieli, żebym to robił, ponieważ bali się o mnie. Oprócz ścigania lubię też kitesurfing – na morzu, z wiatrem, w zimie

lubię jeździć na desce, żeby trochę tego śniegu „zaczerpnąć". Takim ważnym dla mnie sportem jest też bieganie, które łatwo „zrobić" niezależnie od pogody.

Były momenty słabości i chęć zakończenia kariery?

Rzucić to – może nie, na pewno są cięższe momenty, że nie chce się iść na trening, masz ochotę odpuścić. Na pewno jest ciężko po różnych kontuzjach. Motocykle są bardzo kontuzjogennym sportem. Miałem wiele obrażeń: złamany kręgosłup, obojczyk czy rozerwany mięsień. Po pewnym czasie niestety się do nich przyzwyczajasz i później pojawia się pytanie, czy potrzebna jest operacja czy wystarczy gips. Mija 6 tygodni i wracasz do sportu. Złamany kręgosłup był trudną kontuzją. Przez 3 miesiące leżałem, mogłem tylko ćwiczyć na leżąco, więc 6 godzin dziennie ćwiczyłem. Moim celem od początku był powrót do sprawności. Chciałem dalej się ścigać, żeby zapomnieć o tej kontuzji, żeby nie zostawić tego tak, że po kontuzji zakończę karierę. Chciałem wyzdrowieć, wystartować i dopiero później zobaczyć, czy chcę kontynuować. Tak zrobiłem, po kontuzji kręgosłupa pojechałem jeszcze jeden Dakar motocyklem, a później przesiadłem się do samochodu, który jest dużo bezpieczniejszy.

Była to ogromna zmiana, prawda?

Tak, wyścigi samochodowe są dużo bardziej złożoną formą ścigania. Samochód i motocykl są trochę innymi maszynami. Wyścigi motocyklowe są takim prawdziwym ściganiem. Masz prostą maszynę, na której się ścigasz i można powiedzieć, że jest taka fajna rywalizacja 1:1. W samochodach rywalizacja jest dużo trudniejsza, trzeba połączyć więcej rzeczy, żeby to sprawnie działało. Musisz działać z pilotem, masz bardziej złożoną maszynę, która częściej się psuje, więc masz cały zespół ludzi – mechaników i inżynierów. Jest ciut mniej sportu, a więcej praktyki i ustalania, aby każdy element układanki zadziałał.

Jakie jest Pana największe marzenie?

Moim marzeniem jest, dalej, stanąć na podium Rajdu Dakar. W zeszłym roku byliśmy na czwartym miejscu, w tym – mieliśmy awarię techniczną, więc jest to nadal marzenie sportowe. Oprócz tego, na pewno, moim marzeniem jest, aby nasze córeczki dobrze się rozwijały, znalazły pasje, miały przyjaciół i żeby sobie fajnie życie ułożyły.

Największy Pana sukces życiowy?

Ukończenie liceum, potem studiów, politechniki i SGH, i pogodzenie nauki ze startami oraz czwarte miejsce na Dakarze.

Zdał Pan prawo jazdy za pierwszym razem?

Tak, na motocykl od razu, było to konieczne, żebym mógł się ścigać. Pamiętam też, że na samochód też „zrobiłem" od razu, mając 17 lat. Ścigałem się już siedem lat, więc wydaje mi się, że było mi łatwiej. Ale nie wszystkim zawodnikom się udaje za pierwszym razem, nawet na motor. Nie jest łatwo pokonać ósemkę na placu manewrowym, trzeba ją trochę poćwiczyć. Od razu zacząłem jeździć, też do liceum, ponieważ ja mieszkałem w Markach, więc to był „kawałek" do szkoły. Samochód był niezbędny, żeby dojechać szybciej, a nie było jeszcze wtedy metra i jeździło się „na około". Na początku przyjeżdżałem motocyklem terenowym, później samochodem. Samochód w szkole był mocno eksploatowany. Pamiętam, że nawet kilka razy jeździliśmy po choinkę na Święta i chyba jedną nawet ścięliśmy gdzieś w lesie.

Jakie są Pana najbardziej szalone wspomnienia z liceum?

Pamiętam, że mieliśmy taką akcję, pojawiły się myszy w szkole. Jedna z nich była w pokoju nauczycielskim, więc było śmiesznie. Jeszcze mieliśmy taką sytuację – na wyjeździe narciarskim założyliśmy się z jednym kolegą i on ten zakład przegrał, więc ogolił się na łyso. Pamiętam też jedno w trzeciej klasie liceum, już kilka osób przyjeżdżało samochodami, przywiązaliśmy jednemu koledze samochód do latarni łańcuchem, a kluczyk wrzuciliśmy od razu do studzienki, więc było trochę zabawy.

Czy ma Pan kontakt z kolegami z liceum?

Tak, z kilkoma.

Czyli licealne przyjaźnie pozostają na dłużej?

Na pewno łatwiej zachować przyjaźnie na całe życie z czasów liceum niż studiów, kiedy jest mniej czasu na spędzanie go razem, kiedy wiele zajęć jest w mniejszych grupach. Polecam się zaprzyjaźnić teraz, bo to zostaje na życie.

Rozmawiała: Aleksandra Niewczas, uczennica kl. 2B

Pytania przygotowały: Aleksandra Rybicka i Aleksandra Domańska, uczennice kl. 2E

Piotr Walas – absolwent z 2006 r.

Radny Dzielnicy Bielany m.st. Warszawy

W 2006 roku, po trzech latach nauki, ukończyłem LO im. José Martí. Jak wspominam ten okres?

Był to czas intensywnej nauki, szczególnie w klasie maturalnej. Chodziłem do klasy biologiczno-chemicznej, jednakże na maturze zdecydowałem się zdawać matematykę oraz fizykę. Fizyka z profesor Zofią Wójcik to było duże wyzwanie. Na lekcjach wspólnie z koleżankami i kolegami wyciskaliśmy siódme poty, by przejść do następnej klasy. Nie ukrywam, bywało ciężko, ale tak naprawdę i przede wszystkim, możliwość bycia nauczanym przez kadrę nauczycielską z LO im. José Martí to był wielki zaszczyt. Na szczęście ogólniak to nie tylko nauka, ale również wspaniałe chwile spędzone z wartościowymi osobami. Mam na myśli m.in. Damiana Staniszewskiego, który dzielnie walczył przy tablicy na lekcjach fizyki, a obecnie jest cenionym prawnikiem. Nie sposób nie wspomnieć również o Łukaszu Paluchu, który jest świetnym lekarzem i w czasach pandemii walczy o nasze zdrowie na pierwszej linii frontu. Wszystkich wspaniałych osób związanych z LO im. José Martí nie dam rady wymienić, ale chciałbym Wam wszystkim podziękować za wspólnie spędzone chwile.

Jeżeli o mnie chodzi to nauka w ogólniaku przy ul. Staffa 111 pozwoliła mi zdobyć niezbędną wiedzę i ukończyć studia inżynierskie. Jestem inżynierem budownictwa, posiadam uprawnienia do kierowania robotami budowlanymi bez ograniczeń. W dotychczasowej karierze współpracowałem z Ośrodkiem Rzeczoznawstwa i Techniki Budowlanej przy opracowywaniu różnego typu dokumentacji technicznej.

Obecnie mam 33 lata, jestem szczęśliwym mężem i ojcem 8-letniej Asi. Od zeszłego roku jestem dodatkowo radnym dzielnicy Bielany, co pozwala mi realnie pomagać naszej społeczności i poprawiać jakość życia na Bielanach, gdzie od zawsze mieszkam.

Piotr Walas obecnie
Archiwum prywatne

Aleksandra Gajewska – absolwentka z 2008 r.

Absolwentka Collegium Civitas na kierunku Stosunki Międzynarodowe ze specjalizacją Dyplomacja Publiczna. Była wieloletnią radną m.st. Warszawy i jej wiceprzewodniczącą. Obecnie jest posłanką na Sejm RP. Prywatnie mama Aleksa, zaangażowana w liczne aktywności społeczne

Aleksandra Gajewska obecnie

Archiwum prywatne

Dlaczego wybrała Pani XXII LO im. José Martí?

Szukając szkoły, kierowałam się jej miejscem w rankingu i opinią uczniów. Wiedziałam jakie są moje zainteresowania, które przedmioty szkolne są moją słabszą, a które mocniejszą stroną. O wyborze ostatecznie zadecydowałam, gdy znalazłam klasę o profilu humanistycznym z językiem angielskim i hiszpańskim.

Co może Pani powiedzieć o pierwszej klasie?

Do José przyszłam z gimnazjum sportowego, kiedy wciąż trenowałam koszykówkę. Licea sportowe miały znacznie mniejsze wymagania, a ja osiągałam bardzo dobre wyniki w nauce i chciałam znaleźć szkołę, w której były wyższe progi punktowe. Miałam wtedy wrażenie, że sport jest równie ważny, co nauka. Pierwsza klasa liceum była dla mnie sporym wyzwaniem. Z jednej strony poziom nauczania w nowej szkole był znacznie wyższy niż w gimnazjum, wymagano od nas większego zaangażowania i samodzielności, a z drugiej strony – warunki sportowe były w szkole bardzo kiepskie – sala przed remontem, boisko z asfaltu z licznymi ubytkami, brak pryszniców (tak, dla mnie niewyobrażalny był powrót na lekcje bez wzięcia wcześniej prysznica), koleżanki, które cały czas zgłaszały niedyspozycje lub miały zwolnienia z WF-u. To było dla mnie coś zupełnie nowego. Sama cały czas dojeżdżałam wtedy na treningi przed i po lekcjach, ale też musiałam poświęcać dużo czasu na naukę – zatem pierwszy rok pamiętam jako trudny. Niemniej jednak, właśnie wtedy poznałam osoby, z którymi do dzisiaj się przyjaźnię! A jedna nawet prowadzi moje biuro poselskie i koordynuje prace współpracującego z nami zespołu asystentów i wolontariuszy. W tym zespole jest również obecny uczeń szkoły – Piotrek.

Ile osób liczyła Pani klasa i jaki miała profil?

Chyba 32 osoby i liczba dziewczyn znacząco przewyższała liczbę chłopaków. Była to klasa o profilu kulturowym.

Jak Pani wspomina lata szkolne?

W szkole ukształtował się mój charakter i poglądy. Nauczyłam się samodzielności, odpowiedzialności i otwartości. Dobrze wspominam atmosferę, szkolne wyjazdy narciarskie, obozy sportowe, czas spędzony ze znajomymi. Wielu nauczycieli do dziś jest ze mną w kontakcie, mam wrażenie, że cały czas mi kibicują i naprawdę to doceniam.

Czy pamięta Pani jakieś śmieszne sytuacje związane ze szkołą lub z klasą?

Pamiętam, kiedy pierwszego dnia szkoły nasza kumpela Kaśka wdepnęła… w psią kupę. Pamiętam wiele zabawnych sytuacji, ale dla Was mogą już nie być aż tak śmieszne, bo wyrwane z kontekstu. Mieliśmy dobry kontakt z nauczycielami, więc i więcej swobody. Pamiętam jak pani od biologii szukała małej mieściny na zieloną szkołę, kliknęła na ekranie komputera w ikonę „wieprzowinki" i zamiast miejsca na wyjazd, ściągnęła wirusa, który otwierał kolejne okna ze zdjęciami nagich kobiet. Za każdym razem, kiedy próbowała zamknąć okno, otwierały się dwa kolejne. Zdesperowana, na pomoc wezwała uczniów klasy informatycznej. Pamiętam też, że mieliśmy świetnego nauczyciela od matematyki, który mówił, że profil naszej klasy jest raczej rozrywkowy i w bardzo zabawny sposób wbijał nam do głowy wzory, czy przepytywał przy tablicy. Pamiętam nauczyciela WF-u, którego znałam, bo był trenerem koszykówki – on nieźle dawał w kość chłopakom, których uczył. Powstała chyba nawet stronka z cytatami „z niego". Ale i mnie pamiętają do dziś, na fizyce na pytanie o rodzaje fal opowiedziałam o meksykańskiej i morskiej.

Czy był jakiś nauczyciel, który szczególnie zapadł Pani w pamięć?

Moja wychowawczyni – Anna Suska-Rydz. Bardzo młoda (wtedy młodsza niż ja obecnie) i niezwykle wymagająca. Była dla mnie bardzo ważną osobą w szkole. Jej praca nie ograniczała się do prowadzenia lekcji języka polskiego, była zaangażowana w nasze sprawy, interesowała się naszą sytuacją w szkole i poza nią, zauważała rzeczy, których inni nie widzieli, dawała nam wsparcie.

Do dziś bardzo dobrze ją wspominam. Byłam też bardzo zżyta z nauczycielami WF-u: Trenerem Krawczykiem, Grażyną Zajkowską i Kamilą Staniszewską. Uwielbiałam pana Leszka Zajączkowskiego, który uczył matematyki i zabierał nas na wyjazdy narciarskie do Austrii i panią od biologii, panią Annę Palińską, która była bardzo bezpośrednia.

Czy uważa Pani, że wybór XXII LO, jako szkoły średniej, to dobry wybór?

Jestem bardzo zadowolona, że uczyłam się w tym liceum. Ten czas miał ogromny wpływ na to, jaka dzisiaj jestem, w jakim kierunku rozwinęły się moje zainteresowania.

Kim chciała Pani zostać, będąc uczennicą José Martí?

Chyba prawniczką, to nie wyszło, ale mam w pracy ogromną styczność z uchwałami i ustawami.

Czy dobrze zna Pani język hiszpański?

Zaraz po szkole mówiłam po hiszpańsku płynnie. Później zaniedbałam tę umiejętność i bardzo tego żałuję. Na studiach nie miałam czasu na dalszą praktykę i dzisiaj pamiętam już tylko podstawy. A szkoda, mam wyrzuty sumienia i cały czas obiecuję sobie, że wrócę do nauki hiszpańskiego.

Czy nadal utrzymuje Pani kontakt z koleżankami/kolegami z klasy?

Mam grupę przyjaciółek z liceum, które do dzisiaj są mi bardzo bliskie. To taka relacja, w której nawet jak zajmujemy się swoimi sprawami i mamy dla siebie mniej czasu, to wiemy, że możemy na siebie liczyć i nie osłabia to naszej przyjaźni. Nie musimy sobie udowadniać jak bardzo jesteśmy dla siebie ważne – my to już wiemy. Dzwonimy i piszemy do siebie, spotykamy się, znamy swoje rodziny. Wiele razem przeszłyśmy i pewnie jeszcze wiele ze sobą przejdziemy. Taka przyjaźń na życie.

Jakie szkolne wydarzenie utkwiło najbardziej w Pani pamięci?

Było święto szkoły i przygotowywaliśmy występy razem z innymi klasami z naszego rocznika. Były scenki rodzajowe, występy taneczne, śpiew, ale i zawody sportowe. Dokładnie pamiętam nasze przygotowania i emocje, które temu towarzyszyły. Podobnie było ze studniówką. Poszłam na nią ze swoim najlepszym kolegą i świetnie się bawiłam. Takich wydarzeń chyba się nie zapomina.

Co Pani zwykle robiła na przerwach?

Pewnie siedziałam w szkolnym bufecie albo pobliskim markecie. Byłam ciągle głodna i dużo jadłam – do dzisiaj to się nie zmieniło. Kiedy było już cieplej, to na pewno dużo czasu spędzaliśmy na ławkach przed szkołą. Z pewnością w przerwach spisywałam też często prace domowe.

Czy chciałaby Pani coś jeszcze od siebie dodać, a może coś przekazać obecnym uczniom?

Żeby byli otwarci na innych.

Rozmawiał: Taras Hladun, uczeń kl. 1E3

Agnieszka Hejne – absolwentka z 2013 r.

Absolwentka Dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim

To nie jest tak, że wszystko było super. Czasem nie było – jak zawsze i ze wszystkim. Bo w klasie miało się kilka przypadków, których wolałoby się nigdy nie spotkać. Bo czasem trzeba było robić rzeczy, których strasznie nie chciało się robić. Bo się nie rozumiało, jaki sens ma to, co mówi nauczyciel i gdzie w tym logika. Ukryta strategia? No nie, dopiero potem docierało do ciebie, że on sam nie wiedział. A jeszcze później – że też człowiek i się zdarza. Czasem nie było super, bo coś się nie udawało. Bo oczy ze zmęczenia same się zamykały i na wiele rzeczy brakowało wolnej chwili. Można by pomyśleć, że to całkiem kiepskie miejsce. A jednak nie. Bo było super. Bo poza tymi, których spotkać się nie chciało, to zostali tacy, z którymi nigdy nie chciałoby się stracić kontaktu. Przyjaźnie na całe życie, a w najgorszym przypadku – na jak najdłużej. Takie, że użyczą kanapy, kiedy chwilowo nie ma się swojej. Albo pojadą na koniec świata, będą ogarniać nasze życie lepiej niż my sami i wyciągną za uszy z najgorszego syfu. Ze świecą takich! Ewentualnie w José właśnie. Było super, bo te rzeczy, których nie chciało się robić, gdzieś jednak zostały. Bo ten nauczyciel jednak

Agnieszka Hejne obecnie

Archiwum prywatne

czuł, że PO COŚ nam COŚ mówi. I w zupełnie nieoczekiwanych momentach okazywało się, że miał rację. Ot, pomyślałby ktoś, że w rozmowie z redaktorem naczelnym *Polski The Times* przypomni się lekcja geografii? Przypomni i przyda! Że te pogadanki zamiast typowych zajęć sprawią, że kiedyś będzie można rozmawiać ze starszymi od siebie i nie będzie czuć różnicy wieku? Będziemy traktować ich z szacunkiem – bo nas tak traktowano. Bo Pan Od Hiszpańskiego, chociaż wcale mnie nie uczył – podetknął mi któregoś razu pod nos podanie o nastrojenie pianina. Albo był tak fajny, albo nie mógł już znieść nienastrojonego. Kto go zna, to wie, że jednak fajny był. Bo Pani Od Polskiego pytała, czy wszystko ok i polecała dobre książki. Bo mówiła, że „No tak, to teoretycznie jest ok, ale od was wymagam więcej". Potrafiła się też na nas wszystkich obrazić, ale dzięki temu chyba chciało się bardziej. Bo Pani Od Geografii zapomniała kiedyś, że nie zrobiła nam sprawdzianu, a myślała, że robiła – więc stwierdziła, że ukradliśmy. Teraz jest co opowiadać. I wraca się tam z przyjemnością. Bo gdyby z José zabrać tych wszystkich Super Ludzi, to poza korytarzami z ruchem jednokierunkowym – niewiele by zostało. Ich się wspomina, czyta Ich żarciki zapisane na końcu zeszytu. I pozwalali nam dużo robić, działać. A kiedy coś nie wychodziło, to uczyliśmy się, że tak już będzie. Że coś nie wyjdzie. Ale że zawsze możemy na Nich liczyć. I to nie chodzi o to, że tam byli świetni ludzie – bo byli, wszędzie są. Ale że było ich tam tak wielu. I nie dość, że czuli się tam dobrze ze sobą, to jeszcze my się przy nich dobrze czuliśmy. A przy okazji – udało im się nas sporo nauczyć.

Dajana Dyka – absolwentka z 2013 roku, przewodnicząca Samorządu Uczniowskiego w latach 2012–2013

Absolwentka Biotechnologii Medycznej na Uniwersytecie Warszawskim

Mimo, iż mija już prawie 10 lat odkąd rozpoczęłam swoją przygodę z liceum José Martí, to pamiętam prawie wszystko, dosłownie pamiętam jak to

wszystko się zaczęło. Pierwsze lekcje, pierwsze i nieustające zdziwienie jak brzmi dzwonek, pierwsze kartkóweczki z matmy, pierwsze zadania maturalne z podręcznika prof. Kiełbasy, pierwsze wypracowania i lektury, pierwsze jasełka, pierwsze zdania wydukane po niemiecku, a przede wszystkim pierwsze znajomości!

Dla mnie José to przede wszystkim LUDZIE, bez nich nie byłabym tym, kim jestem i to dosłownie, bo moja aktualna codzienność i życie, od zawodowego po prywatne, są zbudowane właśnie na relacjach z liceum. Po tych 10 latach znajomości i przyjaźni traktuję tych ludzi jak rodzinę. I coś chyba jednak w tym José Martí jest, że łączy ludzi już na zawsze. Dzięki atmosferze budowanej przez nauczycieli, szkoła była dla nas miejscem, gdzie chciało się po prostu wracać każdego dnia, tym samym spędzaliśmy ze sobą wiele czasu. W tym pomagały także dodatkowe aktywności organizowane dla nas przez szkołę. Najlepiej wspominam właśnie to, że szkoła dawała możliwość organizacji eventów przez nas samych, czy to studniówek, koncertów, konkursów, wyjazdów integracyjnych i innych wydarzeń, których nawet nie zliczę. Oczywiście nieocenioną pomocą było przede wszystkim zaangażowanie nauczycieli w te wszystkie wydarzenia, a najbardziej podziwiam i doceniam ich zaufanie do nas przy powierzaniu nam całej organizacji.

Najważniejsze dla mnie jest to, jak José mnie ukształtowało. Każdy mówi, że to podczas studiów człowiek kształtuje się i dojrzewa, dla mnie takim okresem nie były studia, ale liceum. To tutaj, dzięki możliwości pełnienia funkcji przewodniczącej klasy, czy też szkoły, nauczyłam się m.in.: asertywności, zaangażowania na 110%, zarządzania prowadzonymi projektami, no i oczywiście polskiego, matematyki, niemieckiego i biologii.

Te 3 lata liceum były dla mnie okresem poznawania siebie i nauki wielu wartości, według których żyję do teraz, a dzięki ludziom i relacjom José Martí jest nie tylko wspomnieniem, ale i częścią mojego życia już na co dzień. I tak to 3-letnie chodzenie dzień w dzień do tego liceum niesie za sobą wiele wspomnień, wiele doświadczeń, ale przede wszystkim było niesamowitą PRZYGODĄ i dziękuję każdemu z nauczycieli i całej mojej licealnej ekipie, za to, że byli jej częścią.

Dajana Dyka jako licealistka
Archiwum prywatne

Adam Wadhwa – absolwent z 2014 r. i przewodniczący Samorządu Uczniowskiego w latach 2013–2014

Absolwent Kierunku Menedżerskiego w Szkole Głównej Handlowej

Nie będę ukrywać, że moje najlepsze wspomnienia wiążą się z relacjami między mną a koleżankami, kolegami z klasy oraz z nauczycielami. Wszystko zaczęło się od niewinnego poznawania i strachu, jaki towarzyszy każdemu pierwszoklasiście, który dopiero poznaje zahartowanych i surowych nauczycieli w liceum. Po jakimś czasie człowiek się przyzwyczaja, poznaje zasady, jakie panują (np. chodzenie prawą stroną korytarza i schodów, co było męczące), a także osoby, które będą go uczyć przez kolejne trzy lata. W tym czasie ja i moi koledzy mieliśmy mnóstwo okazji do poznania naszych profesorów, jak by nie patrzeć spędzaliśmy z nimi przez cały tydzień więcej czasu niż z rodzicami! Jacy to byli wspaniali ludzie! Można było z nimi porozmawiać o wszystkim, nieważne czy związanym ze szkołą, czy nie i zawsze służyli nam radą. Ostatni rok, który z nimi spędziliśmy, to była czysta przyjemność. Całe to organizowanie wydarzeń takich jak studniówka, dyskusje czy otrzymywanie od nich rad to tylko namiastka tego, na co mogliśmy liczyć. Pamiętam, że kończąc szkołę czułem się rozdwojony. Z jednej strony – super, koniec szkoły, najdłuższe wakacje w życiu, mnóstwo planów na przeróżne wyjazdy, ale z drugiej strony – przygnębiony, w końcu to koniec pewnego etapu w życiu. Dlatego uważam, że powinniśmy korzystać z życia w pełni, nieważne w którym momencie, bo nie zdajemy sobie sprawy, jak szybko to może się skończyć.

Można powiedzieć, że przedłużyłem sobie to szkolne życie ze względu na to, że czułem się bardzo związany z José i odwiedzałem je regularnie (2 razy w tygodniu) przez kolejny rok. Przychodziłem porozmawiać ze znajomymi i z nauczycielami. Minęło już pięć lat odkąd skończyłem szkołę, a ja wciąż z gigantycznym uśmiechem na twarzy, odwiedzam szkołę, w której spędziłem piękne trzy lata mojego życia.

Wiele osób przyznaje, że nie było takiej drugiej klasy jak klasa mat.-geo. rocznik ’95. Taka jest prawda. Do tej pory spotykamy się kilka razy w roku, żeby

Adam Wadhwa na studniówce, 2014 r.
Archiwum prywatne

porozmawiać o tym, co u kogo się dzieje i pośmiać się z czasów licealnych. Trudno w to uwierzyć, ale po pięciu latach nadal o sobie pamiętamy i będziemy pamiętać, mimo rosnących obowiązków. Było dużo charakternych osób, które rozkręcały życie szkoły, jak np.:

– największy miłośnik sportu i zdrowego trybu życia, organizator dnia sportu, który sam sobie robił dietę pudełkową i znany był z tego, że siedział na ławce na parterze i zawsze można z nim było spędzić miło czas;

– twórca żyrandola, bardzo zdolny i jednocześnie leniwy, bardzo często „podgotowywał" krew niektórym nauczycielom (szczególnie pewnej anglistce);

– organizatorzy „białej szkoły" z najlepszą wychowawczynią – panią profesor Kamilą Staniszewską, kiedy mogliśmy łączyć przygotowania do matury z zimowym szaleństwem na stoku.

Jako uczeń José Martí miałem przyjemność zostać przewodniczącym Samorządu Uczniowskiego razem z Aleksandrą Kwiką, jako wiceprzewodniczącą, po Dajanie Dyce. Była to dla mnie lekcja życia i szansa, by spełniać się w pracy

Od lewej: Anna Warelis, Adam Wadhwa, Dajana Dyka i Bartłomiej Caruk na studniówce, 2013 r.
Archiwum prywatne Dajany Dyki

dla społeczności szkolnej. Postawiłem sobie kilka celów i jestem bardzo zadowolony z wyniku, jaki osiągnąłem.

Jednym z celów była aktywizacja samorządu i pokazanie uczniom, że coś takiego jak samorząd istnieje i z różnymi problemami, prośbami czy pomysłami zawsze można się do nas zwrócić. Stworzyliśmy też fanpage Samorząd José Martí, który działał do 2018 roku. Regularnie odwiedzaliśmy różne klasy, żeby uzyskać opinie na temat działania samorządu i nawiązywaliśmy kontakty z ich przewodniczącymi. Dzięki temu udało nam się zorganizować między innymi: otrzęsiny dla pierwszaków (w trakcie ostatnich lekcji pierwszoklasiści mogli się integrować), dzień nauczyciela (podzieliliśmy szkołę na dwie części i zorganizowaliśmy jednocześnie apel w formie quizu i gry dla nauczycieli), apele i wsparcie w przygotowaniu innych wydarzeń, które już od dawna były organizowane w naszej szkole.

Drugim celem było stworzenie jawnego i demokratycznego wyboru przewodniczącego. W szkole odbyła się pierwsza debata wyborcza, która została nagrana i umieszczona na fanpage'u szkoły na Facebooku. Gratulacje należą się wszystkim, którzy do tej pory biorą udział w wyborach i pełnią tę funkcję!

Super, że samorząd posiada opiekuna, który zawsze może wesprzeć jego działanie. Pozdrawiam wszystkich, którzy podjęli się, czasem niełatwej, współpracy i tworzą razem wartość, jaką jest José Martí!

ANEGDOTKI:

Z nauczycielami, których na początku się bałem, miałem najlepsze relacje;

Zajęcia u pani profesor Anny Palińskiej w większości składały się z odpowiadania na nasze pytania dotyczące dorastania i młodości, które mogłyby zostać uznane przez wielu za niestosowne i nieprzyzwoite;

Na zajęciach u pani profesor Marii Siudy byliśmy nauczeni wzorowej dyscypliny – prawdziwe zajęcia przysposobienia obronnego. Przy okazji każde nasze dobre zachowanie było nagradzane plusikami;

Świetne legendy opisujące stopnie u pani profesor Zofii Wójcik, która wystawiając oceny z niektórych egzaminów używała linijki i dorysowywała kreski do jedynek;

W pierwszej klasie szatnie były idealnym miejscem do przeczekania lekcji języka polskiego, jeśli nie było się przygotowanym do zajęć z panią profesor Anną Suską-Rydz;

Kiedy pozowaliśmy do „przebieranych", w konwencji lat 20., zdjęć w klasie 3. (wisi ono teraz na korytarzu na pierwszym piętrze) były z nami dwie nauczycielki. Do tej pory moi znajomi nie są w stanie wskazać, kto na zdjęciu jest nauczycielem;

Podczas pisania wypracowań z języka polskiego, gdy pani profesor Suskiej-Rydz zdarzyło się wyjść z sali, jeden z kolegów puszczał imprezowe kawałki z telefonu i rozkręcał imprezę w sali;

Razem z kolegą mieliśmy przyjemność pracować w radiowęźle i jako jedyni puszczaliśmy pozytywną muzykę, przy której można się było trochę poruszać. Po pierwszym dniu zostaliśmy tymczasowo usunięci z tej funkcji.

Bartosz Naziębło – absolwent z 2014 r.

Absolwent Politechniki Warszawskiej wydziału SiMR, projektant systemów pomiarowych

Z przyjemnością wracam wspomnieniami do czasów liceum. Moja klasa była zgraną grupą, miałem przyjemność być jej przewodniczącym przez całe trzy lata nauki. Ponieważ byliśmy oddziałem o profilu ścisłym – matematyczno-fizycznym – naszą wychowawczynią była bardzo życzliwa i uczynna pani Renata Smolarkiewicz, nauczycielka fizyki. To dzięki jej pomocy i zaangażowaniu udało się zorganizować niezapomniany wyjazd na spływ kajakowy. Pani Smolarkiewicz bardzo lubiła naszą klasę, dlatego wszyscy mieliśmy poczucie obecności i prawdziwego wsparcia wychowawcy, była osobą, z którą mogliśmy podzielić się naszymi problemami.

Bartosz Naziębło ze swoją klasą matematyczno-fizyczną oraz z nauczycielem od matematyki – panem Leszkiem Zajączkowskim

Archiwum szkoły

Wraz z panią Renatą, życzliwym okiem na naszą klasę spoglądali nauczyciele: języka polskiego oraz matematyki. Dyrektor szkoły, polonista, pan Zbigniew Ślęzakowski kształtował naszą wrażliwość literacką, pomimo tego, że byliśmy klasą ścisłą, nie humanistyczną. Obecnie, pracując w środowisku technicznym/inżynierskim, miło wspominam czasy, w których mogłem rozwijać humanistyczną cząstkę mojej osobowości, np. uczestnicząc we wspólnych dyskusjach podczas omawiania lektur. Recytacja inwokacji, pisanie sonetu były wydarzeniami, które wciąż ciepło wspominam podczas spotkań z kolegami z klasy. Nie mogę nie wspomnieć o naszym nauczycielu matematyki, panu Leszku Zajączkowskim. Sposób, w jaki prowadził lekcje, nacisk, jaki kładł na zrozumienie omawianych zagadnień, dobrze przygotowały mnie do zajęć z matematyki na Politechnice Warszawskiej.

Najszczersze wyrazy wdzięczności należą się pani Karolinie Rudzik, nauczycielce języka niemieckiego. Szczególnie miło wspominam jedno zdarzenie – recytację wiersza w języku niemieckim w XLIX Liceum im. J.W. Goethego w Warszawie. Wydarzenie, w którym miałem okazję wziąć udział, właśnie dzięki pani Karolinie, było na tyle nietypowe, że po dziś dzień wprawia w zdumienie wiele osób spotkanych na kursach językowych oraz moich niemieckojęzycznych współpracowników, kiedy o nim opowiadam. Jestem za nie z całego serca wdzięczny mojej germanistce. Pani Karolina sprawiła również, że nauka języka niemieckiego zaczęła mi się kojarzyć z przyjemnością, co nie było takie oczywiste, biorąc pod uwagę moje wcześniejsze doświadczenia z nauczycielami tego języka. Obecność Pani Karoliny w mojej edukacji była kapitałem na przyszłość, bez którego wiele zdarzeń nie miałoby miejsca w moim życiu.

Po latach jestem niezmiernie wdzięczny za wysiłek, jaki nauczyciele włożyli, podczas trzech lat nauki w José, w moje wykształcenie. Moje liceum zapamiętałem jako bardzo rodzinne i ciepłe miejsce. Wiem, że ta szkoła wzbudza podobne odczucia zarówno wśród moich kolegów z klasy, jak i kolejnych roczników – za co należą się najszczersze wyrazy wdzięczności dla całej kadry dydaktycznej mojej szkoły.

Wszystkiego Najlepszego dla Mojej Szkoły i całej kadry dydaktycznej, z okazji 75-lecia szkoły.

Bartosz Naziębło, 2020 r.
Archiwum prywatne

Nina Jaśtak – absolwentka z 2014 r.

Absolwentka Lingwistyki Stosowanej na Uniwersytecie Warszawskim, tłumaczka z języka hiszpańskiego

Nina Jaśtak, 2019 r.
Archiwum prywatne

Czasy liceum każdy wspomina inaczej. Niektórzy robią to z żalem lub rozczarowaniem, inni – z radością, tęsknotą. Należę zdecydowanie do tej drugiej grupy osób. Moje wspomnienia z liceum dotyczą nie tylko samej nauki, przygotowywania do lekcji, sprawdzianów, a na końcu do matury, są to przede wszystkim wspomnienia przyjaźni, ulotnych i pięknych chwil, pierwszych trudniejszych i „dorosłych" decyzji, pierwszych samodzielnych kroków w przyszłość.

Moje początki w José Martí nie należały do najprzyjemniejszych. Ba, po pierwszym dniu miałam ochotę uciec stamtąd najszybciej, jak się dało. Dołączyłam do klasy dwujęzycznej w połowie roku, kiedy wszyscy się już znali, mieli swoich bliższych kolegów i koleżanki i wiedzieli na kogo lepiej uważać. Czułam się, jakbym wkroczyła do jaskini lwa. Pierwsza lekcja była dla mnie koszmarem – ze stresu z oczu leciały mi łzy, a sam nauczyciel z początku wydawał się jakimś tyranem.

„Wydawał się" piszę świadomie, ponieważ po jakimś czasie ów nauczyciel okazał się wspaniałym pedagogiem z niecodziennymi nawykami i sposobem nauczania (ci, którzy uczęszczają do klasy dwujęzycznej teraz lub uczęszczali do niej kiedyś, doskonale będą wiedzieli, o kim mowa). Podobnie zmieniło się moje postrzeganie szkoły i klasy. Z czasem zaprzyjaźniłam się z kilkoma osobami, z którymi kontakt utrzymuję do dziś. Wspólnie wychodziliśmy gdzieś po szkole, plotkowaliśmy, narzekaliśmy na wszystkie (teraz błahe, ale wtedy niezwykle istotne i trudne) bolączki związane ze szkołą i innymi sprawami. Razem stworzyliśmy swój własny idiolekt, hasła i słowa, które zrozumieliby jedynie uczniowie klasy dwujęzycznej. Język hiszpański wkraczał nie tylko w nasze życie w szkole, ale także poza nią – naturalnie łączyliśmy język polski z hiszpańskim, używaliśmy dziwnych, zupełnie niepoprawnych gramatycznie konstrukcji. Czasem brakowało nam słów po polsku, więc zastępowaliśmy je odpowiednikami w języku hiszpańskim.

Nina Jaśtak: pierwszy rząd od dołu, trzecia od lewej środkowy rząd: pan Waldemar Kiendziński (pierwszy od lewej), pan José Sardaña Polo (drugi od lewej), pani Monika Zwierzyńska-Pióro (czwarta od prawej), pan David Vargas Vargas (drugi od prawej), pan Rubén Cristóbal Hornillos (pierwszy od prawej)
Archiwum szkoły

Klasa dwujęzyczna zawsze była swego rodzaju klasą „specjalną". Więcej lekcji języka hiszpańskiego, ciągła nauka słówek, czasowników i ich odmian, masa sprawdzianów, trochę bezsilności i zgrzytania zębami. Dodatkowe lekcje historii, literatury i geografii Hiszpanii, ogrom informacji, dat i haseł do zapamiętania. Teraz myślę, że był to prawdziwy hardkor i nieustanny trening oraz eksploatacja mózgu – chyba nigdy w swoim życiu nie musiałam przyswoić tyle danych, co w czasie liceum.

O tym, jak trudne i zarazem piękne były czasy liceum, mogłabym pisać bardzo długo. Niestety często doceniamy to, co mamy, dopiero po pewnym czasie. Teraz, kiedy skończyłam studia i pracuję, wspominam te czasy z nostalgią i widzę, jak wiele beztroskich i szczęśliwych chwil przeżyłam właśnie w tym okresie. Były one zasługą liceum, nauczycieli w nim uczących oraz przyjaciół, z którymi spędzałam wtedy swój wolny (i mniej wolny) czas. Na zakończenie chciałabym podziękować wszystkim tym, którzy sprawili, że ten okres był tak wspaniały, w szczególności mojemu wychowawcy panu Davidowi Vargasowi oraz opiekunce Sekcji Dwujęzycznej pani Monice Zwierzyńskiej-Pióro. Te wspomnienia pozostaną ze mną przez długi, bardzo długi czas.

¡VIVA JOSÉ MARTÍ!

Emilian Malinowski – absolwent z 2015 r., przewodniczący Samorządu Uczniowskiego w latach 2014–2015

Student V roku na wydziale Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego

Do José chodziło się z przyjemnością. Pies drapał lekcje i sprawdziany, do których ryło się i do trzeciej w nocy. Pies drapał stres i lachy, które wpadały od czasu do czasu, bo musiały. Pies drapał maturę, o której słyszało się już od pierwszej klasy, bo przecież tylko strach może utrzymać 666 uczniów (to nie dowcip, tyle nas było!) w ryzach. Pies drapał wszystko to razem i z osobna – do José nadal chodziło się z przyjemnością. Czy to kiedy słońce świeciło w tyłek, czy kiedy mróz weń szczypał. A było tak dlatego, że José to byli ludzie. Wychowawczyni, która po wydarciu się na ciebie na środku sali gimnastycznej (architekt, który ją projektował na bank przewraca się w grobie widząc dramatyczne mecze siatkówki, kiedy piłka uderza w jedno z tych wystających cholerstw zamiast przelecieć na drugą stronę siatki), bo stres sięgnął zenitu, a ty akurat wisiałeś na cholernej drabinie pod sufitem, wychowawczyni, która chwilę później przytula twój łeb do piersi i mówi „pardą, misiu pysiu, stres, nerwy". Ziomki z sąsiedniej klasy, kitrające się z tobą w takim zapomnianym przez Boga (choć nie przez ciocie i wujków!) składziku w pobliżu bufetu,

Emilian Malinowski, trzeci od lewej
Archiwum prywatne

bo przerwa, hałas, a jutro urodziny naszej mordeczki, a więc trzeba jakoś wykminić jak podwinąć mu kluczyk do szafki, co by odwalić w niej z rana jakąś mańanę. Ksiądz Karol mający z nami w poniedziałki blok religii (nie żebym był jakimś wielkim fanem drogi Pana), który co tydzień dzień ten zaczynał od rytualnego „Jezus Maria", wyciągnięcia portfela i wręczenia Kasi stówy, żeby w swojej łaskawości kopsnęła się do bufetu po tyle kaw i bajgli, ile uniesie (zawsze chodziła tam po kilka razy), bo wydawało się, że wszystkich w sali Duch Święty opuścił akurat w ten poniedziałkowy poranek. José, które kocham i które pamiętam, to wszystkie te pocieszne ryjki, uśmiechnięte japki ludzi, którzy bez przerwy robili coś razem i spędzali razem czas na co dzień i od święta (z rozrzewnieniem wspominam cztery lata osiemnastek, cztery, bo każdy rocznik trzeba kochać tak samo, nikogo nie wolno pominąć, nawet jak już się skończy to liceum i ma się 21 lat; z rozrzewnieniem wspominam też cztery studniówki, z których wcale nie ta mojego rocznika jest moją ulubioną!). Ci wszyscy ludzie sprawili, że siedzenie w José czasem i w soboty po 1:00, albo we środy od 4:00, bo akurat przygotowywało się jakąś imprezę (bitwę na balony z wodą, *Bal Maskowy, Fiestę Latinę, FAN, José Rock Fest* itp.), było wspólną frajdą (wszak nigdy nie siedziało się samemu) i niezapomnianymi przeżyciami, które zapisały się w pamięci tak pozytywnie, że trudno je z czymkolwiek porównywać.

Julia Renata Janusz – absolwentka z 2016 r., przewodnicząca Samorządu Uczniowskiego w latach 2015–2016

Studentka I roku studiów magisterskich Hodowli i Ochrony Zwierząt Towarzyszących i Dzikich, wydział Hodowli, Bioinżynierii i Ochrony Zwierząt, Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie

Ze szkołą wiąże się wiele moich wspomnień i tych dobrych, i tych nie najlepszych. Jednak na pewno był to świetny okres w moim życiu, z którego do tej pory zostało mi kilkoro bardzo bliskich przyjaciół. Te trzy lata były wypełnione

Przygotowania do festiwalu FAN, 2015 r.
Archiwum prywatne

wieloma przygodami, niestety większości z nich nie można opublikować… a szkoda, bo bawiliśmy się przednio.

Mam kilka dość krótkich, aczkolwiek wesołych wspomnień.

BalonoweLove – była to zabawa, w której napełnialiśmy balony wodą, całe stosy balonów. Podczas długiej przerwy chętni dzielili się na dwie drużyny i po prostu rzucali w siebie balonami. Całe patio było mokre! Wszyscy ociekali wodą! Jednak szczęście na twarzach uczestników było warte całego trudu.

Miło wspominam organizację FAN (*Festiwal Artystów Nieobliczalnych*). W pierwszej klasie byłam zwykłym szarym członkiem sekcji, następne dwie edycje przeżyłam już jako szefowa sekcji. Ilość pracy była ogromna, ale nigdy wcześniej ani nigdy później moja klasa nie zintegrowała się tak, jak podczas przygotowań do FAN-u w drugiej klasie. Połowa klasy była w mojej sekcji, nauczyciele nie byli zachwyceni pustkami na lekcjach. Jednak nie można powiedzieć, że uczniowie próżnowali. Pomagali w każdej sekcji, żadnej pracy się nie bali. Nawet odkurzacz znaleźli! Przychodzili o świcie i wychodzili w środku nocy. Mogą już mi się mylić historie, ale pamiętam jak podczas prób do przedstawienia (jeszcze występowałam w trakcie) zamówiliśmy pizzę. Jednak nie chciało Nam się wychodzić z siłowni, więc odbiór i płatność odbyła się przez okno. Pan był trochę przerażony grupą uczniów krzyczących przez okno.

Pewnego ciepłego dnia klasa mat.-fiz. miała zajęcia z biologii na zewnątrz. Nie wiem czemu, ale akurat ja nie miałam zajęć. Postanowiłam zatem dołączyć do ich, nie wiem, czy Pani się zorientowała, ale bardzo przyjemnie słuchało się prelekcji na słońcu. Mniej więcej w połowie lekcji z okna sali fizycznej od strony patio, wychylił się mój kolega, zwany Bielańskim Rambo i bardzo zgrabnie wyszedł przez nie. Zeskoczył na patio. Chwilę poplotkował ze mną i kilkoma kolegami. Po czym, jak gdyby nigdy nic, wrócił do klasy tą samą drogą.

Studniówka też jest niesamowitym wspomnieniem. Szczególnie przygotowania, godziny poświęcone na dekoracje, stres związany z pobrudzeniem podłogi i problemami z domyciem jej. Mam nadzieję, że już nie widać śladów farby.

Ulubionym zajęciem większości uczniów na wf jest ping-pong. Nie oszukujmy się, duży procent osób wtedy nic nie robi. Jednak pewnego dnia z kolegą postanowiliśmy rozegrać pełny mecz, z punktami, itd. Niestety lekcja okazała się zbyt krót-

ka. Nie powstrzymało nas to, mecz to mecz, trzeba go skończyć. Tak nas to wciągnęło, że na następną lekcję spóźniliśmy się prawie 40 minut. Nie mam pojęcia jak to się stało, że nauczycielka nie wyciągnęła żadnych konsekwencji, chyba nawet nie spytała, czemu przybyliśmy po czasie. Swoją drogą chyba wygrałam mecz.

Ostatnia klasa – maturalna. Na jednym z przedmiotów, już pod koniec roku, pojawiało się na zajęciach niewiele osób. Większość kolegów w sali rozwiązywała zadania maturalne, jednak ja z przyjaciółką ustaliłyśmy, że warto „nadrobić" *Mistrza i Małgorzatę* do matury z języka polskiego, jednak miałyśmy tylko jeden egzemplarz. Jako „kreatywni studenci" znalazłyśmy rozwiązanie problemu, czytałyśmy z podziałem na role na głos. Nikomu nie przeszkadzało to, a my miałyśmy dodatkową wiedzę do matury.

Maciej Zdunek – absolwent z 2016 r.

Absolwent studiów licencjackich w Szkole Głównej Handlowej

Czas w José był bardzo intensywnym okresem w moim życiu. Dzięki pomocy nauczycieli mogłem się rozwijać w wielu dziedzinach, co pomogło mi w późniejszych etapach mojego życia. Na zawsze pozostaną w mojej pamięci nauczyciele polskiego, matematyki i języków obcych, którzy dzięki swojemu podejściu potrafili wzbudzić we mnie pasję do prowadzonego przez siebie przedmiotu. Niestandardowo prowadzone lekcje języka polskiego sprawiły, że z prawdziwie otwartymi oczami mogę teraz podziwiać kulturę i sztukę. Nauczycielka matematyki siedem, a czasem nawet osiem razy w tygodniu przypominała, że matematykę można polubić, aż w końcu w to uwierzyliśmy! Mogłoby się wydawać, że liceum to głównie droga do dobrze napisanej matury, jednak w moim przypadku José „zostało" ze mną na wiele dłużej i towarzyszy mi do dzisiaj, o czym świadczy grono wielu przyjaciół, których właśnie w tej szkole poznałem. Żeby już na koniec nie

Maciej Zdunek obecnie
Archiwum prywatne

Dzień Niemiecki, 2014 r.
Archiwum szkoły

było tak poważnie i oficjalnie, dodam tylko, mówi się, że najpiękniejszy okres w życiu młodego człowieka to okres studiów, a ja się stanowczo z tym nie zgodzę i powiem: 3 lata w José!

Magda Mówińska obecnie
Archiwum prywatne

Magdalena Mówińska – absolwentka z 2017 r.

Studentka I roku aktorstwa w E15 Acting School w Londynie

Kiedy myślę o José, liceum do którego chodziłam przez dwa lata, pierwsze słowo, które przychodzi mi na myśl, to bezpieczeństwo. José było miejscem, w którym czułam się wyjątkowo komfortowo. Być może ze względu na troskliwych, pełnych ciepła nauczycieli, którzy wiele razy okazali mi wsparcie. Być może ze względu na szalonych, zróżnicowanych kolegów z klasy. Być może ze względu na rodzinną, kameralną atmosferę,

która wypełniała to miejsce. Za każdym razem, gdy przypominają mi się licealne dni, pojawia się na mojej twarzy szczery uśmiech i szereg wspaniałych wspomnień.

Ostatnie wspólne zdjęcie klasy 3B, do której chodziła Magda Mówińska, trzecia od lewej. Archiwum szkoły

Łukasz Dziaduszek – absolwent z 2017 r.

Student Psychologii na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu

Rok 2014. Liceum José Martí. Imię patrona szkoły było równie tajemnicze jak nadchodzące trzy lata. Zaczynała się jakaś przygoda. Jeszcze nie wiedziałem jaka, bo to był pierwszy poważny krok w dorosłość. Przynajmniej każdy tak mówił. Ale czy w dorosłości jest jeszcze miejsce na przygody? Może wszelką

radość, ekscytację i ciekawość powinienem wtedy odstawić na bok i wejść w ten nowy rozdział jak w dorosłość, którą znałem tylko z definicji? Obfitującą w obowiązki, ciężką pracę i odpowiedzialność oraz pozbawioną miejsca na uczucia. Jednak nie wybrałem tej drogi, bo nie byłaby to wtedy przygoda, ale podążanie za mylnymi schematami dorosłości. Przekraczając próg pierwszego września, otworzyłem swoją głowę bardziej niż kiedykolwiek.

Nie podejmę się opisania przebiegu całych trzech lat. Skłamałbym, gdybym powiedział, że pamiętam, co działo się po kolei. Mogę jednak powiedzieć, że moja otwarta głowa zmieściła więcej niż mogłem przypuszczać. Mogę też powiedzieć, że byłbym głupcem, gdybym jej nigdy nie otworzył. Czy to znaczy, że nie poniosłem żadnej porażki? Nie, ale właśnie wszystkie potknięcia sprawiły, że teraz mogę nazwać się zwycięzcą. Wygrałem odpowiedź na pytanie: czym jest ta nieszczęsna dorosłość? Co śmieszniejsze, okazało się, że nie ma jednej odpowiedzi. Gdyby ktoś zadał mi to pytanie zaraz po opuszczeniu murów szkoły odpowiedziałbym: to ciągła nauka i poszukiwanie. To najpiękniejsze wspomnienie i najwspanialsza nagroda od liceum imienia tajemniczego Pana José.

Czasami tęsknię. Tęsknię za dużymi oknami, przez które mogłem oglądać piękne Bielany. Tęsknię za łącznikiem, który łączył nie tylko dwa krańce szkoły, ale łączył też ludzi. Tam właśnie spędzałem większość przerw z moimi najlepszymi znajomymi. Jakim to sukcesem było zajęcie miejsca na parapecie! Lubiłem tam też spędzać czas, gdy przyszedłem do szkoły wcześniej, bo właśnie tam było najwięcej okien na świat. Widziałem z nich piękne murale z Panem José w roli głównej, tuż przy wejściu do szkoły. Widziałem patio, gdzie czasami nawet zdarzyło mi się odebrać jakąś nagrodę na zakończenie roku. Ale ten łącznik był też planem filmowym do spotów promujących szkolną gazetkę (którą najlepiej na świecie prowadziła koleżanka z klasy – Agata), a ja mogłem w nich występować i czasami poczuć się jak gwiazda.

Szefowie sekcji konferansjerów, *Festiwal Artystów Nieobliczalnych*
Archiwum prywatne

Ale nie tylko łącznik był sceną! Scenę mieliśmy też na sali gimnastycznej. Oczywiście nie stała tam cały

czas. Pojawiała się przy okazji *Festiwalu Artystów Nieobliczalnych*. Festiwalu, który dawał okazję do pochwalenia się swoim talentem aktorskim grupom teatralnym z całej Warszawy. I za tym też tęsknię! Bo właśnie wtedy dałem się porwać w wir czegoś zupełnie nowego. Miałem okazję sprawdzić się jako szef sekcji konferansjerów. Napisałem mini scenariusz scen otwierających i zamykających festiwal. To było wyzwanie! W końcu tematem był „zaczarowany las", a ja byłem oczarowany tym, co jeszcze magicznego może mnie spotkać. Jednak i to nie udałoby się bez wspaniałych ludzi, istnych magików, którzy ten festiwal tworzyli i pracowali nad nim na długo przed jego rozpoczęciem. Jeżeli ktoś nie wierzył w czary, to tylko wtedy mógł poczuć je każdym zmysłem.

Licealna paczka Łukasza, czyli Loża Szyderców
Archiwum prywatne

Jeśli o teatrze mowa, to nie mógłbym pominąć też grupy, do której sam należałem – grupy Martílo. Z nimi debiutowałem, jako aktor teatralny, w roli przyjaciela Sokratesa – Kritona. Chociaż moja kariera nie potoczyła się w tym kierunku, to mogę spokojnie powiedzieć, że zyskałem wiele odwagi, wiele umiejętności. Ba! Byłem przyjacielem samego Sokratesa! Jak mogłem nic nie wynieść z takiej znajomości?

A moją ulubioną znajomością była ta z wiedzą o społeczeństwie. Tak, tak, chodzi o przedmiot i wszystko co z nim związane. Czy to nie dziwne, że z sentymentem wspominam lekcje? Pewnie tak, no bo co fajnego jest w lekcjach? Teraz nie chciałbym, żeby ten akapit wybrzmiał nazbyt patetycznie, ale chyba tylko Pan Krzysztof Niwiński mógł tak zainteresować kogoś tematem. Aż do liceum uważałem, że polityka i wszystko, co z nią związane, zupełnie mnie nie dotyczy. Ale moja otwarta głowa była gotowa zmienić swój pogląd na ten temat. Okazało się, że można przekazywać wiedzę w sposób tak przyjazny, tak skuteczny, tak nowoczesny! Okej, jednak brzmi to bardzo podniośle, ale świadomość świata i swojego miejsca w nim, jaką zdobyłem w tym czasie, jest bezcenna i tego wspomnienia nie mógłbym pominąć.

Skoro mowa o ludziach, byłbym głupcem, gdybym pominął osoby, z którymi spędzałem najwięcej czasu i dzięki którym mogłem dorastać w zgodzie

z samym sobą. Loża Szyderców. Tak właśnie nazywała się moja licealna paczka. Trzy dziewczyny i ja. Cztery zupełnie różne charaktery. Jednak coś nas łączyło..., może właśnie stąd wzięła się nazwa naszej grupy. Słysząc słowo „szyderca", na myśl przychodzą same złe rzeczy, że byliśmy tymi wrednymi, że buntowaliśmy się przeciwko grupie, że zawsze byliśmy na nie. Kryje się tu ziarno prawdy, ale my nie byliśmy zbuntowani przeciwko czemuś konkretnemu. Nie chcieliśmy płynąć głównym nurtem. Czuliśmy ze sobą więź, której nie moglibyśmy zbudować z nikim innym. Wypatrzyliśmy się w tłumie i wiedzieliśmy, że to będą nasze trzy lata. Zwierzaliśmy się sobie, przeżywaliśmy wspólnie pierwsze zakochania, ciężkie rozstania, szalone imprezy. Chociaż teraz to brzmi bardzo poważnie, to zdecydowanie poważni nie byliśmy. Pierwszy papieros, pierwsza ucieczka ze szkoły! Z tego miejsca przepraszam wszystkich pedagogów – my po prostu czasami nie potrafiliśmy zapanować nad emocjami i hormonami. Wzywał nas zew wolności, często w nieodpowiedniej chwili. Wspólnie z Gabi, Adą i Sylwią uciekaliśmy tylko przed tą strasznie nudną dorosłością, jednocześnie tak bardzo pragnąc, by być postrzeganym jako dorosły.

Łukasz jako konferansjer na gali rozdania nagród konkursu *JoséSong*, 2019 r.

Archiwum Urzędu Dzielnicy Bielany

Nie uciekłem jednak od jednego. Konkurs Piosenki Obcojęzycznej *José-Song*. Zacząłem być jego częścią jeszcze jako uczeń i jestem jego częścią nadal – trzy lata po skończeniu liceum i przeprowadzce do Poznania. Domyślam się, że to może jakiś ewenement, że wciąż wracam do José, ale sam też jestem trochę ewenementem. Oczywiście nie jestem uczestnikiem, bo swój śpiew raczej zostawiam pod prysznicem, ale nie mogłem odmówić pełnienia roli konferansjera. Przecież doświadczenie już miałem – nabyte w trakcie innego festiwalu w szkole. Nie sądziłem, że zostanę tak długo, ale jakoś zawsze miło się wraca do lubianych wydarzeń i przede wszystkim do lubianych ludzi, dlatego przynajmniej jeden jesienny wieczór spędzam w Warszawie. Czasami zastanawiam się, czy pani Karolina Rudzik i pani Sandra Zaleska nie mają mnie już dosyć, ale to tylko dzięki nim wciąż wracam. Za to jestem im okropnie wdzięczny, bo czuję, że coś po sobie mogę zostawić jako absolwent. A jeszcze większa duma mnie rozpiera, kiedy na scenie mogę się nazwać absolwentem José.

Prawdopodobnie jeszcze dużo mógłbym napisać. Wspomnień jest jeszcze więcej. Dotyczą one lekcji, np. zajęć z EDB, których się bałem; zajęć z informatyki, gdzie odkryłem swój brak talentu w obsłudze komputera; zajęć z matematyki, które były podróżą w nieznane; zajęć z historii, na których robiłem najwięcej notatek, w porównaniu z innymi; zajęć z hiszpańskiego, gdzie mogłem poznawać zupełnie inną kulturę; zajęć z WF-u, które lubiłbym w całości, gdyby nie zaliczenia na siłowni. Dotyczą też samej szkoły, np. zakorkowanych schodów, którymi nie dało się szybko przejść, aby zdążyć do bufetu. Dzięki szkole poznałem *Día de los Muertos*, czyli barwny Dzień Zmarłych, obchodzony w Meksyku i Hiszpanii oraz poznałem sylwetkę tajemniczego Pana José, który był m.in. kubańskim poetą i bez jego poematu nie powstałaby piosenka pt. *Guantanamera*. Zdecydowanie nie zapomnę też studniówki i tego, co działo się po niej, ale to musi zostać między wtajemniczonymi. Wiem tylko, że było to wydarzenie, które jak nic innego połączyła naszą klasę. Naszego słynnego „humana".

Myślałem, że spisanie kilku wspomnień zajmie mi chwilę. Ale nie dało się w chwilę odtworzyć tylu przygód. Nie dało się szybko opisać takiego wstępu do tej wspominanej dorosłości, która chyba zawsze będzie czymś

wyimaginowanym i nieodkrytym. Okazało się, że nie ma jednoznacznych odpowiedzi i trzeba wciąż szukać. Nie można porzucać radości, a przede wszystkim nigdy nie można zamykać głowy.

Wiktoria Saracyn – absolwentka z 2019 r.

Studentka I roku prawa i filologii klasycznej w Kolegium MISH Uniwersytetu Warszawskiego

Wiktoria, 2018 r.
Archiwum prywatne

Bez dwóch zdań, moje najpiękniejsze wspomnienia z czasów liceum są bezpośrednio związane z Sekcją Dwujęzyczną, której uczennicą miałam przyjemność być w latach 2016–2019. „Piętro sekcji", było zawsze tym najbardziej kolorowym i tętniącym życiem miejscem w całej szkole. Gorący klimat na ostatnim piętrze towarzyszył nam nawet w chłodne, szare dni. To było coś takiego, nie do podrobienia… Już w połowie schodów zawsze słychać było jakąś muzykę, głośne rozmowy czy śmiech. Nawet w tych najtrudniejszych momentach szkolnego życia każdego licealisty między lekcjami hiszpańskiego nigdy nie brakowało dobrego humoru. To właśnie tam zawsze można było się pożalić na maturę próbną albo trudny sprawdzian i oczywiście spotkać ze zrozumieniem.

Każdy z nas miał inne zainteresowania, inne plany na przyszłość, nie zawsze całkiem hiszpańskojęzyczne, ale wszystkich z nas łączyła pewna nić porozumienia oparta właśnie na otwartości na inne kultury i (nie)zwykłą ciekawość świata. Chociaż sekcja dwujęzyczna była koordynowana przez czujne oko pani Moniki Zwierzyńskiej-Pióro, nigdy nie udawało nam się do końca uniknąć artystycznego chaosu, stale towarzyszącego nam przy każdym wydarzeniu. Ale czy nie na tym polega właśnie prawdziwa nauka życia „po hiszpańsku"? Patrząc na to z perspektywy czasu wiem, że to właśnie między innymi dzięki temu nigdy się nie nudziłam. Najważniejszą rzeczą, której nauczyło mnie moje liceum, jest to, że wcale nie trzeba wszystkiego zaplanować, żeby wyszło idealnie. Chociaż wcale nie uważam, że szkoła uczy życia, to sekcja dwujęzyczna była jakby jego warsztatami praktycz-

nymi. Moją najtrudniejszą pracą domową była *tortilla de patatas*, którą chętni z mojej grupy mieli przygotować na zajęcia (bardzo praktycznej) nauki języka. Manualnie rozwijaliśmy się też co roku, przygotowując altar na *Día de los Muertos* i malując sobie twarze na szkolne obchody tego święta. Nie brakowało też wydarzeń o charakterze muzycznym. Dzień Patrona czy Boże Narodzenie były dla nas przede wszystkim okazją do dzielenia się muzyką, która stanowiła nieodłączny element codziennej, szkolnej rzeczywistości. Wszystkie koncerty, które z zespołem *JoséGlee* organizowaliśmy z dużą dozą spontaniczności do dziś wspominam z rozrzewnieniem, a to tylko dzięki temu, że świetnie się razem bawiliśmy i to właśnie na zabawie najbardziej nam zależało.

I chociaż zdecydowanie nie zawsze było tylko kolorowo, gdybym cofnęła się w czasie, żeby ponownie wybierać liceum, na pewno nie zmieniłabym swojej decyzji.

Krzysztof Warzocha – uczeń klasy dwujęzycznej 3H

Stypendysta Prezesa Rady Ministrów, polski laureat konkursu tłumaczeniowego *Juvenes Translatores* edycji 2018/19, finalista XLVI Olimpiady Geograficznej, laureat 1. miejsca Ogólnopolskiego Konkursu Geograficznego *Geo-Planeta* 2019, finalista Ogólnopolskiego Konkursu Wiedzy Geologicznej *Okawango* 2018/19, uczestnik teatru szkolnego *Chringuito libre* w roku 2018/19 i zdobywca 2. miejsca na XIV Konkursie Teatrów Szkolnych w języku hiszpańskim

Mój trzyletni okres nauki w liceum, w sekcji dwujęzycznej, z pewnością można nazwać okresem intensywnym, pełnym oczywiście nauki, ale również różnorodnych doświadczeń. Dzięki sekcji dwujęzycznej nie tylko rozwinąłem skrzydła na polu naukowym, odkryłem swoje talenty oraz, co być może cenniejsze, słabsze strony. Wdzięczny za to jestem przede wszystkim moim nauczycielom, których zdecydowanie należy nazwać wyjątkowymi ludźmi. Mam na myśli przede wszystkim nauczycieli hiszpańskiego i przedmiotów,

Krzysztof Warzocha jako José Martí w przedstawieniu z okazji Dnia Patrona, 2020 r.
Archiwum szkoły

których uczyłem się w wersji rozszerzonej – polskiego i geografii. Każdy z nich miał swoje własne, charakterystyczne podejście i do życia, i do nas – uczniów. Kontakt z nimi, a także różnego rodzaju aktywności szkolne poszerzyły znacznie moje perspektywy, spowodowały, że zwiększył się mój zasób doświadczeń.

Zdecydowanie najbardziej intensywnym i zapewne najcenniejszym, pod względem zbierania nowych doświadczeń, był marzec 2019 roku. Dziwnym zrządzeniem losu skumulowało się wtedy kilka ważnych dla mnie wydarzeń. Miesiąc rozpocząłem festiwalem teatralnym w języku hiszpańskim (brałem w nim udział i zdobyliśmy nawet drugie miejsce, aczkolwiek nie uważam się za osobę o predyspozycjach aktorskich). Jakiś czas później wziąłem udział w wymianie młodzieży i najpierw polecieliśmy na tydzień do Sewilli, by niecały miesiąc później gościć naszych hiszpańskich przyjaciół w Polsce. Pomiędzy tymi wydarzeniami miałem szansę pojechać z panią profesor od geografii na finał konkursu geologicznego „Okawango". Z pewnością nie zapomnę, chociaż może to niezbyt z geologią związane wydarzenie, gdy o 23:30 dostałem smsa od nauczycielki, która stwierdziła, że pogoda jest odpowiednia do obserwacji astronomicznych. Na finał konkursu jechałem z zapaleniem oskrzeli. Ale na szczęście choroba nie przeszkodziła mi w tak intensywnym trybie życia.

Innym szalenie ważnym wyjazdem, który miał miejsce w tamtym okresie, był wyjazd, razem z tatą i panią Moniką Zwierzyńską-Pióro (koordynatorką i „matką", w pełnym tego słowa znaczeniu, Sekcji Dwujęzycznej) na galę rozdania nagród konkursu *Juvenes Translatores*.

Zdecydowanie czas ten był pełen nowych, niezapomnianych doświadczeń, co nie znaczy, że pozostały czas spędzony w liceum był ich pozbawiony. Ogromnym walorem sekcji jest większa niż w innych klasach liczba wyjazdów i różnego rodzaju wyjść, głównie o charakterze kulturalnym.

Niezwykłym przeżyciem była również dwukrotna pomoc przy organizacji Konkursu Piosenki Obcojęzycznej *JoséSong* w roli konferansjera. Zwłaszcza za drugim razem, gdy byłem jednym z niewielu zaangażowanych w organizację uczniów z doświadczeniem z zeszłego roku. Szkoda, że nasza szkoła organizowała za moich czasów tylko jedno wydarzenie kulturalne tej skali, gdyż stanowią one idealną okazję do integracji uczniów (zwłaszcza tych aktywnych i lubiących brać udział w różnych przedsięwzięciach) i nabywania nie do końca oczywistych, a przydatnych potem kompetencji.

Krzysztof Warzocha przemawia na gali rozdania nagród konkursu *Juvenes Translatores* w Brukseli

Archiwum prywatne

Krzysztof Warzocha jako konferansjer na przesłuchaniach Konkursu *JoséSong*, 2018 r.

Autor zdjęcia: Franciszek Zakrzewski

Świadectwo maturalne mojego dziadka, Zbigniewa Leciejewskiego, z podpisem dyrektorki, Zofii Ringmanowej, 1951 r.

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI
SZKOŁY OGÓLNOKSZTAŁCĄCEJ
STOPNIA LICEALNEGO

Leciejewski Zbigniew Roman
urodzony dnia 7 czerwca 1932 r.
w Warszawie
powiat:
po ukończeniu nauki w szkole ogólnokształcącej stopnia
liceal nego złożył egzamin dojrzałości przed Państwową Komisją Egzaminacyjną, powołaną przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej (Wydział Oświaty)
w Warszawie
pismem z dnia 10 maja 1951 r. Nr VI-10396/51

Świadectwo niniejsze uprawnia do studiów w szkołach wyższych z myśl. art. 79 i 80 dekretu z dnia 25 października 1947 r. o organizacji nauki i szkolnictwa wyższego (Dz. U. R. P. Nr 66, poz. 415)

Szkoła Ogólnokształcąca n. liceal nego
na Bielanach
w Warszawie

Warszawa dnia 9 czerwca 1951 r.

Nr 141

UNIWERSYTET WARSZAWSKI

Nieoczekiwanie, po trudnym roku reformy szkolnej w 2019 r., dostałem się do XXII LO im. José Martí w Warszawie. A potem była kolejna niespodzianka.... Gdy po raz pierwszy przyszedłem na lekcję polskiego, nauczycielka zapytała mnie, czy jestem z „tych" Leciejewskich. Zdezorientowany odpowiedziałem, że chyba nie. A jednak! Kiedy wróciłem do domu, dowiedziałem się, że historia mojego nazwiska w liceum zaczyna się już od dziadka Zbigniewa Leciejewskiego, który w 1951 r. pisał tu maturę jeszcze pod starym adresem szkoły przy ul. Barcickiej 2 w Warszawie. Był chemikiem, znakomitym pływakiem i doświadczonym ratownikiem. Dziadkiem, który miał dla mnie zawsze czas.

Dwa lata później egzamin dojrzałości zdawał tu jego młodszy brat Wojciech. I on z pewnością wpisał się mocno w historię naszego liceum. Po ukończeniu studiów wrócił do szkoły jako nauczyciel wychowania fizycznego. Był pasjonatem swojej pracy, miłośnikiem zdrowego trybu życia i przykładem osoby, której sport towarzyszył przez całe życie. Organizował niezwykłe, jak na tamte czasy, obozy żeglarskie i zimowiska. Był też zaangażowanym pedagogiem. W latach siedemdziesiątych, jako wychowawca, podjął się wspierania w nauce niepełnosprawnych uczniów. Miał w swojej klasie osoby z porażeniem mózgowym, epilepsją i niewidzące. Wszyscy zdali maturę i skończyli studia. Niewidoma uczennica, Grażyna (nazwiska już nie pamiętamy),

mogła przystąpić do egzaminu w dużej części dzięki ogromnemu zaangażowaniu Wojtka: przygotowaniu materiałów w Braille'u i zorganizowaniu specjalnej komisji wyłącznie dla niej. Została potem dyrektorem warszawskiego Instytutu dla Niewidomych przy ul. Konwiktorskiej. Trwali przez długie lata w przyjaźni. Zresztą z wieloma swoimi uczniami łączyły wuja prawdziwe, dobre relacje.

Choć miał serce na dłoni, wspierał młodych ludzi radą, ingerował w trudne czasem sprawy rodzinne, był też niezłomny i kategoryczny w pewnych kwestiach. Nie znosił palenia. Nigdy sam tego nie robił i tępił palaczy, a jedną z kar za ten nałóg był znany wszystkim uczniom tak zwany „bieg na leciejce". To runda wokół szkoły i baru „Radek" (obecnie sklepu). I tak dwa, pięć czy dziesięć razy w zależności od przewinienia i ilości wypalonych papierosów. Ale była też druga kara – szczotka, szmata i kubeł – czyli szorowanie sali gimnastycznej.

Pracował w liceum aż do emerytury jako ceniony nauczyciel. Jednak jako uczeń nie był bez skazy. Miał na koncie kilka zabawnych sytuacji. Jak wspomina żona Wojtka, ciocia Elżbieta – „to był piorun!" W pierwszej klasie przyjął zakład, że przejdzie przez szkolny lufcik. A że do najdrobniejszych nie należał, to przeszedł... razem z oknem, wyrywając je niechcący. Ten wyczyn tak zapadł w pamięć ówczesnej dyrektor Zofii Ringmanowej, że wspomniała o tym, gdy wuj ubiegał się świeżo po dyplomie magistra o pracę. Wieść rodzinna głosi,

Mój dziadek Zbigniew Leciejewski z młodszym bratem Wojciechem w czasach licealnych.

Brat dziadka Wojciech Leciejewski odbiera świadectwo maturalne, 1953 r.

Mój stryj Sławek Leciejewski w czasie studniówki, 1977 r.

Mój stryjeczny brat Stefan i Ania Leciejewscy z córkami, 2015 r.

że w 1959 roku został przyjęty do grona pedagogicznego pod warunkiem..., że już nigdy nie będzie wychodził ze szkoły przez lufcik.

Swoim entuzjazmem do pracy w szkole i sportu zaraził również własne dzieci. Starszy syn Sławek był uczniem liceum im. José Martí w latach 1973–1977 i po maturze również wybrał studia na Akademii Wychowania Fizycznego, a następnie podjął pracę w swojej szkole jako dyplomowany nauczyciel. Pozostał w pamięci wielu uczniów i kolegów z grona nauczycielskiego. Do dziś ciepło wspominają go uczący mnie teraz, myląc czasem moje z jego imieniem – zwracają się do mnie

„Sławeczku". Jest wieloletnim, czynnym pedagogiem, człowiekiem sportu, instruktorem windsurfingu i tenisa.

Gdy urodziłem się we wrześniu w 2003 roku, kolejny członek naszej rodziny Stefan – syn Sławka – właśnie skończył XXII liceum. Losy Stefana potoczyły się nieco inaczej niż jego taty i dziadka. Po studiach zajął się sportem, ale już nie w szkole. Najpierw był zawodnikiem, potem trenerem, a obecnie właścicielem szkoły windsurfingu. Jak Stefan wspomina szkołę? Mówi, że zostało sporo dobrych wspomnień. A najważniejsze jedno – Ania. Choć w szkole znali się tylko z widzenia, dziś są licealnym małżeństwem i fanami pływania na desce. Ich córki były chyba najmłodszymi windsurferkami na Zalewie Zegrzyńskim.

Po szesnastu latach od matury Stefana ja rozpoczynam tu przygodę licealisty. Nie byłem wcześniej świadomy, jak długą historię ma moja rodzina w tej szkole. I jest to w pewien sposób motywujące... Rodzice wspominali wcześniej, że chodzili tu nasi bliscy; pamiętam też jakieś rozmowy na rodzinnych spotkaniach, ale nie do końca zdawałem sobie sprawę, że los i system punktacji przydzielił mnie do liceum, w którym jestem w linii męskiej czwartym pokoleniem.

Zdjęcia: archiwum prywatne Stanisława Leciejewskiego

Stanisław Leciejewski, 2019 r.

PRZEDSIĘWZIĘCIA W JOSÉ

José Rock Metal Fest

Tomasz Napiórkowski – absolwent z 2008 r., przewodniczący Samorządu Uczniowskiego w latach 2005/2006-2007/2008

Tomasz Napiórkowski obecnie

Absolwent Wyższej Szkoły psychologii Społecznej w Warszawie, kierunek Psychologia Biznesu. Od 13 lat związany z branżą fitness, obecnie właściciel firmy consultingowej i szkoleniowej X-SPORTS GROUP oraz Dyrektor Sprzedaży i Rozwoju w Orange Theory Fitness. Jako pierwszy w Polsce i ósmy w Europie ukończył IHRSA INSTITUTE, uzyskując tym samym certyfikat potwierdzający kompetencje w zakresie zarządzania klubami fitness

W 2007 roku narodził się pomysł organizacji José Rock Metal Fest. Jako przewodniczący Samorządu Uczniowskiego otrzymywałem zapytania od fanów muzyki rockowej, czy byłoby to możliwe. Uznaliśmy, że to genialny pomysł, jednak budżet szkolny nie pozwalał na wiele... Stąd pomysł utknął w martwym punkcie. Niezależnie od kwestii finansowych zaczęliśmy szukać zespołów, aby zobaczyć, jaki będzie poziom zainteresowania.

Okazało się, że zainteresowanie naszym festiwalem przekroczyło to nasze oczekiwania... w pozytywnym sensie. Jako przewodniczący, podjąłem wtedy decyzję, że raz kozie śmierć. Problemem cały czas były kwestie finansowe... Stąd trzeba było zorganizować całą imprezę tzw. „środkami własnymi", tak aby zmieścić się w budżecie.

Pierwszym wyzwaniem były okna w sali gimnastycznej. Wpadliśmy na pomysł wielkich czarnych zasłon z taniego materiału, który nie przepuszczał światła – koszt okazał się znikomy, montaż jeszcze prostszy. Kolejnym – była scena. Tutaj starsze rodzeństwo naszych licealistów okazało się pomocne.

Przygotowania do festiwalu, 2007 r.

FlameBerg – zespół Tomasza Napiórkowskiego, 2007 r.

Scena została zbudowana z płyt OSB oraz desek o grubości pozwalającej na utrzymanie odpowiedniego ciężaru. Scena była budowana w nocy przed festiwalem, a główną rolę w jej powstaniu odegrał brat jednej z ówczesnych licealistek, Eweliny Miecznikowskiej – Dariusz.

Natomiast zespoły, które zagrały na koncercie, zapewniły niezbędny sprzęt nagłośnieniowy, od kolumn dla gitarzystów i wokalistów, po tzw. „odsłuchy", aby każdy członek danego zespołu mógł słyszeć innych.

Ostatnim etapem niezbędnym do zorganizowania koncertu było oświetlenie. W tej kwestii otrzymaliśmy wsparcie ze strony Liceum im. Joachima Lelewela – tamtejszy samorząd przekazał Nam kontakt do osoby, która profesjonalnie zajmowała się oświetleniem na podobnych imprezach.

Wynajem i obsługa samych świateł okazała się przysługą. Ostatecznie – wspólnymi siłami – udało Nam się przygotować wszystko, aby „odpalić" wówczas pierwszą edycję *José Rock Metal Fest*.

Aby dostępność była możliwie jak największa – ceny biletów wstępu ustaliliśmy na poziomie 5 zł za wejście.

Na koncercie pojawiły się zespoły: *Decorum*, *Żywiołak*, *FlameBerg*, *Departed*, *13th Apostol*, *Hydrofor*. Publiczność dopisała, a sala była wypełniona – a nawet mocno przepełniona – do samego końca.

Nie zabrakło pogo pod sceną, uwag dotyczących spożywania niskoprocentowego alkoholu [oczywiście poza terenem szkoły].

Po niemałym sukcesie, jaki udało się osiągnąć przy organizacji tej imprezy, podjęliśmy decyzję o organizacji 2. edycji w roku 2008, a że była to już klasa maturalna

– to chcieliśmy zakończyć Naszą przygodę w José Martí, z mocnym, rockowo-metalowym przytupem – i tak też się stało...

Kolejna edycja odbyła się w bardzo podobnym składzie zespołów. Tym razem kwestie techniczne były dopięte na ostatni guzik, całe przygotowanie zajęło znacznie mniej czasu, niż w roku poprzednim. Ponownie dopisała publiczność, były dobra zabawa oraz świetna atmosfera, a założenie, aby pożegnać się z XXII LO w mocnym i głośnym stylu, zostało zrealizowane.

Jako absolwent XXII LO czasy spędzone w liceum wspominam bardzo pozytywnie, wiele bym dał, aby wrócić do atmosfery, jaka panowała zarówno w szkole, jak i w klasie, tj. niezapomnianej i niezawodnej „3E".

Zdjęcia: archiwum prywatne Tomasza Napiórkowskiego

Maciej Stolarczyk – absolwent z 2015 r.

Absolwent studiów inżynierskich na Wydziale Zarządzania Politechniki Warszawskiej, student studiów magisterskich na Wydziale Inżynierii Produkcji PW, gitarzysta zespołu *Black Dog*

Maciej Stolarczyk obecnie, jako gitarzysta zespołu *Black Dog*

Cofnijmy się do 2013 roku, kiedy to rozpoczęła się moja przygoda z José *Rock Fest*. Wpadliśmy wtedy ze znajomymi na pomysł reaktywacji festiwalu dla miłośników muzyki rockowej, organizowanego kilka lat wcześniej w naszej szkole. Pomysł pomysłem, ale należało zacząć działać. Nie mieliśmy dużego doświadczenia w organizacji wydarzeń muzycznych, jednak byliśmy świeżo po pierwszej edycji *Festiwalu Artystów Nieobliczalnych*. Z organizacyjnego punktu widzenia, pewne rzeczy pozostają niezmienne, niezależnie od tego, czy organizujemy festiwal muzyczny, teatralny czy taneczny. Była jednak pewna różnica w stosunku do organizacji FAN-u – czas i fundusze, które były zdecydowanie bardziej ograniczone. Patrząc z perspektywy czasu, wiem, że porywaliśmy się trochę z motyką na słońce, ale było warto.

Próba, 2014 r.

Edycja w 2013 roku powstała naprędce, przy wsparciu znajomych. Wykorzystaliśmy to, co mieliśmy w szkole oraz rzeczy spontanicznie przyniesione przez zainteresowanych. Ktoś przyniósł wzmacniacz gitarowy, ktoś basowy, jeszcze inna osoba przywiozła perkusję. Wykorzystaliśmy szkolne nagłośnienie, a co do „oprawy wizualnej", nawet nie pamiętam, skąd mieliśmy tych parę światełek – po prostu pewne potrzebne rzeczy nagle się pojawiały. Oprócz tego „załatwiliśmy" niezbędne, od strony formalnej, zgody, tj. Burmistrza Dzielnicy Bielany i władz szkoły.

Edycja z 2014 roku to już inna bajka. Napędzeni pozytywną energią postanowiliśmy podejść do sprawy zdecydowanie bardziej profesjonalnie. Przygotowania rozpoczęliśmy dużo wcześniej, co zaowocowało zainteresowaniem ze strony sponsorów. Dzięki temu mogliśmy pozwolić sobie na promocję w formie plakatów, profesjonalną scenę oraz sprzęt. Zamawiając z wypożyczalni kolejne kabelki i dokładając „jeszcze jeden stroboskop", nie mieliśmy pojęcia, że będzie tego tak dużo. Jakie było nasze

zdziwienie, kiedy pod budynek liceum podjechał samochód dostawczy… Subwoofery i brama oświetleniowa spokojnie wystarczyłyby na obsługę niewielkiej, profesjonalnej imprezy plenerowej, ale musieliśmy zadowolić się salą gimnastyczną. Podczas edycji 2014 wystąpili: *DownFall*, *Das Browar*, *Koios*, *Gufire* oraz *Freakshow*. Zarówno artyści, jak i uczestnicy koncertu wyglądali na zadowolonych.

Licealny czas spędzony na organizacji i uczestnictwie we wszelkich imprezach (tych bardziej i mniej oficjalnych) zawsze będę wspominał z sentymentem.

Zdjęcia: archiwum prywatne Macieja Stolarczyka

Festiwal Artystów Nieobliczalnych 2013–2017

Pierwsza edycja teatralnego *Festiwalu Artystów Nieobliczalnych* odbyła się w kwietniu 2013 r. Pomysłodawczynią tego przedsięwzięcia była Malwina Nowosielska, uczennica dwujęzycznej klasy 2H. Festiwal miał ożywić życie kulturalne szkoły, zintegrować uczniów i nauczycieli oraz uczynić z naszego liceum swego rodzaju centrum szkolnego życia teatralnego na Bielanach. Tak też się stało – FAN był wydarzeniem angażującym co roku ponad stu uczniów, kilkunastu nauczycieli XXII LO – opiekunów sekcji, którzy poświęcili festiwalowi wiele uwagi, czasu i życzliwości. Należy tu szczególnie podkreślić zaangażowanie nauczycieli: Anny Suskiej-Rydz, Agnieszki Kucharczyk, Agnieszki Żuberek, Sandry Zaleskiej, Krystyny Fałdy i Krzysztofa Niwińskiego. W każdej edycji gościliśmy ponad dziesięć zespołów teatralnych, skupiających uczniów warszawskich liceów, a widownia liczyła zwykle ok. 400 widzów.

W ciągu pięciu edycji festiwalu co roku brało udział ok. 120 uczniów skupionych w sześciu sekcjach:

I edycja festiwalu. Na zdjęciu Malwina Nowosielska i Paulina Wiśniewska, 2013 r.
Archiwum szkoły

- technicznej, zajmującej się wypożyczeniem i obsługą sprzętu nagłaśniającego i oświetleniowego, sekcja ta uczestniczyła także w montowaniu profesjonalnej sceny,
- dekoratorskiej, która dokonywała rzeczy niezwykłych, zamieniając salę gimnastyczną i wiodące do niej korytarze w fascynującą przestrzeń zaczarowanego lasu, świat Alicji z Krainy Czarów czy rzeczywistość lat 20 – tych ubiegłego wieku. Dekoracje miały zawsze charakter „totalny" – nie można było pośród nich odszukać żadnego fragmentu zwykłych szkolnych korytarzy czy sal,
- sekcji konferansjerów – których ambicją było stworzenie atrakcyjnego konferansjerskiego scenariusza i którzy prowadzili festiwal z wdziękiem, swadą i niemałym talentem aktorskim,
- koordynacyjnej, która sprawnie zajmowała się przybyłymi na festiwal zespołami teatralnymi, czuwając nad płynnością pojawiania się na festiwalowej scenie kolejnych grup,
- promocyjnej, zajmującej się rozpropagowaniem festiwalu w warszawskich szkołach i w dzielnicy – co roku powstawały piękne projekty graficzne plakatów i ulotek rozdawanych wśród uczniów bielańskich szkół,
- sekcji prowadzącej festiwalową kawiarenkę, oferującą pyszności, które wzmacniały siły naszych wiernych widzów,
- sekcji porządkowej, która sprzątała dekoracje i porządkowała sale, żeby w poniedziałkowy poranek bez przeszkód mogły się odbywać lekcje,
- sekcji bezpieczeństwa, zapewniającej bezproblemowy przebieg festiwalu.

Uczniowie wybierali spośród siebie dwie osoby – „szefów festiwalu" – które pełniły rolę koordynującą prace wszystkich sekcji.

Festiwal był wydarzeniem dwudniowym – rozpoczynał się w piątkowe popołudnie i trwał do późnych godzin wieczornych, a kolejny dzień, sobota, po kilkugodzinnych zmaganiach konkursowych kończył się wieczornym ogłoszeniem zwycięzców.

FAN został doceniony i wsparty dwukrotnym dofinansowaniem ze strony Biura Edukacji Miasta Stołecznego Warszawy w ramach projektu WIE (Warszaw-

skie Inicjatywy Kulturalne). Wśród naszych patronów znalazły się także stołeczne teatry i instytucje kultury.

Jury festiwalu, w skład którego oprócz Dyrektora XXII LO, pana Zbigniewa Ślęzakowskiego i nauczycieli naszej szkoły wchodzili także aktorzy, reżyserzy i animatorzy kultury, przyznawało nagrody w kilku kategoriach: Grand Prix dla najlepszego spektaklu, nagroda za najlepszą reżyserię, scenariusz, najlepszą pierwszoplanową rolę żeńską i męską oraz najlepszą drugoplanową rolę żeńską i męską.

Festiwal Artystów Nieobliczalnych był wydarzeniem nie tylko artystycznym, stanowił również znakomitą okazję rozwijania u uczniów umiejętności współdziałania w zespole, a także brania odpowiedzialności za podejmowane decyzje. Z pewnością przyczynił się także do głębszej identyfikacji uczniów ze szkołą, którą, jak sami twierdzili, traktowali po tym doświadczeniu jako bardziej „własną". W czasie przygotowań do FAN-u obserwowaliśmy niezwykły entuzjazm, kreatywność i pełną zaangażowania pracę młodych ludzi, których wizja stała się rzeczywistością.

Pięć lat (2013–2017) trwania FAN-u to była niezwykła przygoda i doświadczenie dla uczniów, nauczycieli i wychowawców.

Opiekunowie *Festiwalu Artystów Nieobliczalnych*:

Aneta Chodowiec, polonistka – I–IV edycja w latach 2013–2016

Krzysztof Niwiński, historyk – V edycja w roku 2017

Aneta Chodowiec, nauczycielka języka polskiego

Przygotowania do festiwalu

Archiwum szkoły

Mateusz Onopiuk – absolwent z 2019 r.

Student Wydziału Lekarskiego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego

JoséSong zaczęło się tak....

Jako absolwent XXII Liceum Ogólnokształcącego im. José Martí mam z tą szkołą wiele wspomnień zarówno tych przyjemnych, jak i tych trochę mniej sympatycznych, jednak jedno z nich zajmuje w mojej pamięci szczególne miejsce. Jest nim Konkurs Piosenki Obcojęzycznej *JoséSong*. Konkurs został zainicjowany 5 lat temu przez nauczycieli naszego liceum: Karolinę Rudzik, Sandrę Zaleską, Davida Vargasa Vargasa oraz Ewę Afteni-Zdrzalik. Początkowy skład z upływem lat zmieniał się i aktualnie za organizację odpowiedzialni są: Karolina Rudzik, David Vargas Vargas, Joanna Kura, Monika Olizarowicz-Strygner i Anna Szewczyk. Moja przygoda z konkursem rozpoczęła się 4 lata temu. Będąc w 1 klasie, zdecydowałem się pomóc w organizacji, z jednej strony zachęcony przez moją ówczesną nauczycielkę chemii, Katarzynę Ferszt, (wtedy jeszcze jedną z organizatorek), z drugiej strony, jak na zwykłego ucznia przystało, szukając łatwej wymówki, by nie pójść na lekcję...

Plakat autorstwa Aleksandry Piekarskiej, uczennicy kl. 2E

Prosty pomysł, genialne wykonanie

W kwestii samego pomysłu i wykonania, najlepszym słowem opisującym *JoséSong* jest – geniusz! Mogłoby się wydawać, że ten szkolny konkurs piosenki nie będzie się wyróżniać

Mateusz Onopiuk i pani Katarzyna Ferszt, 2017 r.
Archiwum szkoły

spośród innych szkolnych konkursów piosenki jakich w Warszawie wiele. *JoséSong* jest jednak konkursem wyjątkowym. To, co moim zdaniem, jest w nim niezwykłe to to, że nie ma ściśle narzuconych reguł, co uczestnik może zaprezentować. Młodzi artyści sami mogli wybierać repertuar i co najważniejsze – język w jakim chcą zaśpiewać, to niezwykłe usłyszeć podczas jednego wieczoru tak wiele pięknych utworów z różnych części świata. Słuchając występów artystów, można było myślami wybrać się w kulturową wycieczkę do innych krajów. To właśnie wyróżniało JoséSong na tle innych konkursów. Moje słowa zdaje się potwierdzać fakt, iż konkurs otrzymał wyróżnienie Warszawskiego Programu Edukacji Kulturalnej 2019.

Konkurs składał się z dwóch głównych części: przesłuchań i gali. Podczas pierwszej – uczestnicy prezentowali swoje utwory przed jurorami, którzy

Gala rozdania nagród Warszawskiej Nagrody Edukacji Kulturalnej, od lewej: Piotr Chęciński (2A), pan David Vargas Vargas, pani Karolina Rudzik, pani Anna Szewczyk, pan Zbigniew Ślęzakowski, pani Joanna Kura, pani Sandra Zaleska, pani Monika Olizarowicz-Strygner, Łukasz Dziaduszek (absolwent z 2017 r.)
Autor zdjęcia: Franciszek Zakrzewski, kl. 2A

następnie przyznawali punkty. Druga część – gala była dostępna już tylko dla wybranych, o tym bowiem, kto na niej wystąpi, decydowali jurorzy.

Jeden za wszystkich wszyscy za jednego!

O sukcesie *JoséSong* zdecydowała jeszcze jedna istotna kwestia – ludzie, którzy go organizowali i przygotowywali – nauczyciele i uczniowie. Konkurs *JoséSong* można porównać do ludzkiego ciała czy samochodu, gdzie aby całość działała, funkcjonować musi każda najmniejsza część. Organizacja całego wydarzenia pochłaniała człowieka bez reszty. Bardzo dobrze pamiętam swój pierwszy udział, bardzo szybko zaangażowałem się w powierzone mi zadania. Nie chciałem nikogo zawieść. Najpiękniejsze było uczucie, iż chociaż na czas trwania wydarzenia było się nie tylko uczniem, ale kimś, kto był potrzebny, kimś, w czyich rękach, między innymi, leżało tak wielkie przedsięwzięcie, jakim był *JoséSong*. Samo noszenie plakietki organizatora, pamiętam że sprawiało mi pewną formę radości. Pamiętam, że po pierwszej edycji, w której brałem udział,

Jury V edycji, a wśród nich absolwenci: Maciej Stolarczyk (piąty od lewej), pani Ewa Afteni-Zdrzalik (siódma od lewej), Mikołaj Szymczyk (trzeci od prawej), 2019 r.

Autor zdjęcia: Franciszek Zakrzewski

już nie mogłem doczekać się kolejnej, chciałem znów pomagać, robić jeszcze więcej, spędzać czas w przemiłej atmosferze. Bo *JoséSong*, poza obowiązkami, było pewną formą przygody, w której nie było się samym, ale wśród innych, wśród ludzi, którzy tworzyli niesamowitą atmosferę. Był czas na obowiązki i czas, żeby się pośmiać czy pożartować. Nie zawsze było łatwo. Były problemy: zaginiony uczestnik, brak podkładu, pamiętam – raz musiałem jechać taksówką do szkoły po główną statuetkę na kilkanaście minut przed jej wręczeniem na scenie. To tylko część przeciwności losu, z jakimi musieliśmy się mierzyć, jednak zawsze nam się udawało. Udawało się dzięki ludziom, którzy zawsze byli otwarci, uśmiechnięci i gotowi do pomocy i pracy w zespole.

Co dalej?

Konkurs Piosenki Obcojęzycznej *JoséSong* ciągle się rozwija. Świadczyć o tym może choćby fakt, że zeszłoroczna (2019) była pierwszą ogólnopolską edycją konkursu. Uczestnicy biorący udział i przyjeżdżający do Warszawy pochodzili z najróżniejszych zakątków Polski. Wydarzenie „idzie" w bardzo dobrą stronę, zyskuje coraz większy rozgłos i większą popularność. Nie można nie wspomnieć o tym, że konkurs przyciąga także różnego rodzaju łowców talentów, szukających na scenie przyszłych światowych gwiazd. Coraz większa popularność to jednak szereg nowych wyzwań dla samych organizatorów. Zwiększający się prestiż samego konkursu to także rosnące oczekiwania samych uczestników, którzy będą chcieli być traktowani tak, jak na tak duży event przystało. Sądzę jednak, że dla *JoséSong* nie ma barier nie do przejścia, bo tworzą go ludzie z prawdziwą motywacją, chęcią do działania i przede wszystkim są to ludzie, dla których to wydarzenie to coś więcej niż tylko zwykły konkurs. To ludzie, którzy wkładają w swoje działania na rzecz festiwalu całe serce. Sam nie potrafię się rozstać z *JoséSong*, ostatnią edycję obejrzałem, niestety, tylko jako widz. Najchętniej znów rzuciłbym się w sam środek przygotowań i poczuł to wszystko jeszcze raz. Osobiście uważam, że Konkurs Piosenki Obcojęzycznej *JoséSong* to najlepsze, co można znaleźć w liceum im. José Martí. Jest jego esencją. Nawet teraz, kiedy opisuję te wydarzenia, uśmiech nie znika mi z twarzy.

Grupa teatralna MARTILO

Pierwszy skład grupy teatralnej to 21 osób (uczennice i uczniowie z 1A, 1D, 1E, 1H, 2B, 2H, 3A, 3C, 3E oraz z 0H. Grupa przygotowała spektakl na podstawie tekstu Pawła Lisickiego pt. *Próba*, w reżyserii polonistki p. Małgorzaty Łangowskiej. Miał on premierę 20 kwietnia 2011 r. w Teatrze Kamienica. Kolejne przedstawienie odbyło się w Bielańskim Centrum Edukacji Kulturalnej, 14 czerwca. Oba spektakle odebrane zostały z wielkim uznaniem. Kilka dni przed przedstawieniem, 18 kwietnia, na stronach działu kultury w Rzeczpospolitej ukazał się tekst zapowiadający premierę Próby w Teatrze Kamienica. W tekście jest wywiad z dyrektorem teatru, Emilianem Kamińskim, oraz wypowiedź opiekunki grupy. Spektakl był również promowany na stronie internetowej Teatru Kamienica.

Kolejny spektakl grupa teatralna MARTILO wystawiała na prestiżowym Konkursie Teatralnym TFAŻ (*Teatralny Festiwal Amatorski Żmichowska*) 23 marca 2012 r. w XV LO im. N. Żmichowskiej. Spektakl nosił tytuł *Mąż zmarł, ale już mu lepiej* i przygotowany został na podstawie scenariusza p. Izabeli Degórskiej. Reżyserem była pani Małgorzata Łangowska. W składzie grupy znalazło się, jak poprzednio, 21. uczniów szkoły. Na Festiwalu Teatralnym TFAŻ grupa MARTILO otrzymała wyróżnienie. 30 marca 2012 r. grupa wystawiła ten spektakl na SOFIE (*Scenicznym Otwartym Festiwalu Artystycznym*) w LXIV LO im. St. Witkiewicza. 17 kwietnia 2012 r. odbyło się uroczyste spotkanie pracowników urzędu gminy Bielany oraz pracowników XXII LO i zaproszonych gości, dla których grupa MARTILO wystawiła ten właśnie spektakl w Bielańskim Centrum Edukacji Kulturalnej, przy ul. Szegedyńskiej 9a.

W 2013 roku 12 i 13 kwietnia w XXII LO odbyła się I edycja festiwalu teatralnego – *Festiwal Artystów Nieobliczalnych* (FAN). W konkursie teatralnym wzięła udział grupa teatralna MARTILO. Grupa wystawiła spektakl *Odlot,* w reżyserii pani Małgorzaty Łangowskiej. W grupie aktorów było 7. uczniów z klas 1H, 2C, 2E oraz 3E. Jury festiwalu przyznało wyróżnienia aktorskie dwóm uczennicom naszej szkoły: za rolę Magdy (uczennicy klasy 2E) oraz za rolę Babci (uczennica 3E)

w tej sztuce. Ponadto spektakl wystawiany był w BCEK (14 maja) oraz w Młodzieżowym Domu Kultury im. Marii Gwizdak (24 maja). Na *Festiwalu Osiągnięć Bielańskich Placówek Oświatowych* grupa otrzymała za nie wyróżnienie (19 czerwca).

W 2014 roku grupa wystawiła dwa spektakle: *Odlot* oraz *Kochanie, rozwód!.* Oba w reżyserii pani Małgorzaty Łangowskiej.

Odlot został wystawiony dwukrotnie. Po raz pierwszy na *Teatralnym Festiwalu Amatorskim Żmichowska FAŻ'2014* (29 marca). W składzie grupy byli uczniowie klas: 1C, 2B, 3E (5 osób) oraz absolwent naszej szkoły. Po raz drugi został pokazany na *Scenicznym Otwartym Festiwalu Artystycznym SOFA'2014* (4 maja). Grupa zdobyła II miejsce na tym festiwalu.

Również spektakl pt. *Kochanie, rozwód!* został wystawiony dwukrotnie w 2014 roku. Pierwszy raz – podczas *Festiwalu Artystów Nieobliczalnych* FAN (11 kwietnia). W XXII LO miała wtedy miejsce II edycja tego festiwalu. Jury festiwalu przyznało wyróżnienie autorowi scenariusza do przedstawienia *Kochanie, rozwód,* który również grał w przedstawieniu. Grupa otrzymała także nagrodę

Przedstawienie *Jaskinia filozofów*, 2015 r.
Archiwum szkoły

publiczności za to przedstawienie. Grupa liczyła 10 osób i byli to uczniowie z początkowych klas licealnych, bo 0H, 1B, 1C, 1E oraz 2H, 3E.

Drugi raz – podczas Przeglądu *Teatralia 2014* (26 kwietnia) w Bielańskim Ośrodku Kultury przy ul. Goldoniego.

W 2015 r. grupa MARTILO przygotowała spektakl na podstawie dramatu Zbigniewa Herberta *Jaskinia filozofów,* w reżyserii absolwentki liceum. Grupa wzięła udział w: *Teatralnym Festiwalu Amatorskim Żmichowska TFAŻ'2015* (26 marca), *Scenicznym Otwartym Festiwalu Artystycznym SOFA'2015* (27 marca) oraz *Festiwalu Artystów Nieobliczalnych* FAN (18 kwietnia). W XXII LO odbyła się wtedy III edycja festiwalu teatralnego. Grupa otrzymała na FAN-ie nagrodę publiczności. W obsadzie spektaklu obok uczniów z José (klasy: 1E, 2A, 3B) znaleźli się uczniowie z LO im. M. Reja oraz absolwenci XXII LO.

W 2016 roku grupa teatralna MARTILO przygotowała spektakl pt. *Kubański sen.* Wystawiony został w Dniu Patrona liceum – 28 stycznia. Autorką scenariusza i reżyserką była pani Małgorzata Łangowska. Wystawiony został on również podczas konkursu na *Festiwalu Artystów Nieobliczalnych* (15 kwietnia). Razem z grupą w konkursie wziął udział zespół *JoséGlee*, którego opiekunem jest pan David Vargas. W składzie grupy znaleźli się uczniowie z klas: 1D, 1E, 2E.

Małgorzata Łangowska – nauczyciel języka polskiego i religii w latach 2004–2016

Konkurs Języka Polskiego (w tym finałowe Dyktando)

Jestem anglistą i zanim pojawił się pomysł na konkurs wiedzy o polszczyźnie, prowadziłem w szkole warsztaty tłumaczeniowe, na których dzieliłem się swoim doświadczeniem tłumacza i podkreślałem wagę znajomości języka przekładu, a więc języka polskiego. Te zajęcia, jak i lekcje języka angielskiego, uświadomiły mi, że znajomość języka ojczystego wśród uczniów naszej szkoły nie jest doskonała.

Organizatorzy wraz z laureatami
Archiwum szkoły

Ukończyłem Podyplomowe Studium Wiedzy o Polszczyźnie na UW, gdzie spotkałem bardzo ciekawych wykładowców z Instytutu Polonistyki, Dziennikarstwa i innych, którzy dodatkowo pobudzili moją ciekawość językową. We mnie jako w nauczycielu liceum zaczęła rosnąć potrzeba zorganizowania wydarzenia, które zachęci uczniów do rozwijania wiedzy z zakresu języka ojczystego.

W tym czasie pojawiały się rozmaite inicjatywy typu „Ojczysty – dodaj do ulubionych", które utwierdzały mnie w przekonaniu, że podobne działania mają sens, nie tylko z naszej perspektywy. Naszej, to znaczy mojej i koleżanek polonistek, które podchwyciły pomysł i zgodziły się go współtworzyć, a właściwie zmobilizowały mnie do tego, aby podjąć wspólne kroki i przechodząc od słów do czynów zorganizować pierwszy etap w roku 2010. Były to, kolejno: Aneta Chodowiec, Agnieszka Kucharczyk i Anna Suska-Rydz.

Punktem wyjścia był pomysł prosty i bynajmniej nie nowy, to znaczy dyktando. Tutaj wzorem dla nas była tragicznie zmarła w 2010 r. pani Krystyna Bochenek, inicjatorka i wieloletnia organizatorka oraz dobry duch Ogólnopolskiego Konkursu Ortograficznego *Dyktando*, organizowanego w Katowicach.

Razem z koleżankami udało się nam wypracować formułę konkursu dwuetapowego. W etapie pierwszym uczestniczą uczniowie klas pierwszych i drugich (ok. 360 osób). Najlepsi z nich zostają zakwalifikowani do finałowego dyktanda, w którym co roku bierze udział ok. trzydzieścioro uczniów.

Podobnie dwuetapowo wyglądają nasze coroczne spotkania, kiedy jesienią, mniej więcej miesiąc, dwa po rozpoczęciu roku szkolnego, siadamy wspólnie i najpierw wybieramy ćwiczenia do części I konkursu, a następnie wspólnie tworzymy tekst dyktanda. Proces można opisać jako wypadkową burzy mózgów i strumienia świadomości. Na gorąco tworzymy tekst, zadawszy sobie wcześniej lejtmotyw, po czym wspólnie składamy kolejne zdania, ja często jestem „protokolantem". Gotowy tekst szlifujemy, komplikujemy ortograficznie, by nie był zbyt łatwy, wymyślamy tytuł i gotowe.

Staramy się, aby finał odbywał się w okolicach 21 lutego, kiedy to przypada, ustanowiony przez UNESCO, Międzynarodowy Dzień Języka Ojczystego.

W ten sposób udało się dotychczas przygotować dziesięć edycji konkursu. W roku szkolnym 2018/2019 współpracowaliśmy z WCIESem i Stowarzyszeniem Warszawskich Nauczycieli Polonistów w ramach konkursu *Ortografia na medal*. Kilkakrotnie tekst dyktanda nagrał dla nas lektor Maciej Orłowski. Poza finałem konkursu dla uczniów, co roku do wspólnej zabawy zapraszamy również kolegów-nauczycieli, których reprezentacja jest grupą silną, lecz nieliczną, ale nie poddajemy się, w końcu przykład idzie z góry, a na przykładzie, nie tylko ze strony rówieśników, ale i nauczycieli, zależy nam najbardziej.

Dzięki uprzejmości Rady Rodziców, najlepszych uczniów możemy co roku symbolicznie nagradzać.

Na tegoroczny jesienny jubileusz XXII LO, planujemy wydanie zbiorku tekstów naszej twórczości, z niespodziankami, ale na razie cicho sza!

Krzysztof Rogucki, absolwent z 1998 r., nauczyciel języka angielskiego

JoséGlee

Od kiedy pamiętam, zawsze lubiłem perkusję. Była moją pasją. Żałuję, że zacząłem grać tak późno, dopiero na studiach, ale w moim domu nie było odpowiedniego pomieszczenia na perkusję. Odkrycie starej perkusji (albo jej pozostałości) w zapomnianym pomieszczeniu liceum było dla mnie ogromnym zaskoczeniem i radością. Dzięki pomocy szkoły dokupiłem brakujące części i wkrótce perkusja była już gotowa, aby na niej grać. Jeszcze musiałem tylko trochę poćwiczyć. Lata bez grania, wiadomo, pozostawiły swoje ślady. Potem należało znaleźć zespół. To było łatwe, bo w José utalentowanych uczniów jest pod dostatkiem! (nie bez powodu jesteśmy szkołą talentów!) Takie były początki *JoséGlee*. A skąd ta nazwa? Ze znanego amerykańskiego serialu *Glee*, w którym grupa uzdolnionych muzycznie uczniów gra i śpiewa c*overy* najsłynniejszych na świecie piosenek. I tak jest właśnie w José! *JoséGlee* to zespół złożony z uzdolnionych uczniów naszej szkoły grających na gitarze, basie, pianinie, bębnach,

a nawet skrzypcach czy na trąbce. Obok uzdolnionych muzycznie uczniów, mamy w zespole niezwykłe talenty wokalne. Zespół *JoséGlee* to świetna zabawa dla uczniów i okazja do rozwijania muzycznej pasji.

Gramy podczas różnych uroczystości szkolnych, takich jak: Dzień Patrona, Dzień Sekcji Dwujęzycznej, zakończenie roku szkolnego, jasełka oraz w szkole i poza nią, podczas *JoséSong* – ogólnopolski konkurs wokalno-muzyczny, czy *Festiwalu Osiągnięć Bielańskich Placówek Oświatowych* w Bielańskim Centrum Edukacji Kulturalnej. Chociaż skład *JoséGlee* zmienia się, co roku pojawiają się nowi utalentowani członkowie, a duch pozostaje taki sam.

Zespół, dzięki uprzejmości dyrekcji, posiada salę do prób oraz uzyskał, za co jesteśmy ogromnie wdzięczni, dofinansowanie z Rady Rodziców.

David Vargas Vargas, nauczyciel języka hiszpańskiego,
opiekun zespołu muzycznego *JoséGlee*

Zdjęcia: archiwum szkoły

Hiszpański

Maria „Chucky" Krośkiewicz – absolwentka z 2018 r.

Studentka II roku Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistyczno-społecznych, z minimum programowym Lingwistyka Stosowana (język rosyjski z językiem czeskim) na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu

Gdy pisałam egzaminy gimnazjalne i stanęłam przed wyborem liceum, nie wiedziałam jeszcze, co mnie interesuje. Byłam onieśmielona ogromnym wyborem spośród wielu interesujących warszawskich szkół i postanowiłam skupić się na liceach oferujących klasy z rozszerzonym programem języków obcych. Wybrałam się na kilka dni otwartych, jednak już po pierwszym spotkaniu – z kadrą pedagogiczną José Martí – wiedziałam, w której szkole będę się uczyć. Spotkanie dla wszystkich gimnazjalistów prowadził dyrektor Ślęzakowski, natomiast ja z niecierpliwością wyczekiwałam na zebranie dla chętnych do sekcji dwujęzycznej. Nauczyciele rzeczowo wyjaśnili zasady nauki w sekcji, zaprezentowali nam cele i wymagania, a także zachęcili nas perspektywami rozwoju: teatrem, olimpiadami, projektami edukacyjnymi i możliwością napisania matury dwujęzycznej. Po spotkaniu informacyjnym byłam przygotowana na ciężką pracę, jednak nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, że sposób nauczania języka obcego w José Martí ułatwi mi rekrutację na studia, a następnie da przewagę nad innymi studentami.

Jako reprezentantka ostatniego rocznika, który miał możliwość nauki w trybie czteroletnim uważam, że formuła ta była wyjątkowa na wielu płaszczyznach. Jako klasa byliśmy silnie zintegrowani, mając przed sobą perspektywę wspólnie spędzonych czterech lat naszego życia. Nauki było tak dużo, że bez wzajemnej pomocy po prostu nie dalibyśmy sobie rady. Wspieraliśmy się

w kontekście naukowym przez całe liceum i wspieramy się do dziś, studiując różne kierunki w różnych miastach. W pierwszej klasie miałam aż 19 godzin języka hiszpańskiego tygodniowo, przedmiot ten był podzielony na cztery bloki, w których realizowałam różne zagadnienia z zakresu językowego. W kolejnych latach ten podział został zachowany, choć w zmniejszonej liczbie godzin. Dzięki temu nauka była usystematyzowana, nie miałam poczucia chaosu wynikającego z tak dużej ilości materiału, a gdy nie rozumiałam jakiegoś zagadnienia, zawsze mogłam liczyć na pomoc kilku innych nauczycieli. Na studiach okazało się, że kierunki lingwistyczne i filologiczne działają na takich samych zasadach, dzięki czemu nie przeżyłam szoku związanego ze zmianą trybu pracy i od października mogłam zacząć prawdziwą naukę. Po gimnazjum wielu moich rówieśników nie rozumiało, dlaczego zdecydowałam się na dodatkowy rok w liceum, jednak po latach każdy z nich stwierdził, że to był dobry wybór. Czteroletnia klasa dwujęzyczna to nie tylko możliwość nauczenia się języka hiszpańskiego do poziomu C1. Cztery lata w liceum to też bardzo ważny, dodatkowy rok na przemyślenie dalszych etapów edukacji. Więc, gdy znajomi z mojego rocznika rekrutowali się na studia, które nawet ich nie interesowały, ja mogłam bez pośpiechu planować swoją przyszłość. Co więcej, poczucie odrębności sekcji od reszty uczniów sprzyjało integracji wszystkich jej członków, niezależnie od wieku. Dzięki temu mogłam korzystać z doświadczenia starszych roczników na przykład przy wyborze kierunku studiów.

Każdy nauczyciel odpowiedzialny za swój blok języka hiszpańskiego nauczył mnie czegoś innego, nie tylko językowo, ale też życiowo. To, jak bardzo się między sobą różnili, pokazało mi, jak różnorodny może być świat i jakie jest to fascynujące. Pan Waldemar Kiendziński udowodnił, że język może kształtować rzeczywistość, zapoznał mnie z zasadami ekonomii językowej i sprawił, że zaczęłam myśleć o świecie inaczej niż dotychczas. Nawet jeśli miało to znaczyć refleksje nad sensem istnienia parapetów w Hiszpanii czy nad powodem zakazu wyrzucania chusteczek do kosza. Pomimo jego, na pozór szorstkiego, usposobienia dawał uczniom odczuć, że jest z nas dumny i na swój własny sposób zachęcał nas do dodatkowej pracy. Pan David Vargas zachwycił mnie swoimi opowieściami o realiach życia w Meksyku i nieustannie urozmaicał zajęcia ak-

tywnościami, dzięki którym przełamałam barierę językową. Jego łagodny, choć bardzo latynoski sposób pracy sprawiał, że zajęcia były w gruncie rzeczy przyjemnością. Dodatkowo jego listy słówek na każdy możliwy temat zapadały w pamięć do tego stopnia, że po kilku latach wciąż pamiętam dwie hiszpańskie nazwy na języczek gardłowy. Do kadry zaliczali się również nauczyciele hiszpańscy, którzy uczyli literatury, historii i geografii. Było to moje pierwsze zetknięcie się z osobą mówiącą wyłącznie po hiszpańsku, dzięki czemu już od zerówki oswajałam się z komunikacją w języku obcym, a nauka fonetyki i intonacji była dla mnie wyjątkowo prosta. Pani Monika Zwierzyńska-Pióro była moją wychowawczynią oraz koordynatorką sekcji. To dzięki niej nauka w sekcji wyglądała właśnie w ten sposób: były to działania świetnie zorganizowane i pracochłonne, ale nie wycieńczające. Pani Monika również prowadziła zajęcia z języka hiszpańskiego, dzięki niej gramatyka hiszpańska nigdy nie była dla mnie problemem, a nauka słownictwa na studiach już od pierwszych dni była dla mnie tak naturalna jak chodzenie. Jej surowość od pierwszych dni trzymała klasę w ryzach, natomiast wrażliwość i chęć pomocy sprawiała, że każdy z nas czuł wsparcie nie tylko jeśli chodziło o problemy szkolne.

Z liceum, oprócz wsparcia, którego nie czułam w takim stopniu na żadnym innym etapie edukacji, pamiętam również wiele aktywności, dzięki którym mogłam sprawdzić swoją wiedzę. Oprócz udziału w olimpiadzie języka hiszpańskiego, miałam możliwość sprawdzenia się w konkursie tłumaczeniowym *Juvenes Translatores* oraz w Mazowieckiej Olimpiadzie Poliglotów, które to konkursy pamiętam najlepiej. *Juvenes Translatores* było bowiem moim pierwszym spotkaniem z tłumaczeniem dłuższego tekstu literackiego, natomiast w klasie maturalnej zajęłam drugie miejsce na Olimpiadzie Poliglotów, dzięki czemu wraz z koleżanką z klasy (która zajęła pierwsze miejsce) mogłyśmy pojechać na wspólne wakacje.

Sekcja dwujęzyczna oferowała również inne dodatkowe aktywności, dzięki którym mogłam rozwijać się w różnych kierunkach. Teatr hiszpańskojęzyczny, który powołała do życia Pani Monika, stał się miejscem, w którym poznałam wspaniałych przyjaciół i nauczyłam się współpracować w grupie. Ilość pracy włożona w organizację przedstawień, naukę tekstu i oswojenie tremy dała

Maria Krośkiewicz jako aktorka teatru w języku hiszpańskim

Archiwum prywatne

rezultaty, które widzę teraz. Umiejętność występowania na scenie i panowania nad swoim ciałem przydały mi się nie tylko na konkretnych przedmiotach z mojego kierunku, ale pomogły mi również między innymi podczas mojego debiutu na konferencji naukowej. Umiejętność pracy zespołowej dała swoje efekty w pracy czy na praktykach. Natomiast wszystkie próby, wyjazdy na festiwale i wspólnie spędzony czas to wspaniałe wspomnienia, do których dostęp mieli tylko członkowie grupy teatralnej.

Trudno nie napisać też kilku zdań na temat wydarzeń organizowanych w szkole przez sekcję. Dzień Patrona i Meksykański Dzień Wszystkich Świętych były świetną okazją do poznania biografii i dzieł José Martí czy kultury meksykańskiej. Dekoracje, muzyka, stoiska z tradycyjnymi meksykańskimi potrawami oraz wizyty zagranicznych gości pozwalały oderwać się na jeden dzień od codziennych obowiązków ucznia i pokazały mi, jak wiele pracy należy włożyć w organizację takich wydarzeń. Jestem pewna, że tak duże i profesjonalnie przygotowane święta szkoły są w Warszawie wyjątkami, które w świetny sposób urozmaicą naukę w liceum i na stałe wpisały się w kalendarium roku szkolnego.

Patrząc wstecz uważam jednak liceum za całkiem trudny okres w życiu. Ciągła niepewność dotycząca przyszłości, pierwsza praca, pierwsze „dorosłe" problemy i ogromna ilość niezwiązanych ze sobą przedmiotów: matematyki, geografii, fizyki, polskiego, historii, etc. Pomimo tych wszystkich trudności, czasy licealne wspominam wyjątkowo ciepło. Wiem, że od sekcji dwujęzycznej José Martí dostałam więcej, niż mogłam się spodziewać. Wiedza, doświadczenia na różnych płaszczyznach i wspomnienia czasów licealnych pozostaną ze mną z pewnością na wiele długich lat.

Mateusz Tymiński – absolwent z 2016 r.

Student I roku studiów magisterskich, Skandynawistyka, Uniwersytet Gdański

Mateusz Tymiński
– aktor *Chiringuito Libre*
Archiwum prywatne

Przenoszę się w czasie do roku 2012. To właśnie wtedy przyniesiono nam, członkom zerowej klasy sekcji dwujęzycznej, na tacy szereg możliwości, z których można było skorzystać. Cel był jeden: jak najlepiej rozwinąć swoje umiejętności językowe i poznać kulturę krajów hiszpańskojęzycznych. Tylko najwytrwalszym i najbardziej zainteresowanym udało się osiągnąć ten cel. Najważniejsze jednak było samo dążenie do niego i wspaniałe doświadczenia doświadczane przez nas w trakcie.

Część z nich doceniłem dopiero w latach studenckich. Okazało się, że metodyka nauczania, szczególnie profesor Moniki Zwierzyńskiej-Pióro, dała bezcenne efekty przy studiowaniu innego języka. Uciążliwe (wtedy) wypisywanie każdego słówka z artykułów i szukanie kontekstów stanowi najlepszy sposób poznawania języka dla kierunków neofilologicznych, i sukcesu w nauce. Nikt spoza sekcji jej nie posiadał. To właśnie sekcja dała mi przewagę w byciu systematycznym, czujnym na niuanse i pracowitym. Bez tej ostatniej cechy przygoda w tej klasie kończyła się bardzo szybko.

Język to jednak nie tylko słownictwo i gramatyka. To w dużej mierze kultura danej zbiorowości. Dopiero jej zrozumienie pozwala na dobre władanie

językiem obcym. Mieliśmy świetnych przewodników od pana José Sardaña Polo, pana Rubéna Cristóbala Hornillosa (nauczycieli literatury i kultury Hiszpanii), po pana Davida Vargasa Vargasa, pochodzącego z Meksyku. Dzięki nim żmudna nauka do Olimpiady Języka Hiszpańskiego stawała się przyjemnością. Mimo obszernego zakresu materiału i wielu godzin spędzonych poza szkołą, wielu z nas zostało finalistami i laureatami olimpiady, czego nigdy Wam nie zapomnimy! Sam wyjazd na 3. etap i emocje temu towarzyszące całej otoczce, to coś, co pamięta się całe życie…

Najcieplej wspominam grupę teatralną (wraz z prowadzącą, wymienioną przy żmudnym wypisywaniu słownictwa), próby do spektakli i wreszcie udział w Konkursach Teatrów Szkolnych w Języku Hiszpańskim. *Chiringuito Libre* to nie tylko ciężka praca, wiele godzin prób i nieustanne ćwiczenie swojego akcentu, ale przede wszystkim wspaniała atmosfera wzajemnej pomocy i przyjaźnie trwające wiele lat po zakończeniu szkoły. Dzięki prof. Zwierzyńskiej-Pióro mieliśmy też szansę wielokrotnie występować na scenie Stołecznego Centrum Edukacji Kulturalnej na Starym Mieście w Warszawie, a takich doświadczeń nie chce i po prostu nie da się zapomnieć.

Nastał rok 2020. Po 4 latach od zakończenia mogę śmiało stwierdzić, że „zerówka" była *najlepszym* i najintensywniejszym rokiem mojego życia. Przecież sekcja dwujęzyczna to nie tylko hiszpański, ale też ludzie, którzy ją tworzą. Ich nieoceniona pomoc (nie tylko naukowa) ma stałe miejsce w moim sercu. Dlatego tak bardzo lubię tam wracać.

Chiringuito Libre, czyli teatr w języku hiszpańskim

Zespół powstał w 2007 roku przy Sekcji Dwujęzycznej w XXII LO, co roku skład grupy się zmienia. Dwukrotnie otrzymaliśmy I nagrodę na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Szkolnych w języku hiszpańskim (2008, 2018), trzykrotnie II nagrodę (2009, 2010, 2019), dwukrotnie nagrodę dla zespołu najlepiej

władającego językiem hiszpańskim, kilka nagród aktorskich i innych wyróżnień. Były to na przykład:

– wyróżnienie na Ogólnopolskim Festiwalu Sztuk Teatralnych Brombolandia ze sztuką Sławomira Mrożka *Męczeństwo Piotra Ohey'a* w tłumaczeniu na język hiszpański pani Moniki Zwierzyńskiej-Pióro (nauczycielki języka hiszpańskiego, założycielki i opiekunki zespołu);

– występ w Pradze Czeskiej w teatrze prowadzonym przez Davida Llorente, autora sztuki, którą wystawialiśmy w 2011 r. *El manicomio*.

Monika Zwierzyńska-Pióro

Aktorzy, 2020 r.
Archiwum szkoły

Konkurs Recytatorski

Nasza szkoła organizowała Bielański Konkurs Recytatorski *Języki obce nie są nam obce-obrazki z życia wzięte*. Celem konkursu było: rozwijanie zdolności recytatorskich uczniów, wspieranie uzdolnień i pomoc w rozwijaniu zainteresowań, upowszechnianie kultury żywego słowa, popularyzacja literatury powszechnej oraz języków obcych, współpraca między szkołami na terenie Bielan. W zmaganiach uczestniczyli uczniowie gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych. Prezentowali teksty poetyckie i prozą w językach: angielskim, hiszpańskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim, włoskim. Odbyło się V edycji konkursu. Fundatorem nagród był Ratusz Bielański. Podczas rozdania nagród dla zwycięzców obecny był Burmistrz dzielnicy Bielany.

Monika Zwierzyńska-Pióro

Magdalena Zawadzka odbiera wyróżnienie z rąk Burmistrza Dzielnicy Bielany – Rafała Miastowskiego

Archiwum szkoły

Konkurs Juvenes Translatores

Dyrekcja Generalna ds. Tłumaczeń Pisemnych Komisji Europejskiej organizuje konkurs tłumaczeniowy dla szkół na terenie Unii Europejskiej – *Juvenes Translatores*. Odbyło się trzynaście edycji. Nasze liceum wzięło w nim udział 6 razy, tj. od roku 2013. Zdobyliśmy cztery wyróżnienia i raz pierwsze miejsce.

Aby wziąć udział w konkursie, szkoła musiała się zarejestrować na stronie Komisji Europejskiej, a następnie zostać wylosowana w losowaniu elektronicznym. Liczba szkół wylosowanych z każdego państwa jest równa liczbie posłów danego państwa członkowskiego w Parlamencie Europejskim, w przypadku Polski to 51 szkół.

Z każdej szkoły w konkursie może wziąć udział maksymalnie pięciu uczniów (+ jeden rezerwowy) wyłonionych w etapie szkolnym polegającym na tłumaczeniu tekstu z wybranego języka obcego.

W konkursie brali udział uczniowie klas hiszpańskojęzycznych, którzy tłumaczyli tekst z języka hiszpańskiego lub angielskiego na język polski.

W etapie europejskim uczniowie przetłumaczyli testy nadesłane przez DG ds. Tłumaczeń Pisemnych, mieli na to dwie godziny i mogli korzystać wyłącznie ze słowników „papierowych".

DG ds. Tłumaczeń Pisemnych ocenia tłumaczenia i wybiera po jednym najlepszym tłumaczeniu z każdego państwa członkowskiego.

W roku 2018 Krzysztof Warzocha z kl. 3H (hiszp.-pol.) został polskim laureatem konkursu, a Katarzyna Jastrzębska z tej samej klasy (ang.-pol.), jako jedna z dziewięciu polskich uczniów, otrzymała wyróżnienie.

Krzysztof był na Gali wręczenia nagród w Brukseli, gdzie przemawiał w języku polskim. Galę transmitowano przez Internet.

Monika Zwierzyńska-Pióro

Program Comenius

Nasze liceum trzykrotnie uczestniczyło w międzynarodowym programie wymiany międzynarodowej – *Comenius*. Jego celem jest spotkanie młodzieży z Europy, wzajemne poznanie, doskonalenie umiejętności językowych oraz wspólne wykonanie projektów.

W roku szkolnym 2007/2008 grupa uczniów pojechała do Aspe (Alicante), w regionie Walencja. Do Aspe pojechaliśmy w kwietniu, spędziliśmy tam dwa tygodnie. Podczas pobytu uczniowie nie tylko uczestniczyli w zajęciach razem z kolegami z Hiszpanii, ale też dużo zwiedzali, np. Muzeum Archeologiczne, Muzeum Etnograficzne (które gromadziło instrumenty muzyczne z różnych zakątków świata), jaskinie niedaleko Alicante. Byliśmy z wizytą w ratuszu miejskim w Aspe. Pojechaliśmy do Murcii i Walencji. Uczyliśmy się tańczyć flamenco. Miesiąc wcześniej młodzi Hiszpanie przyjechali do naszej

szkoły i uczestniczyli razem z nami w lekcjach. Razem byliśmy w Gdańsku i Krakowie.

Uczestniczyliśmy w projekcie także w latach 2013/2014 i 2014/2015. Uczniowie klasy 2H spotykali się z młodzieżą ze szkół w Hiszpanii, Francji, Włoch i Szwecji. W kwietniu 2014 roku gościliśmy grupy z Hiszpanii, Włoch, Szwecji i Francji. W październiku 2013 odwiedziliśmy szkołę w San Javier (Murcia) w Hiszpanii. W listopadzie 2014 pojechaliśmy do Włoch, gdzie spotkaliśmy się w Torre del Greco niedaleko Neapolu. A na zakończenie projektu, w kwietniu 2015 r. wszystkie grupy spotkały się we Francji (Costabelle w Hyeres, Marsylia), która była koordynatorem projektu.

W 2019 roku pojechaliśmy do Sewilli na prywatną wymianę ze szkołą IES Macarena. Uczniowie tej szkoły odwiedzili nas w kwietniu 2019 r.

Opracowanie i zdjęcia: Monika Zwierzyńska-Pióro, nauczycielka języka hiszpańskiego

Aktywności Sekcji Dwujęzycznej

Wyjazdy edukacyjne Sekcji Dwujęzycznej

Jako podsumowanie nauki języka hiszpańskiego w klasach pierwszych Sekcji Dwujęzycznej realizowane są krótkie (3–4 dniowe) wyjazdy edukacyjne do szkół dwujęzycznych w Czechach, na Słowacji czy na Węgrzech, objętych programem hiszpańskiego Ministerstwa Edukacji. Nasi uczniowie mogą poćwiczyć znajomość hiszpańskiego spędzając czas w towarzystwie rówieśników uczących się tego języka w Budapeszcie, Bratysławie i Bańskiej Bystrzycy.

Z kolei podsumowaniem pierwszego etapu nauki języka hiszpańskiego (osiągnięcie poziomu B1) są dłuższe (7-10 dniowe) wyjazdy do Hiszpanii. W ich trakcie realizowany jest złożony program językowy wymagający interakcji lingwistycznej z mieszkańcami kraju w każdym wieku. Odwiedzamy również hiszpańskie szkoły średnie.

Archiwum szkoły

Archiwum prywatne Marii Krośkiewicz

Archiwum prywatne Emiliana Malinowskiego

Día de Muertos* i *Pesebre

Kultura krajów hispanoamerykańskich obecna jest w naszej szkole systemowo, ale dwa razy w roku jest ona widoczna w sposób szczególny. Meksykański ołtarzyk na Dzień Zmarłych (*Día de Muertos*) oraz Latynoska Szopka Bożonarodzeniowa (*Pesebre*) to pretekst do przybliżenia tradycji krajów hiszpańskojęzycznych, również tych kulinarnych (kawiarenki) i muzycznych (radiowęzeł).

Dzień Sekcji Dwujęzycznej

To święto wszystkich uczących się hiszpańskiego w naszej szkole, w szczególności uczniów Sekcji dwujęzycznej działającej na podstawie umowy rządowej pomiędzy Polską a Hiszpanią. Występy teatralne, muzyczne, spotkania z absolwentami, goście z korpusu dyplomatycznego, degustacje itp. tworzą idealny kontekst do nauki języka, gdyż bez kultury nie ma mowy.

Biennale Murali

Co dwa lata organizowany jest konkurs na mural, którego zwycięzca ma możliwość namalowania swojego dzieła i zaprezentowania go w szkolnej

Galerii. Punktem odniesienia dla młodych twórców są dzieła wielkich, latynoamerykańskich muralistów. Wielkoformatowe prace zwycięzców systematycznie zasilają powstałą ponad 9 lat temu Galerię zdobiąc szkolne ogrodzenie i dzielnicę Bielany.

Autorki zdjęć:
Anna Nozderka i Julia Wolska

Boże Ciało w Wenezueli – warsztat masek z Yare

Sekcja dwujęzyczna współpracuje z ambasadami krajów hispanoamerykańskich w Polsce. Wspólnie organizujemy oraz bierzemy udział w prelekcjach, wystawach, koncertach i warsztatach. Jednym z najbardziej pamiętnych był warsztat tworzenia masek ludowych przygotowany przez Ambasadę Wenezueli, który trwał dwa dni i zakończył się wystawą dla korpusu dyplomatycznego zorganizowaną w rezydencji Ambasadora Wenezueli w Warszawie.

Konkurs gimnazjalny *Ameryka mówi po hiszpańsku*

W latach 2015–2019 odbyły się kolejne edycje konkursu wiedzy o krajach Ameryki Łacińskiej pod honorowym patronatem Mazowieckiego Kuratorium Oświaty, Biura Radcy ds. Edukacji Ambasady Hiszpanii, Centrum Studiów Latynoamerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego CESLA oraz kolejno, Ambasady Republiki

Kuby, Ambasady Meksykańskich Stanów Zjednoczonych, Ambasady Republiki Kolumbii i Ambasady Republiki Chile. W kolejnych edycjach uczestnicy tworzyli murale, teatralne materiały audiowizualne, blogi czy strony www poświęcone wybitnym pisarzom latynoamerykańskim (Gabrieli Mistral, Isabeli Allende czy Gabrielowi García Márquez), meksykańskim muralistom czy kulturze Kuby.

Opracowanie i zdjęcia: Waldemar Kiendziński, nauczyciel języka hiszpańskiego

Dzień Sekcji Dwujęzycznej, 2014 r.

Hiszpania, czerwiec 2010 r.

Gala wręczenia nagród konkursu *Ameryka mówi po hiszpańsku*, 2016 r.

MARGATE

Wyjazdy językowe odbywały się w XXII LO odkąd pamiętam, to znaczy odkąd wróciłem tu w roku 2000 jako nauczyciel, dwa lata po złożeniu w niej egzaminu maturalnego.

W gronie nauczycieli języka angielskiego zależało nam na umożliwieniu uczniom sprawdzenia nabywanych w szkole umiejętności w naturalnym środowisku języka angielskiego. Sekcja hiszpańska miała swoje coroczne wyjazdy, także myśleliśmy o „równouprawnieniu języków" w pewnym sensie. ;-) Jednocześnie odgórne zmiany, które wpływały na kształt egzaminu maturalnego, sprawiały, że coraz większy nacisk kładziono na komunikację. W tej sytuacji wyjazd do kraju anglojęzycznego pozwalał uczestnikowi nie tylko sprawdzić swoje umiejętności w tzw. „realu", ale także przyjrzeć się naturalnym reakcjom językowym, i chłonąć kulturę niemal 24 godziny na dobę, w atmosferze mimo wszystko dalekiej od szkoły.

Z pomocą biura turystyki młodzieżowej udało się nam (prof. Annie Ponikowskiej, prof. Małgorzacie Kafarowskiej i mnie) zorganizować kilka wyjazdów, podczas których mogliśmy obserwować, pytać, zdobywać know-how i gromadzić pomysły i doświadczenia, przydatne – jak się wkrótce miało okazać – podczas samodzielnie organizowanych wyjazdów. Celem był przeważnie Londyn, zakwaterowanie na jego przedmieściach, w miejscowych rodzinach, intensywny program turystyczny, możliwość kontaktu z żywym językiem w rodzinie gospodarzy. Wszystko to trwało cztery lub pięć dni na miejscu, po czym następował powrót. Były to wyjazdy autokarowe, ponieważ bardzo sprzyjały i sprzyjają one integracji grupy – świadomie zrezygnowaliśmy więc z innych środków transportu.

Ponoć znużenie Londynem oznacza znużenie życiem, nie zamierzaliśmy rozstrzygać czy tak jest w istocie, czy nie, ale Londyn w programie znaleźć się musiał... Choć niekoniecznie na stałe, stąd w ramach wyjazdów do Margate (organizowanych przeze mnie z prof. M. Kafarowską) odwiedzamy Londyn mi-

nimum 2 razy. Staramy się wtedy spojrzeć na miasto z któregoś z dostępnych punktów widokowych, zobaczyć fragment królewskiego Londynu, wziąć udział w rejsie Tamizą, zajrzeć do Galerii Narodowej, obejrzeć jakiś spektakl na West Endzie, znaleźć chwilę na spacer po Leicester Square, Soho, China Town i zajrzeć do któregoś z muzeów: Londynu, Transportu, czy Tower of London, albo też Tower Bridge. Na co dzień natomiast mieszkamy w zwykłym angielskim miasteczku, gdzie poznajemy prawdziwą Anglię znaną z seriali telewizyjnych, nie nastawioną na turystę zagranicznego, oczekującego atrakcji o charakterze fajerwerków.

Choć z jednej strony Margate lata świetności ma za sobą, to dzięki niezłej infrastrukturze funkcjonuje współcześnie jako popularne miejsce zamieszkania, a więc odpoczynku, relaksu, realizacji zainteresowań itp. dla osób pracujących w większych ośrodkach, również w Londynie. Do największych atrakcji miasteczka należy zaliczyć: Dreamland, czyli park rozrywki z historyczną kolejką górską Scenic Railway, prababcią współczesnych rollercoasterów, Centrum Sztuki Współczesnej im. J.M.W. Turnera, domek z epoki Tudorów, fabrykę zabawek Hornby, grotę muszelkową oraz wydarzenia takie jak, np. *Margate Jazz Festival*, w którym brał udział m.in. nasz „prawie pół-rodak" Nigel Kennedy.

Przez ponad 10 lat udało się nam zorganizować 11 edycji wyjazdu, co najmniej dwukrotnie we współpracy z XXI LO im. Hugona Kołłątaja, co oznaczało, że wyprawa obejmowała dwa autokary. Innymi słowy, dotychczas zabraliśmy do Margate 600–700 młodych ludzi, którzy zazwyczaj wracają bardzo zadowoleni (wiemy, bo rokrocznie przeprowadzamy wśród uczestników anonimowe ankiety dotyczące wyjazdu, jego organizacji, programu, etc.).

Rodziny goszczące naszych uczniów bardzo ich chwalą, mimo zaledwie kilku, niemniej intensywnych wspólnych dni, uczestnicy warsztatów bardzo zżywają się ze swoimi gospodarzami, a skuteczność tej integracji należy przypisywać między innymi umiejętnościom językowym naszych uczniów.

Specyfika zakwaterowania w rodzinach angielskich ma niewątpliwie plusy i minusy, wychodzimy jednak z założenia, że tych pierwszych jest zdecydowanie więcej. Bezpieczeństwo gwarantuje kwaterowanie uczestników po 2–3 osoby, oraz koordynatorka sprawująca pieczę nad doborem i weryfikacją rodzin, uwzględniająca również nasze uwagi. Powszechnym minimum jest „smalltalk okołoposiłkowy", choć zdarzały się sytuacje, że uczniowie wracali do swoich „warsztatowych" gospodarzy w wakacje, na własną rękę.

Jedną z atrakcji, a właściwie atutów naszych wyjazdów, są warsztaty językowe z native speakerami, a ich materiał odpowiada zawartości katalogu maturalnego. Zwykle są to minimum 4 dni zajęć w godzinach 8:30–12:00, a po tym czasie realizujemy program turystyczno-krajoznawczy i ewentualne zajęcia odbywają się wtedy w terenie. Sprawa wymaga od nas pewnych działań logistycznych, ponieważ zajęcia „w klasach" wiążą się z koniecznością wynajęcia trzech sal lekcyjnych – przy grupie 45–48 osób, warsztaty odbywają się w trzech grupach. Uznaliśmy, że aby uczestnicy maksymalnie skorzystali z zajęć, grupy nie powinny być większe niż 15–16 osób. Oczywiście nacisk podczas zajęć kładziony jest głównie na kompetencje komunikacyjne, a uczniowie mają okazję

poznać wszystkich wykładowców i nauczycieli, ponieważ prowadzą oni warsztaty w różnych grupach, tak, aby było „sprawiedliwie".

Dotychczas wymienione atuty, to: zakwaterowanie w małym angielskim miasteczku, sprawdzone, bezpieczne rodziny kwaterujące, z którymi współpracujemy od lat i zajęcia z native speakerami. Warto jeszcze dodać, że ze względu na skalę przedsięwzięcia wyjazd organizujemy pod koniec roku szkolnego, tak aby zmotywować uczniów do sumiennej nauki przez cały rok szkolny. Właśnie pod jego koniec niejako w nagrodę (od rodziców i od nas) uczniowie dostają jeszcze przed wakacjami możliwość uczestniczenia w ciekawym, jak sądzimy, wyjeździe. Nie jest to, i nigdy nie był, tylko pretekst do „urwania się z budy".

Wartość dodana tej formuły, to na pewno sprzyjająca pogoda i temperatury na wyspach (maj/czerwiec), a także możliwość spokojnego zaplanowania wszystkiego: przygotowania zaczynamy bowiem już na przełomie lipca i sierpnia, niedługo po powrocie z poprzedniego turnusu. Podsumowujemy wtedy wyjazd, oceniamy, czy jakieś elementy wymagają poprawek lub zmian, a następnie przygotowujemy kolejny program. Rezerwacje, maile, telefony, konsultacje, wybór i przygotowanie nagród i wszystkie działania, które gwarantują udany i sprawny przebieg imprezy zajmują nawet do 200 godzin naszego prywatnego, pozaszkolnego czasu.

Inną atrakcją wycieczki są rozmaite zadania terenowe, do wykonania przez uczestników podczas samodzielnego zwiedzania, karaoke i grill w prawdziwym angielskim pubie, spektakl musicalowy na londyńskim West Endzie, możliwość poznania Margate na własną rękę, jeśli czas na to pozwala, lub spaceru brzegiem morza podczas odpływu do którejś z sąsiednich miejscowości – Broadstairs czy (dla wytrwałych) Ramsgate.

Impreza wpisała się na stałe w kalendarz szkolny i dopóki starczy nam sił i będziemy odbierali pozytywne sygnały zarówno od uczestników, jak ich rodziców, mamy nadzieję, że będziemy ją organizowali, bo mimo nakładów prywatnego czasu, niezbędnych do jej przygotowania, rokrocznie przekonujemy się, że warto i tego zamierzamy się trzymać.

Krzysztof Rogucki, absolwent z 1998 r., nauczyciel języka angielskiego

Zdjęcia: Archiwum szkoły

Dzień Niemiecki, 2014 r.
Archiwum szkoły

Małgorzata Wawer – absolwentka z 2018 r.

Studentka II roku fizjoterapii na Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie

Przygotowania do matury nie były łatwe, ponieważ wymagały wielu godzin sumiennej pracy oraz zaangażowania zarówno ze strony naszej, jak i niezastąpionej pani Karoliny Rudzik, jednak upływały one w motywującej do nauki, sprzyjającej atmosferze. Nasza grupa angażowała się w przeróżne projekty i konkursy, które oprócz urozmaicania zajęć, miały również charakter integracyjny.

Wspólnie nagrywane: łamańce językowe, piosenka – której tekst i aranżację (również „teledysk") stworzyliśmy, czy kawiarenka z regionalnymi potrawami – to tylko niektóre z niecodziennych, zapadających w pamięć lekcji języka niemieckiego.

Cieszę się i jestem wdzięczna za to, że zarówno te przyjemniejsze chwile, jak i te nieco bardziej monotonne, spędzone nad gramatyką oraz na pisaniu (jakże licznych!) rozprawek, wydały owoce i pomogły polubić się z językiem niemieckim.

Izabella Pawłowska – absolwentka z 2018 r.

Studentka II roku studiów licencjackich na Wydziale Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego

Lekcje języka niemieckiego wspominam pozytywnie. Na pewno nie były to lekcje, na które przychodziło się z niechęcią. Wręcz przeciwnie, były to jedne z przyjemniejszych zajęć, zapewne ze względu na panującą wtedy atmosferę – przyjazna, motywująca do nauki. Nauka zaś sama w sobie też nie była utrapieniem, do czego przyczyniały się chociażby powtórki słówek z wykorzystaniem

Dzień Szwajcarski, 2014 r.
Archiwum szkoły

Rozdanie nagród V edycji Mazowieckiego Konkursu GRAMMATIKMEISTER, 2019 r.

Autor zdjęcia: Franciszek Zakrzewski

Kahoota lub poprzez granie w bingo czy wisielca. Ale to nie wszystko co robiliśmy. Braliśmy udział w różnych konkursach. Zorganizowaliśmy Dzień Szwajcarski, na który przygotowaliśmy różne szwajcarskie potrawy. Pamiętam też, że zamawialiśmy pizzę, choć nie pamiętam, z jakiej okazji (ale wspomnienie nadal pozytywne). Inną aktywnością było zorganizowanie konkursu *Grammatikmeister*, którego rozdanie nagród prowadziłam razem z kolegą z grupy, a takich rzeczy na zajęciach nie ma. W ramach lekcji wybraliśmy się też do Ambasady Niemieckiej, co zdecydowanie było ciekawym oderwaniem się od rutyny.

Można powiedzieć, że złych wspomnień z lekcji niemieckiego nie mam. Zdecydowanie były to miłe i przyjemne zajęcia, które umilały nie zawsze wesołą szkolną codzienność.

Konkurs Języka Niemieckiego GRAMMATIKMEISTER

Pomysł na konkurs dotyczący gramatyki języka niemieckiego powstał w 2014 roku. Bardzo chciałam, aby młodzież rozwijała swoje zainteresowania

językiem niemieckim i mogła wykazać się swoją wiedzą. Najważniejsze dla mnie było to, by skutecznie zmotywować młodych ludzi do rozwijania swoich umiejętności językowych. Dzięki wsparciu Ambasady Republiki Federalnej Niemiec, Instytutu Germanistyki Uniwersytetu Warszawskiego oraz Burmistrza Dzielnicy Bielany m.st. Warszawy konkurs zdobył odpowiednią rangę i zyskał popularność wśród młodzieży z całego Mazowsza. Co roku test pierwszego etapu pisało ok. 1000 uczniów. W drugim etapie gościliśmy młodzież m.in. z: Celestynowa, Garwolina, Kałuszyna, Milanówka, Mińska Mazowieckiego, Mławy, Mysiadła, Piaseczna, Płocka, Pruszkowa, Pułtuska, Radomia, Siedlec, Sochaczewa, Warszawy, Wyszkowa, Żelechowa i Żyrardowa. Mistrzowie Gramatyki Języka Niemieckiego to przyszli studenci lingwistyki stosowanej, germanistyki, a także SGH.

Karolina Rudzik, nauczycielka języka niemieckiego

Bal zimowy

Weronika Wójcik – uczennica kl. 2B, przewodnicząca Samorządu Uczniowskiego, współorganizatorka balu

Zuzanna Chodacka – uczennica klasy 2B, wiceprzewodnicząca Samorządu Uczniowskiego, współorganizatorka balu

W naszej szkole już wcześniej odbywały się tego typu wydarzenia. Kilkanaście lat temu w José uczniowie zorganizowali bal karnawałowy o tematyce fantasy. Zdjęcia dokumentujące to wydarzenie znajdują się w jednej z kronik.

Jednak Bal Zimowy w naszej szkole, w grudniu 2019, odbył się po raz pierwszy. Uczestniczyli w nim uczniowie wszystkich klas. Była to idealna

Bal zimowy, 2019 r.

Archiwum prywatne Zuzanny Chodackiej i Weroniki Wójcik

okazja do zintegrowania się, poznania nowych osób, a przede wszystkim do dobrej zabawy. Wielu uczniów wspomina ten bal jako najlepsze wydarzenie w naszej szkole.

Przygotowania do balu rozpoczęły się, tak naprawdę już, w październiku. Poprosiliśmy kilku nauczycieli, aby zgodzili się otoczyć opieką nas i naszą imprezę. Następnie znaleźliśmy uczniów chętnych do pomocy przy organizacji.

Zgłosiło się naprawdę dużo osób. Zadania zostały rozdzielone między osoby w różnych sekcjach, część z nich zajęła się dekoracjami, inni kawiarenką, a jeszcze inni sprzedażą biletów, czy rozreklamowaniem wydarzenia.

Playlista została stworzona z propozycji wszystkich uczniów – każdy mógł dodać coś od siebie na Spotify'a, dzięki czemu wszyscy mogli choć przez chwilę potańczyć do utworów, które lubią.

Wiedziałyśmy, że nie będzie łatwo to wszystko przygotować. Po drodze spotkało nas kilka nieprzewidzianych przeszkód, przez które, chwilowo, zwątpiłyśmy, czy nam się uda. Jednak po wielu rozmowach wszystko dobrze się skończyło.

Już w listopadzie pojawiły się plakaty zachęcające uczniów do udziału w Balu Zimowym.

Tydzień przed imprezą każdy zainteresowany balem mógł zakupić, za drobną opłatą, postemplowany bilet uprawniający do wejścia. Wymagane były stroje wieczorowe, dzięki czemu całe wydarzenie miało charakter elegancki. Można było również zaprosić osobę towarzyszącą, co również było mile widziane.

W dniu balu, podczas lekcji, chętni uczniowie pięknie przyozdobili salę gimnastyczną, w której odbywała się część oficjalna oraz małą salkę, w której znajdowała się kawiarenka z licznymi słodkościami. Każdy, kto pomógł w przygotowaniach, otrzymał voucher na darmowe ciastko i herbatkę. Na ścianach oraz pod sufitem na korytarzu prowadzącym do sali gimnastycznej zostały rozwieszone lampki, a przed wejściem na salę postawiliśmy ściankę zdjęciową, przy której można było zrobić pamiątkowe zdjęcie.

„Na wejściu" siedział uczeń, który sprawdzał bilety, a przy stoliku DJ-a zasiedli chłopcy z klasy 2A. Mieliśmy również fotografa, który uwiecznił wiele wspaniałych chwil naszej zabawy. Wszyscy bawili się naprawdę dobrze, pierwsze klasy miały okazję do zintegrowania się, a starsze roczniki do lepszego poznania innych uczniów.

Bal zimowy, 2019 r.

Archiwum prywatne Zuzanny Chodackiej i Weroniki Wójcik

JOSÉ W PODRÓŻY

Źródła zdjęć: archiwum szkoły, archiwum prywatne Dajany Dyki, Marty Jurek, Marty Lipskiej-Gędziorowskiej, Karoliny Marczak, Marcina Muraszko, Anny Pater, Filipiny Pilichowskiej, Dominiki Sikory, Klaudii Soboty, Davida Vargasa, Andrzeja Walczuka, Anny Wisz, Moniki Zwierzyńskiej-Pióro

JOHANN
SEBASTIAN
BACH

LACY2012

IPO
ST
AZE

TELEPHONE

STUDNIÓWKI W JOSÉ

Źródła zdjęć: archiwum szkoły, archiwum prywatne Marka Domaradzkiego, Dajany Dyki, Zofii Gajewicz, Gabrieli Grzędy, Karoliny Marczak, Anny Pater, Filipiny Pilichowskiej, Małgorzaty Skórzewskiej, Małgorzaty Zalewskiej

PEPSI

KAMIL
CYPRIAN
NORW

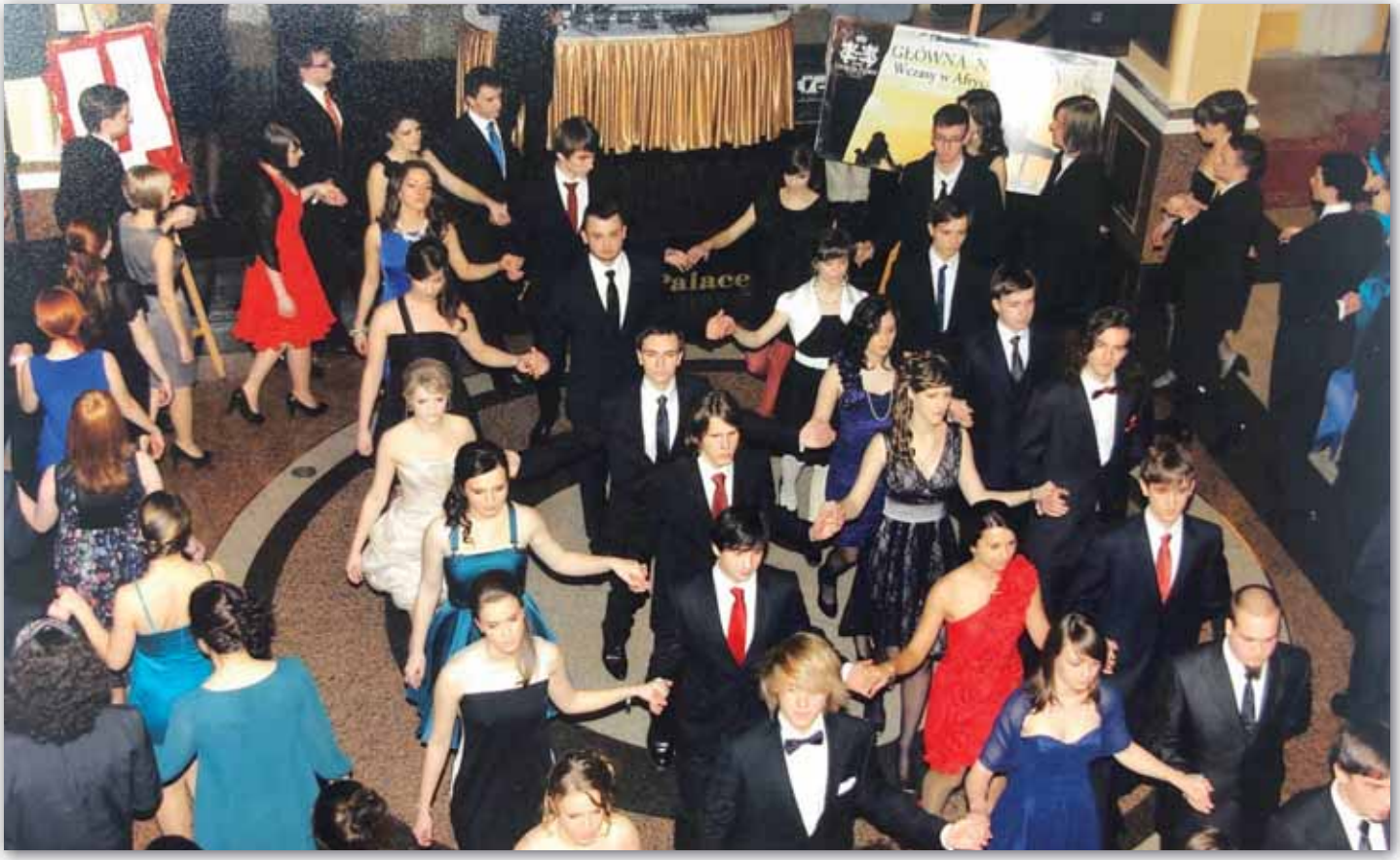

JOSÉ MARTÍ'16

IGNACYFOTOGRAFUJE
JOSÉ MARTÍNZ

STUDNIÓWKA 2019

JOSÉ NA CO DZIEŃ

Źródła zdjęć: archiwum szkoły, archiwum prywatne Marka Domaradzkiego, Dajany Dyki, Gabrieli Grzędy, Marta Jurek, Karoliny Kozłowskiej, Marty Lipskiej-Gędziorowskiej, Karoliny Marczak, Agnieszki Nowak, Pauli Ostaszewskiej, Anny Pater, Marcina Parzyszka, Filipiny Pilichowskiej, Dominiki Sikory, Katarzyny Skiery, Kamili Staniszewskiej, Andrzeja Walczuka, Romualda Zabielskiego, Franciszka Zakrzewskiego, Moniki Zwierzyńskiej-Pióro

JOSÉ MARTÍ

Cuba

JOSÉ
MART

1853
1895

JOSE MARTI

JOSÉ MARTÍ

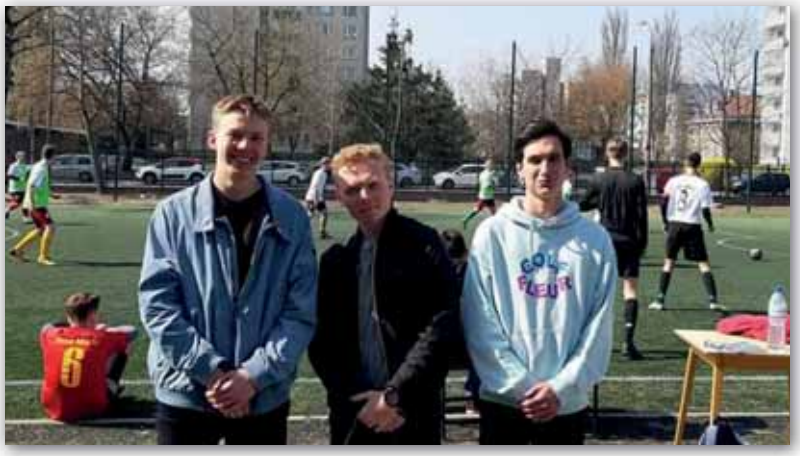

H
He
Li
Be
B
C
N
O
F
Ne
Na
Mg
Al
Si
P
Cl
Ar
K
Ca
Sc
Ti
V
Cr
Mn
Fe
Co
Ni
Cu
Zn
Ga
Ge

Kamuflage
NASA

SPOTKANIA
Z CIEKAWYMI LUDŹMI

Na przestrzeni lat 2000–2020 udało się zorganizować w szkole kilkanaście spotkań z ciekawymi ludźmi. Wraz z paniami z biblioteki szkolnej: Grażyną Zagórską i Anną Koc, a także prof. Barbarą Jankowską i prof. Agnieszką Żuberek zaprosiliśmy wielu niezwykłych gości. W spotkaniach uczestniczyli uczniowie XXII LO oraz innych szkół. Były one organizowane dla chętnych, po godzinach lekcyjnych. Na nasze zaproszenie odpowiedzieli między innymi:

Artur Andrus – dziennikarz, satyryk, konferansjer, wieloletni prowadzący radiową *Powtórkę z Rozrywki*. Dowiedzieliśmy się od niego, jak wygląda praca dziennikarza radiowego, czy na studiach przygotowano go do wykonywania tego zawodu, jak i gdzie szlifował warsztat, itd., itp. Dzięki Panu Andrusowi naszą szkołę zdążyła też odwiedzić pani Stefania Grodzieńska.

• **Steffen Moeller** – nauczyciel i wykładowca języka niemieckiego, kabareciarz, aktor niemieckiego pochodzenia, popularny w latach dziewięćdziesiątych. Przez kilka chwil patrzyliśmy na Polskę i nasze nawyki oczami człowieka wychowanego w innej kulturze, dowiedzieliśmy się, co z jego perspektywy jest u nas absurdem, a czego współcześni Niemcy powinni się od nas uczyć. Było zabawnie i rozrywkowo, przekonaliśmy się, że Moeller to prawdziwe medialne zwierzę, które niczym do klatki, wcisnęliśmy do naszej szkolnej biblioteki (spodziewał się występu na sali gimnastycznej), co więcej od progu wszystkim ściskał dłonie, jak, nie przymierzając, kandydat na prezydenta (a może jednak przewrotny kabareciarz).

• **Bartosz Wierzbięta** – tłumacz, dialogista, reżyser dubbingowy, znany np. z polskiej wersji filmu *Shrek*. Gość przybliżył nam specyfikę przekładu współczesnych filmów

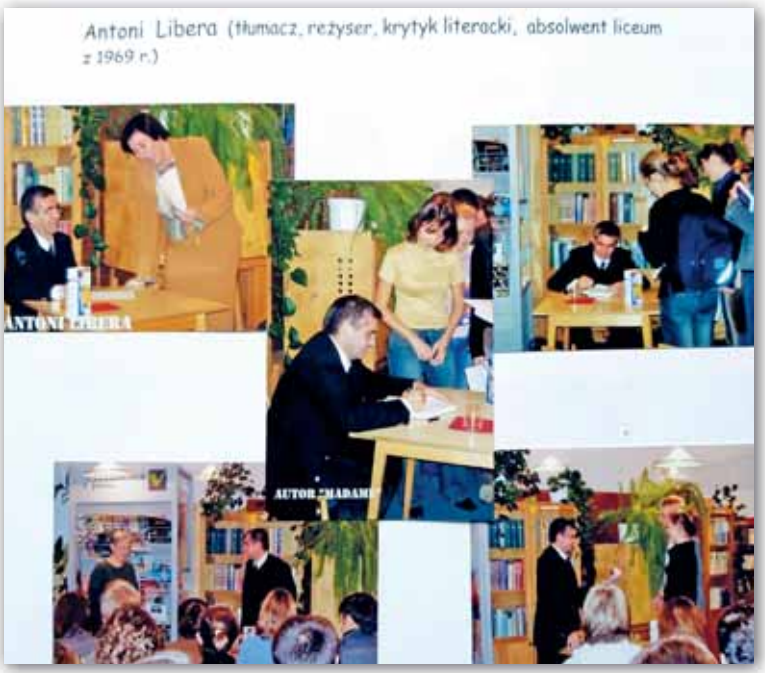

animowanych, opowiedział nieco o warsztacie, o pracy z aktorami podczas nagrywania dubbingu, wyjaśnił, jak znalazł się w tej branży i kim byli jego mentorzy, a także zdradził, dlaczego podczas pracy potrzebuje hektolitrów kawy.

• **Filip Łobodziński** – dziennikarz, recenzent, tłumacz, członek i współzałożyciel *Zespołu Reprezentacyjnego*. Erudyta, tłumacz i wykonawca m.in. polskich wersji tekstów Boba Dylana, nagrodzony przez Instytut Cervantesa za przekład literacki [*W cieniu inkwizycji* Artura Perez-Reverte], opowiedział między innymi, jak wspomina pracę na planach filmów *Podróż za jeden uśmiech* i *Stawiam na Tolka Banana*, trochę o specyfice pracy dziennikarza radiowego, telewizyjnego i prasowego, a także zdradził, jak znaleźć czas na przekład literacki, dziennikarstwo i czytanie książek oraz co lubi jego kot.

• **Krzysztof Jankowski** – reżyser, autor filmów: *Dwóch ludzi z kasą*, *Odwyk*, *Kemping*, *Ego*. Spotkanie poprzedziła projekcja ostatniego z wymienionych filmów, według jego scenariusza i w jego reżyserii. Poza sprawami dotyczącymi filmu mogliśmy poznać gusta młodego reżysera, nieco szczegółów związanych z pracą na planie, a także współpracą z aktorami, niejedno-

krotnie cieszącymi się dzisiaj sporą popularnością. Pan Jankowski zdradził nam też wiele informacji dotyczących produkcji i promocji filmu, a także finansowania czy udziału w konkursach w kraju i za granicą.

Profesor Bralczyk, fan hip hopu, o stylu

Kolejne spotkanie z cyklu „Życie bardzo coolturalne"

Chodzi o to, by język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa – zacytował wczoraj Słowackiego na spotkaniu z licealistami i gimnazjalistami profesor Jerzy Bralczyk.

ŻYCIE coolturalne

Gdybym jednak mówił wszystko, o czym pomyślę, to należałoby mnie zamknąć – dodał żartobliwie profesor.

Na czwartym już spotkaniu z mistrzami kultury polskiej kilkudziesięciu uczniów stołecznych gimnazjów i liceów miało okazję poznać profesora Jerzego Bralczyka. Chociaż znakomity językoznawca długo i z wielkim zapałem opowiadał o zawiłościach języka polskiego, młodzież najbardziej żywiołowo zareagowała na stwierdzenie profesora, że lubi hip hop.

Młodzi warszawiacy z ciekawością słuchali uwag profesora o języku i muzyce

Brawa za tyradę

– Fascynuje mnie freestyle – opowiadał profesor. – Dobrze wiedzieć, że w narodzie nie umarła umiejętność improwizacji. To przecież świadczy o naszej świadomości językowej – dodał profesor. Żeby nie być gołosłownym, wygłosił kilkuminutową freestyle'ową tyradę. Widownia nagrodziła go za to brawami.

Spotkanie z profesorem obserwował wyjątkowo folklorystyczny zespół folkowego Swoją drogą. Jerzy Bralczyk podrygiwał na fotelu i przytupywał do rytmu.

– Musimy nauczyć się porozumiewać – tłumaczył profesor. – Język jest po to, by ułatwiać ludziom komunikację. Najprostsza rozmowa może wnieść w życie człowieka więcej niż godziny samotnych rozmyślań – stwierdził.

Młodzież trochę się bała

Z przebiegu spotkania zadowolony jest organizator akcji „Życie bardzo coolturalne", wydawca i pedagog Artur Wiśniewski. – Najbardziej bawiło mnie, że młodzież trochę bała się zadawać profesorowi pytania – stwierdza. – Przy takim autorytecie językowym, jakim jest profesor Bralczyk, każdy waży słowa, by nie popełnić jakiejś gafy – dodał.

Spotkanie połączone zostało z promocją najnowszej książki profesora Bralczyka „Leksykon zdań polskich".

EWELINA ZAMBRZYCKA

POZNAJ MISTRZA

→ „Życie bardzo coolturalne" to cykl spotkań młodzieży z mistrzami kultury polskiej. Organizatorem akcji jest Artur Wiśniewski. Do tej pory odbyły się już spotkania z Wojciechem Suzinkiewiczem, Januszem Głowackim i Tomaszem Stańką. Kolejne spotkanie pod hasłem „Krytyk czy sokole polskiego kina" odbędzie się 18 grudnia. Goście młodzieży będzie Juliusz Machulski.

- **Antoni Libera** – tłumacz, reżyser, krytyk literacki, znawca twórczości Samuela Becketta i absolwent naszego liceum. Jedną z bardziej znanych i nagradzanych powieści pisarza jest *Madame*. „Mamy więc do czynienia z książką w książce" mówił o powieści autor (Polskie Radio Pr. 2, 17.12.2013). Nawiązał w niej do czasów swej młodości i nauki w liceum. Gościł u nas dwukrotnie.

- **Jerzy Bralczyk** – językoznawca, znawca języka mediów i reklamy, autor wielu pozycji poświęconych językowi polskiemu, popularyzator poprawności językowej, prowadził w telewizji programy: *Mówi się*, *Na Słówko*. W polskim Radiu, Pr. 1, prowadzi program *Słowo o słowie*. Na spotkaniu w szkole przy ul. Wiśniowej obecni byli nie tylko licealiści, ale też gimnazjaliści. Gość z zapałem opowiadał o zawiłościach języka polskiego. Podkreślał, że musimy nauczyć się porozumiewać, a język powinien ułatwiać komunikację. Młodzież na początku, trochę onieśmielona, niechętnie zadawała pytania. Spotkanie ubarwił występ zespołu folkowego, przy którym dobrze bawili się zarówno uczniowie, jak i profesor.

- **Henryk Samsonowicz** – historyk, znawca średniowiecza i jego kultury, autor prac naukowych. Tematem spotkania były początki państwa polskiego, a pretekstem artykuł profesora w *Polityce* na ten właśnie temat. Rozmowa toczyła się nawet po zakończeniu spotkania.

• **Juliusz Machulski** – scenarzysta, producent filmowy, aktor, autor słynnego *Vabanku* i *Seksmisji*. Tematem spotkania było współczesne kino polskie. Reżyser opowiadał o pracy nad swoimi największymi hitami filmowymi: skąd w *Seksmisji* wzięły się słowa: „nasi tu byli", dlaczego *Kingsajz* kończy się tak, jak się kończy? Czytelnia biblioteki wypełniona była po brzegi.

• **Tomasz Matkowski** – tłumacz, pisarz i fotograf. Na spotkanie do biblioteki przyniósł swoją książkę *Mysza*. *Bajka nie dla dzieci*. Uczniowie czytali fragmenty tekstu, mogli zdobyć autograf autora.

• **Andrzej Mularczyk** – pisarz, scenarzysta, autor popularnych słuchowisk radiowych: *Matysiakowie*, *W Jezioranach*. Rozmowa w trakcie spotkania toczyła się przede wszystkim wokół cyklu filmu o Pawlakach i Kargulach (*Sami swoi*).

• **Jerzy Bojar** – reżyser światła, dyrektor techniczny, potem administracyjny Teatru Wielkiego, znawca historii teatru i Teatru Wielkiego. Opowiadał o tym, jak działa teatr, scena i pracownie teatralne oraz wiele innych ciekawostek. Po spotkaniu młodzież została zaproszona na wycieczkę do teatru, za kulisy.

Spotkania te odbyły się w ramach cyklu *Spotkania bardzo coolturalne*, której organizatorem był Artur Wolski. Zostały one przygotowane wspólnie z warszawskim ODN, księgarnią *Czuły barbarzyńca* i *Życiem Warszawy*.

Gościli u nas także:

• **Stefania Grodzieńska** – legendarna aktorka, pisarka, satyryczka, kopalnia wiedzy o przedwojennym teatrze, aktorach, ludziach sceny, itp. Od niezwykle sympatycznej starszej pani dowiedzieliśmy się między innymi o jej kolekcji jajek, jednym z jej ulubionych niecenzuralnych słów i o tym dlaczego z Arturem Andrusem, choć spędzają razem bardzo wiele czasu w podróżach i na spotkaniach z czytelnikami oraz słuchaczami, wciąż są na Pan – Pani.

• **Wojciech Orliński** – nasz absolwent i tata absolwenta, Jacka, wszedłszy do biblioteki szkolnej, zapytał czy może zajrzeć do części z regałami pełnymi książek, niegdyś niedostępnej dla niego, jako ucznia, a uzyskawszy zgodę wyszedł stamtąd z naręczem książek Stanisława Lema… Dziennikarz, publicysta i pisarz podzielił się z nami bardzo ciekawymi historiami i anegdotami dotyczącymi jego współpracy ze wspomnianym wielkim pisarzem, a także pracy nad książką o legendarnej Route 66. Od naszego gościa można się było dowiedzieć, czym obecnie jest ta droga, ale też jak przygotować wyprawę jej szlakiem, na co zwrócić szczególną uwagę, skąd i jak zdobyć fundusze, itp., itd.

• **Piotr Strzeżysz** – autor bloga onthebike.pl oraz kilku książek pełnych refleksji i przemyśleń na temat podróżowania, wieczny student i przede wszystkim człowiek, który na nieodłącznym rowerze m.in. przejechał przez Tybet, pokonał zachodnie wybrzeże obu Ameryk, z północy na południe i… z powrotem, jeździł po Afryce śladami Kazimierza Nowaka i wygrał radiowy konkurs Henryka Sytnera pt. *Wakacje na dwóch kółkach*. Nasz gość opowiadał o swoich podróżach, przygodach, o tym, co go napędza i dokąd tak naprawdę ciągle jedzie, a także jak się czuje, kiedy wraca do domu oraz czym jest dla niego dom, i wreszcie, gdzie on jest? Dowiedzieliśmy się, gdzie na świecie pije się herbatę z masłem i solą, jak wygląda choroba wysokościowa i co to jest „mięsko na

kółkach". Pan Piotr odwiedził nas kilkakrotnie, ostatni raz w minionym roku szkolnym.

• **Łukasz Supergan** – fotograf, podróżnik i piechur opowiedział nam o swoich samotnych wędrówkach po górach, na przykład Łukiem Karpat, o tym, z czego utrzymuje się podróżnik oraz jak zaczęła się jego przygoda z turystyką pieszą. Dowiedzieliśmy się wielu ciekawych rzeczy o Camino de Santiago, mogliśmy zobaczyć jego paszport pielgrzyma, poznaliśmy ten legendarny szlak widziany jego oczami i dostaliśmy wiele praktycznych informacji o Camino.

• **Krzysztof Niwiński** – syn słynnego archeologa (parafrazując słowa A. Pilipiuka), zanim jeszcze dołączył do grona pedagogicznego XXII LO, odwiedził nas ze swoją prezentacją slajdów z Nowej Zelandii, gdzie swego czasu w ramach „gap year" spędził około roku, poznaliśmy ciekawostki dotyczące tej przepięknej krainy, zobaczyliśmy autorskie zdjęcia nie tylko z planów zdjęciowych ekranizacji Tolkiena i dowiedzieliśmy się, jak wyglądają Japończycy wybierający się na trekking po „kraju Kiwi" w oparciu o zalecenia wzięte wprost z internetu.

• **Marek Cegieła** – tłumacz literacki, symultaniczny i konsekutywny, autor kilkudziesięciu przekładów z języka angielskiego i na język angielski, a także współzałożyciel Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich i Stowarzyszenia Tłumaczy Literatury. „Ambasador" poprawnej, precyzyjnej polszczyzny i doskonałego przekładu, wolnego od językowej kalki i tłumaczeniowych wpadek. Na spotkaniu opowiedział o wyrazach i wyrażeniach, które w jego odczuciu są zmorą współczesnej polszczyzny. Dowiedzieliśmy się, co to znaczy, że dobry tłumacz powinien być „genialnym dyletantem" i jak rozumieć sformułowanie, że najczęstsze błędy tłumaczy polegają na tym, że: „zadają oni pytania i… nie zadają ich". Przekłady Marka Cegieły znajdziemy również w zbiorach biblioteki XXII LO.

• **Krzysztof Mroziewicz** – pisarz, korespondent PAP, dziennikarz, ambasador Polski w Indiach, Sri Lance i Nepalu. Spotkania (odbyły się dwa) udało się zorganizować dzięki współpracy ze Związkiem Literatów Polskich. W czasie ich trwa-

nia padły pytania dotyczące relacji z Ryszardem Kapuścińskim, pracy dziennikarza, korespondenta i ambasadora oraz aktualnych wydarzeń w Europie i na świecie. Odpowiadając na pytania, gość wielokrotnie nawiązywał do Kuby i Joségo Martí – patrona szkoły. Na pamiątkę uczniowie wręczyli gościowi prezent ufundowany przez Stowarzyszenie nauczycieli, rodziców, uczniów, absolwentów i sympatyków XXII LO z Oddziałami Dwujęzycznymi im. José Martí. Krzysztof Mroziewicz zrewanżował się swoją książką, którą opatrzył dedykacją.

Wśród ciekawych ludzi, z którymi spotykali się nasi uczniowie także poza szkołą, byli:

- Rita Gombrowicz,
- Wojciech Siudmak,
- Andrzej Renes,
- Władysław Bartoszewski,
- Andrzej Seweryn.

Krzysztof Rogucki

Zdjęcia: archiwum szkoły

STOWARZYSZENIE JOSÉ MARTÍ

Stowarzyszenie José Martí powstało z inicjatywy absolwentki i byłej wicedyrektor naszego liceum, pani Małgorzaty Zalewskiej. W założeniu organ ma zrzeszać nauczycieli, rodziców, uczniów, absolwentów i sympatyków szkoły. Działalność stowarzyszenia, mimo burzliwego czasu (zmiany administracyjne, strajk nauczycieli, epidemia koronawirusa) ma na koncie pierwsze osiągnięcia, do których należą:

- organizacja konwersacji z native speakerem (język angielski) dla uczniów klas pierwszych i drugich;
- dofinansowanie udziału maturzystów w kursie na opiekuna wypoczynku;
- organizacja spotkań z ciekawymi ludźmi (podróżnicy: Łukasz Supergan i Piotr Strzeżysz);
- wsparcie organizacyjne spotkania z Krzysztofem Mroziewiczem;
- wspieranie nauczycieli organizujących wyjazdy klasowe;
- wsparcie organizatorów konkursu JoséSong (działania crowdfundingowe);
- organizacja kolejnych wyjazdów warsztatowych do Margate;
- współpraca z Radą Rodziców przy XXII LO między innymi w ramach pomocy w zgromadzeniu 1% podatku na cele statutowe Stowarzyszenia, przy pomocy zaprzyjaźnionego Stowarzyszenia Aktywna Szkoła reprezentowanego przez pana Jacka Gałkiewicza;
- szeroko pojęte działania związane z opracowaniem i wprowadzeniem do użytku logotypu XXII LO (bluzy, smycze, długopisy, kubki) we współpracy z absolwentami szkoły z firmy Wakans;
- propozycje udziału w spektaklach teatralnych, na przykład „Stowarzyszenie Umarłych Poetów" w Teatrze Och.

Krzysztof Rogucki, przewodniczący Stowarzyszenia

HISTORIA BIBLIOTEKI XXII LO

Biblioteka powstała w 1946 roku. Jej założycielką była polonistka – prof. Janina Keckówna. Pierwsze książki w szkolnej bibliotece pochodziły od rodziców uczniów. Książki te prof. Keckówna umieściła w starej szafie, stojącej na klatce schodowej, skąd wypożyczała je uczniom podczas przerw.

Potem był pierwszy zakup tytułów do biblioteki. Środki na zakup nowych książek pochodziły z Kuratorium, które wypłaciło wynagrodzenie prof. J. Keckównie i prof. Marii Nowickiej (nauczycielka historii) za uczestnictwo w egzaminach wstępnych do liceum.

Do tworzenia biblioteki szkolnej włączył się także Komitet Rodzicielski. Zaczął on przeznaczać na potrzeby biblioteki niewielkie sumy. Dzięki temu za zgromadzone środki możliwe było zakupienie 500. woluminów.

Po przejściu prof. J. Keckówny do biblioteki publicznej w 1947 r. opiekunką biblioteki została prof. M. Nowicka. Spędzała w niej wiele godzin poza swoimi lekcjami. Uzyskała pierwszy lokal z przeznaczeniem na bibliotekę. Był to pokoik o wielkości 7 m^2, gdzie mieściły się 3 szafy, stół, mały stolik i 2 krzesła.

Od 1952 roku zakup nowych pozycji do księgozbioru należał do bibliotekarza, a pieniądze pochodziły z budżetu szkoły. Przybywało książek, więc woluminy gromadzono w nowych szafach, które nie mieściły się już w pomieszczeniu bibliotecznym i musiano je ustawić na klatce schodowej. Z powodu zwiększającej się liczby tytułów i większego zainteresowania księgozbiorem szkolnym prof. Nowicka przy wypożyczaniu coraz częściej korzystała z pomocy uczniów.

W Roku Mickiewiczowskim – 1955, zrodził się w szkole zwyczaj obdarowywania każdego z maturzystów książką. Wyboru tytułów dokonywała, w porozumieniu z wychowawcą, bibliotekarka.

Rok 1955 jest również rokiem, kiedy biblioteka otrzymała nowe, większe pomieszczenie, ponieważ cała szkoła została przeniesiona do nowego budynku przy ulicy Żeromskiego 22. Nowy pokój biblioteczny mierzył 24 m^2 i został całkowicie wypełniony regałami. Wypożyczanie odbywało się na wysuniętym stoliku przy drzwiach do biblioteki.

W roku 1957 r. opiekę nad biblioteką objęła pani Jadwiga Zięborek. W tym roku w inwentarzu było wpisanych 5378 pozycji. Ponadto Kuratorium przesłało książki dla szkoły podstawowej. Szkoła w budynku przy ul. Żeromskiego 22 była

11-latką. Jednak z powodu braku etatu dla bibliotekarza, z księgozbioru korzystali jedynie uczniowie liceum.

Statystyki czytelnicze z tego czasu podają, iż z biblioteki korzystało 91% uczniów, dzisiaj powiedzielibyśmy, szkoły podstawowej (klasy II–VII) i 68% uczniów klas licealnych (klasy VIII–XI).

W 1958 roku biblioteka uzyskała nowe pomieszczenie z przeznaczeniem na czytelnię. Znalazły się w nim regał na czasopisma oraz dwie oszklone szafy z książkami popularno-naukowymi – początek księgozbioru podręcznego. W holu oddano bibliotece dwie szklane gabloty z przeznaczeniem na wystawy nowości wydawniczych i okolicznościowe. W tym roku także zakupiono pierwsze kartoteki szufladkowe.

W roku szkolnym 1958/1959 rozpoczęto prowadzenie lekcji bibliotecznych, ich plan uzgadniano z dyrekcją szkoły.

W roku szkolnym 1960/1961 odnotowano rekordową liczbę wypożyczeń, bo ponad 16 270 woluminów. W tym roku szkoła liczyła ponad 800 uczniów.

Od 1961 roku biblioteka zaczęła gromadzić materiały dotyczące nowego patrona szkoły – José Martí.

W roku szkolnym 1961/1962 księgozbiór został uszczuplony o 1500 woluminów, zostały one przekazane szkole podstawowej, którą oddzielono od liceum. Pozostało 16 oddziałów liceum, a w nich 590 uczniów.

W roku szkolnym 1967/1968 biblioteka zyskała pomieszczenia przeznaczone tylko dla niej, tj. wypożyczalnię, czytelnię i magazyn o łącznej powierzchni 120 m^2. Było to związane z przeniesieniem szkoły do budynku przy ul. Staffa 111. Pozwoliło to na ustawienie woluminów w taki sposób, aby umożliwić całkowicie swobodny dostęp do półek w całej wypożyczalni oraz ekspozycję księgozbioru.

Od roku szkolnego 1971/1972 bibliotekę prowadziła prof. Alina Abramowicz. To dzięki niej bardzo powiększył się księgozbiór. Pani Abramowicz rozbudowała go o kartoteki czasopism, które mozolnie tworzyła, przeglądając periodyki. Wybierała z nich artykuły, które wycinała i zamieszczała w kartotece czasopism. W ten sposób powstała duża baza artykułów, które stanowiły pomoc, zarówno dla uczniów, jak i nauczycieli.

W tym czasie znacznie wzrosła liczba woluminów w bibliotece. Do zespołu dołączyły kolejne dwie osoby: pani Alicja Sosnowska i pani Małgorzata Batorska.

Był to dobry okres dla biblioteki, która bardzo się rozrosła i rozwinęła. Zakupiono wiele wartościowych pozycji rynku księgarskiego, które do chwili obecnej znajdują się w naszych zbiorach.

W roku 1996 roku opiekę nad biblioteką przejęła pani Grażyna Zagórska. W tym czasie biblioteka została skomputeryzowana. Katalog biblioteczny został przeniesiony do programu bibliotecznego MOL, który wspomaga bibliotekarza w wypożyczaniu i opracowywaniu księgozbioru. Nasza biblioteka była drugą w Warszawie, która zaczęła w pełni korzystać z tego programu. Jednocześnie stała się miejscem szkolącym nauczycieli bibliotekarzy w obsłudze programu bibliotecznego MOL. W 2003 roku zainstalowano w czytelni komputery dla uczniów. Na początku było tylko jedno stanowisko, następnie przybyły kolejne trzy. Po zorganizowaniu w czytelni Internetowego Centrum Multimedialnego (2005 r.) uczniom udostępniono cztery kolejne komputery.

Księgozbiór powiększył się o nowe pozycje: filmowe, lektur szkolnych, tytuły z literatury pięknej i w językach obcych. Zmieniło się także pomieszczenie biblioteczne. Zostały zakupione nowe meble. Wymieniono drewniane regały na wyższe, metalowe, dzięki nim biblioteka zyskała więcej miejsca na nowe zakupy, szafy do księgozbioru podręcznego oraz stoliki i krzesełka w czytelni. Sama praca biblioteczna i pedagogiczna została ułatwiona przez zakup nowego sprzętu. W pomieszczeniach biblioteki wymieniono okna, które „pamiętały" czasy początków szkoły.

Przy okazji remontu biblioteki i przeniesienia książek do nowych regałów dokonano częściowej selekcji księgozbioru. Usunięto egzemplarze zniszczone, zdezaktualizowane. Książki te przeznaczono na „gratisy" dla uczniów. Akcja ta cieszyła się dużą popularnością wśród uczniów. Dział „gratisów" pozostał. W tej chwili każdy z uczniów i nauczycieli może pozostawić w bibliotece tytuły, z których nie korzysta, aby inni mogli się nimi cieszyć.

Od 2008 roku biblioteka szkolna opiekuje się księgozbiorem hiszpańskim użyczonym szkolnej Sekcji Dwujęzycznej (działającej w szkole od roku szkolnego 2004/2005) przez Biuro Radcy Ambasady Hiszpanii.

Ważną datą dla biblioteki szkolnej i całej szkoły był przełom 2009 i 2010 roku – czas generalnego remontu budynku liceum. W bibliotece był to czas pakowania

i rozpakowywania. Przed końcem roku szkolnego 2008/2009 należało spakować książki znajdujące się w trzech pomieszczeniach (lektury, beletrystykę, literaturę popularnonaukową). W pomieszczeniach bibliotecznych zorganizowano sale lekcyjne. Biblioteka działała w Ratuszu Bielańskim i wypożyczano tylko lektury.

W czytelni naszej biblioteki odbywały się spotkania w ramach spotkań samokształceniowych dla bibliotekarzy szkół warszawskich, z ciekawymi ludźmi, warsztaty dla samorządu szkolnego, rady pedagogiczne, lekcje biblioteczne, prace szkolnej komisji rekrutacyjnej.

Biblioteka uczestniczyła w akcjach ogólnopolskich, m.in.: *Zaczytani*, *Miesiąc Bibliotek Szkolnych*, *Lekcje literackie* (Związek Literatów Polskich), w *Narodowym Programie Rozwoju Czytelnictwa*.

Biblioteka szkolna posiadała duży dział cymeliów. Najstarszym wydaniem w zbiorach jest pozycja *Stan oświecenia w Polsce* Hugo Kołłątaja (nr inwentarzowy – 5). Posiadamy 35 takich pozycji. Mamy w zbiorach egzemplarze z każdego etapu „rozwoju szkoły", tj. z Barcickiej 2 i Barcickiej 69, a także z czasów Państwowego Gimnazjum i Liceum Koedukacyjnego na Bielanach.

Grażyna Zagórska i Anna Koc

Bibliografia

„35 lat działalności XXII Liceum Ogólnokształcącego na Bielanach imienia José Martí", praca zbiorowa nauczycieli XXII LO, 1981, Warszawa

„XXII LO im. José Martí w pięćdziesięciolecie istnienia", praca zbiorowa członków Stowarzyszenia Absolwentów i Wychowanków XXII LO, 1995, Warszawa

„XXII LO im. José Martí na Bielanach w jego sześćdziesięcioleciu", 2005, Warszawa

Bikont Anna, Łuczywo Helena „Jacek", wyd. Agora, 2018, Warszawa

Gawerski Adrian, „Kochana nasza buda ma już 65 lat", Nasze Bielany nr 9/2010

Głosik Jerzy, „Wspomnienia starego bielańczyka", 2011, Warszawa

Krzyżakowa Krystyna „Stolica, nr 35 z 1958

Rudnicki Leszek, „Bielany według Rudego II", Nasze Bielany nr 7/2010

Podziękowania...

...dla nauczycieli – Ewy Afteni-Zdrzalik, Barbary Bidzińskiej, Anety Chodowiec, Waldemara Kiendzińskiego, Anny Koc, Marka Krawczyka, Joanny Kury, Małgorzaty Łangowskiej, Agnieszki Potiopy, Krzysztofa Roguckiego, Kamili Staniszewskiej, Anny Suskiej-Rydz, Anny Szewczyk, Davida Vargasa Vargasa, Zofii Wójcik-Parol, Grażyny Zagórskiej, Małgorzaty Zalewskiej, Moniki Zwierzyńskiej-Pióro, Agnieszki Żuberek.

...dla uczniów – Alicji Bartkowskiej, Kai Baszyńskiej, Piotra Chęcińskiego, Zuzanny Chodackiej, Oliwii Czerwińskiej, Pauli Dąbrowskiej, Karoliny Doleckiej, Aleksandry Domańskiej, Marka Domaradzkiego, Tarasa Hladun, Filipa Jagnieży, Mai Jarząbek, Martyny Krajewskiej, Stanisława Leciejewskiego, Wiktorii Małkowskiej, Filipa Naumienko, Aleksandry Niewczas, Kornela Pańko, Aleksandry Piekarskiej, Igi Ruszczak, Aleksandry Rybickiej, Karoliny Strzałkowskiej, Zuzanny Walenty, Kai Warszawik, Krzysztofa Warzochy, Michała Wilka, Weroniki Wójcik, Franciszka Zakrzewskiego, Hanny Zatorskiej, Jędrzeja Żmudy oraz uczniów z klasy 1B3 i 1B4.

...dla wszystkich kronikarzy, którzy spisywali najważniejsze szkolne wydarzenia przez 75 lat. Bez ich pracy i poświęcenia nie byłaby możliwa podróż w czasie do początków naszego José.

...za wsparcie dla: pana Adriana Gawerskiego – prezesa Stowarzyszenia Absolwentów i Wychowanków XXII LO, państwa Renaty i Mariusza Jaśtak oraz Rady Rodziców przy XXII Liceum Ogólnokształcącym z Oddziałami Dwujęzycznymi im. José Martí.

...za pomoc finansową dla Urzędu Dzielnicy Bielany m.st. Warszawy.

Redaktor prowadzący: *Karolina Rudzik*
Projekt graficzny okładki: *Aleksandra Piekarska*
Projekt graficzny: *Sylwia Rogowska-Kusz*
Tłumaczenie tekstu na okładce: *Monika Zwierzyńska-Pióro*
Korekta: *Anna Koc, Aneta Chodowiec*

Oświadczamy, że mimo podjętych starań nie udało się nam ustalić wszystkich osób uprawnionych z tytułu praw autorskich do fotografii opublikowanych w monografii.

ISBN 978-83-958299-0-1

XXII Liceum Ogólnokształcące
z Oddziałami Dwujęzycznymi im. José Martí
ul. Leopolda Staffa 111
01-884 Warszawa
tel. +4822 8340357
e-mail: sekretariat@josemarti.pl
www.josemarti.pl

Skład i łamanie: Magraf s.c., Bydgoszcz
Druk i oprawa: Totem.com.pl, Inowrocław

JOSE MARTI

„Para los niños trabajamos, porque los niños son los que saben querer, porque los niños son la esperanza del mundo."

„To dla dzieci pracujemy, bo dzieci potrafią kochać i to one są nadzieją świata."

– José Martí

ISBN 978-83-958299-0-1